

SUSAN ISAACS
Kompromitacja

Rozdział 1

Jak szeptano na pogrzebie, doktor M. Bruce Fleckstein był jednym z najlepszych specjalistów chorób dziąseł na Long Island. I do tego bardzo przystojnym. Białe fartuch uwydatniał jego muskuły. Kiedy jednak pewnego dnia odwrócił się, nie miał pojęcia, że po raz ostatni podaje nowokainę i bada ostatnie w swoim życiu dziąsła. Nie, po prostu odwrócił się, może ze znużenia lub ukrywając lekki uśmiezek, który zagościł na jego wąskich, stanowczych ustach. Ruch ten okazał się zgubny: jego gość, korzystając z okazji, wyciągnął długie, wąskie narzędzie i wbił je w podstawę czaszki doktora.

Działo się to wieczorem w dniu świętego Walentego. Moje dzieci leżały na podłodze w piwnicy, gdzie urządziliśmy salę telewizyjną, i coś oglądały. Były w niezwykle pogodnych nastrojach, zbyt ociążałe od słodyczy, które zjadły z okazji Walentynek, żeby znaleźć siłę do podniesienia wrzasku, nie mówiąc o zaciskaniu pięści. Siedziałam sama przy stole kuchennym i, czekając na męża, rysowałam palcem na zamrażanej szybie serca przebite nieszkodliwymi strzałami.

Fleckstein leżał na podłodze w swoim gabinecie. Z pewnością tam też było cicho, ponieważ zabójca nie marudził długo. W ciągu paru chwil upewnił się, czy nie ma zdradzieckich objawów życia, otarł papierowymi chusteczkami narzędzie zbrodni i przeszukał biuro. Oczywiście, gdyby nawet Fleckstein był w stanie ostatni raz krzyknąć, aby zaprotestować, wydać z siebie ryk rozpacz, i tak bym go nie usłyszała. Jego gabinet, apartament 305 w Shorehaven Colonial Professional Building, znajdował się dziesięć minut drogi od mojego domu - dziesięciopokojowej posiadłości w stylu Tudorów w Shorehaven Acres.

O śmierci Flecksteina dowiedziałam się jakieś dwie godziny po tym, jak się to stało, kiedy słuchałam podającej na

bieżąc wiadomości stacji radiowej nadającej z Manhattanu, czterdzieści kilometrów stąd.

- Mamy doniesienie od Duke'a Graya, naszego korespondenta z Long Island - zakomunikował spiker. Słuchałam. Może pociąg Boba opóźni się, bo pozamarzały zwrotnice.

- Tak, Jim - odezwał się dziennikarz, jego mikrofon trzeszczał jak mikrofon Edwarda R. Murrowa, kiedy ogłaszał, że rozpoczęła się bitwa o Anglię. - Mówię z podmiejskiego Shorehaven, gdzie niewiele ponad godzinę temu znaleziono na podłodze gabinetu ciało brutalnie zamordowanego dentysty, doktora Marvina Bruce'a Flecksteina.

Korespondent jednostajnym głosem donosił, że nie odkryto wyraźnych śladów, ale rzecznik policji hrabstwa Nassau będzie chciał jeszcze dzisiaj wieczorem wydać oficjalne oświadczenie.

- Tymczasem to wszystko z Shorehaven, Jim.

- Dziękuję, Duke.

Boże, pomyślałam, wyłączając radio, ja go znałam. Widziałam Flecksteina w kolejce przed kinem i w miejscowej szkole podczas dnia otwartego dla rodziców. Raz znalazłam się nawet u niego w gabinecie. Byłam wtedy w szóstym miesiącu ciąży z Joeyem. Stałam przed lustrem, przyglądając się swojej twarzy - jedynej części ciała, która nie była nabrzmiała - zaglądałam w swoje lekko skośne oczy, zerkając na wystające kości policzkowe - niewątpliwie pamiątkę po jakimś mongolskim najeźdźcy, który w drodze do Mińska przejeżdżał koło sztetlu (sztetl - miasteczko o przewadze ludności żydowskiej (przyp. red.)) mojej praprababki. Uśmiechnęłam się do własnego odbicia i dostrzegłam je: maleńkie strużki krwi, wydobywające się z nabrzmiałych dziąseł. Mój dentysta polecił mi udać się po poradę do

specjalisty chorób dziąseł; takiego jak doktor Fleckstein. Posłuchałam.

Przywitał się ze mną przyjaźnie:

- Cześć, Judy.
- Judith - poprawiłam odruchowo.
- Dobrze, niech będzie Judith.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że straciłam okazję wykazania się pewnością siebie, udowodnienia, że jestem osobą dorosłą. Mogłam odpowiedzieć chłodno: „Pani Singerowa” albo jeszcze lepiej: „Pani Singer”, bądź też: „Pani Bernstein - Singer”. Tymczasem siedziałam już biernie z otwartymi ustami i serwetką pod brodą - ssakiem, który wchłaniał spływającą jak u niemowlaka ślinę. Przeniosłam wzrok ze słowa „Castle” na lampie Flecksteina na jego książęcą twarz o grubych rysach. Badał i skrobał moje dziąsła jedną ze swoich okropnych, metalowych szpatulek, przerywając co jakiś czas, żebym mogła przepłukać skrwawione usta wodą ze środkiem odkażającym.

- Nie używała pani niewoskowanej nitki do zębów, prawda? - spytał, chociaż z góry znał odpowiedź.

- Nie, ale będę.

- Powinna pani. Ma pani dobry płyn do płukania jamy ustnej?

- Tak - wybełkotałam; sączek prostacko chlupotał mi pod językiem.

- Proszę go używać. Nic pani nie pomoże, jeśli będzie stał bezużyteczny na umywalce, prawda, Judith?

Głos miał smutny i zmęczony - prorok, lekceważony przez dekadencjów, pobłażających sobie ludzi.

- Chyba nie.

Poczułam się upokorzona, jak zawsze, kiedy jakiś profesjonalista przyłapie mnie na niedbalstwie i bałaganiarskim trybie życia. Co jakiś czas przypominam

sobie, że nie biorę niezbędnej dawki witamin oraz soli mineralnych i paznokcie u stóp mam krzywe i połamane, że minął kolejny miesiąc, a ja znów zapomniałam o samodzielnym badaniu piersi.

Fleckstein nie był najgorszy. Dał mi jakieś lekarstwa i kazał regularnie masować dżiasta. Potem spojrzał na mój brzuch i powiedział:

- Życzę szczęścia.
- Dziękuję.
- Pierwsze?
- Nie, drugie. Mamy trzyletnią córeczkę.
- No proszę. Miło mi było panią poznać. Życzę szczęścia.
- Doktorze Fleckstein, ile płacę? - spytałam.
- Proszę załatwić to z pielęgniarką. - Uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu.

Nie byliśmy więc ze sobą na ty, ale znałam Flecksteina wystarczająco, żeby doznać wstrząsu na wiadomość o zamordowaniu go. Nacisnęłam klamkę przy drzwiach wejściowych, potem kuchennych i prowadzących do garażu. Były zamknięte. Zapaliłam światła przed domem. Trawnik, ścięty lutowym szronem, otulała blada, tajemnicza mgła, ale nie zauważyłam żadnego szalonego zabójcy czającego się za huśtawkami czy ogołoconymi z liści krzakami róż.

- Kate! Joey! - zawołałam i odczekałam niecierpliwie, aż wdrapią się na górę. - Czas do łóżek.

- Nie możemy poczekać na tatę? Gwiazdne wojny jeszcze się nie skończyły.

- Jest wcześnie.

- To niesprawiedliwe.

Protestowali na przemian, za każdym razem coraz głośnieżej jęcząc.

- Ćśśś - syknęłam i odesłałam oboje na górę, do łóżek. Tam czule odgarnęłam im włosy, żeby ucałować czoła,

utuliłam do snu, a potem przymknęłam drzwi. Następnie zesłam na palcach na dół, przyspieszając w korytarzu, i ruszyłam do kuchni, prosto do telefonu.

- Nancy - szepnęłam, kiedy po piątym sygnale podniosła słuchawkę. - To ja.

Nancy MacLaren Miller, którą poznałam dziesięć lat temu na wykładach z historii podboju Ameryki na Uniwersytecie Wisconsin, jest jednym z najważniejszych powodów, dla których warto mieszkać w Shorehaven. Jej dom znajduje się niecałe trzy kilometry od mojego i widuję ją - muszę się z nią widywać - co najmniej raz w tygodniu.

- Słyszałaś już nowinę?

- Najwyraźniej jeszcze nie - odparła głębokim, chrapliwym głosem, z silnym akcentem charakterystycznym dla mieszkańców Georgii, chociaż nie była w Valdosta od blisko dwudziestu lat. - Co się stało?

Wzięłam głęboki wdech i powtórzyłam wszystko, co usłyszałam w wiadomościach. Potem zrobiłam z kolei krótki wydech i spytałam:

- Znałaś go?

- Ach, Boże, nie. Ale słyszałam o nim. Jak myślisz, Judith, kto mógł to zrobić?

Zasugerowałam, że żebrak, co Nancy uznała za nieprawdopodobne i nudne. A może oszalały pacjent, który po latach leczenia nadal chodzi z krwawiącymi dżiastami.

- Nie, nie, nie - upierała się. - Słuchaj, on był, jak powiedziałaaby moja matka, łajdakiem. Z pewnością zrobił to ktoś, z kim się bzykał.

Zauważyłam kiedyś, że kobiety z Południa mogą powiedzieć choćby najbardziej skandaliczną rzecz, a nawet bardzo konserwatywny słuchacz uśmiechnie się tylko słabo, jakby chciał zapytać: „Czyż ona nie jest urocza?”

- Naprawdę? - spytałam. - Nie wyglądał na Don Juana.

- Judith, mogłabyś potknąć się o podrywacza i nie poznałabyś go. Myślisz, że każdy facet, który z tobą rozmawia, ma zamiar poprzestać wyłącznie na interesującej konwersacji. - Podniosła głos. - Mężczyźni nie chcą rozmawiać. Czego się po nich spodziewasz? Sądzisz, że będą wystawiali swoje ptaszki z rozporków i machali nimi do ciebie? Czy wtedy zrozumiałabyś, o co im chodzi?

- To byłoby jasne - zgodziłam się. - Ale posłuchaj, Nancy, dlaczego któraś z jego kobiet miałaby go zabijać?

- Może nie chciał jej tam całować?

- Mogła go upić albo się z nim pokłócić. Nie sądzisz, że morderstwo to lekka przesada?

- Nie - powiedziała stanowczo. - Z całą pewnością nie. Rozmawiałyśmy jeszcze chwilę. Na moje naleganie, aby zdradziła

mi jakiś szczegół, Nancy przypomniała sobie, że słyszała, iż Fleckstein sypiał z kilkoma miejscowymi damami, ale nie pamiętała żadnych szczegółów.

- Jak przyjmie to jego żona? - zastanawiałam się na głos. - Jak ma na imię?

- Zaczekaj... Norma. Norma Fleckstein.

- Norma. Racja.

Ktoś mi ją pokazał raz czy dwa, chociaż nie zostałam sobie przedstawiona. Wysoka i szczupła, z krótkimi, siwymi włosami zaczesanymi do tyłu tak, żeby tworzyły obramowanie jej owalnej twarzy. Nie była piękna, za to wyzywająco atrakcyjna. Należała do grona wyniosłych dam z Long Island: wiotka i doskonale zadbana, rozsiewała wokół woń Norell lub Estee. Na każdej ręce nosiła trzy albo cztery srebrne pierścionki. Ubierała się w kombinezony znanych firm i rozpiniała je tak, żeby można było dostrzec rowek między piersiami. Nosiła zwykle wielką torbę Louisa Vuittona albo

ściskała pod pachą kopertówkę Gucciego. Nigdy nie udało mi się zrozumieć sensu istnienia tego typu kobiet bez skazy.

Czy są posłańcami Boga, czy też zastępczymi matkami żyjącymi po to, żeby przypominać innym kobietom o ćwiczeniach izometrycznych i konieczności malowania paznokci? Może stanowią ostatnie ostrzeżenie, że jeśli nie będziemy nacierały ciała kremem i codziennie układały sobie włosów, mężowie nas opuszczą, a dzieci wyśmieją? Podśłuchuję ich rozmowy w restauracjach i domach towarowych; nieustannie gadają o ubraniach, wakacjach albo o tym, kto się z kim zadaje, w sposób najzupełniej konwencjonalny, cudzołożny, heteroseksualny. Są jednak jakieś dziwne, niemalże obce.

- Nie wiem, jak to przyjmie - powiedziała Nancy - ale mogę się założyć, że otworzy szafę i znajdzie idealną czarną sukienkę, którą włoży na pogrzeb.

Pozegnałyśmy się, przysięgając zadzwonić do siebie, kiedy tylko usłyszemy coś nowego. Siedziałam przy stole kuchennym i jeździłam palcem po wyżłobieniach w plastikowym obrusie udającym jutę. Starłam się zrozumieć fakt, że ciało człowieka niemalże w moim wieku - ja mam trzydzieści cztery lata, a Fleckstein nie mógł być starszy o więcej niż sześć czy siedem lat - leży teraz na stole w policyjnej kostnicy. Dlaczego tak się stało? Kto to mógł zrobić?

Potem, słysząc samochód Boba na podjeździe, zerwałam się, by włożyć mięso do piekarnika. Jeśli będziemy powoli sączyli sok pomidorowy, mięso dojdzie, zanim Bob zdąży zauważyć, że nie postawiłam przed nim całego obiadu, parującego i soczystego, zaraz po tym, jak wręczył mi swój płaszcz i wpadł do jadalni. Podeszłam do drzwi wejściowych i otworzyłam je; wiedziałam, że Bob będzie jeszcze gmerał

przy kółku na klucze, jakby chciał sforsować drzwi do jakiegoś ciemnego archiwum, a nie do własnego domu.

- Dzięki - powiedział, wchodząc. - Jak ci dzisiaj szło?

Pochylił się, kierując usta ku mojemu policzkowi w codziennym geście powitania, ale widocznie poruszyłam się lekko, bo pocałował mnie w prawe oko. Zdaje się, że tego nie zauważył.

- Ludzie! - westchnął. - Miałem koszmary dzień.

- Wszystkiego najlepszego w dniu świętego Walentego - odparłam. Sięgnęłam do szafy i zdjęłam z półki prezent: książkę o życiu w średniowiecznej Francji, z mapami i ilustracjami.

- Dzięki - oznajmił. - Otworzę po kolacji. Słuchaj, Judith, nie miałem czasu, żeby ci coś kupić, a poza tym nie wiem, czego potrzebujesz. Pójdź jutro do sklepu i kup sobie coś ładnego, dobrze? Jestem wykończony - dodał.

- Wyglądasz świetnie.

Rzeczywiście tak było. Twarz Boba miała w sobie dość wyrazu, żeby nazwać ją raczej miłą niż ładną. Wysoki i szczupły mężczyzna - około stu osiemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu - z lekko kręconymi, brązowymi włosami, długim, prostym nosem i głębokimi, przypominającymi uśmiech, zmarszczkami w kącikach jasnoniebieskich oczu, powstałymi od częstego ich mrużenia, rzadko wyglądał na zmęczonego. Ramiona czasem miał nieco opuszczone, broda mogła być szorstka, ale zawsze sprawiał wrażenie schludnego, świeżego, zdrowego. Czysty, o jasnej karnacji, typowy Amerykanin - jak z reklamy płatków kukurydzianych. Moja śniada twarz była jego kontrastem. Jeśli przodkowie Boba decydowali się na egzogamię, najwyraźniej wybierali Aryjczyków.

- Opowiedz - poprosiłam - co okropnego spotkało cię dzisiaj.

- Nic. Rozmowa z nowymi klientami. Nie chce mi się o tym opowiadać.

Bob jest wiceprezesem w rodzinnej firmie reklamowej. Kiedy się poznaliśmy, jedenaście lat temu, miał właśnie zacząć pracę nad doktoratem z literatury porównawczej. Rok później, dwa miesiące po naszym ślubie, wybrał Singer Associates.

- Co jest na kolację?

- Pieczeń - odpowiedziałam, wieszając jego niebieski płaszcz. Dlaczego to robiłam? - Odwróć ją zaraz.

- Nie jest gotowa?

- Nie.

- Dobrze. Zdamę pójść na górę, umyć się.

Kilka minut później siedzieliśmy przy długim, owalnym stole w jadalni: on u szczytu stołu, ja po jego lewej ręce, twarzą zwrócona do dużego obrazu, który dostaliśmy od jego matki. Przedstawiał mieszaninę różowych, fiołkowych i szarych prostokątów. Mimo wszystko na obrazie można było rozpoznać linię nieba nad Manhattanem. Namalowała go przyjaciółka mojej teściowej. Podałam mu pieczony ziemniak.

- Słyszałeś o tym?

- O czym? - spytał, kręcąc głową na znak, że nie chce ziemniaka.

- Pamiętasz, kiedy byłam w ciąży z Joeyem, poszłam do dentysty leczącego dziąsła, do doktora Flecksteina?

Kiwnął głową.

- Został zamordowany.

- Jezu, dentysta? Kto chciałby zabić dentystę?

Przekazałam mu w skrócie doniesienia radiowe i teorię Nancy, że morderczynią jest jedna z kobiet, z którymi sypiał.

- A co ty myślisz? - spytałam.

- Bo ja wiem - odparł.

Takie słowa z ust człowieka, który kiedyś z równą łatwością mówił po francusku, włosku, hiszpańsku, niemiecku i rosyjsku, potrafił czytać po łacinie, w starożytnej grece i hebrajskim? Rozparł się na krześle, co było znakiem, że mogę podać kawę. Kiedy wchodziłam do kuchni, zawołał za mną:

- Wiesz, ostatnio słyszałem coś o Flecksteinie! Szybko zawróciłam.

- Co?

- Przypomnę sobie, kiedy będziesz przygotowywała kawę. Wróciłam i nalewałam kawę, przyglądając się, jak gniecie między

palcami płatek ucha.

- Wiesz - odezwał się w końcu - że w zeszłym tygodniu jadłem obiad z Clayem i powiedział mi, iż klientem jednego z jego kolegów jest nasz sąsiad.

Claymore Katz, kolega, z którym Bob mieszkał w jednym pokoju w akademiku na Uniwersytecie Columbia, jest prawnikiem specjalizującym się w przestępstwach gospodarczych: oszukiwanie firm ubezpieczeniowych, uchylanie się od płacenia podatków, łapówkarstwo.

- Chodziło o sprawę kryminalną? Czy Claymore mówił coś o tym?

- Pewnie dotyczyło to jakiegoś przestępstwa, ale nie wdawał się w szczegóły. Zapewne było to coś ciekawego, skoro o tym wspomniał. Jestem przekonany, że chciał sprawdzić, czy wiem coś o tym człowieku.

Odsunął kubeczek z kawą i wstał.

- Do zobaczenia na górze - oznajmił, spoglądając na mnie znacząco. - Pospiesz się ze zmywaniem.

Pracowałam powoli; cierpliwie zeszkrobywałam do kosza chrząstki i resztki zielonej fasolki, dokładnie spłukiwałam naczynia i wstawiałam je do zmywarki. Dlaczego dentysta

miałby potrzebować drogiego prawnika? Jakieś oszustwa związane z wykonywanym zawodem? Mało prawdopodobne.

- Judith! - zawołał ze schodów chrapliwym szeptem Bob.
- Czekam na ciebie.

Szybko skończyłam pracę; brytfannę namoczyłam na noc. Rzeczywiście czekał. Zauważyłam go, przechodząc przez korytarz. Prezent z okazji dnia zakochanych leżał zapakowany na półce, na którą go odłożyłam. Weszłam po schodach.

- Cześć - powiedział cicho. Stał szczupły i wyprostowany. Nie lubił tracić czasu. - Gotowa?

Pytał mnie o to trzy razy w tygodniu.

- Bob, mógłbyś zadzwonić jutro do Claymore'a i zdobyć więcej informacji? Proszę.

- Daj spokój, Judith. Kogo to obchodzi?

- Mnie. To ciekawe.

- Clay pewnie nic nie wie.

- Może coś wiedzieć albo dowie się od swojego kolegi.

- Jak to będzie wyglądało? - spytał Bob.

- Będzie wyglądało, że jesteś ciekawy. Powiedz, że ja prosiłam, żebyś się o to dowiedział. Clay mnie lubi. Zrobi to dla mnie.

- Nie muszę powoływać się na ciebie - odciął się. - Daj spokój, Judith. Robi się późno, a ja chciałbym jutro być wcześniej w biurze.

Podeszłam do niego i przesunęłam dłonią po jego piersiach i brzuchu, twardym, co było efektem porannych ćwiczeń, owłosionym i ciepłym.

- Chodź - nalegał - zrobimy to w łóżku, dobrze?

Zrobiliśmy to, mieszcząc się w zwykłych dwudziestu minutach. Było przyjemnie: sto watów energii seksualnej zostało wyładowane, kaloryczna równowartość jednego pieczonego ziemniaka spalona, nieuchwytna aura ciepła i

przyjaźni nawiązana na całą noc i kilka minut następnego dnia.

O siódmej trzydzieści rano uśmiechnęłam się nawet, potem wyjrzałam przez okno w dużym pokoju i zauważyłam na podjeździe „Timesa”, niemalże pulsującego - jak sądziłam - szczegółami dotyczącymi przypadku Flecksteina. Droge zagrodzili mi jednak Kate i Joey, zajęci pierwszą tego dnia potyczką.

- Dureń. - Jej czarne oczy się zwężyły.

- Zakichana smarkula - odwzajemnił się Joey.

Potem zszedł na dół Bob, zastanawiając się głośno, dlaczego nie umiem znaleźć kilku minut, żeby zwinąć jego skarpety w schludne kuleczki, tylko wrzucam je byle jak do szuflady. Koło dziewiątej wszyscy zostali wreszcie wysłani, każdy tam, gdzie powinien się znaleźć: do pierwszej klasy, przedszkola i biura.

Naciągnęłam na szlafrok kożuszek i pobiegłam chodnikiem na podjazd po gazetę. Powietrze było cieplejsze, niż oczekiwałam: zwodnicze powiewy wiosny, zanim koniec lutego i marzec wyrzucą z siebie ostatnie lodowe obelgi. W spisie treści nic o morderstwie - zauważyłam w drodze do domu. Znalazłam tylko krótką notatkę na trzeciej stronie: „Znaleziono zamordowanego dentystę”.

„Ciało Marvinna Bruce'a Flecksteina, lat 42, specjalisty chorób dziąseł, znaleziono w jego gabinecie, w zamożnej okolicy północnej Long Island. Zdaniem rzeczownika policji śmierć została prawdopodobnie spowodowana raną u podstawy czaszki. Oficer prowadzący śledztwo odmówił dalszych komentarzy. Biuro lekarza sądowego hrabstwa Nassau ma wydać własne oświadczenie za dzień lub dwa”.

„Times” mnie zawiódł. W czasie wyborów, kryzysów monetarnych, skandali w Kongresie - zawsze był przydatny. Przez cały czas trwania afery Watergate niezmiennie

publikował coś, w czym mogłam się pogrążyć przy drugim kubeczku kawy, coś interesującego nawet dla mnie: obiecującej niegdyś kandydatki na doktora politycznej historii Ameryki. Dzisiaj nie dostałam nic do myślenia. Żadnego blond włosa, owiniętego wokół guzika przy ubraniu Flecksteina, nawet żadnej splądrowanej szafki z lekarstwami. Nie było, oczywiście, ani słowa o tym, że pan Bruce znajdował również całkiem inne dziury do wypełnienia. Siedziałam bezwładnie na kuchennym krześle o prostym oparciu i zastanawiałam się nad wyborem najbardziej fascynującej osoby, z którą mogłabym omówić ten przypadek. Nancy nie uda mi się złapać; jest niezależną dziennikarką i pracuje codziennie od dziewiątej rano. Odkłada wówczas słuchawkę. Mogłabym zadzwonić... pomyślałam, i wtedy rozległ się dzwonek przy drzwiach.

Wyskoczyłam z kuchni i szeroko otworzyłam drzwi, uszczęśliwiona okazją do kontaktu z ludzką istotą, ale zobaczyłam obcego mężczyznę. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem: średniego wzrostu, krzaczaste brwi, lekki uśmiech na szerokich ustach. Szybko przymknęłam drzwi, zostawiając tylko wąską szparę. Może to zabójca z Shorehaven, a ja jestem jego następną ofiarą, wybraną według chorej logiki?

- Pani Singer? Jestem sierżant Ramirez z policji hrabstwa Nassau. Podniósł swoją legitymację do szyby w drzwiach. Zobaczyłam jego

zdjęcie i pieczęć. Wszystko było w porządku.

- Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa doktora M. Bruce'a Flecksteina. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Uśmiechnęłam się i znów szeroko otworzyłam drzwi.

Rozdział 2

Słyszała pani o morderstwie? - spytał, wchodząc do przedpokoju. Odwrócił ode mnie spojrzenie, żeby zerknąć do kuchni i pokoju gościnnego, może z czystej ciekawości, a może w nadziei, że znajdzie zakrwawione narzędzie zbrodni, spokojnie leżące na fotelu.

- Słyszałam wczoraj wieczorem przez radio. Okropne. Dosłownie straszne.

Kiedy zlustrował już cały pokój, zaczął badać wzrokiem pusty koszyk na drewno stojący przy kominku. Zatrzymałam się na linii jego spojrzenia:

- Napije się pan kawy?
- Nie, proszę nie robić sobie kłopotu.
- To żaden kłopot, kawa jest już gotowa.
- Dobrze. Proszę słabą i dwie łyżeczki cukru.

Weszłam do kuchni, nalałam dwa kubeczki kawy, wróciłam i podałam mu jeden.

- Możemy porozmawiać w pokoju - zaproponowałam. Poszedł za mną i przycupnął na skraju wygodnego krzesła. Ja usiadłam kawalek dalej, na kanapie. Spojrzał na kawę nieco podejrzliwie, jak mi się wydawało, ściągnął wargi i upił maleńki łyżeczek. Uśmiechnęłam się, usiłując zrobić wrażenie osoby szczerzej i chętniej do nawiązania kontaktu.

- Może zauważyła pani, o której godzinie wróciła wczoraj do domu pani sąsiadka, pani Tuccio?

- Dlaczego pan o to pyta?

Teraz, kiedy już nawiązaliśmy znajomość i piliśmy razem kawę, mogłam wrócić do zwykłej dla mnie przewrotności.

- To nic ważnego - odparł szorstko. Ramirez asymilował się w Stanach z doskonałym skutkiem. Ani śladu obcego akcentu, a zachowywał się tak otwarcie i przyjaźnie, jakby był typowym anglosaskim sprzedawcą samochodów.

- Chodzi o to, że pani Tuccio była wczoraj ostatnią pacjentką: ostatnią osobą, która widziała doktora Flecksteina żywego.

- Z wyjątkiem mordercy.

- Och, oczywiście. W każdym razie, może zauważyła pani, o której wróciła wczoraj do domu?

- Czy Marilyn Tuccio jest podejrzana? Czy papież jest ateistą?

- Musimy sprawdzić wszystkie możliwe fakty, pani Singer. Ramirez wydawał się trochę zirytowany, mimo doskonałej kawy.

- Przykro mi. Nie zauważyłam. Byłam zajęta dziećmi i przygotowaniem kolacji.

- Rozumiem... - powiedział powoli. - czy dobrze pani zna panią Tuccio?

- Przyjaźnimy się.

- Czy rozmawiała z panią kiedyś o doktorze Flecksteinie?

- Nie.

- No cóż, dziękuję pani. Proszę do mnie zadzwonić, gdyby pani sobie coś przypomniała. Zapiszę numer.

Wyjął długopis z kieszeni płaszcza i wyciągnął z marynarki niewielki notes w zielonych okładkach. Zapisał numer i wyrwał kartkę.

- Proszę. - Wręczył mi ją. - Dziękuję za kawę. Była dokładnie taka, jaką lubię.

Odprowadziłam go do drzwi, pomachałam na pożegnanie i ciężkim krokiem wróciłam do domu. Czy mogą mieć jakieś podejrzenia w stosunku do Marilyn Tuccio? Świętej z ulicy Oak Street? Absurd. Dlaczego sierżant Ramirez ją sprawdza? Skoro jest nią tak zainteresowany, dlaczego nie wypytał mnie dokładniej? Czy jest zrównoważona? Czy ma mordercze skłonności? Czy trzyma jakąś niebezpieczną broń w koszyku

na chleb, wśród ciasteczek z płatkami owsianymi i kruchych rogalików domowej roboty?

W gwałtownym przyptywie energii, nieczęsto nawiedzającym mnie przed południem, wstawiłam do zmywarki naczynia ze śniadania, pobiegłam na górę i pościeliłam łóżka, po czym szybko wciągnęłam dzinsy i ulubioną drelichową bluzę. W końcu podniosłam słuchawkę beżowego, ekskluzywnego telefonu, który zamówiłam kiedyś w momencie lekkomyślności, i zadzwoniłam do Marilyn.

- Marilyn? To ja, Judith. Czy mogę wpaść na moment?

- Judith, jestem teraz zajęta...

- Słuchaj, przed chwilą był tu policjant i pytał o ciebie.

- Och! Co mówił?

- Marilyn, wołałabym nie rozmawiać o tym przez telefon. Zresztą, mam wrażenie, że przyda ci się ktoś, z kim będziesz mogła porozmawiać.

W rzeczywistości byłam przekonana, że marzy o chwili samotności.

- Oczywiście. Przyjdź. Masz ochotę na kawę?

- Zawsze. Do zobaczenia.

Marilyn O'Connor Tuccio jest jedną z tych kruchych i delikatnych rudych Irlandek, które wyglądają, jakby zostały stworzone po to, by je wykorzystywać. Można ją sobie wyobrazić, jak, ledwo żywa, niesie na plebanię ogromny garnek gulaszu „dla ojca Sweeny'ego i pani Mallory” albo taszczy do domu skrzynki piwa dla muskularnego męża z czerwonym nosem, dbającego o to, żeby żona co roku zaszła w ciążę. Krucha i drobna, z błękitnymi żyłkami prześwitującymi pod piegowatą skórą dłoni, powinna - zgodnie z pasującym do niej stereotypem - szepnąć na powitanie: „Dzień dobry” i spuścić długie, jasne rzęsy, zdumiona własną śmiałością. W rzeczywistości jednak Marilyn jest bardzo pewna siebie, kompetentna, niemal

gwałtownie energiczna - jedyna ze znanych mi pań domu, która nawet w skrytości ducha nie czuje się jak wół roboczy. Marilyn sama szyje ubrania dla siebie i dla czwórki swoich dzieci, robi przetwory z owoców i warzyw, podwozi niezliczoną rzeszę osób do miasta, a w wolnym czasie przewodniczy Radzie Rodziców i uczestniczy w działalności komitetu Partii Republikańskiej.

Przebiegłam na drugą stronę ulicy. Kiedy podeszłam do drzwi, zauważyłam, że Marilyn zdjęła już wieniec zdobiący je w dniu świętego Walentego i powiesiła wieniec na dzień prezydentów: zrobiony z włóczki portret Lincolna i Washingtona, ozdobiony samodzielnie ususzonymi kwiatami. Za miesiąc na drzwiach zawisną śliczne, pluszowe lew i owieczka, a w kwietniu - jeśli dobrze pamiętam - szydełkowy, puszysty, wielkanocny zając, ściskający bukiet bibułkowych żonkili.

Nacisnęłam dzwonek i Marilyn zawołała:

- Drzwi są otwarte!

Weszłam do ogromnego, wyłożonego jasnym drewnem pokoju. Zajmował cały parter i był połączeniem kuchni, jadalni oraz miejsca zabaw. W oczy rzucał się przede wszystkim duży, murowany kominek. Pokój rodzinny - tak nazwała go dwa lata temu, kiedy przybiegła do mnie, żeby pokazać plan architektoniczny.

- Marilyn - powiedziałam, kiedy zobaczyłam ją siedzącą przy końcu długiego stołu - bardzo mi przykro, że ci przeszkadzam, ale był u mnie policjant, zaczął zadawać pytania i nie chciałam, żebyś pomyślała sobie, że...

- Judith, to nie do wiary. Wczoraj wieczorem u nas też był policjant i przez dwie godziny zadawał mi pytania.

- Nie do wiary - powtórzyłam. Marilyn, zagniewana, wysunęła małą, ostro zakończoną bródkę. - Bardzo dziwne - dodałam.

- Powiedziała, że jestem zajęta, muszę sprawdzić listę wyborców, ale on bez przerwy powtarzał te same pytania.

Spodobało mi się to. Marilyn zajmuje się przecież polityką i prawdopodobnie powiedziała policjantowi, że jest członkiem komitetu partii i ma rozległe znajomości w naszym tradycyjnie republikańskim hrabstwie.

- O co pytał?

- O to, co zwykle - odparła.

Dwadzieścia lat - od Dragneta do Kojaka - uczyniło z nas wszystkich ekspertów.

- Czy doktor Fleckstein wyglądał na zmartwionego? Czy odbierał jakieś telefony? O której wyszła Lorna Lewis, wiesz, ta jego pielęgniarka? Czy miałam wrażenie, że chce się mnie jak najszybciej pozbyć? Czy widziałam kogoś po drodze? Takie tam rzeczy.

- Co mu powiedziałaś?

- Chcesz kawę ze słodzikiem i odrobiną mleczka?

- Tak. Dziękuję. Miałaś mu coś do powiedzenia?

- Musisz pamiętać, że byłam zupełnie zdrtwiała po nowokainie, przez cały czas wdychałam jakiś gaz i miałam uczucie, jakbym unosiła się w chmurach. Ciekawe, czy tak czuje się człowiek po kokainie.

- Czy ktoś dzwonił? - Popijałam kawę. Była doskonała. Marilyn sama miele ziarna.

- Chyba nie.

- A ludzie? Czekali jeszcze jacyś pacjenci?

- Szczerze mówiąc, czułam się zażenowana, kiedy pielęgniarka wyszła i zostałam z nim sama w gabinecie.

- Naprawdę?

- Tak. Dlatego ucieszyłam się, kiedy wychodząc, zobaczyłam w korytarzu kilka osób.

- Kto to był? - dopytywałam się niecierpliwie.

- Nie pamiętam. Jakiś doktor, tak mi się wydaje, w białym fartuchu i jeszcze jedna czy dwie osoby.

Marilyn przebiegła ręką po rudej fryzurze, jakby chciała upewnić się, czy jest przygotowana na spotkanie ze wspomnianymi nieznajomymi.

- Miałaś wrażenie, że zachowywał się inaczej niż zwykle?

- Nie, Judith. Wiesz, że on jest strasznym rozpustnikiem?

- Był. Słyszałam.

- Kiedy przyszedł, zaczął ze mną flirtować, tak jak zwykle.

- To znaczy jak?

Mężczyźni tacy jak Fleckstein, pomyślałam, że złotymi łańcuszkami na szyi i wypielegnowanymi dłońmi, zwykle mnie ignorują. Na ogół pociągam intelektualistów: pucołowatych astrofizyków w okularach w drucianych oprawkach, którzy chwalać mój pierwszorzędny umysł, wpatrując się w mój biust.

- Och, daj spokój... Mówił to samo, co zwykle. Dowodził, że jest tylko jeden sposób na udowodnienie, iż mam naturalnie rude włosy. I czy nie słyszałam, że dentyści są lepsi od lekarzy.

Mąż Marilyn, Mike, jest chirurgiem dziecięcym.

- Co odpowiedziałaś?

Mnie się takie rzeczy nigdy nie zdarzają. Kiedyś jakiś mężczyzna układający teksty ogłoszeń, którego poznałam na przyjęciu, odciągnął mnie na bok i powiedział: „Jeśli będziesz w mieście, zadzwoń do mnie. Zjemy razem obiad”.

- Co odpowiedziałaś? - powtórzyłam.

- Nic. Zaśmiałam się tylko, ale wspomniałam Lornie, jego pielęgniarkę... jej córka chodzi do tej samej klasy co Kevin... że jej szef ma fatalną opinię i że kiedyś wpadnie z tego powodu w tarapaty.

Wytrzeszczyłam na nią oczy.

- Kiedy to powiedziałaś?
 - Wczoraj. Przyszła oznajmić mu, że wychodzi, i wtedy on zniknął gdzieś na moment, więc porozmawialiśmy chwilę.
 - To straszne, Marilyn.
 - Co masz na myśli?
 - Lorna pewnie powtórzyła policji to, co powiedziałaś, że jej szef będzie miał poważne kłopoty.
 - To zupełnie idiotyczne.
 - Oczywiście, że idiotyczne, ale znasz policję, Marilyn. Lorna wygląda tak, jakby ją tyłek swędziało; pewnie zabawiała się z nim w przerwach między wizytami pacjentów. Takie rzeczowe i przemiłe kobietki bywają podstępne. Wiesz, wyglądają, jakby nie miały pochwy, a potem nagle słyszysz, że...
 - Nie wiem - przerwała mi. - Może.
- W tej chwili przypominałam sobie, że Marilyn, jeśli akurat nie piecze chleba i nie pisze podań, to uczy religii; tym razem byłam wobec niej bardziej szczerą niż zazwyczaj.
- Przepraszam za te słowa - powiedziałam.
 - Nie szkodzi.
- Wstała, podeszła do lodówki i wyjęła dużą, plastikową torbę pełną kwaśnych jabłek do ciasta.
- Piekę szarlotkę - wyjaśniła. - Jak sądzisz, co powinnam zrobić?
 - Rozumiem, że nie pytasz mnie o przepis.
 - Nie - odparła łagodnie.
 - Nie zaszkodzi porozmawiać z prawnikiem.
 - Gdyby byli aż tak głupi, żeby mnie podejrzewać, chyba uprzedziliby mnie, żebym poszukała sobie adwokata.
 - Nie wiem. Właśnie dlatego potrzebujesz prawnika. Przerwałam i patrzyłam, jak bierze do ręki nóż i obiera jabłko.

Skórka opadała długim, wąskim paskiem. Oparłam się o stół i opowiedziałam jej o Ramirezie, że interesowało go tylko to, o której godzinie wróciła do domu.

- Lorna Lewis ma drugiego męża - stwierdziła Marilyn. Chciała zmienić temat.

- Nie wiedziałam. Widziałam ją tylko raz, kiedy byłam u niego na badaniu.

- Z pierwszym mężem miała trójkę dzieci, ale pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie, kazała mu się spakować i wynieść. Czuła się niespełniona.

Określenie „niespełniona” Marilyn wypowiedziała z potępieniem. Mimo sporego kręgu różnych znajomych, dużego doświadczenia i legionów rozwiedzionych kobiet ganiających po Shorehaven, rozpad małżeństwa ciągle jeszcze był dla niej tragedią. Jest przede wszystkim żarliwą katoliczką.

- Potem wyszła za George'a Lewisa, ale słyszałam, że przy nim też czuje się niespełniona.

- Myślisz, że Lorna utrzymywała cudzołożne stosunki z doktorem Flecksteinem? - spytałam, dostosowując słownictwo do audytorium.

- Tak.

Obierała już czwarte jabłko.

- Dlaczego tak myślisz?

- Widziałam ich.

- Widziałaś ich? Zaśmiała się.

- Nie widziałam, jak to robili, Judith. Po prostu, kilka miesięcy temu pojechałam do chińskiej restauracji, tej obok zajazdu Tudor Rose Motor Inn. Umówiłam się na obiad ze swoją szwagierką, Cathy. W samochodzie przed motelem siedziała Lorna Lewis we własnej osobie. Zgadnij, kto chwilę potem podszedł do samochodu zmęczonym krokiem? Doktor Fleckstein!

- Co zrobiłaś?
- Udałam, że ich nie widzę.
- Oni cię widzieli?
- Chyba nie.
- Marilyn, powiedziałaś policji?
- Nie. Nie lubię powtarzać plotek.

Była wytrącona z równowagi. Zostawiła jabłka, podeszła do szafki i wyjęła torbę z cukrem, żeby przesypać go do pojemnika. Potem usiadła przy mnie i zajrzała do mojego kubka, sprawdzając, czy jeszcze mam kawę. Miałam, więc wstała i zaczęła krążyć po wielkim pokoju, chodząc bez celu - od kuchenki mikrofalowej do lodówki i do zamrażarki. Było to denerwujące. Marilyn rzadko traciła czas. Kiedy czasem piję z nią kawę, zawsze między jednym łykiem a drugim obrębia sukienkę, obcina końce fasolki szparagowej albo stawia czerwone znaczki na liście uprawnionych do głosowania. Teraz była zaniepokojona. Gdyby ktoś mnie spytał o zdanie, powiedziałabym, że kontakty z policją wydawały jej się tylko drobnym zmartwieniem; w rzeczywistości nie dawał jej spokoju fakt, że została wciągnięta w sprawę, która może okazać się bardzo brudna. Marilyn jest jednak osobą skrytą i trudno mieć co do niej pewność. Domyślam się, że tę część swojej niespożytej energii, którą można nazwać seksualną, wyładowuje zawsze z mężem, za zamkniętymi drzwiami sypialni, w pełnej zgodności z doktryną Kościoła. Dla niej receptą na cudzołóstwo jest jedno z dziesięciorga przykazań, któremu należy okazywać posłuszeństwo, nie stawiając żadnych pytań. Flirt z Bruce'em Flecksteinem byłby w jej mniemaniu takim samym złem jak zabójstwo albo wzywanie imienia Pańskiego nadaremnie, albo pożądanie osła należącego do bliźniego.

Była jednak zakłopotana, a nawet zaniepokojona, skierowałam więc rozmowę na bardziej bezpieczny temat:

politykę hrabstwa Nassau. Na koniec wygłosiłam mowę pod tytułem: „Daj mi znać, jeśli będę mogła w czymś pomóc” i poszłam odebrać z przystanku autobusowego Joeya, wracającego z przedszkola.

Podbiegł do mnie, wymachując piętami tak, że nogi ustawiały się pod dziwnym kątem w stosunku do reszty ciała; ma już cztery lata, ale w jego wyglądzie pozostało jeszcze coś z niemowlaka. Brzuch wypinał do przodu, przez co jego ruchy stawały się wzruszająco niezgrabne.

- Mężczyzna został zaśmiercony nożem w głowę. Jasnobrzowe brwi miał ściągnięte, a mała, okrągła twarzyczka wyrażała troskę.

- To straszne. Gdzie o tym słyszałeś? - W drodze do domu trzymałam go za rękę.

- Chcę kanapki z masłem orzechowym i dżemem winogronowym, pokrojone w trójkąci.

- Gdzie słyszałeś o mężczyźnie, który został zabity?

- Dostanę masło orzechowe i...?

- Tak. Kto ci powiedział...?

- Zapomniałem.

Lunch zjedliśmy przy stole kuchennym. Joey z równym zainteresowaniem przyglądał się mnie i kanapce z masłem orzechowym. Czy cały kryptonit świata zabije Supermana? Ile nieskończoności go kocham? Kiedy umrę? Czy mrówka, którą rozdeptał butem, pójdzie do nieba? Joey, pod zewnętrzną warstewką uroku i kapryśności, kryje w sobie głęboką powagę. Stawiał jedno pytanie za drugim w nadziei, że zapewnię go, iż nie umrę; przynajmniej nie wcześniej niż on zostanie astronautą i strażakiem, i zbuduje na podwórku drabinki do zabawy.

- Joey, umrę dopiero, kiedy będę bardzo, bardzo stara, a ty będziesz już dorosły.

Nie jestem nieświadoma katastrof lotniczych i groźnych nowotworów, ale postanowiłam dać sobie szansę; czterolatek potrzebuje bezpieczeństwa i stałości. Nieco uspokojony, pobiegł do swojego pokoju posłuchać płyt. Ja siedziałam przy stole i ugniatałam kulkę z okruchów chleba. Telefon, jakby wyczuwając mój stan ducha, postanowił zadzwonić.

- Słucham - odezwałam się z nadzieją.

- Gdzie byłaś całe przedpołudnie? Usiłowałem się do ciebie dodzwonić.

To Bob. Gdzie byłam? Miałam szybki mecz z Jeanem - Paulem Belmondo, potem z Saulem Bellowem, a później w pośpiechu kończyłam dysertację, żeby nie spóźnić się na obiad z Dawidem Haiberstamem, w Lutece.

- Byłam u Marilyn.

- Och... Pytałem, bo chciałaś, żebym porozmawiał z Clayem Katzem.

- Bob! Mów!

- Jeszcze cię to interesuje?

- Nie. Do widzenia.

- Daj spokój. Nie bądź taka drażliwa, Judith. Jestem dzisiaj bardzo zajęty, ale znalazłem czas, żeby...

- Co powiedział? - nalegałam.

- Wiesz, w normalnych warunkach nic by nie powiedział. To byłoby nieetyczne.

- Wiem, wiem.

- Reporter z „Newsday” rozmawiał już z jego kolegą, z tym specjalistą od prawa karnego, który opowiedział Clayowi całą historię; wszystko to znajdzie się w jutrzejszej gazecie.

- Co? - „Newsday” to dziennik Long Island, doskonała gazeta, chociaż nie z tych, które gardzą artykułem opisującym w najdrobniejszych szczegółach naprawdę dobre morderstwo.

- Bruce Fleckstein był w poważnych tarapatach - powiedział Bob, robiąc pauzę dla wzmocnienia złowróżbnego efektu.

- Jak poważnych? - dopytywałam się; przestałam udawać, że jestem tylko trochę ciekawa.

- Bardzo. Bardzo. Przygotowano przeciw niemu oskarżenie i było niemal pewne, że stanie przed sądem.

- Za co?

- Uchylenie się od płacenia podatków.

- Uchylenie się od płacenia podatków? Kto widział, żeby skazano dentystę za uchylenie się od płacenia podatków?

- Ten dentysta miał udziały w dystrybucji filmów porno. Prowadził interesy z mafią i nieźle na tym zarabiał. Takiego dentystę jest za co skazać.

Przemówienie Boba było doskonałe. Gdyby w wieku dwudziestu jeden lat nie poświęcił się bez reszty badaniu literatury, mógłby zostać dobrym prawnikiem.

- Nie mogę w to uwierzyć - stwierdziłam, chociaż szczerze w to wierzyłam. - Skąd „Newsday” dowiedział się o tym?

- Clay sądzi, że ktoś z Urzędu Skarbowego wygadał się przed reporterem.

- Dziękuję. - Studiowałam system sprawowania rządów w Ameryce zaledwie dziewięć lat. - W każdym razie - ciągnęłam - skąd urząd mógł wiedzieć, że Fleckstein działa na rynku pornograficznym?

- Clay mówi, że sąd federalny zajmował się sprawą jakiejś szajki i natknęli się na nazwisko Flecksteina. Clay domyśla się, że ktoś, kto był w tę sprawę zamieszany, zgodził się na współpracę z prokuraturą i złożył zeznania obciążające Flecksteina.

- Myślałam, że ludzie mafii nie sypią.

- Nie powinni. Clay mówi, że tamten człowiek był pewnie tylko płótką, ale nie zna szczegółów.

- Jak dentysta z zamożnej dzielnicy mógł związać się z mafią?

- Judith, naprawdę nie wiem. Powtórzyłem ci wszystko, co powiedział mi Clay. Dlaczego to cię tak interesuje?

- Nie wiem. Może dlatego, że jest to podniecające: zamordowano kogoś, kogo znałam, ale nie dość blisko, żeby przeżyć tragedię.

- To bardzo ponure. Wiesz, zdaje się, że ten Fleckstein to był kawał gnoja.

- Wiem. Dlatego to jest takie ciekawe.

- Judith!

- Jakaś odmiana po Ulicy Sezamkowej i kurczaku w cieście.

- Będzie na kolację? - spytał głosem pełnym przerażenia.

- Nie - westchnęłam. - Baranina.

Rozciągając sznur telefonu, podeszłam do zamrażarki i wyjęłam woreczek foliowy z baraniną.

- Słuchaj, muszę lecieć. Jem obiad z Charliem Leboyerem.

Charles Leboyer, hokeista cieszący się wielką sławą wśród tych, którzy interesują się sportem, jest klientem firmy Boba. Dbają o to, żeby używał właściwego płynu po goleniu. Ukrywają jego skłonności do gwałtownego, wręcz sadystycznego traktowania dziewczyn i dostarczają prasie artykułów o pełnym ciepła życiu rodzinnym sportowca.

Odłożyłam słuchawkę i skoncentrowałam się na sprawie Flecksteina. Nic nie rozumiałam. Mafia to nie jest temat, w którym czułabym się mocna. Historia polityczna Ameryki, oczywiście, tak. Trochę makroekonomii. Nieco Szekspira. Filmy z Bette Davis. Ale mafia? Grupa mężczyzn o zasznurowanych ustach, w pierścieniach z różowawymi

diamentami i nieskazitelnie białych koszulach, opłacająca legiony równie śliskich jak oni polityków i rozprowadzająca heroinę za pomocą zdalnego sterowania.

Coś mi się tu nie zgadzało. Zadzwoiłam do Boba na jego prywatny numer.

- To ja. Skoro Fleckstein miał stanąć przed sądem, to znaczy, że nie zeznawał przeciw mafii?

- Judith, jestem umówiony na obiad, a przedtem muszę pójść do klubu, żeby chwilę poćwiczyć.

- Daj spokój.

- Nie wiem. Pewnie masz rację. Spróbuję sobie przypomnieć, co powiedział Clay.

Czekałam.

- Z tego, co mówił, zrozumiałem, że Fleckstein był bardzo uparty: nie chciał zeznawać.

- Skoro nie zeznawał przeciw mafii, dlaczego mieliby go zabijać?

- Nie wiem. Judith...

- Oni nie używają noży. Zastrzeliliby go. Podłożyliby bombę w samochodzie. Albo obcieliby mu jaja, wypalili czarną łapę na klatce piersiowej i zostawili ciało przed drzwiami domu.

- Może. Czy to ważne? On nie żyje.

- Nie wiem. Zabijanie jest złe. Oburza mnie to.

- Ludzie w Afryce umierają z głodu, a nie każesz mi nigdzie dzwonić.

- To niesprawiedliwe. Wysłałam przecież czek dla instytucji charytatywnej. A zabójstwo wydarzyło się tak blisko naszego domu.

- Nie tak blisko, moim zdaniem - oświadczył. - Słuchaj, wiesz, że on był zaangażowany w śliskie interesy, a ludzie, którzy angażują się w śliskie interesy, mają kłopoty, prawda?

- Tak.

- Właśnie. Muszę już lecieć. Do zobaczenia na kolacji. Przynajmniej nie powiedział, żeby nie zaprzętała swojej ślicznej

główki brudnymi sprawami innych ludzi. Chociaż w zasadzie o to właśnie mu chodziło. Bob chciał, żeby interesowały mnie wyłącznie jego brudy. I jego kolacja. I to, żeby dzieci były zadbane. Nie chciał robota, uśmiechniętego automatu do ścielenia łóżka i chichotania w stosownej chwili; lubił, jak mawiał, mój „intelekt”. Potrafiłam zrozumieć jego problemy zawodowe, docenić najnowsze informacje przekazane prasie i razem z nim smakować romans z nowym klientem. Można było zabrać mnie na kolację z grupą klientów i nigdy nie zrobiłam z siebie idiotki. Podczas zebrań politycznych mogłam przypomnieć mu nazwiska dwóch kandydatów na wiceprezydentów z 1956 roku. Krótko mówiąc: byłam osobą, jaką przyjemnie jest mieć w pobliżu, panią domu o dość miłym wyglądzie, która z pewnością nie będzie robiła skoków w bok, dobrą kochanką z biodrami szybkimi jak błyskawica.

- Mamo, ktoś dzwoni do drzwi. Joey ciągnął mnie za nogawkę spodni.

- Idę! - zawołałam i podeszłam do drzwi. Kate powinna być w domu dopiero za piętnaście minut.

- Pani Judith Singer? - spytał mężczyzna, który stał za drzwiami. Nie puszczając klamki, przyglądałam mu się uważnie. Miał niebieskie oczy, był mniej więcej w moim wieku, włosy nosił starannie ostrzyżone, krótkie. Uśmiechnął się, pokazując rząd lśniących, białych zębów. Bardzo przystojny i zupełnie niepociągający.

- Tak, jestem Judith Singer.

- Przepraszam, że przeszkadzam, proszę pani, ale badamy sprawę morderstwa Bruce'a Flecksteina. Doktora Flecksteina.

Wiem, że sierżant Ramirez rozmawiał z panią, ale chcielibyśmy wyjaśnić jeszcze kilka punktów.

Pokazał mi swoją legitymację: detektyw Steven Christopher Smith.

- Chciałbym zadać pani parę pytań. Czy znajdzie pani teraz wolną chwilę?

- Oczywiście. Proszę wejść.

Rozdział 3

Smith wszedł do domu.

- Może wie pani, gdzie pani Tuccio robi zakupy? - Głos miał łagodny, uspokajający, jak lekarz, który w telewizyjnym serialu ma przekazać rodzinie smutną wiadomość o ukochanej osobie.

- Zakupy?

- Spożywcze, proszę pani.

- Nie wiem. Pewnie u Waldbauma albo w A & P. Tam jest najbliżej.

- Pani Tuccio nigdy nie mówiła, gdzie robi zakupy?

Moja przyjaźń z Marilyn najwyraźniej nie jest aż tak zażyła, jak wydawało się policji.

- Nie, nie mówiła.

- Rozumiem. W takim razie może pani wie, o jakiej porze pani Tuccio wyszła na zakupy?

- Nie.

Przerwałam, koncentrując się na pulchnych, różowych policzkach Smitha.

- Stara się pan ustalić jakieś alibi?

- Nic nie mogę powiedzieć, pani Singer.

- Niech pan posłucha, to jest głupie. Marilyn Tuccio nie zainteresowałaby się człowiekiem takim jak Fleckstein. Ich kontakty pozostawały czysto zawodowe. Byłam u niego kilka lat temu i nie interesowało go nic, poza moimi dziąsłami. Jestem pewna, że wizyty Marilyn wyglądały tak samo.

- Sprawdzamy wszystkich pacjentów. Czy mogę zadać pani jeszcze kilka pytań, skoro już tu jestem?

Przytaknęłam.

- Czy w trakcie wizyt widziała pani, żeby doktor Fleckstein sprzeczał się z kimś?

- Nie - powiedziałam przepaszającym tonem. Chciałam mu pomóc.

- Czy przypomina sobie pani, żeby odebrał telefon, który go zdenerwował?

- Nie.

- Czy powiedział pani coś, co może mieć jakieś znaczenie?

- Kazał mi używać niewoskowanej nitki do zębów.

- Rozumiem - odrzekł Smith. - Pani Singer, badając przypadek morderstwa, musimy przyjrzeć się wszystkim aspektom życia zmarłego. Czy ma pani powody sądzić, że doktor Fleckstein interesował się kobietami?

Wyglądałam chyba na zaskoczoną, ponieważ wyjaśnił:

- To tylko rutynowe pytanie, ale bardzo ważne. Cofnęłam się o kilka centymetrów i chrząknęłam.

- Słyszałam różne plotki.

- Mogłaby pani przytoczyć jakieś szczegóły?

- Nie mogę. Słyszałam tylko, że lata za kobietami.

- Muszę panią zapewnić, że jest to rozmowa poufna. Chcemy wiedzieć wszystko.

Miał na sobie granatową jesionkę i teraz nad jego górną wargą pojawiła się wąska strużka potu.

- Zechce pan zdjąć palto?

- Nie, dziękuję. Może słyszała pani, z kim doktor Fleckstein miał romans?

- Nie lubię powtarzać plotek.

- Sprawdzimy wszystko bardzo dyskretnie, proszę pani. Nie chcemy nikogo skrzywdzić.

- Słyszałam, że spotyka się ze swoją pielęgniarką, Lorną Lewis. Ale to tylko kłamliwa plotka. Nie miałam żadnej okazji, aby ją potwierdzić.

Nie okazał wcale zainteresowania. Jego jasne rzęsy nawet nie drgnęły.

- Widzę, że pan o tym słyszał - zauważyłam. Pot pojawił się już na czole.

- Nie mogę o tym mówić, pani Singer.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, czy nie słyszała pani jeszcze czegoś o doktorze Flecksteinie, jego współpracownikach albo rodzinie?

Zastanawiałam się przez chwilę, czy nie wspomnieć o powiązaniach Flecksteina z mafią, ale policja z pewnością o tym wie, a wszystko opiszą w jutrzejszym „Newsday”.

- Nie, nic sobie nie przypominam. Jak już mówiłam, widziałam go kilka lat temu i byłam tam tylko raz.

Smith podziękował. Poszłam otworzyć mu drzwi i zauważyłam Joeya, opartego o ścianę i przyglądającego się nam.

- Chcesz być policjantem, kiedy dorośniesz? - spytał Smith.

- Nie - odburknął Joey. - Nie ma mowy.

- Joey - wtrąciłam skonsternowana. - Jak ty się odzywasz?

- Nie szkodzi, proszę pani - powiedział spokojnie Smith. - Do widzenia - zwrócił się do mnie. - Do widzenia, synu.

Joey odwrócił się plecami i zaczął wchodzić po schodach. Kilka minut później przyszła Kate, w kombinezonie pomalowanym zieloną farbą, z zielonymi plamami na nosie i policzkach.

- Malowałam - wyjaśniła.

- Właśnie widzę.

- Jestem brudna - zauważyła radośnie. - Gdzie jest Joey?

- W swoim pokoju, słucha płyt.

Myślała nad tym przez chwilę, wplatając pulchny, zielono nakrapiany paluszek, w gładki, ciemny warkocz.

- Chcesz napić się mleka? - spytałam.

- Nie. Zobaczę, czy Joey ma ochotę się ze mną bawić.

Dziękuję.

Kiedy wbiegała po schodach, uśmiechnęłam się w nadziei, że popołudnie będzie względnie spokojne. Minęły dwie minuty bez krzyków protestu, bez odgłosu spadających zabawek i ciał tłukących o drzwi. Poszłam do pokoju gościnnego i skuliłam się na kanapie, próbując uporządkować fakty.

Policja będzie przesłuchiwała setki ludzi z obrzmiałymi dżiastłami. Kilka kobiet powie, że Fleckstein robił im niedwuznaczne propozycje. Kilku mężczyzn może stwierdzić, że lubił drużynę Jets i wydawał się zainteresowany przyszłością upraw zbóż. Nie potrafiłam jednak wyobrazić sobie, żeby jakiś pacjent mógł mieć konkretne informacje o Flecksteinie. Należał do grona fachowców dość inteligentnych, żeby prowadzić z pacjentem nic nieznaczącą rozmowę, dającą poczucie zadowolenia i zachęcającą do powtórnej wizyty. Instynktownie czułam jednak, że brak mu było głębi, treści; mógłby grać z człowiekiem osiem lat w tenisa i nigdy nie spytać, gdzie spędził dzieciństwo.

„Było świetnie, kotku” - mógłby powiedzieć kobiecie, z którą właśnie się przespał. Nazwałby ją „kotkiem”, ponieważ nie mógłby sobie przypomnieć, czy ma na imię Joan, Jean czy Jane, a nie chciałby jej obrazić. Fleckstein starałby się dać jej tyle zadowolenia, żeby miała ochotę do niego wrócić.

W Marvinie Brusie musiało jednak być coś więcej, ponieważ mężczyźni tacy jak on dożywają siedemdziesięciu sześciu lat i padają bez czucia przy czternastym dołku, na polu golfowym na Florydzie. Ledwo go znałam, ale sprawiał wrażenie, że nie potrafi zbliżyć się do ludzi na tyle, żeby stać się dla kogoś tak ważnym, by ten ktoś mógł chcieć jego śmierci. Czterdziestodwuletni mężczyzna, szczupły na tyle, że mógł nosić obcisłe, prążkowane, dżinsowe stroje o francuskim kroju i złotą blaszkę ze swoimi danymi na owłosionym nadgarstku, powinien zestarzeć się spokojnie, powoli

zmieniając dzinsy na luźne ubrania khaki, a później na granatowe blezery z szerokimi, jedwabnymi apaszkami zakrywającymi pomarszczoną szyję.

Im dłużej o tym myślałam, tym bardziej byłam przekonana, że Fleckstein prowadził drugie życie. Nie chodzi o maleńką blondyneczkę, ukrywaną w mieszkaniu w Queens. Ani z pewnością nie o tajne powiązania z CIA czy FBI. Mężczyznom takim jak Fleckstein, o mieszczańskiej duszy, brak na to odwagi; ich patriotyzm ogranicza się do stawiania na baczność, kiedy grają hymn na meczach baseballowych.

Z tego, co Bob wyciągnął od Katza Claymore'a, wynika jednak, że Fleckstein robił brudne interesy z brudnymi ludźmi. Każdy mieszkaniec bogatego przedmieścia podejmuje pewne ryzyko, szczególnie dla pieniędzy. Czy jednak człowiek pokroju Flecksteina może się aż tak zaplątać? Dlaczego dentyście, którego praktyka przynosi sto tysięcy dolarów rocznie, groził wyrok sądowy i dlaczego zadano mu śmiertelny cios w głowę?

Z pozoru był całkiem zwyczajny: jeszcze jedna nić w tkaninie społeczności. Jadaliśmy w tych samych restauracjach, posyłałiśmy dzieci do tych samych szkół, prawdopodobnie korzystaliśmy z usług tego samego hydraulika. A jednak on nie żyje.

Kąpiąc Joeya, myślałam: czy Fleckstein umarł za swoje grzechy? Czy w chwili, kiedy poczuł, jak ostrze przecina miękką skórę na jego szyi, żałował, że próbował wdrzeć się na rynek filmów pornograficznych? Kąpiąc Kate, zastanawiałam się: czy widział, kto go zabił? Czy zrobiła to jedna z jego kobiet? Czy czuł wyrzuty sumienia, że nie zaspokoił jej do końca? Przygotowując kolację, rozważałam: czy to go bolało? Przy stole postanowiłam omówić swoje przemyślenia z Bobem.

- Judith, proszę, zmieńmy temat.

- Dlaczego? To jest ciekawe.

- Tutaj są dzieci.

Spojrzałam na nie: Kate zerknęła na Boba i na mnie, przysłuchując się rozmowie, a Joey grzebał w misce z owocami, chociaż wielka kiść winogron na jego talerzu leżała nietknięta.

- Chcecie pooglądać telewizję? Może leci Kocham Lucy?

Joey poderwał się i popędził do piwnicy. Kate popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, świadoma, że coś musi mnie gnębić, skoro pozwałam im na tak wiele.

- Mamo, mówiłaś, że Kocham Lucy robi wodę z mózgu.

- Jeśli ogląda się to cały czas. Raz w miesiącu nie zaszkodzi. Ścisnęła w ręce napoczętą gruszkę i wyszła z jadalni, szurając nogami.

Wspaniałe taktycznie posunięcie, ale teraz nieprzyjaciel ma się na baczności. Nie ma sposobu - innego niż przystawienie maczety do gardła - żeby zmusić Boba do omówienia sprawy Flecksteina. Byłam zbyt ożywiona. Nie spytałam go, jak było w pracy. Nie opowiedziałam o sobie, o radościach wygrzewania się przy ognisku domowym.

- Dość już o tym morderstwie. Nie gniewasz się, że odesłałam dzieci na dół? Chciałam zostać tylko z tobą.

Zaprezentował mi swój uroczy, skromny uśmiezek, przechylając głowę na bok i spuszczaając wzrok. Zawsze się tak uśmiecha, gdy zostanie przyłapany w chwili triumfu. Na przykład wtedy, kiedy mówił rodzicom, że dostał rachunek od Turner Ammunition and Armaments albo informował mnie, że tysiąc dolarów, których nie chciałam zainwestować w Vatachill Cryonics, jest teraz warte pięć tysięcy.

- Opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś - poprosił łaskawie.

- Och, było przyjemnie. - Uśmiechnęłam się do niego. - Marilyn Tuccio ma cudowny nowy przepis na szarlotkę.

Kiwnął głową i ścisnął pomarańczę, którą jadł. Pestka upadła na talerz.

- To miłe.

Wymieniliśmy ciepłe uśmiechy. Bob powiedział:

- Doskonała kolacja... Jak zawsze.

Zjadłby nawet gołębie odchody, gdybym podała je z jego ulubioną sałatką i przyrządziła w wytrawnym białym winie. Zadzwoił telefon.

- Odbiorę - powiedział zmęczonym głosem. - To pewnie do mnie. Wstał i wolnym krokiem wyszedł z kuchni.

- Halo - odezwał się. - Och, dobrze. Świetnie. Jak leci? Tak, Judith jest w domu. Miło cię słyszeć. - Przykrył słuchawkę ręką i skrzywił się niemiłosiernie. - To Malice (Gra słów: malice znaczy złośliwość. Tutaj słowo to tworzą imiona Mary Alice - M. Alice (przyp. tłum.)).

Mary Alice Mahoney jest najbardziej rozzwierająco nudną istotą ludzką, jaką znam. Należy do tych koleżanek z akademika, o których zapomina się w kilka minut po ukończeniu studiów. Dwa lata temu sprowadziła się do Shorehaven. Już po miesiącu odkryła, że Nancy i ja też tu mieszkamy.

- Nancy! Judith! - piszczała nad głowami zgromadzonych w wielkiej szkolnej sali mieszkańców osiedla podczas wyjątkowo burzliwego spotkania, dotyczącego dobrowolnego opodatkowania się, aby skanalizować naszą miejscowość. - Mieszkacie tutaj!

Ze znużeniem pokiwałyśmy głowami, patrząc, jak przeciska się wzdłuż rzędu sztywnych kolan i biegnie nas przywitać. Jej chude, chłopięce ciało i niesforna fryzura pozostały niezmienione od roku 1963. Inne było tylko ubranie: zrezygnowała z podkolanówek i plisowanych spódnic na rzecz mieszanki typowej dla zamożnego przedmieścia garderoby z

najlepszych, markowych firm. Po kolei podstawiała nam do ucałowania policzek.

- Najcenniejsi są starzy przyjaciele. Prawda, Judith? Prawda, Nancy?

Mary Alice nie widzi nic niestosownego w tym, żeby wpaść bez uprzedzenia na „krótką pogawędkę”. Dzwoni do moich drzwi przeciętnie raz na dwa tygodnie i niezmiennie zadaje to samo pytanie: „Jesteś zajęta?”

W przeciwieństwie do Nancy, nigdy nie miałam odwagi powiedzieć, że tak. Mary Alice ma dar sprowadzania każdego tematu do wspólnego, najnudniejszego z możliwych, mianownika. Kiedyś rozmawiałyśmy z Nancy o koleżance ze studiów, która opuściła swojego męża i mieszka teraz na Manhattanie z drugą kobietą; zmieniła się z wiejskiej dziewczyny z Wisconsin w żonę nauczyciela akademickiego, potem w radykalną lesbijkę, a wszystko to przyszło jej, jak się wydawało, z najwyższą łatwością. Zastanawiałyśmy się z Nancy, jak to możliwe.

- Lucy Anderson jest lesbijką? - spytała Mary Alice. Przytaknęłyśmy.

- Homoseksualizm nie jest niczym złym. Zgodziłyśmy się z nią.

- Oni nic nie mogą na to poradzić.

Zanim zdążyłyśmy ziewnąć ze znudzenia, wysłuchałyśmy żarliwej obrony fryzjerki Mary Alice, której nawet nam się nie śniło atakować, potem listy artystów o skłonnościach homoseksualnych oraz streszczenia przeżyć trzech sióstr Mary Alice: Mary Elizabeth, Mary Therese i Mary Jeanne, które doświadczyły wielkich wzruszeń w kontaktach z homoseksualistami. Kiedy Nancy delikatnie napomknęła, że siostry, jakkolwiek święte, nie mają nic wspólnego z omawianym tematem, Mary Alice uśmiechnęła się ze

smutkiem i powiedziała: „Myślę, że jesteś bardzo surowa. Wiele się uczę od swoich sióstr”.

Bob, który zazwyczaj lubi moje przyjaciółki wprost proporcjonalnie do ich podobieństwa do platonicznego ideału szczęśliwej pani domu, znenawidził Mary Alice w ciągu pięciu minut. A to dlatego, że kiedy wyciągnął do niej rękę, spytała: „Czy robisz to jako jedna istota ludzka wobec drugiej, czy też dlatego, że myślisz, iż jako kobieta wyzwoloną oczekuję tego od ciebie?”

Wręczył mi telefon tak, jakby ze słuchawki wyrósł wilgotny, zielony grzyb.

- Cześć, Mary Alice - powiedziałam, starając się nie mówić zbyt zachęcającym głosem.

- Judith, koniecznie muszę z tobą porozmawiać. - Zachowała nadal akcent typowy dla bliskiego Zachodu i wymawiała każde słowo z osobna, jakby było samo w sobie odrębną myślą. - Proszę cię.

- Oczywiście.

- Nie przez telefon. To sprawa osobista. Będiesz może miała jutro wolną chwilę?

Znając Mary Alice, musiało chodzić o coś doniosłego. Może nauczyciel gimnastyki w klasie jej syna, z którym od półtora roku wymieniała znaczące spojrzenia, powiedział, że wygląda uroczo. Czy powinna oświadczyć, że on też wygląda uroczo? Czy następny ruch należy do niej? Czyż mężczyźni nie czekają na jakiś znak ze strony kobiety?

- Jestem zajęta, Mary Alice.

- Wiem. Ale jesteś taka mądra, a to pilna sprawa. Chodzi o morderstwo.

- Morderstwo? - W moim głosie słyhać było niedowierzanie; nie mogłam sobie wyobrazić, żeby Mary Alice w jakikolwiek sposób i choćby z daleka była zamieszana w coś ciekawego.

- Judith, proszę.
- Och, oczywiście. Pewnie. O której chcesz przyjść?
- Może ty mogłabyś przyjść do mnie?

Nudna, ograniczona, bezmyślna, ale obdarzona wielkim geniuszem do manipulacji.

- Dobrze. Będę około dziewiątej piętnaście.
- Mogłaby być dziewiąta trzydzieści? - spytała. - Medytuję do dziewiątej dwadzieścia.

Zgodziłam się. Przez chwilę myślałam, żeby zachować zimną krew i odwiesić słuchawkę z szybkim: „Do jutra”, ale ciekawość zmusiła mnie do dalszej rozmowy.

- Znałaś Flecksteina?
- Tak, Judith, oczywiście, że go znałam. - Mary Alice ściszyła głos. - W sensie biblijnym, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Zdumiona rozejrzałam się po jadalni, próbując wrócić do rzeczywistości. Bob zszedł na dół, pobawić się w ciemni. Wpatrzyłam się w bardzo realnie wyglądający kawał kości baraniej. Mary Alice i Fleckstein? Jak Mary Alice - dla której wizyta listonosza jest okazją do intymnej rozmowy na ten temat - mogła choćby spotkać się z Bruce'em Flecksteinem i ukryć to przed Nancy i przede mną?

- Chcę cię prosić o przysługę, Judith. Proszę, zadzwoń do Nancy i powiedz, żeby przyjechała z tobą. Zadzwońabym do niej sama, ale wiem, że mnie nie lubi.

- Och, daj spokój, Mary Alice - powiedziałam, zmieszana prawdziwością jej słów.

- Ależ to prawda. Sądzę jednak, że wzajemnie mamy szacunek dla swojej inteligencji i jej uwagi na temat tej sytuacji byłyby dla mnie bardzo cenne.

- Jakiej sytuacji?
- Judith, nie mogę rozmawiać przez telefon. Do zobaczenia jutro.

Prawdopodobnie chce odegrać przede mną i przed Nancy rolę zasmuconej kochanki albo opowiadać przez godzinę lub dwie o losie „tej drugiej”. Myślałam na ten temat, szorując garnki, ale nie mogłam się z tym pogodzić. Mary Alice była nadzwyczaj przekonująca, nawet na chwilę nie zboczyła z tematu. Ani jednego płaczliwego jęknięcia, żadnego pociągania nosem w ciągu całej rozmowy.

- Bob - powiedziałam później wieczorem - myślę, że Mary Alice miała romans z doktorem Flecksteinem.

- Nie do wiary.

Leżał w łóżku, na boku, i ubijał poduszkę, nadając jej idealny kształt.

- Dlaczego nie do wiary?

- Ona nie ma płci. Na jej klatce piersiowej można policzyć żebra.

- Może nie jest w twoim typie, ale chce jutro rozmawiać ze mną o Flecksteinie.

- Judith - powiedział cierpliwie - po co tracić czas? Wiesz, że jej nie znosisz.

- Wiem, ale umieram z ciekawości, jak związała się z Flecksteinem.

- Dlaczego? Kogo to obchodzi?

- Nie interesują cię inni ludzie? - spytałam. - Nie chciałbyś wiedzieć, co dzieje się za tą fasadą?

- Może - powiedział i ziewnął. - Jeśli to są rzeczywiście ciekawi ludzie. Ale nie w przypadku Mary Alice, ani tego całego Flecksteina.

Usiadłam na łóżku w jedwabnej, czerwonej koszuli, ozdobnie udrapowanej z przodu, z głębokim wycięciem w kształcie litery „V” z tyłu. Bob miał minę, jakby badał szwy na kołdrze.

- Słuchaj - powiedziałam - nie dziwi cię to, jak różni są ludzie? Chodzi mi o to, że wszyscy w Shorehaven pasują do

jednego wzoru. Owszem, są różnice dotyczące religii, wykształcenia i liczby dzieci. Kiedy jednak chcesz pogadać z kimś z osiedla, spotykacie się na wspólnym gruncie. Ty idziesz do biura i wszyscy inni mężczyźni idą do biura. Ja podwożę innych do miasta dwa razy w tygodniu, a ktoś trzy razy. Jest tu wielkie podobieństwo, prawda?

- Co z tego? - spytał.

- Pod tymi podobieństwami kryją się różne rzeczy. Zdrady. Przestępstwo.

- Co w tym dziwnego? Ludzie są różni.

Oczywiście, miał rację. Zaintrygowało mnie, że ci ludzie na zewnątrz wszyscy podobni, jak się wydawało, po cichu angażowali się w rzeczy o wiele bardziej podniecające niż to, co ma miejsce w moim życiu. Ja jestem taka, na jaką wyglądam.

- Po co tracić czas? - ciągnął. - Zostań w domu, odpocznij, przejrzyj gazetę, poczytaj książkę. Ciesz się wolnym czasem.

- Jeśli chodzi o książki - powiedziałam, wsuwając się pod kołdrę - to jeszcze nie rozpakowałeś prezentu, który ci dałam w dniu świętego Walentego.

- Przykro mi - stwierdził. Nie odezwałam się.

- Judith, daj spokój. Przecież przeprosiłem. Nie rób ze mnie wstręciucha. Rozpakuję go jutro z samego rana, dobrze?

Kiwnęłam głową.

- Gdzie on jest? - spytał.

- Na półce w przedpokoju.

- Dobrze. Pozwól, że z góry ci podziękuję.

Schylił się, pocałował mnie w policzek, zgasił światło i zasnął.

Rozdział 4

Wystarczy, że muszę słuchać tej beznadziejnej kretyнки zawsze, kiedy uda się jej wsunąć tę wąską stopę w drzwi, zanim zdążę je zatrzasnąć.

Doskonale wykrojone usta Nancy, lekko lśniące od błyszczyka, zamknęły się w grymasie. Koncentrując się na drodze, wprawnie wybierała prowadzące do Mary Alice boczne uliczki Shorehaven i trzymając lekko kierownicę, zręcznie brała szarym jaguarem ostre zakręty.

- Dlaczego zmuszasz mnie, żebym narażała się na bezmyślną paplaninę tej wariatki?

- Wyraźnie mówiła, że chce się z tobą widzieć.

- Chciała się ze mną widzieć tylko z tego powodu, że nie mogła znieść myśli o odegraniu swojej sztuki przed jednym zaledwie widzem.

- Słuchaj, uznaj to za przysługę wyświadczoną mnie - powiedziałam.

- Och, z pewnością.

Uniosła pięknie wyregulowane brwi i zerknęła na mnie.

- Wiesz, że z powodu tego cyrku nie będę dzisiaj mogła pracować.

- Mogłaś odmówić, Nancy.

Robiła wrażenie trochę niezadowolonej; jej twarz, o spokojnych, klasycznych rysach, była jednak rozluźniona. Zatknęła długi kosmyk kasztanowych włosów za ucho i westchnęła.

- Pracujesz teraz nad czymś? - spytałam.

- Nic specjalnego - przyznała. - Mogłabym jednak z cholerną łatwością wymyślić dzisiaj rano co najmniej dziesięć wspaniałych artykułów, zamiast wysłuchiwać zawodzenia i jęków tego kompletnego zera.

- Kiedy dzwoniła, mówiła całkiem do rzeczy. Może nie będzie tak źle.

- Marne szanse - zrzędziła Nancy.

Kilka następnych minut jechałyśmy w milczeniu, mijając coraz to większe domy, na coraz większych działkach. Nancy wjechała na podjazd przed domem Mary Alice, zahamowała i wyłączyła silnik, cały czas wydymając wargi. Dom był dwupiętrowym potworem ze sztukateriami, czerwoną dachówką i kutym żelazem; pasowałby może do Kalifornii, ale w okolicach Nowego Jorku wyglądał po prostu głupio.

- Czyż nie jest piękny? - spytała Nancy. - Pałac Mahoney.

Mąż Mary Alice, Keith, cieszył się sławą doskonałego budowniczego. Wznosząc swój wymarzony dom nie oszczędzali na niczym. Stańłyśmy przed wielkimi drzwiami z rzeźbionego drewna i zadzwoniłyśmy.

- Bardzo skromna - szepnęła Nancy, patrząc na dużą, mosiężną klamkę. Gospoia, wysoka, ciężka Hinduska, wpuściła nas i poinformowała, że pani Mahoney czeka w pokoju słonecznym.

- Urocze - gruchała Nancy. - Sala del sol. Zachwycający andaluzyjski element. Ma nawet mauryjską kobietę.

- Ćśś... - syknęłam, kiedy szłyśmy po wyłożonej ciemną terakotą podłodze pokoju gościnnego. - Przez najbliższe pół godziny zachowuj się jak należy.

Mary Alice stała na progu pokoju słonecznego i czekała na nas.

- Witam, witam - ćwierkała, cmokając każdą z nas w policzek.

- Jestem wam obu niewypowiedzianie wdzięczna, że przyszłyście. Jesteście prawdziwymi siostrami w każdym znaczeniu tego słowa.

Była ubrana w jasnożółty, wełniany kombinezon, z suwakiem otwartym do połowy długości klatki piersiowej. Mary Alice miała ciało niedożywionego, dziesięcioletniego chłopca, ale często ubierała się tak, jakby została obdarzona

wspaniałym biustem i biodrami, i chciała podzielić się nimi z całym światem.

Podziękowałyśmy za herbatę z owoców róży, usiadłyśmy na wymyślnych wiklinowych krzesłach i patrzyłyśmy, jak skrada się do drzwi, żeby je zamknąć. Wyjrzała najpierw na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy gospodyni nie czai się w pobliżu z notesem do stenografii i zamiarem doniesienia o wszystkim Keithowi.

- W porządku - powiedziała, zacierając malutkie, dziecięce dłonie.

- To nie będzie łatwe, miłe panie.

- Spróbuj - poradziła głębokim głosem Nancy.

- Tak, tak. Od czego powinnam zacząć? Mam tak wiele do powiedzenia.

- Zaczynj od początku - powiedziałam zdecydowanie. - To najlepsze wyjście.

- Dobry wybór - szepnęła Nancy.

Mary Alice zdjęła z jednego z krzeseł kwiecistą poduszkę i położyła ją na podłodze, w równej odległości między Nancy a mną.

- A więc - zaczęła, siadając po turecku - po raz pierwszy spotkałam Bruce'a, doktora Flecksteina, na przyjęciu u Wagnerów. Znasz go, Nancy. Ricky Wagner jest członkiem twojego klubu. Handluje nieruchomościami.

- Bardzo mi miło - stwierdziła Nancy.

- W każdym razie - ciągnęła Mary Alice - od razu wiedziałam, że między nami coś się zrodziło; coś bardzo silnego i wielkiego. Stał przed kominkiem i rozmawiał z Christy Wagner i Nicki Rubin, ale z jakiegoś powodu spojrzał w moją stronę i nasze oczy się spotkały. Miałam na sobie czarny kostium od Halstona. Zdarzyło się wam już coś podobnego? Jakaś nić porozumienia między mężczyzną a kobietą, jakbyście byli jedynymi ludźmi na świecie, chociaż

znajdujecie się w tłumie? W każdym razie uwolnienie się od towarzystwa tych dwóch kobiet zajęło mu pół godziny, a wtedy podszedł do mnie i powiedział: „Cześć”. Odpowiedziałam „cześć” i przedstawiliśmy się sobie. On powiedział: „Jestem Bruce Fleckstein”, a ja powiedziałam...

- Jest za kwadrans dziesiąta, Mary Alice, a ja muszę wyjść o wpół do jedenastej, nawet jeśli będziesz w połowie pierwszego w swoim życiu pocałunku z językiem - stwierdziła Nancy.

- Dobrze. Chciałam wam tylko w miarę dokładnie opowiedzieć, jak to się zaczęło, żebyście mogły wszystko zrozumieć.

- Opowiedz nam wszystko - poprosiłam. - Nancy, nie bądź taka spięta - dodałam.

Posłuchała, ale najpierw spojrzała na Mary Alice z góry, mnie zaś pokazała gniewnie rozszerzone nozdrza. Mary Alice chrząknęła.

- Dziękuję, Judith. Krótko mówiąc, zadzwonił do mnie w poniedziałek. Po tym sobotnim przyjęciu. W każdym razie powiedział, że rozmowa ze mną była wielką przyjemnością i że mam wspaniałą osobowość, i spytał, czy zjadłabym z nim obiad. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, czy chcę pójść, czy nie, ale pomyślałam sobie, że to tylko obiad i że nie muszę się do niczego zobowiązywać, jeśli nie będę chciała. Spotkaliśmy się o pierwszej u Wong Foo.

- Tuż obok zajazdu Tudor Rose Motor Inn - przerwała Nancy z lodowatym, sztywnym uśmiechem.

- Tak. Nie przyszło mi jednak do głowy, że tego dnia może się coś przydarzyć. W każdym razie był taki przystojny. Miał bardzo obcisłe džinsy z paskiem od Gucciego i żółtą, obcisłą koszulę. I ta ciemna, żydowska cera. Och, przepraszam, Judith.

- Zdarza się. Wiesz, kiedyś zajęłam drugie miejsce w konkursie śniadych piękności.

- Naprawdę? Żartujesz sobie, Judith?

- Tak. Mów dalej, Mary Alice.

- Dobrze. Na czym skończyłam? Nie mogę uwierzyć, że on nie żyje. W każdym razie rozmawialiśmy trochę, a kiedy skończyliśmy zupę, spojrzął mi w oczy i powiedział: „Podniecasz mnie”. Ja odpowiedziałam, żeby dał spokój, ale on na to, że nie przestanie, bo to prawda, i położył mi rękę na udzie. Mówił, że jestem urocza. Spodobał mi się. Nie zdążyliśmy nawet zamówić deseru, kiedy oznajmił: „Chodźmy” i położył na stoliku dwanaście dolarów. Nawet nie zaczekał, aż kelner przyniesie resztę. Wyszliśmy na dwór.

- I poszliście na jednego głębszego do motelu obok? - spytała Nancy.

- Tak.

- Co było potem? - spytałam.

- Nic. Zrobiliśmy to. I tyle.

- Tylko ten jeden raz?

- Nie. Spotykaliśmy się w każdy czwartek. Nancy nie odrywała od niej wzroku.

- U Wong Foo?

- Nie. W motelu. Bruce powiedział, że jeśli zrezygnujemy z obiadu, będziemy mieli dla siebie więcej czasu.

Wydało mi się to rozsądne. Gdybym miała romans, też wolałabym tarzać się po szorstkim prześcieradle w motelu - jedno spocone ciało przytulone do drugiego - niż jeść obiad w podrzędnej chińskiej restauracji. To jednak nie pasowało do Mary Alice. Nigdy nie wyglądała na osobę o wielkim temperamencie; na taką, której majtki robią się wilgotne przy moo shoo, wieprzowinie po chińsku. Zazwyczaj niewiele mówiła o swoim życiu seksualnym, chociaż raz zwierzyła mi się, że wolałaby, aby „interes” jej męża był większy. Nigdy

nie pomyślałabym, że jednak zdecyduje się poszukać czegoś większego. Była tak zajęta samą sobą, że trudno wyobrazić sobie, by mogła skoncentrować się na kimś innym dość długo; zainteresować się nim albo podniecić. Najgorsze, że nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego nigdy dotąd nie wspomniała o swoim romansie.

- Jak to się stało, że nigdy wcześniej o tym nie wspomniałaś, Mary Alice? - spytała Nancy.

- Chciałam, ale nie mogłam. Po prostu nie mogłam. Moja kolej.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie jestem pewna. To była bardzo skomplikowana relacja i czułam, że nie potrafię tego wytłumaczyć komuś z zewnątrz.

Nancy skrzyżowała swoje długie nogi i zerknęła na zegarek. Ja spojrzałam na swój. Było już po dziesiątej i wiedziałam, że nie mam czasu wysłuchiwać zwykłego u Mary Alice bredzenia o samorealizacji poprzez wzajemne dawanie i branie w interesującej relacji.

- Dlaczego mówisz o tym teraz? - spytałam.

- Nie wiem - odrzekła trochę zmieszana. Wpatrywała się w ciemny, brązowawy lakier na paznokciach lewej ręki.

- Daj spokój, Mary Alice. Coś cię gnębi.

Nalegałam. Miałam nadzieję, że tak jest; inaczej Nancy nie da mi spokoju.

- Chodzi o to - ciągnęłam - że nie wydajesz się załamana z powodu jego śmierci. Powiedziałaś mi, że to ważne. Mów.

- On zrobił trochę zdjęć - wybełkotała do pokrytej kafelkami podłogi.

- Jasna cholera! - zawołała Nancy.

- Jakie zdjęcia? - Zbędne pytanie, według mnie, ale Mary Alice wyglądała, jakby chciała skończyć na tym rozmowę.

- Moje zdjęcia - powiedziała i zaczęła płakać.

- Nago? - spytałam.

Kiwnęła głową i wyjęła z rękawa chusteczkę. Najwyraźniej spodziewała się takiej sceny.

- Tak, nago.

Mary Alice wytarła oczy i wrzuciła zużytą chusteczkę do popielniczki. Potem bezmyślnie przeciągnęła dłonią po nosie i perlista, jasnozielona wydzielina rozciągnęła się od górnej wargi aż po policzek.

- Nago - zaszlochała. - I nie tylko.

- Nie tylko? - zdziwiła się Nancy. - Nie tylko co? Wyszepiała coś, czego nie dosłyszałam.

- Co? - spytałam.

- Byłam związana.

- Związana?

Zmusiłam się, żeby na nią spojrzeć, w nadziei, że może uda mi się powstrzymać chichot.

- Jak w sadomasochizmie?

- Zwykle robiliśmy to normalnie. Wiecie. Potem powiedział, że skoro nasza więź oparta jest na wzajemnym zaufaniu, powinniśmy realizować swoje fantazje. Kilka razy przyniósł sznur i związał mnie, i robił różne rzeczy.

- Na przykład co? - spytała Nancy. Nie była zdziwiona, tylko zaciekawiona, jak mechanik oglądający silnik nieznanego mu samochodu.

- Nie mogę, nie mogę - szlochała Mary Alice, biorąc wielkie hausty powietrza i wydając donośne, gardłowe odgłosy.

- Mary Alice - powiedziałam łagodnie - czy to cię bolało?

- Nie, nie bardzo - szepnęła, patrząc obok mnie. - Zawsze uważał, żeby nie zostawić śladów, które Keith mógłby zauważyć.

- A co ze zdjęciami? - spytałam.

Jej oddech był już bardziej normalny, ale nadal nie patrzyła na nas. Nancy siedziała wygodnie rozparta w swoim krześle. Pochyliłam się ku Mary Alice.

- Zdjęcia. Opowiedz o nich.

- Och, mówił, że to są uświęcone chwile świadczące o wzajemnym zaufaniu i że chce je uwiecznić. Dostał na urodziny polaroid i zrobił kilka zdjęć. Powiedział, że obejrzy je parę razy, a potem spali.

- Dlaczego miałby je spalić, skoro chciał uwiecznić te uświęcone chwile? - zapytała Nancy.

Mary Alice znów zaczęła płakać.

- Nie wiem, Nancy. Och, dobry Jezu, jak ja się boję! - zawodziła. - Co będzie, jeśli ktoś je znajdzie? Jeśli pokażą je Keithowi?

Była przerażona jak mała myszka polna, która dostała się na doroczną, ogólnokrajową konferencję na temat walki ze szkodnikami. Zrobiło mi się jej żal.

- Spytałaś, co z nimi zrobił?

- Nie.

- W porządku. Uspokój się. Wymyślimy coś.

Ale co? Zaczęłam się zastanawiać. Szczere przyznanie się do wszystkiego? Samobójstwo? Może by też zatrudnić podpalacza, zniszczyć biuro i dom Flecksteina?

- Nic mi nie przychodzi do głowy - oznajmiła Nancy.

Przez chwilę siedziałyśmy cicho. Spojrzałam na Nancy, ale ona unikała mojego wzroku. Bawiła się swoimi długimi włosami, zwijając je w koczek i na powrót pozwalając im opaść na plecy. Mary Alice też nie chciała, żebym na nią patrzyła. Zazwyczaj dopasowujemy swoje wyznania do upodobań słuchaczy. Tym razem jednak nie dało się tego zrobić i obydwie były zażenowane: Nancy z tego powodu, że Mary Alice uczyniła całą sprawę tak boleśnie osobistą, iż nie

można jej zbyć uśmiechem, a Mary Alice dlatego, że znów się odsłoniła, pozwalając obcym zajrzeć w świat swoich fantazji.

- Mary Alice - powiedziałam. Obydwie odwróciły się i spojrzały na mnie. - Czy jesteś pewna, że nigdy o tych zdjęciach nie mówił?

- Nie. Nigdy. Nic specjalnego.

- Jak to „nic specjalnego”? - warknęła Nancy.

- Chodzi o to, że raz spytałam go, czy jeszcze ma zdjęcia, które zrobił.

- Co powiedział? - pytała Nancy głosem niskim i twardym, jak szeryf małego, południowego miasteczka.

- Nic. Zapytał, co moim zdaniem, miałby z nimi zrobić, używać ich do szantażu? I stwierdził, że nie powinnam być taka nerwowa.

Znów zamilkłyśmy, ale tym razem bardziej z powodu wagi tej informacji niż dlatego, że sytuacja była niezręczna. Jeśli policja znajdzie te zdjęcia i pokaże je komuś związanemu ze sprawą Flecksteina, będzie to miało konkretne skutki: po pierwsze, po Shorehaven błyskawicą rozejdzie się wiadomość o hobby Mary Alice, a po drugie, natychmiast zaczną ją podejrzewać. Skoro policja może poważnie brać pod uwagę Marilyn Tuccio, to z radością przyjmie możliwość popełnienia zbrodni przez Mary Alice. Cokolwiek się stanie, Keith zabije ją i zrobi z ciała swojej żony kamień węgielny pod następny sklep, który będzie budował.

- Powiem wam, dlaczego zaprosiłam was dzisiaj obydwie - odezwała się Mary Alice głosem, który sprawił, że podskoczyłyśmy do góry. Była w nim wielka siła i jasność, nic ze zwykłego wdzięczenia się i przymilania.

- Najpierw Judith. Wiem, że masz znajomego prawnika, prawda?

- Tak, Claymore'a Katza. Mieszkał z Bobem w akademiku, w jednym pokoju.

- Chciałabym, żebyś spytała go, co powinnam teraz zrobić. Opowiedz mu o tej sytuacji. Nie musisz wymieniać nazwisk.

- Słuchaj, Mary Alice, mogę spróbować, ale Claymore nie jest osobą, która zechce wdawać się w hipotetyczne rozważania. Może zadzwonisz do niego i zdradzisz mu wszystkie szczegóły?

- Nie, Judith, proszę. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Proszę, zrób to dla mnie. Proszę.

Za chwilę, pomyślałam, złapie moją rękę, okryje ją pocałunkami i oznajmi: „Bardzo proszę”. Kiwnęłam głową i powiedziałam:

- Jasne. Nie ma sprawy.

Obdarzyła mnie ostatnim uśmiechem i zwróciła się do Nancy.

- Teraz ty, Nancy. Jesteś dziennikarką. Badasz różne sprawy, prawda?

- Nieprawda, Mary Alice. Piszę artykuły o różnych osobistościach, trochę popularnej socjologii. Trudno mi znaleźć nawet własne tampxy bez stosownej mapy. Niech ci nie przychodzi do głowy, że mogę zbadać...

- Kiedyś pracowałaś dla „Time'a” - nalegała Mary Alice.

- Jasne. Robiłam dla nich badania. Sprawdzałam różne rzeczy w książkach. Telefonowałam. Najczęściej uśmiechałam się. Reporter to co innego i...

- Nancy, już to przemyślałam. Wystarczy, że podszyciesz się pod reporterkę, zadzwonisz na policję i postarasz się dowiedzieć, co oni mają. To wszystko.

- Niemożliwe - powiedziała Nancy. Spojrzała na mnie, szukając pomocy. Odwróciłam wzrok w stronę Mary Alice.

- Najzupełniej niemożliwe.

- Co to znaczy „niemożliwe”? - chciała wiedzieć Mary Alice.

- Policja nie udziela takich informacji. Nawet gdyby chcieli coś powiedzieć, to zdradziliby to reporterowi, którego znają. Boże, przecież nie mam żadnych uprawnień. Co powinnam zrobić? Zadzwoń i powiedz: „Cześć! Jestem Nancy Miller. Czy znaleźliście przypadkiem w kartotece doktora Flecksteina jakieś zdjęcia nagiej blondynki? Będą prawdopodobnie pod M jak Mahoney. Może zechcecie oddać mi te zdjęcia, bo mam zamiar rozpalić z nich piękne ognisko?”

- Zaczekaj - powiedziałam. - Słuchaj, Nancy, nie jesteś zatrudniona na etacie.

- Co z tego? - obruszyła się.

- Mogłabyś zadzwonić do jednego z czasopism, dla których pracujesz, i spytać, czy chcieliby coś o tym morderstwie. Dzięki temu miałabyś prawo prosić policję o informacje.

- Doskonały pomysł, Judith - zachwyciła się Mary Alice.

- To świetny pomysł, prawda Nancy?

Nancy spojrzała na nas, spuściła głowę i wpatrzyła się w swoje uda.

- Cicho. Dajcie mi pomyśleć. Dobrze - szepnęła. - „Newsday” będzie miał własnych reporterów. Może „New York” przyjmie kawałek o głupcach, którzy uciekli z miasta, bo bali się przestępców, a teraz trzęsą portkami na przedmieściach. Może niedzielny „Times Magazine” zainteresuje się pracą policji, ale to największe sknery w mieście.

Mary Alice uśmiechnęła się do niej gorliwie:

- Zapłacę różnicę między tym, co oni dadzą, a twoją normalną stawką.

- Dobrze, Nancy - wpadłam jej w słowo. - Nie chodzi o kolejny artykuł, ale o przysługę wyświadczoną koleżance.

- Jasna cholera - odparła. - Och, dobrze. Spróbuję, ale nie róbcie sobie wielkich nadziei.

Kiedy kilka minut później wychodziłyśmy, Mary Alice ciągle jeszcze cicho dziękowała. Wydawało się, że jej ulżyło, chociaż nie wiedziałam, dlaczego. Co może dla niej zrobić specjalista od przestępstw gospodarczych? Powiedzieć, żeby na przyszłość zachowała swoje fantazje dla siebie? Potrzymać ją za rękę? Do czego mogła dokopać się Nancy? Do prawdy, że pan Bruce rzeczywiście miał album ze zdjęciami swoich lubych? Albo, że Mary Alice jest podejrzana? Bądź, że jest jedną z grona piękności Flecksteina?

- Może jej ulżyło - zamyśliłam się na głos w samochodzie - ponieważ znalazła kogoś, kto pomaga jej unieść ten ciężar.

- Może - odpowiedziała Nancy - ale to takie patetyczne. Rozumiesz, wymyśliła sobie, że my dwie dokonamy kilku cudów i uchronimy jej cnotę.

Nancy zatrzymała samochód przed światłami i spojrzała na mnie.

- Jak można być tak głupią? Słyszałaś to gównie, które jej wcisnął? Powiedział jej, że ma w sobie coś. A ona w to uwierzyła! Mój Boże, ta babka jest dowodem na upadek kultury Zachodu.

- Myślisz - spytałam powoli - że uwierzyła mu, ponieważ wstrzelił się dokładnie w to, co chciała usłyszeć? W głębi serca uważa, że jest fascynującą, godną uwielbienia istotą ludzką?

- Wiem tylko, że gdyby zadzwonił facet, którego prawie nie znam, i powiedział mi, że mam w sobie coś, odłożyłabym słuchawkę, nie dając mu skończyć zdania.

- Ale ty rzeczywiście coś w sobie masz - powiedziałam.

- Wiem. Ale skąd facet, który spędził ze mną nie więcej niż piętnaście minut, prawie cały czas gapiąc się na moje krocze, miałby o tym wiedzieć?

- Nie mam pojęcia - odparłam, poprawiając pas bezpieczeństwa tak, żeby nie uciskał mi tętnicy. - Myślisz, że pozbył się tych zdjęć?

- Tak sądzisz?

- Nie - zgodziłam się i na chwilę zamilkłam. - Wiesz, co mnie uderza?

- Kipiąca pożądlivość?

- Nie. Poważnie. Fakt, że prosiła cię o pomoc ze względu na twoje zdolności. Mnie wezwała tylko dlatego, że znam dobrego prawnika.

- Jesteś przewrażliwiona.

- Nie, jestem szczerą.

- Judith, czy zwierzyłaby ci się, gdyby nie miała zaufania do twoich dyplomatycznych zdolności? Słuchaj, znam idiotów z wyższym ilorazem inteligencji niż Mary Alice; dlaczego tak ci zależy na jej zdaniu? Daj spokój. Mamy ciekawsze rzeczy do zrobienia.

- Na przykład co? - spytałam.

Pojechałyśmy do mnie na lunch: masło orzechowe i dżem dla Joeya i kolegi - chłopcy przyjechali z przedszkola wyglodniali – tuńczyk w sosie pomidorowym dla mnie, kawałek szwajcarskiego sera i butelka chablis dla Nancy. Od kiedy ją znam, Nancy bardzo lubi wino. Wszyscy w szkole żłopali purple passion, mocną mieszankę soku winogronowego i domowej wódki, ale Nancy niezmiennie nalewała sobie wina z własnej butelki, zawsze francuskiego, zawsze wytrawnego. Nigdy się nim nie dzieliła. Przez te wszystkie lata nie widziałam, żeby słabość do wina miała na nią jakikolwiek wpływ. Jej osobowość jest niezmiennie doskonała, zjadliwa, intelekt wyostrzony, sylwetka szczupła i zgrabna, chociaż wypija co najmniej butelkę wina dziennie. Nie dawało mi to jednak spokoju. Martwiłam się o jej

wątrobę, o źródła tej potrzeby znieczulania się, o wpływ alkoholu na jej dzieci, kiedy już zajdzie w ciążę.

Nic się jednak nie stało. Nancy pisze artykuły, ma zdrowe dzieci, doskonale gra w szachy i sypia z co trzecim poznanym mężczyzną, pod warunkiem, że ma wykształcenie nie wyższe od średniego. Jej mąż, Larry, z zawodu architekt, uwielbia ją i z pogodą ducha zakłada, że żona jest mu wierna.

Rozpaliłam w kominku i usiadłyśmy na podłodze, żeby omówić spotkanie z Mary Alice. Nancy, widząc moje zainteresowanie, cierpliwie roztrząsała ze mną każde słowo.

- No tak - powiedziała na koniec - to już wszystko. Co napisali w gazecie?

- Mój Boże! Gazeta!

Nie wkładając płaszcza, pobiegłam na podjazd i podniosłam „Newsday”, lekko wilgotny od mokrego powietrza. Na pierwszej stronie przeczytałam: „Powiązania zamordowanego dentysty z handlem pornografią”. Były dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało ciało przykryte białym prześcieradłem, wnoszone do karetki przez dwóch mężczyzn, trochę poirytowanych, jakby przerwano im przerwę śniadaniową. Drugie zaś uśmiechniętą twarz: Bruce na plaży - przystojny, szczupły, z kręconymi włosami tworzącymi imponującą czapę na pięknej głowie.

- Coś nowego? - spytała Nancy.

- Patrz!

- Przeczytam po tobie.

- Przeczytam na głos. Odchrząknęłam.

„Doktor M. Bruce Fleckstein, specjalista chorób dziąseł, który dwa dni temu został zamordowany w swoim eleganckim gabinecie w Shorehaven, miał być oskarżony o uchylanie się od płacenia podatków. Jak donoszą źródła policyjne, doktor Fleckstein zajmował się rozprowadzaniem filmów

pornograficznych i od dawna był pod obserwacją policji stanowej.

Doktor Fleckstein uczestniczył podobno w nielegalnym przedsięwzięciu przynoszącym ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie, większość w gotówce. Jego domniemanymi współnikami byli między innymi: Ira Spiegel z Great Neck, księgowy, i Carmine Lombardi, członek przestępczej rodziny Petera Gambolla. Pan Lombardi, mieszkający w Lido Beach, był już wcześniej skazany na osiemnaście miesięcy więzienia za wymuszanie okupu.

Jak donosi informator „Newsday”, doktor Fleckstein odmówił współpracy z prowadzącymi śledztwo, co każe się domyślać, że nie jest to typowy przykład zemsty mafii. Ponieważ jednak nic nie wskazuje, żeby do morderstwa doszło na skutek przypadkowej agresji lub kradzieży (portfel Flecksteina, z trzystoma dolarami, znaleziono przy zwłokach), policja bada możliwość związku między morderstwem a planowaną rozprawą sądową.

Porucznik Nelson Sharpe, oficer prowadzący sprawę, powiedział, że ciało doktora Flecksteina zostanie poddane sekcji, która ma ustalić przyczynę śmierci. U podstawy czaszki zmarłego znaleziono niewielką ranę.

Zrzeszenie Dentystów z Long Island ofiarowało pięć tysięcy dolarów nagrody za informację, która doprowadzi do ujęcia mordercy. Rodzina doktora Flecksteina obiecała dodatkowe pięć tysięcy.

Wdowa po doktorze Flecksteinie, Norma Fleckstein, z domu Dunck, nie chciała odpowiadać na pytania dziennikarzy...”

- Prawda. Zapomniałam - wtrąciła Nancy.
- O czym zapomniałaś? - spytałam ostro.
- Żona Flecksteina jest siostrą Dicky'ego Duncka.
- Kim, na Boga, jest Dicky Dunck?

- Widziałaś go. Należy do klubu Larry'ego. Przyjęli tam jednego Żyda i jednego czarnego, pamiętasz? Dunek jest zupełnie łysy i nosi kozią bródkę.

- To on?

Dicky'ego Duncka trudno było nie zauważyć, szczególnie w klubie Larry'ego, gdzie wszyscy mężczyźni przypominają zawodników startujących w konkursie jasnowłosych piękności. Dunek prezentuje się bardzo przeciętnie; zgolił resztkę włosów i zapuścił miękką, ciemną kozią bródkę. Wygląda z nią raczej głupio niż dojrzałe.

- Jest okropny - powiedziała Nancy. - Nieznośny dupek, ale wszyscy starają się być dla niego mili, żeby móc pochwalić się swoim liberalizmem. Jezu, chce mi się na nich wszystkich rzygać.

- Powiedz coś o Dickym Duncku - nalegałam. - Był blisko z Flecksteinem?

- Och, nie! Mieli ze sobą na pieńku. Chodziło o testament ojca Dicky'ego.

- O co poszło?

- Nic fascynującego, nie podniecaj się. Wydaje mi się, że jego ojciec zostawił prawie wszystko Normie, żonie Flecksteina, i Dicky starał się unieważnić testament. Normalna rodzinna walka o pieniądze. Nic nadzwyczajnego.

- Dicky był bardzo zły? - spytałam.

- Nie za bardzo. Uspokój się, Judith. Opowiadał wszystkim w klubie, jakim sukinsynem jest Bruce. Był dumny z faktu, że należy do Shelter Cove i nigdy nie przyłączy się do takiego szpanerskiego klubu jak Green Trees, gdzie kręcą się faceci tacy jak Bruce.

- Tylko tyle?

- Nic więcej.

- Rozumiem - powiedziałam, wyciągając nogi i podnosząc gazetę. - Dokończę. Norma nie chciała odpowiadać na pytania dziennikarzy... O, tutaj.

„Mówi się, że chce mieć spokój.

Nabożeństwo żałobne odbędzie się jutro w domu pogrzebowym braci Baum w Great Neck. Później nastąpi pochowanie zwłok na cmentarzu Shalom we Flushing, Queens.

Policja prosi, żeby każdy, kto posiada jakiegokolwiek informacje mające związek z morderstwem, dzwonił na specjalny numer: (516) 689 - 2104. Wszystkie telefony będą traktowane poufnie".

- Och! - westchnęła Nancy - możliwości jest tyle, aż mózg paruje. Chodź, zadzwonimy do nich i powiemy o Mary Alice.

- Oszalałaś? Chyba żartujesz.

- Oczywiście, że żartuję. Jezu, Judith, nie traktuj tego tak śmiertelnie poważnie. Mary Alice nic się nie stanie. W jej naturze leży umiejętność walki o swoje dobro; tak naprawdę nic nie jest w stanie jej dotknąć.

- Bruce'owi Flecksteinowi udało się - skomentowałam.

- Daj spokój, już to omówiliśmy. Po prostu potwierdził jej wysokie mniemanie o sobie.

Przeczesałam ręką włosy: grube, krótkie, lekko skrzycone od wilgotnego powietrza.

- Pozwól, że dam ci przykład, Nancy.

- Wal.

- Kiedy masz z kimś romans, to czy zawieszasz normalne procesy intelektualne i pozwalasz sobie uwierzyć w kupę gówna wartych kłamstw?

- Nie, ale ja nigdy nie ufam facetom, nawet kiedy mówią tylko „cześć”. Słuchaj, to nieuczciwe pytanie. Nie mogę

porównywać się z Mary Alice. Jej intelekt nie funkcjonuje normalnie.

Wstała i popatrzyła na mnie z góry.

- Idę. Muszę zadzwonić w kilka miejsc i sprawdzić, czy ktoś zechce kupić artykuł o tych bzdurach.

- Dobrze. Zadzwonię do ciebie jutro. Jesteś w stanie prowadzić samochód?

Gdybym ja wypila tyle wina, nie mogłabym włożyć kluczyka do stacyjki.

- Przestań nudzić, Judith.

Ledwie Nancy wyjechała na ulicę swoim jaguarem, na podjazd zajechał beżowy kombi. Była to Prescott Hughes (mów mi Scotty), matka kolegi Joeya z przedszkola.

- Dzień dobry. North już gotowy? - spytała.

Jej syn nazywa się Northrop Gollier Hughes i za czterdzieści lat, z etykietką dwóch imponujących imion i nazwiska, będzie dyrektorem CIA albo prezydentem Yale. Niezbyt mi to przeszkadza, North jest bowiem inteligentnym, pewnym siebie czterolatkiem i na pewno doskonale da sobie radę w przyszłości.

- Cześć, Scotty.

Podeszłam do schodów i zawołałam spokojnie:

- North, przyjechała twoja mama.

Normalnie zawołałabym dziecko tonem godnym moich dziadków z Lower East Side, ale opanowanie Scotty i jej lekko nosowy, charakterystyczny dla wyższej klasy głos, działały uspokajająco. North, kiwając się lekko, zszedł na dół. Przyglądałam się z podziwem, jak samodzielnie wkłada płaszcz i bez pomocy matki zapina guziki. Nawet go nie pochwaliła; dziecko wypełniło przecież tylko jeden ze swoich mniej ważnych obowiązków.

- Okropna historia z tym morderstwem - powiedziała Scotty, patrząc na otwarty „Newsday”. Miała zaciśnięte usta.

Poczułam się zaniepokojona, jakbym miała udział w ściągnięciu tego nieprzyjemnego przestępstwa do Shorehaven.

- Straszne - zgodziłam się. - Zaskakujące.

Scotty zacisnęła pasek na płaszczu z miękkiej, wielbłądziej wełny.

- Idziesz jutro na pogrzeb? - spytała.

- Właściwie - powiedziałam, przybierając zamyślony wyraz twarzy i przebiegając szybko listę możliwych odpowiedzi - jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

- Czuję, że powinnam tam pójść. Razem z jego szwagierką, Brendą Dunck, brałam udział w kampanii przeciw budowie kanalizacji.

Wreszcie będę wiedziała, do kogo mieć pretensję, kiedy szambo wybiję w umywalce w pralni.

- Ach tak, Brenda. - Zamyśliłam się, nadal rozważając różne możliwości.

- Mam nadzieję, że nie zabrmi to zbyt naiwnie - powiedziała - ale jak należy zachować się na żydowskim pogrzebie?

- Nie należy się śmiać. Pozwoliła sobie na lekki uśmiech.

- Dziękuję, Judith.

- Drobiazg. - Odwzajemniłam uśmiech. - Słuchaj, mogłabym pójść z tobą.

- Mogłabyś, Judith? Byłabym bardzo wdzięczna - przerwała. - Nie chcę cię jednak wyciągać z domu.

- Nie ma sprawy - zapewniłam ją, starając się o ciepły, łaskawy ton. - Zresztą i tak powinnam chyba złożyć rodzinie kondolencje.

- Dziękuję.

Z jej długiej, chudej twarzy trochę ustąpiło napięcie.

- Mogę po ciebie przyjechać? Za piętnaście dziesiąta? Pogrzeb jest o dziesiątej.

- Umówmy się na dziewiątą trzydzieści. O dziesiątej zaczyna się nabożeństwo, jednak kondolencje zazwyczaj składa się wcześniej.

- Oczywiście. Judith... Spojrzałam na nią.

- Jesteś niezawodna. Dziękuję.

Podniosła kołnierz płaszcza i wyszła, a za nią wybraniec losu - North. Kiedy szła ścieżką do podjazdu, próbowałam zrozumieć, dlaczego zwykle czuję się onieśmielona w obecności typowych Amerykanów: białych, anglosaskich protestantów, którzy zawsze ubierają się w grube, doskonałej jakości tweedy i bez względu na porę roku nigdy się w nich nie pocą. To nie jest kwestia pochodzenia. Rodzina Nancy przeszła na anglikanizm prawdopodobnie tego samego dnia co Henryk VIII i ma w drzewie genealogicznym Oglenthorpe'a, ale Nancy jest prawdziwa. Ma bolesne miesiączki, uważa, że Woody Allen jest śmieszny, i uwielbia włoskie salami. W ludziach takich jak Scotty jest jednak coś niezmiennie poprawnego, jakby byli zaprogramowani, by wiecznie wystrzegać się towarzyskiej gafy. Sukienki Scotty nigdy się nie gniołają, a jej dzieci zawsze mówią „dziękuję”, bez przypominania. Mogę się założyć, że nigdy nie ma woskowiny w uszach. Kiedy jestem przy niej, zawsze mam poczucie, że spodziewa się po mnie czegoś więcej, ale nie wiem czego.

Przynajmniej jutro, pomyślałam sobie, będę na swoim terenie: na żydowskim pogrzebie z mokrymi oczami i spoconymi dłońmi. Może zobaczę podejrzenie wyglądającego mordercę, czyszczącego paznokcie ostrym narzędziem. Może nie. Zawsze to lepsze niż odkładane od dwóch tygodni pranie.

Rozdział 5

Bracia Baum zajmują duży budynek z białej cegły, z niebieskim daszkiem nad wejściem frontowym i parkingiem na trzysta samochodów z tyłu. Budynek można by wziąć za hurtownię żywności, gdyby nie fakt, że przy wejściu wita przybywających jeden z kilku przystojnych, młodych mężczyzn - niewątpliwie Baum lub zięć Baumów - ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i wąski, ciemny krawat w paseczki. Kiedy pyta: „Czy mogę w czymś pomóc?“, głos ma smutny, ale kojący, jakby był świadomy, że musi powściągnąć smutek, by pełnić swoje obowiązki.

- Pogrzeb Flecksteina?

- Pierwsze piętro. Proszę skorzystać z windy.

Poszłam za Scotty. Zauważyłam, że drepcze i stawia małe kroczyki, niestosowne u tak wysokiej kobiety o długich nogach. Wyglądała, jakby w młodości wstydziała się swojego wzrostu i naśladowała chód jakiejś drobnutkiej koleżanki. Ubrana była bez zarzutu: w prostą, szarą sukienkę z białym kołnierzykiem i mankietami. Wszyscy na pewno pomyślą, że jest szczerze zasmucona, ale nie należy do grona najbliższych, nie jest członkiem rodziny. Mój czarny sweter i spódnica w kratę wydały mi się niestosowne. Zaczęłam się pocić pod pachami.

- Bardzo tutaj zimno - zauważyła Scotty, kiedy stanęłyśmy przed mosiężnymi drzwiami windy. - Może jest mi zimno tylko dlatego, że nie lubię pogrzebów.

Kiwnęłam głową i głośno przełknęłam ślinę. Dobrze wiedziałam, że nikt mnie nie zaatakuje, nikt nie wskaże palcem i nie spyta: „Dlaczego tu przyszłaś? Kogo z tej rodziny znasz?“ Jednak czułam się bardzo zażenowana. W dodatku mając u boku Scotty, będę musiała zachowywać się dzielnie; nie mogę teraz zmienić zdania i się wycofać.

Kiedy znalazłyśmy się na górze, weszłyśmy do pokoju, w którym czekała rodzina. Połowa spośród około stu osób

wydawała mi się znajoma. Widywałam ich wszystkich w Shorehaven: w sklepie samoobsługowym, w sklepie z pieczywem, na placu zabaw, na spotkaniach szkolnej Rady Rodziców. Moje oczy przyciągała jednak beżowa, skórzana kanapa. Siedziała tam Norma Fleckstein w otoczeniu kobiet i mężczyzn o smutnych twarzach. Nie mogłam zauważyć jej miny, ponieważ miała wielkie okulary przeciwsłoneczne, mimo że nie płakała. Kiedy przysunęłam się bliżej, usłyszałam, jak mówi: „Dziękuję” i „To chyba jeszcze do mnie nie dotarło”.

- To jego żona - odezwałam się cicho do Scotty. - Chcesz jej coś powiedzieć?

- Nie - odparła oschle, przyglądając się, jak mi się wydawało, długim, szczupłym nogom Normy, w matowych czarnych rajstopach. - Nigdy nie zostałam jej przedstawiona. Nie sędzę, żeby to było na miejscu.

- Dobrze - powiedziałam z lekkim żalem. Myślałam, żeby wypróbować swoją odwagę, podejść do Normy i złożyć kondolencje.

Scotty dotknęła mojego ramienia i szepnęła:

- To Brenda Dunck.

Wskazała głową na inną beżową, skórzaną kanapę, w drugim końcu pokoju, niedaleko wieszaka na płaszcze.

A więc to jest Brenda, żona Dicky'ego Duncka. Znam ją. Widziałam Brendę co najmniej kilkanaście razy. Należy do tego klubu, w którym pływam, kiedy poczuję, że moje ciało staje się już nie tylko pulchne, ale wręcz mięciutkie jak gąbka. Jest bardzo niska, około metra sześćdziesięciu, i szczupła, ale ma duży biust i wspaniałe czarne włosy, które czesze w kok, ułożony tuż nad szyją. Twarz ma brzydką: małe, orzechowe oczy, żółtawa cera. Tylko niewielki, ostry i haczykowany nos nadaje jej wyrazu. Teraz jednak wyglądała na załamana. Oczy

miała zaczerwienione, a po obu stronach twarzy widać było purpurowe plamy, ciemniejsze od różu na policzkach.

- Brendo, tak mi przykro - powiedziała Scotty, podając jej prawą dłoń.

- Scotty. To miło, że przyszedłeś. Bardzo ci dziękuję.

Brenda ożywiła się trochę na nasz widok. Może lubi Scotty. Może jej obecność była dla niej pociechą. Albo poczuła, że histeria jest nie do przyjęcia, a i płacz to lekka przesada.

- Brenda, pamiętasz Judith Singer.

- Tak, oczywiście. Dziękuję, że przyszedłeś.

Najwidoczniej nie miała pojęcia, kim jestem. Skoro jednak przyszedłam ze Scotty Hughes, to znaczy, że jestem osobą, którą powinna pamiętać.

Zamrugałam powiekami. Przełknęłam ślinę.

- Przykro mi, Brendo. To musi być dla was wielki szok. Zabrzmiało to cudownie szczerze.

- Och, tak... - stwierdziła. - To straszne. Absolutnie straszne. Oczywiście, przede wszystkim dla Normy i dzieci. Koszmar.

Nie wiem dlaczego, ale jej głos miał w sobie coś pretensjonalnego. Miałam ochotę szturchnąć ją pod żebro i powiedzieć: „Daj spokój. Mów normalnie”.

Odwróciła się do siedzącego obok niej mężczyzny; był to jej mąż, Dicky Dunck.

- Dicky, kochanie, pamiętasz Scotty Hughes. I Judith Singer.

- Tak. Tak. Jak zdrowie, miłe panie?

Jego bródka była za długa i nieprzystrzyżona. Wyglądał jak kozioł.

- Dziękuję - powiedziała Scotty.

- To dobrze - odparował. - Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się w przyjemniejszych okolicznościach - dodał Dicky. - Wspaniały facet odszedł w kwiecie wieku.

Pokiwałyśmy głowami, a Brenda zaczęła płakać.

- To wielka strata dla nas wszystkich - szlochała. Scotty wyjęła z torebki chusteczkę i podała jej.

- Och, nie chcę brudzić twojej chusteczki.

- Nie szkodzi - zapewniła Scotty.

- Kto to mógł zrobić? - zapytał Dicky. - Maniakalny zabójca. Dzisiaj nikt nie może czuć się bezpieczny. Był dla mnie jak brat.

Pokiwałyśmy znowu głowami. Brenda ostrożnie wydmuchała nos w chusteczkę Scotty, pocierając między palcami delikatny, irlandzki len.

Jeden z ubranych w czarne garnitury Baumów pojawił się w drzwiach, metr od nas, i oznajmił:

- Uprzejmie prosimy, żeby wszyscy, z wyjątkiem najbliższej rodziny, przeszli do sąsiedniego pokoju.

Było to wysokie pomieszczenie, wyłożone boazerią z klonu. Trumna, bez żadnych ozdób, z trochę ciemniejszego drewna, stała z przodu. Nad nią wisiała maleńka lampka, wieczne światło. Kiedy już wszyscy usiedli, do trumny podszedł bezgłośnie jeszcze inny Baum i powiedział:

- Bardzo proszę państwa o powstanie.

Wstaliśmy i przez drzwi frontowe weszła rodzina. Najpierw Norma w obcisłej sukience z czarnej wełny, rozjaśnionej jedynie długim sznurem dużych, lśniących pereł. Strój prosty i spokojny, odpowiedni dla wdowy, która jeszcze nie zdążyła stać się wesołą wdówką. U jej ramienia wisiała starsza kobieta, najpewniej matka doktora Flecksteina. Miała taki sam jak syn wielki nos i szerokie usta. Wyglądała jak zabalsamowana. Była jedną z tych kobiet w wieku więcej niż średnim, które dzięki dietom i operacjom plastycznym z

daleka wyglądają na czterdziestkę, ale z bliska są suche i kruche jak mumie. Za nimi szła dziewczynka, mniej więcej dziesięcioletnia. Jak dowiedziałam się z wydrukowanego wspomnienia pośmiertnego, młodych Flecksteinów było troje: dwóch chłopców i dziewczynka. To musiała być najstarsza z rodzeństwa, Nicole Kimberly. Nastąpiła krótka przerwa w procesji, po czym weszli Dunckowie. Brenda opierała się na Dickym, a on rozglądał się uważnie po kaplicy, jakby liczył głowy. Na końcu wszedł niski mężczyzna w czarnej szacie i lotniczych okularach, modnych kilka lat temu. Gestem pozwolił nam usiąść.

- Jak myślisz, kto to jest? - szepnęła Scotty.

- Rabin.

- Dlaczego nie ma nic na głowie?

- Jest reformowany - wyjaśniłam.

- Co?

- Normo, Nicole, pani Fleckstein, Brendo, Dicky - zaczął rabin - oraz krewni i przyjaciele. Co możemy powiedzieć o Brusie Flecksteinie?

Wpuść mnie za pulpit, to ci powiem, pomyślałam. Scotty spojrzała na mnie, a potem, nie wiadomo dlaczego, zarumieniła się i odwróciła wzrok. - Możemy, oczywiście, mówić o tym, jaką tragedią jest fakt, że tak porządny człowiek odszedł od nas w kwiecie wieku. Możemy uzalać się nad stratą dobrego lekarza. Utrata Bruce'a albo Marvinina, jak z miłością nazywała go jego kochana matka, jest utratą osi rodzinnego koła Flecksteinów, centrum ich świata. Yeats ujął to trafnie: „Środek nie wytrzyma”.

Najwyraźniej rzeczywiście nie, ponieważ Norma bardzo głośno westchnęła i zaczęła szlochać.

- Dobrze, że wreszcie sobie ulżyła - powiedziała do swojego męża siedząca przede mną kobieta. Wyglądała na

jakieś czterdzieści pięć lat i miała włosy zrobione w takie same pasemka jak Norma. Pewnie poznały się u fryzjera.

- Co możemy powiedzieć żonie Bruce'a, trójce jego wspaniałych dzieci, jego matce, rodzinie, przyjaciołom? - zamyślił się rabin.

Możesz powiedzieć, że ten, kto dał mu w prezencie urodzinowym polaroid, popełnił wielki błąd.

Rabin mówił, a ja rozglądałam się dookoła. Wszyscy wydawali się skupieni, może dlatego, że na pogrzebie człowieka, mniej więcej w swoim wieku, mogli usłyszeć, jak będzie brzmiała elegia przeznaczona dla nich. Wszyscy byli poważni, ale nie w podejrzany sposób. Czy to możliwe, żeby któryś z tych zwykłych, znanych mi ludzi, położył kres karierze Flecksteina - Don Juana i dentysty?

Rabin rąbnął pięścią w pulpit, jakby chciał mnie skarcić za brak zainteresowania jego przemową.

- Możemy dać się zalać plotkom, osaczyć insynuacjom - ciągnął - przydusić półprawdom i brudom środków masowego przekazu, zwanych dziennikami. Wszyscy jednak wiemy, jakim człowiekiem był Bruce Fleckstein. Wiemy...

Bardziej przeczułam, niż poczułam dygotanie i zerknęłam na Scotty. Oczy, pełne łez, otworzyła szeroko, żeby łzy nie popłynęły po policzkach.

- Scotty - powiedziałam łagodnie - coś się stało? Pokręciła głową, patrząc na rabina.

- Scotty?

- Nic mi nie jest - warknęła. Najpierw poczułam się zaskoczona. Scotty Hughes płacząca i zirytowana? Trudno było w to uwierzyć. Scotty jest osobą tak opanowaną, że zwykle najsilniejszym wyrazem jej uczuć bywa triumfalne machanie ręką podczas meczu tenisowego.

Potem zrozumiałam.

- Scotty - szepnęłam - miałaś romans z Bruce'em Flecksteinem?

Odwróciła głowę, żeby na mnie spojrzeć i znów zajęła poprzednią pozycję. Wiedziałam, że pogwałciłam etykietę, ale byłam uparta.

- Scotty, to ważne - szepnęłam. - Czy robił ci zdjęcia? Tym razem odwróciła się do mnie całym ciałem.

- Ty? - szepnęła.

- Nie. Koleżanka.

Patrzyłam, jak szpera w torebce, najwyraźniej w poszukiwaniu chusteczki, którą dała Brendzie. Sięgnęłam po swoją i podałam jej czystą, ale niewykrochmaloną chustkę. Przycisnęła ją do oczu.

- Scotty - zaczęłam od nowa.

- Myślę, że powiedziałyśmy już sobie dosyć, Judith.

Odwróciła się ode mnie, pokazując trochę więcej pleców niż pozwalała grzeczność. Nie było sposobu, żeby zmusić ją do mówienia. Z Mary Alice to inna sprawa, ponieważ łatwo nią manipulować, ale Scotty jest inteligentną, opanowaną kobietą. Bruce jednak dobrał się i do niej.

- .. że Bruce Fleckstein był mężczyzną, dobrym człowiekiem. Miał udaną rodzinę i pamięć jego ciepła, humoru i tysięcy drobnych uprzejmości stanie się treścią naszych wspomnień o nim, naszym dziedzictwem.

Znów przestałam zwracać uwagę na rabina i rozejrzałam się dookoła. W ławce po drugiej stronie przejścia zobaczyłam swojego dentystę, doktora Burnsa. Należał do gatunku spokojnych, był niski i opanowany, a w swoim gabinecie puszczał muzykę Chopina.

Kilka rzędów przed nim siedziała moja koleżanka, Fay Jacobs. Byłam zaskoczona. Skąd ona mogła znać Flecksteinów? Fay poznałam trzy lata temu, na konferencji Krajowej Organizacji Kobiet, gdzie prowadziłam seminarium

na temat uczestnictwa kobiet w ruchu politycznym wspomagającym najsłabsze grupy społeczne. Zaczęłyśmy rozmowę i okazało się, że mieszkamy jakieś półtora kilometra od siebie. Fay była po pięćdziesiątce, niska, krępa, muskularna jak robotnik portowy i miała źle przycięte, siwe włosy. Nie nosiła makijażu, z wyjątkiem jaskrawoczerwonej szminki, która zawsze rozmazywała się, nadając jej ustom wyraz zadowolenia. W latach czterdziestych zaczęła uczyć historii w liceum w Shorehaven i zajmuje się tym do dzisiaj. Jest całkowicie oddana swojej pracy i uczniom. Przepadam za nią.

- Jakże pięknie ujął to Woodsworth... - mówił rabin. Przekonana, że cytat nie będzie trafny, odwróciłam wzrok od Fay i zerknęłam na Scotty. Duże, kościste dłonie ścisnęły poręcz fotela, a zaczerwienione oczy wpatrywały się bez jednego mrugnięcia w wieczne światło. Czyżby przyszła do braci Baum na krótkie pożegnanie, ostatnie spotkanie z kochankiem, który wniósł namiętność i spontaniczność w jej spokojne, poprawne życie? A może chciała się upewnić, jakim zepsutym, podstępny skurwysynem był zmarły?

- Pan jest moim pasterzem - usłyszałam w oddali. Ile kobiet poszło z nim do Tudor Rose Motor Inn, becząc z podniecenia? Czy ja mogłabym być jedną z nich? Czy gdyby Marvin Bruce powiedział mi, że jestem osobą o wielkiej głębi, niesłychanie inteligentną, pozwoliłabym zaprosić się na jedno swawolne popołudnie?

Jeszcze tylko kadisz (kadisz - modlitwa za zmarłych (przyp. red.)) żałobników, błogosławieństwo i krótkie ogłoszenie: „Rodzina odbędzie sziwę (sziwa - siedmiodniowy okres żałoby, którą rodzina zmarłego spędza na modlitwach (przyp. red.)) w domu pani Normy Fleckstein. Adres: Fieldstone Road numer 14, Shorehaven Północne”. Określenie „Północne” podnosi cenę domu o blisko siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Każda z położonych tam nieruchomości ma

co najmniej: wodę źródlaną, centralną klimatyzację i około ośmiuset metrów kwadratowych pięknie zadrzewionego terenu.

Siwa kobieta przede mną odwróciła się do swojego męża:

- W domu pani Normy Fleckstein. Nie mogę w to uwierzyć.

- W co nie możesz uwierzyć? - spytał.

Miał około pięćdziesiątki, nosił włosy długie jak nastolatek, ubrany był w brązową, sztruksową marynarkę z zamszowymi łatkami na łokciach. Nie pasowali do siebie. Ona: dama wystrojona w „Bloomingdale”, ubrana w szarą, kaszmirową sukienkę, a na rękach miała ciężkie bransolety. On powinien dostosować się do niej, wkładając obcisłą koszulę i garnitur od Cardina. Tymczasem - jakby dla podkreślenia dzielącej ich przepaści albo w celu ukrycia zbyt obfitego brzucha - zdecydował się na styl swobodny. Prawdopodobnie niepoprawnie cytował Bubera swoim dziewiętnastoletnim przyjaciółkom.

- Wiesz, nie mogę uwierzyć, bo przecież jeszcze kilka dni temu był to dom Bruce'a i Normy, a teraz jest domem pani Normy Fleckstein. Właśnie w to nie mogę uwierzyć.

Któryś z Baumów wszedł do środka i znów prosił nas o powstanie. Wstaliśmy i rodzina zaczęła powoli opuszczać salę.

Odwróciłam się do Scotty, żeby spytać, czy jest gotowa do wyjścia, ale już jej nie było. Widziałam, jak przeciska się przez tłum, kierując się

ku tylnemu wyjściu. Ludzie wysypali się z ławek; niektórzy sprawiali wrażenie lekko nieprzytomnych, inni radośnie machali rękami do przyjaciół. Po pogrzebowej ciszy podniosła się potężna fala głosów: „Jak się masz?”, „Boże, nienawidzę pogrzebów”, „Jak się czuje Martynika?” Przepchnęłam się do Fay Jacobs.

- Judith. Jak żyjesz? - spytała, uśmiechając się do mnie promiennie i poprawiając ramiączko biustonosza. Wytłumaczyła moją obecność stojącej obok kobiecie: - Judith jest moim ulubionym historykiem od czasów Commangera.

Kobieta wyglądała, jakby była trochę zaskoczona, po czym uznała, że Fay powiedziała dowcip. Zaśmiała się, przeprosiła i szybko odeszła.

- Fay, miło cię widzieć. Nie miałyśmy okazji rozmawiać ze sobą już chyba kilka miesięcy.

- Wiem. Może zjemy razem lunch? No, Judith, tylko mi nie odmawiaj. Wzięłam dzień wolny i całe popołudnie mam tylko dla siebie.

Przez chwilę myślałam.

- Dobrze, ale o wpół do trzeciej muszę odebrać Joeya od kolegi.

- Nie ma sprawy - stwierdziła. - Mam ochotę zrobić sobie dzisiaj przyjemność. Chodźmy gdzieś, gdzie będzie spokojnie i elegancko.

- Może do Quelle Crepe? Mają tam niezłą sałatkę nicejską.

Włożyła swój przydługi płaszcz w czerwoną kratę i powoli go zapinała. Stawy palców miała opuchnięte z powodu reumatyzmu i nawet ta prosta czynność sprawiała jej ból.

Wyszłyśmy na zewnątrz. Mrugając oczami porażonymi jasnym słońcem, przyglądałyśmy się karawanowi i posuwającym się za nim limuzynom i samochodom.

- Nie wiedziałam, że ich znasz - oznajmiła Fay. - Chyba nie byliście zaprzyjaźnieni, prawda?

- Nie.

- W takim razie, dlaczego przyszłaś?

- Nie wiem, Fay. Właśnie ogoliłam sobie nogi i szukałam okazji do włożenia spódnicy, żeby je pokazać.

- Judith - uśmiechnęła się - daj spokój. Dlaczego?

- Naprawdę nie wiem, Fay. Matka jednego z kolegów Joeya powiedziała, że idzie, i zgodziłam się jej towarzyszyć. Zwykły kaprys. Ciekawość. Nie wiem.

Poszliśmy na parking. Fay machała ręką co drugiej osobie. Mieszka w Shorehaven tak długo, że zna tu prawie wszystkich. Jest stałą klientką tutejszych sklepów, uczy tutejsze dzieci, pracuje z tutejszymi ludźmi na niezliczonych jarmarkach i wyprzedazach.

- Jak poznałaś Flecksteinów? - spytałam.

- Może wolałabyś porozmawiać o rewizjonistycznych poglądach na temat Kennedy'ego?

- Nie.

Otworzyła torebkę i wyjęła kluczyki.

- Chodził do szkoły z moim siostrzeńcem, Rogerem. Radziłam Rogerowi, żeby otworzył tutaj gabinet, ale jego najmłodszy syn choruje na astmę, więc przeprowadzili się na Zachód. Roger powiedział Bruce'owi o Shorehaven i kiedy tylko Norma i Bruce sprowadzili się tutaj, przyszli do mnie parę razy na obiad. Chciałam poznać ich z kilkoma małżeństwami w podobnym wieku.

- Bardzo miło z twojej strony - zauważyłam. Uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Fay, jaki on był? Tak naprawdę?

- Ty byś go nie rozumiała. Prowadzisz przyzwoite, proste życie. Z trudnością otworzyła drzwi, niezdolna mocno chwycić za klamkę.

- Na miłość boską, Fay, co ty pleciesz? O co ci chodzi z tą przyzwoitością? Co zamierzasz? Wyjaśnić mi wszystko, jak już będę dorosła?

Spojrzała na mnie i lekko się zarumieniła.

- Przepraszam. Nie chciałam cię urazić. Słuchaj, pojedziemy do restauracji i powiem ci wszystko, co wiem o Flecksteinach. Jeśli cię to interesuje.

- Jeśli mnie to interesuje? Czy byłabym tutaj, gdyby mnie nie interesowało?

- No dobrze - westchnęła. - Ale to nie jest zbyt przyjemna historia. Dowiesz się, dlaczego Bruce nie żył długo i szczęśliwie.

Rozdział 6

Ile, s 'il vous plait? - spytała gospodyni, przyciężka kobieta w średnim wieku, ubrana w ozdobiony wstążkami francuski strój regionalny.

- Deux - odpowiedziałam i poszłam za nią po podłodze wykładanej ciemnoczerwonym linoleum we wzorek w cegły do stojącego w rogu stolika.

- Czi to dopsze? - spytała. Miała nedorzeczny, francuski akcent. Była Amerykanką francuskiego pochodzenia, która nigdy nie nauczyła się ojczystego języka.

- Oui - odparłam.

Uśmiechnęła się do nas miło i odeszła, najwyraźniej zadowolona, że mogła rozmawiać po francusku.

Quelle Crepe otwarto w latach sześćdziesiątych, kiedy tłumy młodych małżeństw przeniosły się tu z Brooklynu i Queens. Nie uznając podmiejskiego stylu życia sąsiadów - zawsze to samo towarzystwo, krąg sosen i barbecue - serwowali coq au vin, a sobotnie wieczory spędzali na Manhattanie, w teatrze lub operze. Co prawda ich synowie wstępowali do dziecięcych klubów sportowych, ale sprawność fizyczna miała przecież imprimatur Kennedy'ego. Damy - wówczas jeszcze nie były kobietami - przechodziły obok herbaciarni, które odwiedzali starzy mieszkańcy przedmieścia, i szły do Quelle Crepe, gdzie za kilka dolarów można było dostać lampkę wina i crepe et fromage albo fromage et oeufs, albo fromage et oeufs et jambon, albo nawet fromage et oeufs et jambon et asperges (coq au vin - kogut w winie, klasyczna francuska potrawa, crepe et fromage - francuskie naleśniki z setem, fromage et oeufs et jambon - ser i jaja z szynką, fromage et oeufs et jambon et asperges - ser i jaja, i szynka ze szparagami.).

Zrezygnowałyśmy z oferowanego menu i zamówiłyśmy sałatkę i kawę. Fay przejechała zniekształconymi przez

reumatyzm palcami po swojej zrujnowanej fryzurze i się uśmiechnęła.

- A więc? - spytałam.

- Więc? Chcesz wiedzieć wszystko o Flecksteinach?

- Wszystko.

- Wiesz, Judith, „wszystko” wykracza poza granice moich możliwości. Uważałam, żeby nigdy nie przekroczyć granicy poufałości.

Przyniesiono sałatki. Fay uważnie wyjęła ze swojej oliwki i ułożyła je na brzegu talerzyka.

- Najciekawsze jest to, że w żadnym z nich nie było nic interesującego.

Zrobiła przerwę.

- Co masz na myśli? - spytałam.

- Nie byli nieinteresujący w tym sensie, żeby uznać ich za głupich albo nudnych. Bruce sprawiał naprawdę sympatyczne wrażenie. Kiedy przyszli do mnie po raz pierwszy, rozmawiał ze wszystkimi i wydawało się, że zainteresował go nawet Lou Sherman. Lou, jak pamiętasz, jest członkiem rady Towarzystwa Historycznego North Shore. Bruce zadawał mu mnóstwo pytań dotyczących historii Shorehaven i Lou bardzo się rozgadał. Nie wiem dlaczego, ale czułam, że wcale nie interesuje go to, o czym Lou mówił.

- Chodzi ci o to, że starał się zrobić jak najlepsze wrażenie?

- Nie. Nie tylko. On chyba czuł, że kiedyś odrobina wiedzy o lokalnej historii może mu się przydać. Pozwolił Lou wygłosić krótki wykład i zanotował sobie to wszystko w pamięci. Nie wiem, ale było w nim coś...

- Co?

- Zaczekaj.

Nadziała na widelec kawałek sałaty i tuńczyka.

- Był jakby zaprogramowany na sympatyczność. Miły dla wszystkich, zainteresowany każdym w takim samym stopniu.

- Kto jeszcze przyszedł na przyjęcie?

- To działo się tak dawno temu... Zaczekaj... Shermanowie, Burnsowie...

- Dentyści? - spytałam.

- Tak. Joe i ja. To chyba wszyscy.

Joe, mąż Fay, wiceprezes miejscowego banku, jest człowiekiem tak cichym i nijakim, że często zapomina się o jego istnieniu.

- Dobrze - powiedziałam. - A co z Normą? Jaka jest?

- Miła.

- Miła? Po tym, co powiedziałaś w domu pogrzebowym, spodziewałam się czegoś więcej niż „miła”.

- Bo była miła, tak samo sympatyczna jak on. Przybrała równie przyjacielską postawę w stosunku do wszystkich. Pamiętam, że myślałam, iż jest bardzo atrakcyjna jak na całkiem zwyczajną, w zasadzie, kobietę. Bardzo zadbana i pięknie ubrana, a przecież wtedy jeszcze nie mieli dużo pieniędzy. Nic więcej nie mogę ci o niej powiedzieć. Zadawała pytania całkiem na miejscu: o szkoły i takie tam rzeczy. Robiła też to, co wypada.

- Chodzi ci o to, że nie dłubała w nosie podczas obiadu?

- Nie. - Fay się uśmiechnęła. - Dopiero przy ostrygach. Przyniosła sympatyczny, niewielki prezencik. Rozmawiała ze wszystkimi. Przesłała mi kartkę z podziękowaniem za miły wieczór.

- Myślisz - spytałam, trzymając pomarszczoną oliwkę między kciukiem a palcem wskazującym - że robiła wrażenie takiej słodkiej, bo była zdenerwowana albo onieśmielona? Bała się nowego otoczenia?

- Myślę, że to możliwe - zgodziła się Fay. - Ale dziwne. Nic się nie wydarzyło. Zazwyczaj jest tak jak z dziećmi: w

trakcie pierwszych dni w szkole, mimo że starają się zachowywać jak najlepiej, można się o nich wiele dowiedzieć. Ich osobowość daje o sobie znać. Zawsze mogę odróżnić inteligentne od tych, które mają jakieś problemy, i tych, które przez cały semestr nic nie będą robiły. Ale Norma, wiesz, wydawała mi się nieprzenikniona.

- A jaka była?

- Miła. Atrakcyjna. Dość inteligentna.

- Jak odnosiła się do męża?

- Uwielbiała go. To dało się zauważyć. Zawsze, kiedy mówił, koncentrowała się na każdej perle spadającej z jego ust. Wiesz, gdyby powiedział, że wychodzi do toalety, uznaliby to za ekscytująco błyskotliwe i bardzo głębokie.

- A jak on ją traktował?

- Wydawał się bardzo oddany; robił wszystko, co wzorowy mąż powinien: uśmiechał się do niej, podawał ogień.

Przyniesiono kawę i za obopólną zgodą zrobiliśmy przerwę, chociaż dalej nie rozumiałam, co Fay tak we Flecksteinach zaniepokoiło; musiało być coś więcej. Przez kilka minut rozmawiałyśmy o jej klasach dla uzdolnionych uczniów i o seminarium o wojnie secesyjnej dla absolwentów szkół średnich.

Potem Fay spytała:

- Napiłabyś się jeszcze kawy?

- Tak. I chętnie posłucham o Flecksteinach. Spojrzała na mnie i niespokojnie poruszyła się na krześle.

- Skoro byli tak najzupełniej normalni, to dlaczego ich nie lubiłaś? Co się stało?

- Trudno powiedzieć, kiedy to się zaczęło. Ach, wiem. Mniej więcej tydzień po przyjęciu zadzwoniła do mnie Jean Burns, niby po to, żeby mi podziękować. Zaczęła jednak wypytywać o Bruce'a i jego stosunki z Normą.

Przerwała na chwilę.

- Judith, to musi zostać między nami.
- Z pewnością - zapewniłam, patrząc jej prosto w oczy.
- Zanim odłożyłam słuchawkę, byłam przekonana, że coś się wydarzyło albo wkrótce wydarzy między Jean a Bruce'em.
- Spytałaś ją?
- Nie. Nie mogłam. Nie jesteśmy przyjaciółkami.

Przypomniałam sobie swoje zachowanie wobec Scotty i zrozumiałam, że Fay jest o wiele bardziej dyskretna niż ja.

- W każdym razie - ciągnęła - mniej więcej miesiąc później spotkaliśmy Burnsów w restauracji i Dennis spytał, czy mieliśmy jakiś kontakt z Bruce'em. Powiedziałam, że nie, a on na to, że odesłał do Bruce'a kilku pacjentów i że wszyscy wydają się z tego bardzo zadowoleni. Staliśmy tak, uśmiechając się i rozmawiając, i nagle spojrzałam na Jean: wyglądała, jakby chciała schować się pod stół i umrzeć. Robiła wrażenie, że jest po prostu straszliwie zażenowana. Pomyślałam wtedy, że Bruce zachował się bardzo nieprzyzwoicie. Przyprawił rogi mężczyźnie, który starał się mu pomóc. Naprawdę, Judith, nie przesadzam. Później z dwóch różnych źródeł słyszałam, że między Bruce'em a Jean coś zaszło.

- Wygląda na to, że był rzeczywiście słodkim chłopcem. Fay wzięła głęboki wdech.

- To nie wszystko.

Fay wyznała, że w ciągu następnych lat słyszała liczne plotki o romansach Flecksteina, o związkach łączących go z kilkoma kobietami. Dwie czy trzy nie pracowały, ale nie wymieniła ich z nazwiska. Jedna doskonale radziła sobie w handlu nieruchomościami, a jeszcze inna - co naprawdę dziwiło Fay - była aktywistką ruchu feministycznego.

- Wcześniej czy później musiał popaść w kłopoty - dodała.

- Czy jest coś, co mogłoby je wszystkie łączyć? - spytałam, myśląc o Mary Alice i Scotty. - Czy Jean Burns jest Żydówką?

- Tak - powiedziała Fay - ale nie wszystkie są żydowskiego pochodzenia.

Tak myślałam, ale to zniszczyło moją pierwszą teorię: zemsta etniczna za związanie się z gojką.

- Wszystkie należały do klasy średniej i były zamężne.

- Mężowie?

- Wszyscy dobrze ustawieni, jeśli się nad tym zastanowić: lekarze, dentyści, prawnicy, maklerzy, biznesmeni.

- Mężczyźni zbyt zajęci, żeby mieć czas dla żon? - Podsunęłam nową teorię.

- Daj mi pomyśleć. Nie, chyba nie. Przynajmniej w dwóch przypadkach mężowie są szczerze oddani żonom. Na przykład Dennis Burns. Bruce jakby szukał znajomości wśród ludzi dobrze sytuowanych.

- A co z Normą? - spytałam. - Myślisz, że wiedziała?

- Chyba nie. Wiesz, Judith, znałam kilku mężczyzn, którzy mieli problem z tym, co noszą w spodniach, i jestem przekonana, że motywacją ich pozamałżeńskich związków nie jest seks. Zazwyczaj, wybacz mi, ciupciają inne kobiety, żeby w symboliczny sposób wyciupciać swoje żony. Z Bruce'em działało się inaczej. Dla Normy był zawsze słodki jak gołąbek i w jej obecności nigdy nie pozwalał sobie na flirty.

Zajrzała do swojej filiżanki.

- Wiesz, zazwyczaj nie wypowiadam się na temat prywatnych spraw innych ludzi, ale w Brusie było coś niebezpiecznego.

- W jakim sensie? - spytałam, podobnie jak ona ścisząc głos.

- Wiem, że to zabrzmie melodramatycznie, ale miałam wrażenie, że jest czystym złem, jak wąż w Edenie. Bardzo

śliski i bardzo zepsuty. Niszczący wszystko, czego dotknie. Nie tak jawnie jak Hitler, ale jednak.

- Churchill mówił o Hitlerze: „Ten zły człowiek, Hitler”. Pamiętasz?

- Tak. Ale Bruce wydawał mi się bardziej subtelny niż Albert Speer. Zło było jego wyborem, a nie odpowiedzią.

- Boże! - westchnęłam.

- Widzisz, niesamowity doktor Fleckstein nie miał w sobie nic boskiego. Wiesz, od zawsze jestem bardzo religijna i przestrzegam żydowskich zwyczajów, ale już od dłuższego czasu obiecuję sobie, że będę się bardziej pilnowała pod tym względem. Myślałam, że nie jest rzeczą słuszną osądzać innych, ale im dłużej żyję i im dłużej studiuje historię, tym bardziej wierzę, że potrzebna jest ocena moralna. Bruce Fleckstein był złym człowiekiem.

- A więc jesteś przekonana, że to nie są zmyślane pogłoski? Uśmiechnęła się.

- Tak, to wszystko prawda. Wiem to z całą pewnością, ponieważ próbował mnie uwieść.

Na szczęście udało mi się powściągnąć okrzyk: „Ciebie?!” Każdy, kto pozna Fay, szybko zauważy, że jest ujmującą osobą, ale nie należy do typu rozniecającego ogień w biodrach podrzędnego, podmiejskiego Don Juana.

- Opowiedz - poprosiłam.

Bezbarwna, przeciętna twarz Fay wyglądała smutno. Jej szminka zniknęła wraz z sałatką i usta zlały się z resztą twarzy, widać było tylko kilka głębokich zmarszczek biegnących w kierunku brody. Czuła się bardzo zażenowana, ale nie miałam pewności, czy to z powodu swojej naturalnej małomówności, czy też dlatego, że wspomnienia nadal budziły w niej żywe emocje.

- A więc, jakieś dwa miesiące po wizycie w naszym domu, Norma zadzwoniła i zaprosiła nas na obiad. Poszliśmy,

było dość przyjemnie i tyle. Przynajmniej tak mi się wydawało. Jednak w poniedziałek, około czwartej, kilka minut po moim powrocie do domu ze szkoły, zadzwonił Bruce - zawahała się. - To jest zbyt żenujące.

- Jeśli nie chcesz... - zaczęłam.

- Nie, mogę ci opowiedzieć. Na początku oświadczył, że było mu niezwykle miło w moim towarzystwie i że mnie podziwia. Pamiętam, że stwierdził, iż mam bystry umysł. Potem dodał: „Jesteś bardzo atrakcyjna”.

- Co powiedziałaś?

- Podziękowałam i spytałam, jak się ma jego urocza żona, Norma. Udał, że nie usłyszał, i zaprosił mnie na obiad.

Zrobiła krótką przerwę, po czym wydała dźwięk pośredni między chrapnięciem a nerwowym chichotem.

- Powiedziałam mu, że moja przerwa obiadowa trwa czterdzieści pięć minut, z czego trzydzieści poświęcam na sprawdzanie prac pisemnych.

- Zrozumiał? - spytałam.

- Tak. Udało mu się zachować do końca elegancko. Powiedział coś, co miało znaczyć, iż nieczęsto spotyka się tak inteligentną, wrażliwą kobietę i to wielka szkoda, że nie możemy umówić się na spotkanie.

- Może mówił szczerze, Fay.

- Judith, wiem, kim jestem. Osobą dość inteligentną, kompetentną i interesującą. Mówiąc między nami, byłabym zachwycona, gdyby jakiś młody mężczyzna przyszedł, klęknął przede mną i chciał zostać moim wasalem, szczególnie, gdyby adorował mnie nie tylko z daleka. Ale nie jestem ładna. Nie należę, jak to się dzisiaj mówi, do seksownych kobiet. Byłam starsza od Flecksteina o dobre dziesięć lat i wiem, że myślał sobie: „Oto zwyczajna, nudna, przechodząca menopauzę kobieta, która okaże mi nieskończoną wdzięczność za to, że zwróciłem na nią uwagę”.

Pokręciłam głową.

- Jesteś wobec siebie niesprawiedliwa, Fay.

- Może jestem niesprawiedliwa, ale za to szczerą.

Bawiła się medalionem, który nosiła tego dnia. Powiedziała, że wobec nalegania jej męża spotkali się z Flecksteinami jeszcze kilka razy. Joe, pracownik bankowy, uważał, że Fleckstein potrafi wyczuć sukces, i miał nadzieję, że co nieco przy tej okazji i jemu wpadnie w ręce. W końcu Fay oznajmiła, że uważa Flecksteinów za bardzo nudnych i nie chce się z nimi więcej widywać. Joe przystał na to.

- Więcej ich nie widziałaś?

- Nie, ale Joe widywał się z Bruce'em w interesach. Dlatego przyszedłam na pogrzeb; Joe ma dzisiaj spotkanie, którego nie mógł odwołać.

- Nigdy mu nie powiedziałaś o wynurzeniach Flecksteina?

- Nie. A co dobrego mogłoby z tego wyniknąć? W każdym razie w końcu i Joe rozczarował się co do Bruce'a. Schwagier Flecksteina, Dicky Dunck, osiem miesięcy temu poprosił Bruce'a, żeby poręczył w banku pożyczkę. Joe mówi, że Dicky umie zarobić pieniądze, ale miał wówczas problem z płynnością czy z czymś takim. Dla Bruce'a nie oznaczało to żadnego ryzyka, ale się nie zgodził. Poprosił mego męża, żeby zadzwonił do Dicky'ego i zawiadomił go, że odmawia. Był to bardzo niezręczny sposób załatwienia sprawy.

- Na co Dicky potrzebował pożyczki? - spytałam.

- Och, zdaje się, że na nowy sprzęt. Ach, czekaj, żeby mieć na wypłaty. Tak. Joe powiedział, że gdyby nawet było jakieś ryzyko, te dziesięć tysięcy to drobnostka dla człowieka tak mającego jak Bruce. Joe nie mógł zrozumieć bezwzględności Flecksteina.

Fay przejechała zniekształconym palcem po ustach.

- Chyba nie powinnam mówić o tych sprawach, ale to było takie okrutne, takie denerwujące.

Pochyliłyśmy się nad drogą filiżanką kawy, dopóki nie przyszła kelnerka z rachunkiem. Obydwie sięgnęłyśmy po niego.

- Pozwól - upierała się Fay. - Zaprosiłam cię na lunch.

- Daj spokój. Pozwól mi mieć gest - argumentowałam. - Mam ochotę zamknąć oczy i udawać, że jestem dorosłym człowiekiem, który ma własne pieniądze na swoje wydatki.

Zapłaciłyśmy rachunek po połowie i powoli poszłyśmy w kierunku drzwi. Po drodze obydwie kiwałyśmy głowami znajomym.

- To taka mała mięscina - zauważyła Fay.

Podrzuciła mnie do domu. Zwaliłam się na kanapę, uszczęśliwiona nadzieją na pół godziny ciszy. Zrzuciłam buty i zaczęłam bawić się nitką przy rajstopach. W ciągu kilku sekund wydzieliłam maksymalne ilości adrenaliny. Masz swoje zajęcia, zobowiązania, których musisz dotrzymać, pomyślałam niechętnie.

Naturalnie posłuchałam. Wstałam, poszłam do kuchni i stanęłam kompletnie skołowana. Co mam zrobić? Bruce? Norma? Fay? Scotty? Ach, Mary Alice. Mary Alice potrzebuje dobrego prawnika. Tak, miałam zadzwonić do Claymore'a Katza. Claymore na pewno będzie wiedział, co robić. Jak na absolwenta jednego z najbardziej szanowanych uniwersytetów i dobrze sytuowanego prawnika, ma sporo życiowej mądrości. Kiedyś powiedział mi, że jego klient miał wypadek. Spytałam, co się stało. „Znalazł się na drodze lotu pocisku wystrzelonego z pistoletu”.

Jeśli do niego zadzwonię, zdenerwuję Boba. Spyta lodowatym tonem, co mi się stało? Dlaczego się w to mieszam? Mogłam przecież powiedzieć mu o sytuacji Mary Alice i o tym, że potrzebny jest jej jakiś prawnik. Ale co

powie Bob? „Mam ją w dupie. Jej męża stać na dobrego prawnika. Trzymaj się od tego z daleka”.

Stałam i patrzyłam na telefon. Dlaczego nie miałabym zadzwonić? Claymore jest również moim przyjacielem. Na przyjęciach rzuca się na mnie jak sęp, zagania w kąt i mówi: „Judith, moja rozkoszna, moja urocza”. Opowiada mi o życiu, o historii: „Jeśli usłyszę jeszcze jedno słowo dotyczące ulg podatkowych, dostanę mdłości. Boże, co się z nimi stało? Dlaczego zrobili się tak niezdolnie nudni? Jak nam udało się tego uniknąć?”

Dość nerwowo odszukałam i wykręciłam numer Claymore'a. Panią w centrali przywitała mnie radosnym:

- Burton, Furn, Ziss i Katz. Dzień dobry.

- Biuro pana Katza - odezwała się sekretarka Claymore'a tonem jeszcze bardziej radosnym. Czy mam zmienić głos, podać fałszywe nazwisko? Bob często dzwoni do Claymore'a. Co pomyśli sekretarka, kiedy usłyszy, że dzwoni pani Singer? Czy mężczyzna i kobieta mogą być przyjaciółmi? Czy też nie?

- Biuro pana Katza - powiedziała jeszcze raz.

- Proszę z panem Katzem.

- Kogo mam przedstawić?

- Pani Singer.

- Halo! - Głos Claymore'a był gładki, czysty i głęboki. Słuchając go, można było wyobrazić sobie, że rozmawia się z samym Bogiem albo przynajmniej z mężczyzną mającym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, a nie z niskim, pękatym człowiekiem z dużym nosem i sumiastymi wąsami. Tak w rzeczywistości wygląda Clay.

- Cześć, Clay. Judith Singer.

- Judith - powiedział pełnym ciepła głosem. - Dlaczego od razu nie powiedziałaś „Judith”? Kiedy usłyszałem „Pani Singer”, myślałem, że to jakaś nudna urzędniczka z prokuratury. Jak się czujesz urocza, inteligentna ludzka istoto?

- Dobrze, Clay. Słuchaj, mam do ciebie wielką prośbę.
- Proś, o co chcesz. Czy Dante mógłby odmówić Beatrice?

- Clay, słuchaj, chciałam o czymś z tobą porozmawiać. Moglibyśmy zjeść razem lunch w przyszłym tygodniu?

- Tak. Oczywiście. Czy to coś ważnego?

- Dostyć. Jaki dzień będzie najlepszy?

- Zajrzę do kalendarza. W poniedziałek cały dzień będę na mieście. Wtorek, dobrze? Mam spotkanie komitetu Bar Association, na którym wszyscy siedzą i chrząkają, żeby sprawdzić, kto nazbierał najwięcej flegmy, ale chętnie się z tego urwę. Około pierwszej? Spotkajmy się u mnie w biurze. Pójdziemy do jakiejś nieznośnie eleganckiej restauracji.

Zamyśliłam się. Firma Claymore'a zajmuje się wszystkimi prawnymi sprawami Singer Associates.

- Wtorek mi odpowiada, ale wolałabym spotkać się w restauracji. Nie chciałam wpaść na teścia albo na kogoś ze szwagrów, gdyby przypadkiem znaleźli się w biurze.

Claymore zrobił krótką przerwę. Słyszałam, jak przełyka ślinę.

- Oczywiście. Rozumiem, że nie chcesz, żeby Bob o tym wiedział.

- Właśnie. Wyjaśnię ci to podczas spotkania.

- Dobrze. Możemy spotkać się u Orsiniego. O pierwszej.

- Wspaniale, Clay.

Może zobaczę Jackie Onassis albo przynajmniej Lee Radziwiłł?

- Słuchaj, jestem ci bardzo wdzięczna.

- Do miłego zobaczenia, Judith.

Delikatnie odłożyłam słuchawkę i zaczęłam martwić się tym, co na siebie włożę. Decydując się na dożywocie w Shorehaven, straciłam kontakt z modą panującą na Manhattanie. Wiedziałam, że moja spódnica w kratę nie

będzie pasowała, ale nie miałam pojęcia, w co mogłabym się ubrać. Zdesperowana zadzwoniłam do Nancy, która kazała mi włożyć zwykłą sukienkę i obiecała ozdobić ją swoją apaszką i kilkoma strategicznie rozmieszczonymi złotymi łańcuszkami.

- Dzięki - powiedziałam. - A tak przy okazji, zgadnij, gdzie dzisiaj byłam?

Nie mogła zgadnąć, więc wytłumaczyłam jej, co zaobserwowałam na pogrzebie Flecksteina.

- To wspaniałe, Judith. Chodząc na pogrzeby, można usłyszeć wszystkie nowinki. Nasze damy mogłyby zamiast na tenisa tylko chodzić składać kondolencje. Pomyśl. Trzeba by mieć więcej ubrań, a sukienki są o wiele bardziej interesujące niż szorty do tenisa. Jaki zysk dla przemysłu odzieżowego! I jak wiele rodzin uszczęśliwiłyby dowody popularności ich zmarłych. W dodatku słuchając pastorów i rabinów, można by się nieźle doksztąpić. Judith, słyszałaś kiedyś requiem? Jest wspaniałe.

- Zrobiłaś coś w sprawie zlecenia od którejś z gazet?

- Tak.

- Och! Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Dlaczego nie spytałaś? - Nancy użyła głosu słodkiego jak Melania Wilkes. - W każdym razie zadzwoniłam w kilka miejsc, ale nikomu nie zależy na Brusie Flecksteinie. Są śmiertelnie znudzeni przestępczością w podmiejskich osiedlach i pornografią. Może powinnam pytać, czy nie interesują ich choroby dziąseł.

- A więc nic nie zdobyłaś? - spytałam.

- Oczywiście, że zdobyłam. Piszę dla „New York” artykuł o człowieku uciekającym z podmiejskiego osiedla; o ludziach, którzy mają po dziurki w nosie wzajemnego podwożenia się do pracy i decydują się wrócić do miasta.

Przyłożyłam słuchawkę do drugiego ucha. Może źle zrozumiałam.

- Ależ, Nancy, to nie ma nic wspólnego z morderstwem.
- Co z tego?
- Obiecałaś Mary Alice, że spróbujesz jej pomóc.
- Próbowałam, ale mi się nie udało. Słuchaj, mam w dupie Mary Alice. Mój zawód polega na pisaniu tekstów, do jasnej cholery. Jeśli chce, niech zdobędzie te zdjęcia i zrobimy książkę. Ja napiszę komentarz.

- Więc jej nie pomożesz? - zapytała zagniewana, podnosząc głos. - Cholera, nie możesz przedstawić policji umowy z „New York”? Możesz powiedzieć, że jednym z powodów, dla których ludzie opuszczają przedmieścia, jest rosnąca przestępczość i że przypadek Flecksteina jest świetnym przykładem?

- Ten numer nie przejdzie, kochanie.

W tej chwili uświadomiłam sobie, że Nancy od początku nie chciała mieć nic wspólnego z Mary Alice i jej problemem. Zgodziła się udzielić pomocy dlatego, że stworzyło to zręczną okazję do wywinięcia się z tej historii. Spróbowałam użyć ostatecznego argumentu.

- Nie możesz do końca życia unikać angażowania się w sprawy innych ludzi. Nie powinnaś nazywać kolejnych sytuacji grząskimi i nudnymi i odwracać się od nich.

- Możesz sobie tę swoją psychoanalizę wsadzić w pewne miejsce - odpowiedziała.

Rzuciła słuchawkę ułamek sekundy wcześniej niż ja, tylko dlatego, że ma lepszy refleks. Usiadłam na krześle w kuchni, ciężka i załamana, jak po każdej sprzeczce. Nancy już nigdy się do mnie nie odezwie. Zostanę całkiem sama. Będę miała tylko Boba. Rodzice, szczęśliwi, żyją z nauczycielskiej renty w Arizonie i umieją kochać mnie tylko na odległość. Teraz, kiedy Nancy odeszła, będę musiała dawać sobie radę sama. Nie pożycz mi złotych łańcuszków. Wszystkie swoje tylko w

połowie nazwane nadzieje, wszystkie dobrze przemyślane rozczarowania będą musiała powierzać Bobowi.

Myśląc o tym, zadzwoniłam do niej.

- Pokój za każdą cenę.

- Och, Judith. Cześć. Przepraszam, że byłam taka wredna. Wymamrotałam, że nic nie szkodzi.

- Słuchaj - oznajmiła. - Właśnie przypomniałam sobie, że mam prywatne źródło w policji. Prawdopodobnie nie będzie nic wiedział, ale i tak do niego zadzwonię.

- Do kogo? - spytałam z wielką ulgą, zrodzoną raczej z zawieszenia broni między nami niż z jej pomysłu.

- Pamiętasz Jima Hogana? Tego Jima sprzed dwóch lat? Och, wiesz, Małego Pączuszka?

Oczywiście, że pamiętam. Mały Pączuszek jeździł radiowozem i poznał Nancy, kiedy przypadkiem włączył się jej alarm antywłamaniowy. W ramach podziękowań zaprosiła go na lampkę wina i zanim skończyli butelkę, zawiązała się znajomość, która trwała około sześciu miesięcy. Było to bardzo wygodne. Najpierw przejeżdżał obok jej domu, sprawdzając, czy na podjeździe nie stoi jakiś samochód, po czym parkował na podwórku. Kochali się na osłoniętej werandzie, żeby słyszał, czy nie wzywają go przez radio. Nigdy nie byłam pewna, czy zerwała z nim z powodu nudy, czy też z obawy przed długą, mroźną zimą na werandzie.

- Jesteś z nim dość blisko, żeby spróbować? - spytałam.

- Nie widziałam go od wieków, ale jestem pewna, że się ucieszy, kiedy zadzwonię.

Powiedziała to bez najmniejszego skrupowania, co uważam za nadzwyczajne. Gdybym ja miała romans, sądziłabym, że skoro się skończył, zostałam zapomniana, a jeśli nawet ten ktoś mnie wspomina, to podejrzliwie i z potępieniem. Nancy ma jednak gładką, pozbawioną porów skórę - bez rozstępów.

- Daj mi znać, co z tego wyniknie - powiedziałam.
- Zadzwoń do niego w przyszłym tygodniu.
- Nie możesz dzisiaj?
- Judith, nie przeciągaj struny.

Posłuchałam tej rady i pożegnałyśmy się. Jeśli Mały Pączuszek nadal pracuje w tym rejonie, może mieć jakieś informacje dotyczące morderstwa. Nie martwiłam się o to, czy Nancy potrafi wyciągnąć z niego wszystko, co wie. Martwiłam się jedynie, iż może okazać się gliną na tyle leniwym, że nie będzie mu się chciało słuchać plotek.

Nadszedł czas, by odebrać Joeya. Poszłam więc do dużego pokoju po buty. Przez okno zauważyłam na podjeździe duże kombi. Drzwi auta się otworzyły. Ścieżką szła, z bardzo poważną miną, Scotty Hughes.

Rozdział 7

Otworzyłam drzwi, zanim zdążyła zadzwonić.

- Dzień dobry - powiedziała, bezowocnie próbując przymusić się do uśmiechu. Jej wargi rozsunięły się, ale duże zęby pozostały ukryte za nimi, co przypominało izometryczne ćwiczenia mięśni twarzy. - Chciałam przeprosić, że cię tam wczoraj zostawiłam i nie odwiozłam do domu. Zachowałam się niegrzecznie. To niewybaczalne. Przepraszam.

- Nie szkodzi - odparłam łaskawie. - Wejdz, proszę.

- Nie mogę. Naprawdę. Muszę uporządkować papiery argumentujące nasze stanowisko. Próbujemy uratować mokrada.

- Rozumiem.

Nie wiedziałam nawet, że mamy mokrada. Świadomość, że są ludzie tacy jak Scotty, którzy je uratują dawała mi poczucie bezpieczeństwa.

- Słuchaj, Scotty, wiem, że to bardzo żenujące dla nas obu. Przykro mi i jeśli chodzi o mnie, ta krótka wymiana zdań nie miała miejsca.

- Cieszę się - odezwała się ostrożnie.

- Muszę jechać po Joeya.

- Tak, wiem - odparła. - Nie chcę rozmawiać o Brusie Flecksteinie. To był największy błąd mojego życia.

- Rozumiem - powiedziała pocieszająco. - Ja też popełniłam w życiu kilka grubych błędów.

Stała smutna i zażenowana.

- Niech to, co było, pozostanie przeszłością. Wodą, która przepłynęła pod mostem - mruknęłam.

- Na początku był taki ujmujący. I taki daleki, taki zimny.

- Och! - sapnęłam.

- Trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek. Jak mógł mnie tak potraktować?

- Jak cię potraktował? - spytałam.

- Wydaje mi się, że to nie twoja sprawa - warknęła, odwróciła się i poszła do swojego samochodu.

- Ach, rzeczywiście! - westchnęłam i pojechałam odebrać Joeya. Reszta popołudnia była dość spokojna. Bob zadzwonił, że zostanie

dłużej w pracy, więc zabrałam dzieci na pizzę.

- Wiesz co? - spytała Kate z pełną buzią. - Pani Hamilton nie pozwala Wendy jeść pizzy, bo jest niezdrowa.

Kiedy wróciliśmy do domu, postanowiłam zwiększyć ciążącą na mnie winę i zadzwonić do Marilyn Tuccio. W tej chwili, pomyślałam sobie, z pewnością serwuje rodzinie pysznego, niskokalorycznego, pieczonego kurczaka w koncentracie pomidorowym, a ten koncentrat sama przygotowała zeszłej jesieni.

- Cześć - zaczęłam. - Chciałam tylko spytać, jak się czujesz? Miałaś wczoraj ciężki dzień.

- Dzisiejszy też nie należał do przyjemnych. Policja była tutaj dwa razy. Za pierwszym razem chcieli wiedzieć, czy mam paragon ze sklepu.

- Co?

- Paragon ze sklepu. Po wizycie w gabinecie doktora Flecksteina wstąpiłam do A & P.

- Mój Boże, Marilyn. Kto przechowuje paragony?

- Ja. Pokazałam im.

- Och!

Kiedyś nauczę się, że moje zwyczaje nie są normą, według której należy sądzić całą ludzkość.

- Czego chcieli za drugim razem?

- Ten okropny detektyw z brwiami sterczącymi na trzydzieści centymetrów przyszedł tutaj i zaczął zadawać mnóstwo głupich pytań.

To z pewnością był Ramirez.

- Potem, niemal szydząc, spytał, czy mój mąż ma znanych krewnych. Nie mogłam zrozumieć, o co mu chodzi, więc powiedziałam, że nie. Tylko wuj John jest ordynatorem na neurochirurgii w szpitalu św. Wincentego. Dopiero później zrozumiałam, o co pyta.

- O co? - spytałam podniecona.

- Pytał, czy Mike ma powiązania z mafią. Tylko dlatego, że mamy włoskie nazwisko.

- Ach - mówiłam monosylabami nie dlatego, żeby wstrząsnęła mną głupota detektywa, lecz siła gniewu Marilyn.

- Powiedziałam mu, że robi mi się niedobrze od jego wrednych świństw i żeby poszedł do diabła. Powiedziałam „do diabła”, Judith, i kazałam mu się czym prędzej wynosić z mojego domu.

- Rety! - jęknęłam. - Nawiasem mówiąc, czy rozmawiałaś z prawnikiem?

- Po tej rozmowie, oczywiście tak. Z Helen Fields. Jest członkiem zarządu miasta. Ma biuro w Moneola. Powiedziała, że jeśli policja będzie chciała ze mną rozmawiać, to tylko w jej obecności.

Helen Fields jest twardym politykiem ze starej szkoły; w porównaniu z nią Wilhelm Howard Taft wydaje się liberałem.

- Powiedziałaś jej, że widziałaś Flecksteina i jego pielęgniarkę przed motelem?

- Tak. Poradziła mi, żebym przekazała tę informację policji.

- Zrobiłaś to?

- Jeszcze nie. Ale może im powiem.

- Marilyn, myślę, że powinnaś.

- Ta cała sprawa jest dziwna - powtórzyła. - Nie warto o tym myśleć.

- Ależ warto - mówiłam, otwierając jednocześnie okno. Powietrze zrobiło się mokre i zimne, zwiastując nadchodzący

śnieg. Wzięłam głęboki wdech i spróbowałam jeszcze raz: - Marilyn, jeśli policja wbiła sobie do głowy, że jesteś kimś w rodzaju anioła zemsty albo że wszyscy lekarze w rodzinie Mike'a nagle zaczęli podpisywać wyroki śmierci na żydowskich dentystów, to musisz rozumieć, że sprawa jest poważna. Może głupia, lecz poważna.

- Pomyślę nad tym, ale to wszystko jest takie wstrętne.

- Wiem.

W nocy zaczął padać śnieg i sypał nieprzerwanie do piątku - trzynaście centymetrów grubych, puszystych płatków śniegowych. W sobotę lepiliśmy z dziećmi bałwany przed domem. Wiktoriański ojciec, nieco mniejsza żona z chustką na głowie, okularami przeciwsłonecznymi i dwiema zdrowymi, śnieżnymi pierściami, do tego dwójka małych, śnieżnych dzieci z wiecznie czujnymi oczkami z rodzynek. W niedzielę odwiedzili nas rodzice Boba. Teściowa przyniosła obiad. Weszła do domu z dwiema wielkimi torbami, pełnymi opakowanych w folię dań, i stwierdziła:

- Judith, kochanie, dzisiaj masz dzień odpoczynku.

Przez cały weekend odgrywałam sztukę o Flecksteinie. Wyobrażałam sobie główne postaci: Bruce'a, Normę, Mary Alice, Dicky'ego, Brendę, Scotty i Fay, jak paradują przede mną - dyrektorem. Potrzebowałam tylko scenariusza nadającego sensu ich egzystencji oraz słów i gestów odzwierciedlających życie wewnętrzne postaci.

- Judith - gruchał Bob. - Judith, chodź tutaj. Była niedziela, więc nie włożył pidżamy.

- Co? - spytałam.

- Byłaś setki kilometrów stąd - stwierdził.

- Och - mruknęłam. Zauważyłam, że przyciemnił światło w sypialni i ma poważne zamiary. - Myślałam, że jesteś zmęczony.

- Nie teraz - szepnął mi do ucha gorącym, wilgotnym oddechem. Chwycił moją dłoń i położył ją na wzwiedzionym członku na wypadek, gdybym nie zauważyła.

- Czy wyglądam na zmęczonego?

Zgodziłam się, że wyglądam na bardzo pobudzonego.

- Chyba że ty jesteś za bardzo zmęczona - dodał heroicznie.

- Nie, oczywiście, że nie.

Normalnym u mnie znakiem, że nie mam nastroju do tych rzeczy, jest szerokie ziewnięcie na schodach, w drodze do sypialni. W takich chwilach dochodzi między nami do milczącego porozumienia i Bob maszeruje do szuflady z pidżamami. Dzisiaj jednak byłam już myślami z Claymore'em u Orsiniego i omawiałam subtelne punkty prawa karnego, siedząc nad szklanką zmrożonego lilletu. Bob zaczął przygryzać moją dolną wargę. Podziałało. Położyłam dłoń na jego piersi i przesunęłam się lekko na południe.

- Mm. Judith. Dlaczego przestałaś?

Przestałam, powiedziałam sobie w duchu, bo co będzie, jeśli ktoś zobaczy mnie z Claymore'em Katzem i powie ci o tym? Automatycznie znów zaczęłam przesuwac dłoń.

- Tak jest przyjemnie - wymruczał.

Czy pomyślałbyś, że spędziłam popołudnie, robiąc przyjemność Claymore'owi Katzowi? To, oczywiście, byłoby najzupełniej niedorzeczne. Claymore ma zwiotczone uda i trzęsące się pośladki. Czy to przekonałoby Boba? A może powiedziałby, z lodowatą złością w niebieskich oczach: „Zdaje mi się, że dama zanadto protestuje”. Potem spakowałby rzeczy i zostawił mnie w Shorehaven, a sam zamieszkał w uroczym mieszkanku na East Sixties i zakochał się w szczupłej, jasnowłosej biochemiczce, która w wieku dwudziestu czterech lat zrobiła doktorat.

- Bob - westchnęłam. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Wiem. Ach, kochanie, wiem.

Popchnął mnie na łóżko. Z całej siły próbowałam skoncentrować się na długim, zwartym, pięknym ciele Boba. Nie podziałało. Nie pomogłyby też techniki oddychania Lamaze'a, kiedy rozchyłał moje uda. Chodził na zajęcia razem ze mną i zauważyłby, co robię, już przy pierwszym oczyszczającym wdechu. Moje kolana pozostały złączone, jak sklezione obwarzanki.

- Jeszcze nie - szepnęłam.

- Teraz. Proszę.

- Tylko sekundę - błagałam, usiłując znaleźć kogoś, o kim mogłabym myśleć; jakiegoś wspaniałego, zmysłowego mężczyznę, który uczyniłby mój krok tanecznym, wywołał drżenie w podbrzuszu. Przemknęła mi przed oczami nie jedna, ale cała seria twarzy: mężczyźni, których znałam, których chciałabym poznać, a wszyscy przelatywali jak na filmie puszczonym w przyspieszonym tempie, z głosem Boba w tle: „Mm”.

- Bob.

- Nie przerywaj. Och, Boże, nie przerywaj.

Dziesięć minut później Bob smacznie spał. Ja nie spałam jeszcze godzinę.

We wtorek rano postanowiłam odważnie stawić czoło wyzwaniu.

- Idę dzisiaj na miasto.

- To miło - odparł.

Tego dnia nie stać mnie było na więcej odwagi. Kiedy Bob wyszedł, a zanim przyszła pani Foster, opiekunka do dzieci, zadzwoniłam do Mary Alice i powiedziałam jej o spotkaniu z Claymore'em.

- Jak mam ci dziękować, Judith? Wiesz, że jestem agnostyczką, ale wierz mi, jeśli jest Bóg, to będzie cię

błogosławił. A może powinnam powiedzieć: będzie cię błogosławiła?

- Jeszcze nie kupiłam biletu na pociąg, Mary Alice. Zadzwoń do ciebie jutro i powiem, co się wydarzyło.

- Nie możesz zadzwonić dzisiaj wieczorem? Czuję się taka bezradna, siedząc w domu.

- Nie chcę, żeby Bob słyszał naszą rozmowę. Uważam, że lepiej trzymać go od tego z daleka.

- Myślałam, że jesteście ze sobą bardzo szczerzy, otwarci. Zapewniłam ją, że jesteśmy tak szczerzy, jak to tylko możliwe, i umówiłam się na spotkanie rano, o dziesiątej, tym razem u mnie. Naprawdę nie lubię Mary Alice, pomyślałam. Dlaczego więc poświęcam cały dzień, żeby działać jako jej agent? Uświadomiłam sobie, że nie robię tego dla Mary Alice, lecz dla siebie. Dla zaspokojenia palącej mnie ciekawości. Chciałam włączyć się do sprawy Flecksteina, znaleźć się w środku tych strumieni namiętności, uczuć i intryg. Nie minęła godzina, a stałam przed Orsinim, gotowa jeszcze bardziej wplątać się w tę sytuację. Było dopiero piętnaście po dwunastej. Nic nie może się wydarzyć do pierwszej, kiedy przyjdzie Clay.

Pomaszerowałam Piątą Aleją. Śnieg, który jeszcze leżał w Shorehaven, na Manhattanie rozpuścił się pod naporem miejskiego życia. Spojrzałam na wystawę Valentina. Mieli szare, jedwabne bluzki - niezbędne uzupełnienie szarych, wełnianych spodni i brzoskwiniowoszarego, włóczkowego swetra. Miękkie i ciepłe, bogate i bezpieczne. Gucci, w swym odważnym buncie, zapomniał o kolorach spokojnych, stonowanych i wciskał czerwony. Czerwony jedwab, czerwona wełna, czerwony zamsz. Czerwony, pasujący do jasnego, urozmaiconego życia.

- Cześć - powiedział ktoś obok mnie. Odwróciłam wzrok od wystawy, spodziewając się ujrzeć uśmiechniętego

Claymore'a. Był to jednak ktoś obcy: mężczyzna mniej więcej w moim wieku, miły, z wyglądu zwyczajny, brązowooki nieznajomy, w granatowym płaszczu, takim samym, jaki ma Bob.

- Kupujesz coś? - spytał. Uśmiechał się przyjaźnie.

- Sprzedajesz coś? - odparłam.

Wyraz jego twarzy zmienił się nieznacznie: tylko oczy przyblakły, jakby opuszczono kurtynę, skrywając ludzką istotę. Moje dwa słowa sprawiły, że nie byłam już osobą, lecz zrobiłam z siebie osła.

- Czego szukasz? - spytał bardziej stanowczym głosem.

- Oglądam wystawy - powiedziałam, uśmiechając się do niego. Był zmieszany. - Żartowałam, kiedy pytałam, czy coś sprzedajesz.

- Ach, żartowałaś? Pracujesz w pobliżu?

- Nie.

- Och. Nawiasem mówiąc, mam na imię Jonathan.

- Jestem Judith. Moglibyśmy stanowić parę z elementarza: „To Judith i Jonathan. Jedzą jabłka”.

Uśmiechnął się, a z jego oczu zniknęła kurtyna, otwierając je na drugi akt.

- Mogę postawić ci drinka?

- Nie, dziękuję. Jestem umówiona na lunch.

- Możesz dać mi swój numer telefonu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Jestem mężatką.

Najwyraźniej nie dowierzał, więc podsunęłam mu pod oczy swoją dłoń.

- Jestem mężatką.

- Dlaczego wszystkie sympatyczne kobiety są mężatkami? - spytał, kierując te słowa do czerwonej, zamszowej marynarki na wystawie.

- Miło było cię poznać, Jonathanie. Muszę iść. Cześć.

- Judith. Hej, zaczekaj! Chciałabyś mój numer telefonu? Na wypadek, gdyby z mężem ci się nie układało.

Zaskoczyło mnie, że jego propozycja wydała mi się kusząca; zdziwiłam się, że nie zabrzmiała całkiem absurdalnie. „Na wypadek, gdyby się nie układało”.

- Nie - odparłam z wahaniem. Ledwo zmieściłam się z odmową w czasie, jaki można uznać za przyzwoity. Powinnam ostro odparować: „Nie, dziękuję”.

Przywołałam na twarz żałosny uśmiech i dodałam:

- Dziękuję za propozycję.

Wmieszałam się z powrotem w tłum pieszych podążających Piątą Aleją, rozkoszując się uczuciem tęsknoty i podniecenia. Wyczekiwałam spotkania z Clayem i cieszyłam się z poczucia bezpieczeństwa, jakie dawała jego zażyła znajomość z Bobem. Ta zwyczajna próba poderwania mnie przez zwyczajnego mężczyznę - coś, co innym kobietom niewątpliwie zdarza się nieustannie - okazała się niezwykle przyjemna. Jonathan i ja. Pierwszy raz od dnia ślubu rozmawiałam z mężczyzną, który nie wiedział o mnie nic, nawet że jestem mężatką. Jonathan ujrzał mnie nagą i nieukształtowaną, mogłam stworzyć siebie sama.

Jestem mężatką od ponad dziesięciu lat, prawie całe moje dorosłe życie. Przez pierwsze trzy czy cztery lata nawet poważną rozmowę z innym mężczyzną uważałam za niewierność. Mężczyźni byli dla mnie bezpłciowymi istotami, które przypadkiem noszą pochwy wywinięte na zewnątrz, zamiast do środka ciała. Bardzo szybko, kiedy tylko skończyłam studia - do tej pory spotykałam od czasu do czasu kusiciela w tweedach od Harrisa i wypranych dżinsach - ograniczyłam się tylko do Boba. Spotykałam mężów innych żon na przyjęciach, na zebraniach osiedlowych, ale śmiejąc się i plotkując, cały czas byłam żoną Boba. Rozmawiałam i

żartowałam ze sprzedawcami, lekarzami, dentystami, agentami ubezpieczeniowymi i płaciłam im pieniędzmi Boba. Tak więc, choćby z braku innych, był jedynym mężczyzną w moim życiu. Nawet ze swoim przyjacielem, Clayem, spotykałam się tylko w obecności Boba. Teraz po raz pierwszy miałam widzieć się z nim sama.

Stałam na rogu Piątej Alei, czekając posłusznie, aż zmieni się światło. Rękę z ciężką, złotą obrączką wcisnęłam głęboko do kieszeni. To dziwne, myślałam, że przeżyłam rewolucję, jaką była walka o prawa kobiet, posmakowałam jej retoryki, jej treści poruszyły mnie głęboko, ale w dziwny sposób nie wywarły żadnego wpływu na moje życie. Nawet kobietom Flecksteina udało się przeciąć pępowinę łączącą je z mężczyznami. Potrafiły żyć i oddychać poza małżeństwem. Nie byłam jednak tego pewna. Czyż nie pieścił ich nadal mąż z Shorehaven, chociaż nie ich własny? Czy ich cudzołóstwo nie mieściło się w granicach normalnych zachowań klasy średniej, przeciętnej amerykańskiej żony już prawie w średnim wieku?

Zastanawiałam się nad tym, że wzrokiem wbitym w chodnik, aż do - szłam do Pięćdziesiątej Szóstej ulicy. Zobaczyłam Claymore'a, stojącego przed Orsinim, opatulonego w nieprzemakalny płaszcz. Z daleka, z wielkimi, sumiastymi wąsami, wyglądał jak potężne, przyczajone arktyczne zwierzę, które wskoczyło na krę lodową płynącą na Manhattan, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Na mój widok nie zatrzepotał radośnie płetwami, tylko powoli podszedł i lekko pocałował mnie w usta, w manhattańskim stylu. Mężczyźni z Shorehaven rozdają potężne, mlaskające całusy w policzki, tak głośne, że aż zwracają uwagę na ich niewinność.

- Dlaczego takie wspaniałe stworzenie jak ty trzyma się w klatce w Scarsdale? - spytał.

- Scarsdale jest w Westchester, Clay. Ja mieszkam w Shorehaven.

- Shorehaven, Scarsdale, Greenwich. Wszystko jedno. Okropne miejsca. Zabijają duszę.

Wziął mnie pod rękę i wprowadził do restauracji, gdzie zostawiliśmy płaszcze dość lekkomyślnie wyglądającej, młodej kobiecie i weszliśmy na górę. Szef sali uśmiechnął się i powiedział do Claymore'a: „Dzień dobry, panie radco”.

Claymore kiwnął do niego głową z powściągliwą godnością, która wywarłaby wstrząsające wrażenie na każdym z jego byłych sąsiadów z Flatbush. Poszliśmy za kelnerem do małego stolika w rogu. Na białym, lnianym obrusie stał delikatny, kryształowy wazon z czerwonymi i fioletowymi anemonami.

- Myślałem, że lepiej będzie, jeśli usiądziemy sobie na uboczu - powiedział Claymore. - Mamy tu trochę więcej swobody.

Kiwnęłam głową, rozglądając się jednocześnie. Jackie Onassis i Lee Radziwiłł widocznie jadły gdzie indziej. Podszedł drugi kelner, żeby spytać, czego się napijemy. Zamówiłam lillet.

- Judith, kochana, to doskonały aperitif, ale pozwól, że poprosimy o butelkę orvieto, dobrze?

Kiwnęłam głową i znów się rozejrzałam. Gdzieniegdzie zdołałam zauważyć kilka kobiet, bardzo eleganckich; wszystkie były w jakimś stopniu podobne do zamazanych fotografii z kroniki towarzyskiej Eugenii Shephard. Salę wypełniali jednak głównie mężczyźni, biznesmeni, rozmawiający ze sobą z dużym zapałem, żeby mieć uzasadnienie dla tak znacznych wydatków.

- Czy widzisz kogoś znajomego? - spytał Clay, przerywając moje marzenia.

Pokręciłam głową.

- W takim razie możesz się rozluźnić i cieszyć życiem. Uśmiechnęłam się do niego niewyraźnie.

- Tu jest tak pięknie, Clay. Wiem, że nie masz czasu i dlatego jestem ci niezmiernie wdzięczna.

- Judith, nie widzę w tym żadnego poświęcenia z mojej strony. Dla mnie to czysta przyjemność.

Kelner przyniósł wino; po ceremonii degustacji Clay rozparł się w krześle.

- Za nasze zdrowie - uśmiechając się, wznosił toast.

On naprawdę mnie lubi, pomyślałam. Bardziej niż inne żony, z którymi musi czasami pożartować, ze względu na ich mężów. Naprawdę widzi we mnie człowieka i przyjaciela.

- Za nasze zdrowie - powtórzyłam za nim i wzięłam do ust zbyt wielki łyk wina. Przez kilka minut kaszlałam i bełkotałam.

- Rozluźnij się, Judith - mruknął, powoli przesuwając palcem wskazującym po imponujących wąsach. - Stoję po twojej stronie, musisz to wiedzieć.

Złapałam go za rękę i uścisnęłam. Uroczy człowiek, pomyślałam.

- Chyba będzie lepiej, jeśli od razu wyjaśnię, dlaczego prosiłam o to spotkanie.

- Domyślam się, Judith. Gdybym powiedział, że czuję się zaszczycony, byłoby to zbyt mało.

- Nie możesz się domyślać. To coś ważnego.

- Ależ mogę. Nie zapominaj, że płacą mi za to, iż jestem spostrzegawczy. Znamy się tak długo.

Lekko uniósł brwi, całkiem jak Oskar Werner patrzący na Simone Signoret w Ship of Fools: z wielką troską wyrozumiałością i miłością.

Ależ oni byli kochankami, pomyślałam nagle. A my jesteśmy przyjaciółmi. Nawiązaliśmy z Claymore'em najcieplejszą, najbliższą, powierzchowną relację, jaką znam.

Mamy ze sobą wiele wspólnego i cholernie się lubimy. Chyba nie myśli, że chcę zacząć romansować. Może jednak? Spojrzałam na niego: powieki miał przymknięte, usta wilgotne i zmysłowo rozchylone, tak że widać było brzegi pokrytych emalią zębów. Może jednak? Zdaje się, że tak.

- Clay - zaczęłam szybko, żeby uniknąć wzajemnego zażenowania. - To jest bardzo śliski problem prawny i musisz mnie uważnie wysłuchać. Potrzebuję przyjaciela; albo raczej moja przyjaciółka potrzebuje przyjaciela. Mogę cię tym obarczyć?

Chciałam dodać: „stary” albo „druhu”, ale czułam, że brzmiałoby to zbyt fałszywie.

- Bardzo śliski problem prawny - powtórzył, prostując się i opierając dłonie o stół. Uśmiechnął się pełnym zadumy uśmiechem prawnika, ale przez chwilę nie miał siły nic powiedzieć.

- Kiedy oznajmiłaś, że to coś ważnego, wiedziałem, iż musisz mieć na myśli jakiś zawikłany problem, który tylko ja potrafię rozsypać.

Szybko doszedł do siebie. Dlaczego instynktownie zakładał, że „ważna sprawa” oznacza seks?

- Judith, mój skarbie - ciągnął - mów, o co chodzi.

Na tyle precyzyjnie, na ile potrafiłam, opowiedziałam mu historię romansu Mary Alice, sesji zdjęciowej i morderstwa. Zamyślił się, ssąc zgięty palec wskazujący, aż przerwał nam kelner. Zamówiliśmy posiłek i opowiedziałam mu krótko, jaką reputacją cieszył się Fleckstein.

- Czy on nie zatrudnił przypadkiem jednego z twoich wspólników? - spytałam.

- Tak, ale znam niewiele szczegółów; tylko zwykłe biurowe plotki. Psiakrew, Judith, to wspaniałe. O wiele lepsze niż oszustwa podatkowe w wielkim przedsiębiorstwie. Bardzo mi się to podoba.

- Clay, bądź poważny.
 - Mam nikona. Myślisz, że pozwoliłaby mi pstryknąć kilka zdjęć swoich stóp? Mam słabość do stóp, wiesz?
 - Clay, proszę.
 - Pomogę jej za darmo. Za kilka zdjęć. Mógłbym zrobić ciekawe ujęcie od strony podbicia i...
 - Słuchaj, całe życie tej bieduli może się nagle zawalić. W tobie cała nadzieja.
 - Odwołujesz się do mojego ego.
 - Oczywiście.
 - Dobrze, będę poważny.
- Przyszedł kelner z zamówionymi daniami: cielęcina po francusku dla mnie, osso buco dla Claymore'a.
- Judith - powiedział, z widelcem gotowym do zadania śmiertelnego ciosu - ona musi jak najszybciej pójść na policję.
 - Daj spokój! Nie może. Co będzie, jeśli jej mąż się dowie? A jeśli nie mają tych zdjęć? Niepotrzebnie zwróci na siebie uwagę.
 - Judith, mój aniele, rozkoszy mojego życia, zamilknij i posłuchaj. Powinna pójść na policję, ale z adwokatem. Najpierw jednak musi przejść test na wykrywaczu kłamstw.
 - Jak to? Myślałam, że to nie może stanowić dowodu. Po co jej ten test?
 - Judith, będziesz mówiła za mnie, czy wreszcie posłuchasz? Przyszłaś tutaj dla rozrywki, czy po fachową poradę?
 - Przepraszam.
 - Nie szkodzi. Jak już mówiłem, powinna przejść test. Masz rację mówiąc, że testy na wykrywaczu kłamstw nie mogą być dowodem w sądzie, chociaż są tu wyjątki, w które nie będę się wdawał. Smakuje ci cielęcina?
 - Doskonała. A twoje osso buco?

- Nieźle. W tym przypadku nie mamy do czynienia ze sprawą sądową. Powinna zrobić test w jednej z najlepszych firm, którą jej polecę. Biorą teraz siedemset czy osiemset dolarów, ale policja zapewne nie przyjmie wyników z mniej znanej firmy. Rozumiesz?

- Tak.

Gdyby do łóżka wnosił równie wiele napięcia jak do rozmów o prawie, byłby wspaniały. Przez głowę przebiegła mi myśl, że może na wstępie zbyt pochopnie odrzuciłam możliwość flirtu.

- A więc w tajemnicy robi test i jeśli go przejdzie, zauważ, że powiedziałem "jeśli", wyniki zaniemiemy na policję. Konkretnie do prokuratury rejonowej. Mam paru dobrych znajomych w prokuraturze hrabstwa Nassau i jestem przekonany, że okażą się uprzejmi. W tym przypadku ważne jest, żeby zerwać pąk kwiatowy, zanim się rozwinie. Jeśli znaleźli jej zdjęcia, a powiedziałbym, że jest to bardzo prawdopodobne, iż Fleckstein je zatrzymał, to policja wcześniej czy później skontaktuje się z twoją przyjaciółką.

- Czy mogę cię teraz o coś spytać?

- Już pytałaś.

- Jesteś miły, Clay, bardzo miły. Słuchaj, czy testy na wykrywaczu kłamstw są niezawodne?

- Nie, oczywiście, że nie. Ktoś może być zbyt spięty, co spowoduje błędny odczyt. Z kolei patologiczny kłamca może przejść przez test bezbłędnie. Nie wiem. Niektórzy prawnicy są gotowi przysięgać, iż są niezawodne, ale ja znam kilka innych przypadków, co sprawiło, że jestem bardzo podejrzliwy. W każdym razie twoja przyjaciółka nie musi nikomu mówić, że robi test. Jeśli przejdzie z pozytywnym wynikiem, pójdziemy z tym na policję. Oni też wiedzą, że nie jest to niezawodny środek, ale przywiązują do niego wielką wagę.

- Myślisz, że uda się zrobić to tak, żeby jej mąż o niczym nie wiedział?

- Możliwe. Jeśli załatwi to szybko. Musisz zrozumieć, Judith, że gliniarze nie są dziećmi. Zależy im jedynie na wyjaśnieniu sprawy i potrafią być dyskretni.

Przynajmniej, myślałam, bawiąc się kilkoma ziarnami ryżu pozostawionymi na talerzu, Mary Alice nie jest w beznadziejnej sytuacji. Zerknęłam na Claymore'a i zobaczyłam, że mi się przygląda.

- Judith - westchnął.

- Tak? - odparłam, przeczuwając coś złego.

- Zamierzasz dokończyć cielęcinę?

Podniosłam plaster cielęciny i położyłam na jego talerzu. Odkroił dwa duże kawałki.

- Bardzo smaczne - oznajmił i przez następne pół godziny wspominał, jak dobrze bawili się z Bobem na Uniwersytecie Columbia: otrzęsiny, pijatyki, randki we czwórkę.

- Wiesz - powiedział przy kawie - Bob zawsze chodził z bardzo inteligentnymi, kompetentnymi kobietami, ale wśród nich tylko ty jedna masz poczucie humoru. Jestem ciekaw, czy on o tym wie.

- Oczywiście. Nasze małżeństwo jest jednym wielkim świętem śmiechu.

- Wszystko dobrze, Judith?

- Wszystko w porządku, Clay. Naprawdę. Kiedy wstaliśmy, dodał:

- Twój mąż to szczęściarz.

- Clay, to brzmi jak kwestia z kiepskiego filmu.

- Wiem, ale jestem zmęczony robieniem inteligentnych uwag. Przynajmniej raz dziennie staram się być banalny. To odświeża.

Zeszliśmy na dół, odebraliśmy płaszcze i wyszliśmy na Piątą Aleję. Było cicho i zimno, a chodniki pokrywała gruba warstwa śniegu.

- Dziękuję za obiad i za pomoc.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Clay Katz zajrzał mi głęboko w oczy

- Cieszę się, że jesteś moim przyjacielem.

- Dziękuję - powiedział. - Wiesz, rano nie przepowiadali opadów śniegu.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie i zgodnie stwierdziliśmy, że musimy się wkrótce spotkać i że oboje z Bobem powinniśmy poznać najnowszą dziewczynę Claymore'a, projektantkę tekstyliów, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Potem, odczuwając lekkie mdłości po dwóch kieliszkach wina, dostałam się jakoś do pociągu odchodzącego o czternastej pięćdziesiąt. Stwierdziłam, że w ciągu niecałych trzech godzin na Manhattanie wydarzyło się w moim życiu więcej niż w ciągu wszystkich lat spędzonych w Shorehaven. Jonathan. Clay. I co z tego? Gdybym wyszła za mąż za Jonathana, mógłby nadal podrywać dziewczyny przed Guccim, podczas gdy ja wycierałabym dzieciom nosy albo wykładała na jakichś kursach. Z Clayem miałabym przestronne mieszkanie na Central Park West i tusty tyłek, ocierający się o mnie codziennie w antycznym łożu z brązu. Albo też należałabym już do Klubu Byłych Pań Katz. Clay był żonaty trzy razy i z pewnością zamierza próbować dalej.

Mam więc Boba. Przystojny. Inteligentny. Seksualnie zadowolający. Miły dla naszych dzieci. Mogłabym przecież poślubić kogoś w typie Bruce'a Flecksteina.

Rozdział 8

Mary Alice, wkraczając nazajutrz rano do mojego dużego pokoju, nuciła: *The Wages of Sin*, czyli „Cena za grzech”. Wyglądała - bez przesady - okropnie; piegowata twarz bez śladu makijażu była cała w wypryskach, a jej drobne ciało ginęło w workowatych, czarnych spodniach i luźnym, szarym swetrze.

- Jaka jest cena za grzech? - spytałam.

- Zapomniałam, co było dalej - westchnęła. - Judith, odpowiedz mi, jeśli możesz. Dlaczego nosimy w sobie pragnienie samozagłady? Dlaczego nie zadowala nas proste, spokojne życie i jeden czy dwa naprawdę liczące się związki?

- Nie mam pojęcia. Chcesz wiedzieć, co powiedział prawnik?

- Tak, oczywiście. Gadam i gadam, a ty zadałaś sobie tyle trudu, żeby mi pomóc i jednocześnie okazać się prawdziwą przyjaciółką. Wiesz, co mówi się o przyjacielu w biedzie, prawda?

- Właśnie. Pozwól, że opowiem ci o Claymorze Katzu.

- Claymore Katz to jego prawdziwe nazwisko?

- Nie. Naprawdę nazywa się J. Winthrop Aldrich IV, ale uważam, że jest to nazwisko etnicznie niestosowne.

- Naprawdę? Nigdy nie słyszałam. Nawiasem mówiąc...

- Ja tylko żartuję, Mary Alice. Posłuchaj, co miał do powiedzenia.

Starając się zachować rezerwę i mówić jak najbardziej przekonująco, jakby chodziło o ważny problem prawny stanowiący podstawę sporu o interpretację kontraktu albo dotyczący sprzedaży nieruchomości, powtórzyłam rozmowę z Claymore'em, a także jego radę, żeby zrobić test na wykrywaczu kłamstw. Mary Alice zapadła się w głębokie krzesło.

Wyglądała jak dziecko wpatrujące się we mnie z napięciem, ze zmarszczkami wokół oczu. Niezła imitacja inteligentnej koncentracji. Może nawet autentyk. Kiedy skończyłam, głośno westchnęła i powiedziała:

- Muszę się nad tym zastanowić.

- Czy martwi cię coś konkretnego? - spytałam.

- Nie, nic specjalnego.

- Pieniądze?

- Nie.

- Martwisz się, żeby Keith się nie dowiedział?

- Nie bardzo. Skoro prawnik mówi, że zachowują dyskrecję, nie ma powodu do zmartwienia.

- W takim razie, o co chodzi? Wzruszyła ramionami.

- Słuchaj, Mary Alice, ty sama musisz podjąć decyzję, a Claymore powiedział, że czas jest ważnym czynnikiem. Im dłużej czekasz, tym większe niebezpieczeństwo, że policja znajdzie zdjęcia i cię rozpozna.

- Wiem. Wiem.

Odchyliła głowę w drugą stronę.

- Judith, czy będę musiała opowiedzieć prawnikowi całą historię?

- Nie musisz mu wyliczać włosów na klatce piersiowej Flecksteina, ale niektóre szczegóły trzeba będzie wyjawić.

- Skąd wiesz, że Bruce miał owłosioną klatkę piersiową?

- Nie wiem. Założyłam, że miał.

- Rzeczywiście miał owłosione piersi. Mnóstwo włosów. Mocno skręconych.

- To przyjemne - westchnęłam. Miałam gen zaprogramowany na robienie dygresji, umysł stworzony do zbaczania z tematu.

- Czy prowadzącemu ten test będę musiała powiedzieć wszystko? Albo prowadzącej. To ciekawe, prawda, że każdemu zawodowi przypisujemy konkretną pleć.

- Słuchaj, Claymore Katz to człowiek z miasta. Nie będzie cię osądzał. Rozwodził się już trzy razy. Myślę, że uodpornił się na szok.

- Jest przystojny?

- Nie, Mary Alice. Nie jest przystojny.

- W takim razie, jak mu się udało zainteresować sobą trzy różne kobiety?

Może Fleckstein zrobił zdjęcia po to, żeby szantażem zmusić ją do milczenia, pomyślałam. „Jeśli powiesz jeszcze jedno słowo - zagroził - wyślę te zdjęcia do "Shorehaven Sentinel". Teraz zamknij się i skoncentruj na pieprzeniu".

- Dam ci numer telefonu do biura Claymore'a, Mary Alice. Możesz do niego zadzwonić, jeśli będziesz chciała. Napijesz się kawy?

- Nie. Zrezygnowałam ze środków stymulujących.

- W takim razie dotrzyмай mi towarzystwa.

Już w kuchni sięgnęłam do zlewu i wyciągnęłam duży kubek z wielkim „J”.

- Zrobić ci coś? - spytałam.

- Trochę wody o temperaturze pokojowej, z sokiem z połowy cytryny.

- Z pestkami czy bez?

- Och, Judith. Wiem, że sobie ze mnie żartujesz. Bez pestek.

Zacząłyśmy rozmawiać o codziennych sprawach. Oczywiście rozmowa z Mary Alice o jakichkolwiek sprawach innych niż codzienne była stratą czasu, ale udało mi się wprawić ją w lepszy nastrój. Miałam nad Mary Alice nieprzyzwoitą przewagę. Znałam jej życie, jej fantazje. Ona wiedziała o mnie tyle, ile chciałam jej powiedzieć. Z drugiej jednak strony sama zdecydowała się na zwierzenia.

- Czy Bruce rozmawiał z tobą o swoich sprawach? - spytałam nagle.

- Oczywiście - odparła, spuszczać oczy z fałszywą skromnością.

- Chodzi mi o niego samego, jego życie, rodzinę, przyjaciół.

- Raczej nie. Może troszkę.

- Czy mówił coś o Normie, swojej żonie?

- Wiem, jak ma na imię - warknęła. - Niewiele. Powiedział, że stali się sobie obcy, w łóżku jest oziębła, ale nie może jej zostawić, ponieważ jedno z ich dzieci jest nadpobudliwe.

- Och.

Zwykle zbijają mnie z tropu stwierdzenia, które powinny być zrozumiałe, ale nie są. Zdecydowałam się zostawić tę sprawę w spokoju.

- Sądzisz, że wiedziała o Brusie i tobie? O tym, że Bruce z kimś romansuje?

Mary Alice poprawiła swoje miękkie, jasne włosy drobną, dziecięcą dłonią.

- Nie - zapewniła mnie. - Jestem pewna, że nie wiedziała, bo powiedział, że zawsze może zdać jej sprawę z każdej minuty.

- Co miał na myśli?

Ja sama mogłam przez kilka tygodni pracować jak szalona, ale nigdy nie byłabym w stanie zdać sprawy choćby z jednej godziny.

- Dzwonił do niej. Z motelu.

Widocznie wytrzeszczyłam na nią oczy, bo wyprostowała się i zaczęła wyjaśniać:

- Wiesz, mówił jej, że jest w klinice dentystycznej w szpitalu North Shore, właśnie zaczyna pracę i tęskni za nią. Dzięki temu nie mogła zadzwonić do gabinetu i dowiedzieć się, że ma dziwnie długą przerwę obiadową.

- Rozumiem. Czy w takim razie mówił coś o swoich interesach? Czy dużo zarabiał?

- Raz powiedział, że życie nie kończy się w gabinecie. Chciał wszystkiego spróbować, mieć swój styl.

- Co przez to rozumiał?

Przypomniały mi się zimne postaci o długich palcach ze sztuk Noela Cowarda. Jak to się ma do owłosionej klatki piersiowej Bruce'a Flecksteina, widocznej pod kwiecistą, tropikalną koszulą?

- Styl? Nie wiem - przyznała. - Nosił czarną bieliznę.

- Czarną bieliznę.

Gdyby jakiś mężczyzna spodobał mi się na tyle, że poszłabym z nim do pokoju w motelu, to co bym zrobiła, gdybym w rozpiętym rozporoku odkryła czarną bieliznę? Śmiałabym się? Przeprosiłabym grzecznie i wyszła?

- Mary Alice, czy wspominał coś o pornografii?

- Kilka razy pokazywał mi różne zdjęcia.

Starła ze stołu mokry ślad po swojej szklance, starannie złożyła serwetkę i wyrzuciła ją do śmieci.

- Masz chusteczki? - spytała.

- Na górze, w łazience. Jakie zdjęcia?

- Zdjęcia. Wiesz, Judith.

W jej głosie słychać było zmęczenie. Ze złością wpatrywała się w kosz na śmieci.

- Nie wiem, Mary Alice. Powiedz mi.

- Zdjęcia. Kobiety, które robią różne rzeczy. Pieszczą same siebie albo używają sztucznego interesu.

„Interes”, jak wiedziałam od ósmego roku życia, jest to bardziej ugrzeczniejszy synonim penisa.

- Używają sztucznego interesu? To znaczy wibratora?

- Tak. Potrzebuję chusteczki.

Wyszła z kuchni ciężkim, niepewnym krokiem osoby bardzo otyłej albo straszliwie zmęczonej. Chwilę później wróciła, ściskając garść zielonych chusteczek.

- Jakie to były zdjęcia, Mary Alice? Wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem.

- Były kolorowe? Robione przez zawodowca?

- Nie pamiętam. Chyba były kolorowe.

- Robione polaroidem? Były kwadratowe? Trochę sztywne?

- Tak - szepnęła, wpatrując się w białe kafelki na podłodze. - Muszę wracać do domu.

- Dobrze. Zadzwoń do ciebie za kilka dni. Masz numer Claymore'a?

- Tak.

Poszłam za nią do dużego pokoju, gdzie wzięła z kanapy zakiet.

- Ja sama zadzwonię - powiedziała.

- Dobrze. Pamiętaj, że jeśli zdecydujesz się przejść test na wykrywaczu kłamstw, liczy się czas.

- Nie zapomnę. Pa.

Przyglądałam się, jak szybkim krokiem idzie ścieżką do swojego białego mercedesa. Keith był właścicielem czarnego negatywu tego samochodu. Potem, biorąc głęboki oddech dla obrony przed zimnem, wybiegłam za nią.

- Jeszcze jedno pytanie! - Przekrzyczałam szum silnika. Patrzyła przed siebie, jakby mnie nie słyszała.

- Pokazał te zdjęcia, zanim zrobił twoje czy potem?

- Potem.

Mary Alice nacisnęła pedał gazu i z rykiem silnika wyjechała na ulicę.

Stałam przyglądając się, jak spaliny z jej samochodu unoszą się nad zaśnieżonymi trawnikami, aż poczułam, że kostki i stopy bolą mnie z zimna. Szybko wróciłam do domu i

głęboko zaczerpnęłam suchego, nagrzanego powietrza. Mary Alice wydawała mi się przerażona, kiedy zwróciłam uwagę na to, że tamte zdjęcia były zrobione polaroidem, podobnie jak jej zdjęcia. Może tylko udawała? Czy rzeczywiście potrafiła wyprzeć ze świadomości tę oczywistą prawdę, że pan Bruce lubił chwalić się swoimi dziełami? Czyżby była aż tak głupia, tak niewiarygodnie bierna?

I dlaczego nie zadzwoniła do Claymore'a natychmiast? - zastanawiałam się, wchodząc po schodach na górę. Prosiła o poradę prawną i otrzymała ją. Może bała się, że silne emocje sprawią, iż zawali test? Może rzeczywiście wierzy, że jeśli mocno zaciśnie zęby i odczeka jakiś czas, wszystko rozejdzie się po kościach?

Na te pytania miałam jakieś odpowiedzi, ale jedno pozostawało nierozgryzione: dlaczego pozwoliła, żeby przydarzyło jej się coś podobnego? Częściowo byłam w stanie to zrozumieć. To tak, jakbym trzymała w dłoni diament. Mogłam policzyć ścianki, stwierdzić wagę, zbadać rysy, ale mimo wszystko, wbrew wysiłkom, ten cholerny drobiazg nie chciał błyszczeć.

Na przykład wiem, że mam tyle samo lubieżnych zainteresowań, co inni. Na prywatce w akademiku w Wisconsin z trudem powstrzymywałam się od okazania zachwytu, z jakim oglądałam Trzech żeglarzy i dziewczyną, film ze sztucznymi nosami i czterema koszmarne brzydkimi postaciami o paskudnej cerze. Nie były to Dzikie truskawki, ale ryczałam ze śmiechu, kiedy nasienie wracało do penisa, gdy cofaliśmy film. Jednak w najmniejszym nawet stopniu nie budziło to we mnie ochoty, żeby zdjąć kraciatą spódniczkę i niebieskie majtki przed aparatem fotograficznym.

Bez trudu mogłam zrozumieć, że Mary Alice odczuwa potrzebę ekscytujących kontaktów seksualnych. W końcu czego się od nas wymaga, oprócz czystej podłogi w kuchni,

dwójki, trójki lub czwórki dość miłych dzieciaków i serwowania o dziewiętnastej kotleta z surówką? Dzisiaj nikogo nie interesuje, czy umiemy pisać na maszynie. Kochanek jednak byłby tym zainteresowany. Kochanek zauważy, że golimy się pod pachami dwa razy w tygodniu i raz w roku czytujemy Króla Leara.

Mary Alice, Scotty i kilka innych kobiet zgodziło się jednak na coś więcej niż tylko pozamałżeński skok w bok: podzieliły się swoim ciałem i myślami. Oddały Flecksteinowi jądro intymności, swoje dusze. Może je opętał? Może miał diabła za skórą i należało odprawić nad nim egzorcyzmy? Po dłuższym namyśle zrozumiałam jednak, że Lucyfer jako dentysta to pomysł zbyt banalny, nawet jak na Shorehaven. Zresztą, czyż kontrakt z diabłem nie jest umową dwustronną?

Na ile kobieta może się otworzyć? Nie potrafię sobie wyobrazić, żebym miała mówić Bobowi wszystko, nawet wtedy, kiedy kochałam go bez żadnych zastrzeżeń. Zachowywałam w tajemnicy swoje fantazje seksualne, podobnie jak wszelkie inne fantazje: jak otrzymuję nagrodę Pulitzera w dziedzinie historii i których przyjaciół Boba wybiorę sobie, jeśli on umrze w czterdziestym roku życia na atak serca.

Gdyby się uparł, może przyznałabym się, że pragnę nagrody Pulitzera, ale nie przedstawiłabym mu, nawet w najogólniejszym zarysie, przemowy przygotowanej na ten uroczysty dzień.

W żaden sposób nie mogłam zrozumieć, jak Mary Alice dała się przekonać obcemu człowiekowi - choćby nawet tak podstępemu jak Bruce - do opowiedzenia wszystkiego? Jak mogła pozwolić na uwiecznienie tego obrazu dla przyszłości? Co zataiła, zachowała dla siebie? A może to ja nie mam racji? Może lepiej dać sobie z tym wszystkim spokój, uwolnić się od

tych zahamowań trzymających się psyche, i powiedzieć światu: „I co z tego?”

Rozmyślałam nad tym cały dzień, ale nie znalazłam odpowiedzi. Kiedy Kate wróciła ze szkoły, spytałam ją, co robiła.

- Nic wielkiego. Mówiliśmy o Japonii.

Ona też miała swój świat. Czy kiedy podrośnie, pójdzie z jakimś chłopakiem do łóżka w pierwszym tygodniu studiów na Radcliffe albo Brown i opowie mu o wszystkim? Czy też będzie jabłkiem, które padnie niedaleko od starzejącej się jabłoni, zabytkiem z Epoki Intymności, córką swojej matki?

Następnego ranka, około ósmej czterdzieści pięć, zmęczyłam się samotnym rozmyślaniami. Zadzwoiłam do Nancy, ostatniej deski ratunku, i wprosiłam się do niej.

- Dobrze. Zadzwoię do Małego Pączuszka i powiem, żeby nie fatygował się tutaj. Może napisze raport dotyczący morderstwa Flecksteina i wyśle mi go pocztą. Dzisiaj subtelność nie jest w cenie.

- Mogę przyjść jutro rano? Zanim zaczniesz pracę?

- Chyba tak. Pewnie będę miała coś do powiedzenia. Przypadkiem wspomniałam o morderstwie i powiedział, że słyszy o tym nieustannie od dwóch tygodni, i już wychodzi mu to bokiem. Z tym ostatnim ma biedak rację, ponieważ brakuje mu czegoś na kształt umysłu i nie potrafi zrozumieć tego, co robią inni ludzie.

- Czy nie przeszkadza ci to - spytałam, pukając palcami w telefon - że Pączuszek jest tak... tak mało uzdolniony intelektualnie? Chodzi mi o to, że jeśli człowiek decyduje się na romans, to zwykle chciałby mieć kogoś, z kim można porozmawiać, choćby kilka minut.

- Wcale mi to nie przeszkadza. Jest uroczy. Lubię go.

- Nie wolałabyś kogoś z większą dozą rozumu?

- Nie. A ty?

- Nie mówimy o mnie.

- Ależ tak - powiedziała. - Do zobaczenia jutro.

Bądź szczerą, poleciłam sama sobie. Gdybym miała zamiar oddać się chwili przyjemności, między zmywaniem naczyń po śniadaniu a przyjazdem szkolnego autobusu, to też nie wybierałabym sobie partnera na podstawie ilorazu inteligencji. Bob ma dość inteligencji. Jest też wystarczająco sprawny seksualnie, żeby mnie zaspokoić - przynajmniej w czysto technicznym sensie. Na co więc zamieniłabym poczucie bezpieczeństwa, refleksyjną bliskość, przyzwyczajenie, czasem interesujące rozmowy, znośny seks? Nie na chwilę tarzania się w słomie z półanalfabetą, takim jak Pączuszek. Nie na kilka uwag dotyczących mojej osobowości, rzuconych od niechcienia w chwili, kiedy owłosiona ręka z bransoletą wsuwać się będzie pod mój sweter. A więc na co? Może na trochę radości. Nie śmiechu, ale radości. Kiedy się nad tym zastanowić, to nie doświadczyłam przy Bobie żadnej radości od sześciu czy siedmiu lat. Czy można odwołać przysięgę małżeńską z powodu braku radości lub niedostatku przyjemności?

Następnego ranka, zanim zdążyłam dojechać do Nancy, byłam w dość kiepskim humorze i przeszkadzało mi wszystko, poczynając od niezmiennie wypowiedzanego przez Boba: „Dzień dobry”, a kończąc na konieczności wstąpienia do warsztatu samochodowego, aby sprawdzić, dlaczego nasz duży samochód wydaje złowróżbne, fałszywe dźwięki. W rzeczywistości jednak wiedziałam, że prawdziwą przyczyną mojego rozdrażnienia jest świadomość, że w którymś momencie będę musiała wprowadzić do swojego życia trochę zmian. Albo ich nie wprowadzać.

- Cholera - mruzczałam, wjeżdżając na długi podjazd prowadzący do domu Nancy. Naprawdę nie był to dom Nancy, lecz jej męża. Larry, dziesięć lat po ukończeniu

architektury i po czternastu latach czerpania dochodów z funduszu powierniczego, związanego z rodzinnym interesem, kupił dwudziestopokojowego, wiktoriańskiego potwora, wznoszącego się nad Long Island Sound, i kompletnie rozbebeszył jego wnętrze. Owocem tej pracy były białe, ceramiczne posadzki, białe meble, białe ściany, na których jedyny kolorowy akcent stanowiły chromowane ramki białych płaskorzeźb, wykonanych przez jego przyjaciela, artystę grafika. Wszędzie znajdowały się wbudowane w ściany szuflady, kosze, szafy i szafki, pozwalające uniknąć nieładu. Nawet pokoje dzieci, do których wchodziło się po przezroczystych, spiralnych schodach z jakiegoś egzotycznego plastiku, były olśniewająco białe, chociaż Larry zgodził się, żeby dzieci miały na łóżkach po jednym pluszowym zwierzątku, oczywiście pod warunkiem, że spodoba mu się wybrany przez nie kolor.

Ledwie więc stanęłam w drzwiach, pospieszyłyśmy do gabinetu Nancy - jedyne w tym domu pokoju, który umknął nieskazitelnej wizji Larry'ego. Jej biurko, zarzucone egzemplarzami: „Foreign Affairs”, „Economist” i „Cosmopolitan”, jest wielkim meblem ze zrudnie rzeźbionego dębu. Przy ścianie, naprzeciw drzwi, stoi ogromna, wiktoriańska kanapa, pokryta zmatowiałym perkalem; dawniej pewnie w kolorach lśniącej czerwieni, bieli i zieleni, ale teraz miał przywiedły wygląd suchych kwiatów, które zapomniano wyrzucić z wazonu. Stały tu jeszcze dwa krzesła ze skórzanymi oparciami i wyszywanymi poduszkami, na których kuzynka Nancy, Berty, wypukłym ścięciem wyhaftowała zaproszenie: „Spocznij”. Nancy zachowała ten pokój na pamiątkę swoich korzeni, dawnego pełnego uroku życia, dzisiaj już zbutwiałego i wytartego, ale również dla satysfakcji, jaką czerpała z faktu, że jego istnienie w tym domu przeszkadza Larry'emu. Kiedy oprowadza po

gospodarstwie swoich klientów, przebiega obok drzwi jej gabinetu, mrużąc, że kryją się tu pomieszczenia z aparaturą klimatyzacyjną. Nie potrafi śmiać się z tego; to dla niego coś gorszego niż nienormalna ciotka ukryta na poddaszu.

- Mogłabyś otworzyć okno? - spytałam Nancy.

- Dlaczego? Śmierdzi?

- Trochę tu duszno.

- Przyszłaś, żeby krytykować czy posłuchać o morderstwie?

- Żeby krytykować - powiedziałam i otworzyłam okno. Powietrze było wilgotne i mroźne, ale lepsze niż zastała atmosfera biura. Nancy wierzyła we wszystkie tradycyjne przesady: jeśli weźmiesz do ręki żabę, zrobią ci się kurzajki; zaraz za przeciągami idzie przeziębienie; mężczyzna, który jada kapłony, będzie impotentem.

- Nie panikuj - pocieszyłam ją. - Za chwilę zamknę.

- Za chwilę przeziębę się i umrę.

- W takim razie mów szybko. Zamknęłam okno i usiadłam na kanapie.

- Pączuszek słyszał tylko plotki. Miejscowa policja nie prowadzi tej sprawy. Kiedy zdarzy się jakieś morderstwo, śledztwo prowadzi specjalny wydział do spraw zabójstw. Proszą jednak miejscowych o informacje dotyczące spraw lokalnych. W tym przypadku jest tego wiele. W każdym razie on mówi, że każdy na całym świecie może być podejrzany. Mafia, cała rodzinka Bruce'a, każda kobieta, na której położył łapę. Nawet twoja sąsiadka, wzór amerykańskiej matki, rudowłosa kwiatuszka, zawsze taki radosny.

- Mówisz o Marilyn Tuccio? - spytałam, usiłując udąć zdziwienie.

- Tak. Zdaje się, że groziła Bruce'owi, w rozmowie z jego pielęgniarzką. Myśla, że może jest jakąś religijną fanatyczką i próbuje oczyścić świat.

- To najbardziej idiotyczna rzecz, jaką w życiu słyszałam. Ona nie jest fanatyczką. Jest praktykującą katoliczką.

- Jedno i to samo.

- To nie to samo - upierałam się. - Zresztą ona mu nie groziła, na miłość boską. Rzuciła po prostu niewinną uwagę, że wpadnie w końcu w kłopoty, jeśli będzie kładł się z każdym napotkanym stworzeniem, które ma pochwę. Rozumiesz? Marilyn nie mówiła wprawdzie w ten sposób, ale chodziło jej o to samo.

Nancy zapaliła chesterfielda i długimi, białymi palcami zdjęła z języka kawałek tytoniu. Ze wszystkich znanych mi osób tylko ona nadal pali papierosy bez filtra. „Jeśli chcesz się zabijać - głosiła - przynajmniej zrób to ze smakiem i z godnością”.

- Rozmawiałaś z Marilyn Tuccio o tym morderstwie? - spytała.

- Tak. Chwileczkę. Wspomniałam jej, że był u mnie detektyw i wypytywał o tę sprawę.

- Rozumiem. Wracając do listy podejrzanych: pielęgniarka również znajduje się w pierwszej dziesiątce. Zdaje się, że Bruce wypełniał jedną z jej dziur i że zaczęła nalegać, żeby wziął rozwód.

- Tak. Chciałabym cię dobrze zrozumieć. Nie ma konkretnej osoby, którą najbardziej podejrzewają?

- Mówiłam już, że Pączuszek nie prowadzi tego śledztwa. Najwyraźniej jednak nasi miejscowi chłopcy są zainteresowani tym przypadkiem. Czym innym mieliby się zajmować? Parę kradzieży, kilkoro dzieciaków, które po pijanemu rozbiły tatusiom samochód? Tak smakowity kąsek nie trafił im się od lat. Zachwyca ich, że Bruce był związany ze wszystkimi miejscowymi damami. Pączuszek mówi, że traktują ten przypadek bardzo szeroko. Bruce miał tak wielu wrogów, że prawie wszystko jest możliwe.

- Jak to wrogów? Prawdziwych wrogów?

- Wiesz, nie ma nic, co rzucałoby się w oczy. Ale Jim, Pączuszek, rozmawiał z kimś z wydziału zabójstw. Tamten przesłuchiwał członków klubu Bruce'a i jakiś facet powiedział, że Bruce wszystkim działał na nerwy. Zdajesz sobie sprawę, że każdy członek klubu wiedział o kilku paniach, z którymi spał Bruce, i jego sukcesy robiły na innych wrażenie. Ten z wydziału zabójstw dodał też, że wszyscy bali się groźnego uroku Bruce'a i tego, że może załatwić każdego poprzez ich własne żony. Miał też udział w jakimś dziwnym interesie.

- Na przykład w pornografii?

- Tak, to i pewne niezupełnie legalne operacje handlowe załatwiane przez pośrednika, jakiś handel złotem, ale Pączuszek nie był w stanie tego zrozumieć.

- To znaczy, że wiedzą tylko, iż Fleckstein był podrywaczem i pośrednikiem i ludzie źle się czuli w jego obecności, tak?

Nancy kiwnęła głową.

- Masz coś jeszcze?

Uniosła rękę, przygładziła kasztanowate włosy i się uśmiechnęła.

- Mów - nalegałam. - Bądź poważna.

- Dobrze, ale to wymaga wielkiego wysiłku. W gabinecie Flecksteina nie było żadnych odcisków palców; żadnych, które nie powinny się tam znaleźć. Jim mówi, że każdy szanujący się zabójca ma dość rozsądku, żeby nosić rękawiczki, ale poza tym znaleźli coś ciekawego. To ci się spodoba.

- Co? Co?

- Zdjęcia. Niektóre z pięknych zdjęć Bruce'a. Pączuszek mówi, że nasi miejscowi chłopcy niemal szaleli z radości. Kapitan miał w końcu tego dość i schował zdjęcia u siebie w

sejfie, ale ludzie od zabójstw oświadczyli, że chcą, by każdy rzucił na nie okiem; może uda się rozpoznać niektóre kobiety?

- Boże!

- Teraz będzie coś ciekawego. Znaleźli tylko siedem czy osiem zdjęć, które były wciśnięte za jedną z szuflad. Wiesz, za taką wąską szufladkę, w jakich dentyści trzymają swoje narzędzia. Jezu, Bruce powinien trzymać w szufladzie tylko narzędzia. Może żyłby do dzisiaj.

- Czy to rzeczywiście takie dziwne, że znaleźli tylko kilka zdjęć?

- Jasne. Szuflada była całkiem pusta. Zdjęcia, na które natrafili, przycięły się z tyłu. Przycięty przez tył szuflady był też kawałek papieru przypominający róg zdjęcia. Myślą, że morderca przeszukał gabinet, znalazł zdjęcia i zabrał je.

Zdjęłam buty i położyłam stopy na kanapie, usiłując rozluźnić mięśnie pleców.

- Ale też i Bruce mógł zabrać zdjęcia. Chodzi mi o to, że może chciał się ich pozbyć.

- Słuchaj, Sherlocku, jestem jeden krok dalej niż ty. Jim mówi, że kilka szuflad było niedomkniętych. Wśród nich ta ze zdjęciami. Włamano się do nich.

- A więc myślą, że morderca szukał zdjęć?

- Skłaniają się ku temu, ale nie mają pewności. Słuchaj, to mogło być zupełnie normalne morderstwo i zabójca mógł przypadkiem znaleźć zdjęcia. Może zabrał je do domu, żeby zrobić sobie dobrze. A może wzięła je twoja sąsiadka, żeby nie zgorszyły więcej dusz.

- Nancy, ona nie jest wariatką. Słuchaj, ja czasem chodzę do synagogi. Czy to znaczy, że jestem fanatyczką?

- Nie, ale z pewnością przynosi to ujmę twierdzeniu, iż jesteś racjonalną istotą ludzką. Wiesz, siekana wątroba i słowa w jidysz są urocze, ale po co mieszać w to Boga?

Westchnęłam świadoma, że jakakolwiek dyskusja będzie bezowocna.

- Dobrze. Nie masz racji, ale nie będę się upierać. Co jeszcze miał do powiedzenia Mały Pączuszek?

- To wszystko - powiedziała.

Uwierzyłam jej. Nancy ma doskonałą pamięć. Może przeprowadzić wywiad z jakąś znakomitością i zrelacjonować potem całą rozmowę, nie zaglądając do notatek. Powoli, przeciągając się i rozmawiając o niczym, wyszliśmy z gabinetu i zeszliśmy po schodach, mijając lśniąco białe pokoje, jaśniejsze niż słońce po poranku spędzonym w kinie.

- Chciałabym - powiedziałam, siadając na kuchennym krześle z pleksi - zadać Pączuszkowi kilka pytań.

- Czemu nie? Zadzwoń do niego i bądź miła. On lubi cycki. Nancy stała przed lodówką z butelką chablis w ręce. Zręcznie wyciągnęła korek.

- Przed południem? - spytałam, patrząc na wino.

Położyła korek na blacie z białej formiki i odwróciła się do mnie.

- Kiedy przestaniesz próbować mnie zmieniać?

- Martwi mnie, że tyle pijesz. To nie wyjdzie ci na zdrowie.

- Skąd wiesz? Czy wyglądam na nieszczęśliwą? Chorą? Kopniętą?

- Nie. Zastanawiałaś się kiedyś, dlaczego tak dużo pijesz?

- Nie. Wiem dlaczego. Lubię to. Lubię pisać, pieprzyć się i nosić ładne ubrania. Musisz się z tym pogodzić. Zaakceptować mnie. Taką, jaka jestem. Czy ja się pytam, dlaczego tak cię interesuje to morderstwo?

- Nie, ale chętnie o tym porozmawiam. Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć...

- Nie chcę. Akceptuję fakt, że interesuje cię to morderstwo. Co zamierzasz zrobić?

- Nie wiem - odparłam.

- Możesz odwiedzić niektóre z zainteresowanych osób. Zadać im jakieś pytania. Jeśli chcesz być detektywem, to bądź detektywem.

- Daj spokój, Nancy. Jak mogłabym to zrobić? Jaki mogę znaleźć pretekst?

- Czy jesteś inteligentna, Judith?

- Tak. Bardzo.

- W takim razie możesz coś wymyślić.

Rozdział 9

Potrzebowałam czasu. Musiałam skoncentrować się nad tym, jak dotrzeć do najważniejszych osób zamieszanych w tę sprawę. Musi znaleźć się jakiś sposób, w końcu w ciągu czterech tygodni poprzedzających egzaminy z francuskiego i niemieckiego przeczytałam walizkę kryminałów. Pochłonełam sterty książek Dorothy Sayers i Johna Dicksona Carra, mnóstwo Agaty Christie, góry Reksa Stouta. W ciągu weekendu jednak niewiele się wydarzyło. W sobotę Joey wdrapał się do naszego łóżka o szóstej trzydzieści rano, ułożył na moim ramieniu i zwymiotował na kołdrę. Powiedział:

- Wydaje mi się, że nie czuję się dobrze.

Był to tylko nieżyt żołądka, ale cały dzień chodziłam za nim z napojem gazowanym, poszukując na jego ciele krost, pryszczki albo wysypki. Wieczorem czuł się dobrze. Ja byłam podenerwowana, ale Bob nalegał, żebyśmy poszli na spotkanie z jego najnowszym klientem.

Umówiliśmy się w pobliskiej restauracji, serwującej owoce morza. Na parkingu zauważyłam, że Bob opuścił głowę, jakby chronił twarz przed wiatrem, chociaż nie było nawet najłżejszego powiewu.

- Wiem, co czujesz - powiedziałam serdecznie. - Niełatwo poświęcać miły sobotni wieczór obcemu człowiekowi.

Bob stanął między sevilla a bmw.

- On nie jest obcy. Jest klientem i to bardzo dobrym.

Pociągnął nosem i ruszył ku wejściu, pozostawiając mnie trochę z tyłu. Chwiałam się na wysokich obcasach, które - jak twierdził Bob - sprawiają, że moje nogi wydają się zgrabniejsze. Nie pytałam od czego. Albo od czyich.

Najnowszą gwiazdą na firmamencie Singer Associates był producent zabawek, mężczyzna z wystającymi zębami. Jego żona to grubokoścista matrona, z zawodu psycholog dziecięcy. Bob powiedział mi, że ona pracuje z dziećmi z zaburzeniami

różnego rodzaju. Wyglądała na osobę, która byłaby zdolna wyleczyć z autyzmu, przyciskając dziecko do swoich obfitych piersi. Uśmiechałyśmy się do siebie nieznacznie, gdy piliśmy drinki, trochę szerzej podczas posiłku i zapewnialiśmy się nawzajem, że słyszałyśmy jedna o drugiej same wspaniałe rzeczy. Mężczyźni omawiali wyniki badań opinii publicznej, dotyczące zaufania klientów do producentów zabawek, i kręcili głowami nad cynizmem amerykańskich konsumentów. Kiedy posiłek złożony z owoców morza dobiegał końca, przeprosiłam wszystkich i poszłam do telefonu, dowiedzieć się o zdrowie Joeya.

- Na pewno czuje się świetnie, kochanie - syknął Bob. - Przestań się martwić.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Sylwia, psycholog. - Uważam, że troska o dzieci jest wzruszającą cechą.

- Posłuchaj mojej Sylwii, Bob - rozkazał Lou, zabawkowy potentat. - Jest fachowcem od matek i dzieci.

Bob posłuchał. Lou był wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie i potrzebował przychylnej reklamy, co mógł mu zapewnić Bob. Jego przereklamowany, główny produkt to lalka nazywana Szykowną Zuzią i jej afrykańska siostra, Uroczą Lawernia. Są bardzo poszukiwane, ale, kiedy dzieci zdejmują „niesforny nocny negliż”, żeby włożyć „różowe plażowe bikini”, lalkom odpadają nogi, a w rękach dzieci pozostają dwudziestopięciocentymetrowe, dziesięciodolarowe kukły po amputacji. Rządowa komisja ustalająca normy nie była tym ubawiona.

- Czuje się dobrze - oznajmiłam po powrocie od telefonu. Na moim talerzu leżały kilogramowy homar i mała sterta frytek.

- Mówiłem ci, że nic mu nie jest - stwierdził Bob. Uśmiechnął się słodko do Lou i Sylwii. Odpowiedzieli uśmiechem.

Jedliśmy ze skupieniem zrodzonym z nudy i świadomości, że rozmowa o niczym dobiegła końca.

- Mm. Doskonałe - mówiliśmy co jakiś czas.

- Chcesz spróbować mojej małży?

- Nie, dziękuję. Chcesz mojego mięczaka? Sylwia podniosła wzrok.

- Bardzo sympatyczna okolica. To miło, że taka dobra restauracja może tu zarobić na sobie.

Zaczełam jej szczerze współczuć. Dla niej ten wieczór jest równie ciężki jak dla mnie.

- Shorehaven to rzeczywiście sympatyczne miasteczko - zgodziłam się.

- Czy to nie tutaj miało ostatnio miejsce morderstwo?

Lou włączył się do rozmowy. Nie chciał serwetki pod brodę i miał teraz na krawacie dwie plamy z masła.

- Tak - odparłam z entuzjazmem. - Wokół tej sprawy zrobiło się sporo zamieszania.

- Judith, kochanie, oszczędźmy sobie krwawych szczegółów - powiedział Bob, zmuszając się do miłego uśmiechu.

- Jesteś psychologiem - zwróciłam się do Sylwii, nie patrząc na niego. - Chciałabym zadać ci pytanie. Wydaje się, że mężczyzna, który został zamordowany, był prawdziwym Don Juanem i sprawiał rozkosz sporej grupie miejscowych dam. Jaka może być przyczyna, że tak postępował?

- Powiem ci, dziewczynko, co sprawia, że mężczyzna tak postępuje - zachichotał Lou. Jego grube wargi błyszczały od masła.

- Szczerze mówiąc - zaczęła powoli Sylwia - to nie moja dziedzina. Pracuję z dziećmi i nie jestem freudystką, ale...

- Judith... - zaczął Bob.

- Ale - ciągnęła Sylwia i Bob zamknął usta - z tego, co pamiętam, typ Don Juana wyrasta z nierozwiązanego

kompleksu Edypa. W każdej kobiecie szuka matki, ale, oczywiście, nigdy jej nie znajduje.

- Co to znaczy? - spytałam.

- Wiesz, co to jest kompleks Edypa, Judith - wtrącił się Bob.

- Chciałabym wiedzieć - ciągnęłam, patrząc na Sylwię - w jaki sposób się to przejawia?

- Rozumiem, o co ci chodzi. Don Juan wydaje się nadmiernie zainteresowany seksem, ale w rzeczywistości nie chodzi mu o stosunki seksualne. Szuka potwierdzenia własnej wartości, a tego nikt nie może mu dać. Dlatego jest skazany na rozczarowanie w związku z każdą kobietą.

- Rozumiem - powiedziałam. - Przynajmniej jak dotąd. Jednak ten konkretny mężczyzna bawił się kobietami. Na początku był ujmujący, bardzo miły, ale później straszliwie nimi manipulował. Dlaczego nie zostawiał ich, kiedy wygasła miłość? Skąd ta potrzeba upokarzania?

- Rozczarowywały go. Nie dawały mu tego, czego chciał. W pewnym sensie czuł, że zawiodły go, ulegając mu seksualnie.

- Jakie kobiety pociągają takiego mężczyznę? Czy szuka jakiegoś konkretnego typu?

- Naprawdę nie wiem - powiedziała zamyślona, pocierając brodę lewą ręką. Nosiła największy brylant, jaki w życiu widziałam, cudo, błyskotkę. - Ale Don Juan bardzo pragnie zaspokojenia swoich potrzeb, będzie więc próbował wszystkiego, żeby uwodzić kobiety. Może być bardzo wrażliwy i mówić to, co w jego mniemaniu kobieta chciałaby usłyszeć. Zazwyczaj nie ma na myśli nic konkretnego, więc kobiety mogą go rozumieć tak, jak chcą. Prawdopodobnie byłby więc pociągający dla bardzo różnych kobiet, zakładając, że jest dość przystojny.

- Wiesz, masz rację - stwierdziłam, pełna podziwu dla niej. - Zdaje się, że miał upodobania katolickie i... - Bob kopnął mnie pod stołem w kostkę.

- Musisz jednak rozumieć - ciągnęła Sylwia - że taki mężczyzna może być bardzo narcystyczny. Musi stale udowodniać sobie, że umie podniecać kobiety. Nie potrafi zadowolić się głęboką, prawdziwą więzią.

- Był żonaty - powiedziałam. - Czy mógł mieć udane małżeństwo?

- Nie sądzę. Tacy ludzie borykają się zazwyczaj z wieloma problemami.

- Czy to znaczy, że jego żona też jest osobą z problemami?

- Nie. Niekoniecznie. Może niezbyt pewna siebie albo...

- Judith bardzo interesuje się tym przypadkiem. Niewiele tutaj mamy ciekawych wydarzeń - wyjaśnił Bob. Machał widelcem z ostentacyjną obojętnością; kilka kawałków sałaty upadło na stół.

- Niecodziennie zdarza się - oznajmił Lou - żeby sprzątnięto faceta za to, że obdzielał innych słońcem i światłem. Tak mu podziękowali za jego wysiłek.

Sylwia spojrzała na swojego kraba i cicho westchnęła. Uświadomiłam sobie, że wie, iż poślubiła bufona. Nie miała zamiaru tego zmieniać. Miła, inteligentna pani, może zbyt wrażliwa, ale bardzo porządna. Będzie się go trzymała - jako ta trzecia, po Szykowej Zuzi i Uroczej Lawerni - tak długo, jak długo Lou ją zechce. Na deser zamówiłam tort lodowy z gorącą polewą czekoladową.

- Dlaczego poruszyłaś sprawę morderstwa? - spytał Bob następnego ranka.

- To nie ja ją poruszyłam, tylko twój klient.

- Nie musiałaś podejmować tematu.

- Nie podjęłam. Zadałam Sylwii kilka pytań.

Zmarzły mi dłonie, więc schowałam je do kieszeni płaszcza kąpielowego. Namacałam wyzuty kawałek gumy owinięty w celofan i drewniany klocek z kompletu Kate.

- Jak myślisz, dlaczego ona od niego nie odejdzie? - spytałam Boba. - Jeśli przebić się przez słodką jak miód fasadę, jest bardzo miła. Ale on to straszny nudziarz.

- Nie jest nudziarzem. Jest cholernie dynamicznym facetem, który z niczego stworzył fabrykę przynoszącą dwadzieścia milionów rocznie.

- Bob... - Wzięłam go za rękę. Piliśmy już drugą kawę po śniadaniu. - Rozumiem, że jest twoim klientem i powinienes dla niego uczciwie pracować, ale nie musisz go kochać. On jest antytezą wszystkiego, na czym ci zawsze zależało.

- Nie można skreślać człowieka tylko dlatego, że nie siedzi w wieży z kości słoniowej i nie studiuje sztuki Mezopotamii.

- Ja też nie studiuję. Ale on jest taki wulgarny, prostacki, a ona jest...

- Kim jest? Psychologiem? Wielka rzecz. Nie musisz w każdej pracującej kobiecie widzieć romantycznej bohaterki. Zwróciłaś uwagę na tę skałę na jej palcu? Czy mogłaby to kupić za pensję psychologa?

- Myślisz, że dlatego z nim jest?

- Judith, czy musisz analizować każdy cholerny związek, na jaki się natykasz? I to publicznie?

- Interesują mnie ludzie. Co w tym złego? O czym miałam rozmawiać? O Szykowej Zuzi? Nie pozwoliłabym Kate bawić się taką lalką, nawet gdyby to była jedyna zabawka na świecie.

- Dlaczego zamówiłaś na deser lody?

- Bo miałam na nie ochotę.

- Ja zamówiłem sałatkę z owoców. Dzięki temu nie mam drugiego podbródka.

- Chcesz mi powiedzieć, że tyję? Nieprawda.
- Utyjesz, jeśli nie będziesz uważała.
- Nie przytyłam ani trochę - skłamałam.
- Niech będzie, że to ty masz rację, Judith. Ale pamiętaj, że otyłość działa na mnie odpychająco.
- Mnie natomiast podnieca rycerskość.

Wstałam, wstawiłam mleko do lodówki i nie oglądając się, wyszłam z kuchni.

Następnego ranka odbyłam pokutę w klubie: dwie godziny gimnastyki i pływania. Nie cierpię tego miejsca. Trim'n'Slim jest rajem dla miejscowych kobiet, które mówią: „Chcę się sobie podobać” albo: „Zaczynam tyć”, szukając na brzuchu wyimaginowanych fałdek tłuszczu. Codziennie rano napływają wąskim strumieniem, aby gimnastykować się, poleżeć w solarium i odpocząć w saunie. Ostatnią godzinę poświęcają na odświeżenie makijażu i wysuszenie włosów.

Rano próbowałam zawrzeć z nimi pokój, rozciągając się i obracając wśród dwudziestu ciał szczuplejszych i jędrniejszych od mojego.

- To na mięśnie ud po wewnętrznej stronie, dziewczęta - powiedziała instruktorka.

Po ostatnim, rozpaczliwym wyciągnięciu się dla poprawienia talii poleżałam w solarium mniej więcej minutę. Przyszło mi do głowy, że zanim moja skóra nabierze lśniącego brązowego koloru, dostanę raka skóry od promieni ultrafioletowych. Wstałam więc, owinęłam się ręcznikiem i weszłam do sauny. Intensywny zapach drewna sosnowego przebijała woń potu, którą z kolei ukrywał jeszcze mocniejszy aromat perfum. Na trzech kondygnacjach ław leżały trzy kobiety, wszystkie - jak to sobie uświadomiłam - starsze ode mnie, ale o doskonale wypielegnowanych ciałach. Ćwiczenia przerywały tylko w niedzielę i jeszcze raz na dwa czy trzy lata, kiedy szły do szpitala na operacje plastyczne.

Jedna z nich, kobieta po czterdziestce, przypominająca trochę Marlenę Dietrich w *Destry Rides Again*, miała dwie cieniutkie, blade, zaokrąglone linie pod biustem - niewielkie ślady po pracy chirurga. Jej piersi były całkiem przeciętnych rozmiarów, jak dwa średniej wielkości jabłka Macintosh i zaczęłam się zastanawiać, czy je powiększyła, czy też zmniejszyła. Draga miała wielką, puszystą kępkę brązowych włosów na podbrzuszu; wyglądało to jak peruka. Doskonałość eleganckiej figury ze szczupłą talią trzeciej z nich zakłócały tylko dwie równoległe blizny na brzuchu: jedna dokładnie pośrodku, a mniejsza po prawej stronie. Spojrzałam na twarz, żeby sprawdzić, czy ma osiemnaście, czy może czterdzieści lat i głośno przełknęłam ślinę. Była to Brenda Dunck, szwagierka Bruce'a Flecksteina.

Leżała na boku na najwyższej ławce; włosy miała owinięte turkusowym ręcznikiem i gapiła się na słoń w drewnie, tuż przy suficie. Gwałtownie zapragnęłam coś zrobić, coś do niej powiedzieć, ale chociaż serce mi waliło, a jelita dawały znać, że potrzebują opróżnienia, do głowy nie przychodziło mi nic, co mogłoby pomóc zmniejszyć napięcie. O co mogę ją spytać? Czy szwagier miał miły pogrzeb?

Usiadła i przeciągnęła się, a jej idealnie pomalowane, ciemnoczerwone paznokcie wskazywały dziesięć różnych kierunków. Co mogę powiedzieć? Uniżone, ciekawe: „Czy pani jest Brendą Dunck?” - wydało mi się zbyt nieśmiałe. Wstała i zręcznie zeszła na mój poziom, delikatnie prześlizgując się między wyciągniętymi ciałami innych kobiet. Nagle zerknęła w moją stronę i uśmiechnęła się słodko, chociaż jakoś smutnie.

- Dzień dobry. Chyba jesteś przyjaciółką Scotty? Nazywam się Brenda Dunck.

- Tak, oczywiście. - Odwzajemniłam uśmiech. - Jak się masz? Wstałam i owinęłam się ręcznikiem.

- Dobrze, biorąc pod uwagę okoliczności.

Paznokcie u stóp miała pomalowane tym samym, ciemnym lakierem, co u rąk. Otworzyła przede mną ciężkie drzwi sauny i wyszliśmy na lodowate płytki korytarza.

- Może wypijemy po filiżance bulionu? - zaproponowałam. Powiedziałam „może wypijemy”, a nie „chciałabyś się napić”, ponieważ brzmiało to bardziej wykwintnie, a porównując Brendę i Scotty zrozumiałam, że Brenda bardzo chce być damą.

- Dobrze - zgodziła się. Poszliśmy w kierunku szafek. Ja otulałam się ręcznikiem, a ona powoli stawiała długie kroki, jak naga narzeczona zmierzająca do ołtarza. Nawet uniosła brodę, jakby pozowała fotografowi, który ma za zadanie wypełnić jej album ślubnymi zdjęciami. Zanim doszliśmy do szafek, zdjęła z jednego z wieszaków płaszcz kąpielowy. Był z biało - turkusowego aksamitu i doskonale pasował do ręcznika na jej głowie. Milcząc, weszliśmy do sali klubowej.

- Skąd znasz Scotty? - spytała, kiedy usiadaliśmy na skórzanych krzesłach. Krzesła były na przemian pomarańczowe, turkusowe i żółte. Zauważyłam, że wybrała turkusowe. Czyżby dobrała sobie płaszcz kąpielowy do wystroju klubu?

- Mąż Scotty, Drew, uczęszczał do szkoły pomaturalnej z kolegą mojego męża ze studiów.

Była to prawda, chociaż odkryliśmy to dopiero później, kiedy już Joey zaprzyjaźnił się z Northern. Chciałam zaspokoić snobizm Brendy. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć czegoś o matce, nazywając ją „mateńką”, ale nie umiałabym tego zrobić wystarczająco swobodnie. Zdecydowałam się na pytanie:

- Jak dajesz sobie radę?

- Nieźle. Norma, moja szwagierka, była bardzo opanowana w czasie sziwa, to znaczy w okresie żałoby.

- Wiem, co znaczy sziwa - powiedziałam. - Jestem Żydówką.

- Och. Tak myślałam. To widać. Nie ma w tym nic złego, po prostu masz śniadą karnację.

Uśmiechnęłam się.

- To dzięki kilku wiekom, które przodkowie spędzili w Hiszpanii. - Kompletne bzdury. Z całej mojej rodziny, tylko rodzice spędzili trzy dni w Madrycie, na wycieczce zorganizowanej przez Federację Nauczycieli. Ojciec zużył osiem filmów, a matka zachorowała na dyzenterię.

Grubokoścista, chuda lesbijka pilnująca szatni przyszła i przyjęła zamówienie na dwie filiżanki bulionu. Za minutę przyniosła dwa parujące kubeczki. Brenda delikatnie spróbowała gorącego płynu i spojrzała na mnie.

- Bardzo mi przykro - mruknęła - ale zapomniałam, jak masz na imię.

- Proszę się tym nie martwić - uspokoiłam ją. - Spotkałyśmy się w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

Gdybym tak jeszcze umiała skrócić spółgłoski, mówiłabym jak Judyta Anderson.

- Nazywam się Judith Singer.

- Teraz sobie przypominam. Oczywiście.

Nastąpiła niezręczna chwila ciszy. Bałam się, że spyta, dlaczego przyszłam na pogrzeb.

- Muszę ci powiedzieć - oznajmiłam, nareszcie trafiając na dobry pomysł - że jestem przerażona rozgłosem, jaki tej sprawie nadała prasa. To musiało być niezmiernie przykre dla rodziny.

„Newsday” opublikował serię trzech czarujących artykułów, w których roztrząsano całą sprawę.

- To było okropne - zgodziła się. Przyciągnęła nogi bliżej i zaczęła masować sobie kostki. - Nigdy nie uważałam, aby

cenzura była potrzebna, ale teraz zmieniałam zdanie. Dziennikarze czasem posuwają się zbyt daleko.

Kiwnęłam głową, zastanawiając się, czy masowanie kostek jest nerwowym nawykiem Brendy, czy też robi to, żeby kostki były szczupłe.

- Zgadzasz się z tobą w całej pełni - skłamałam. Należę do ludzi, dla których jakiegokolwiek babranie przy pierwszej poprawce do konstytucji gwarantującej wolność słowa, jest grzechem śmiertelnym. Dlaczego tracę czas na rozmowę z tym ptasim mózdzkiem, myślałam, kiedy mogłabym w domu pisać rozprawę naukową? W tym momencie wpadł mi do głowy pomysł.

- Wiesz, Brendo, pracuję nad doktoratem i piszę między innymi na temat pierwszej poprawki do konstytucji. Może właśnie z tego powodu to, co wydarzyło się w twojej rodzinie, wywarło na mnie tak wielkie wrażenie.

- Robisz doktorat? - spytała z wielkim podziwem. Zrozumiałam, że wreszcie powiedziałam to, co powinnam powiedzieć wcześniej.

- Tak. Wykorzystanie i nadużywanie wolności prasy. Patrzyłam, jak połyka haczyk. Kiwnęła głową i zrobiła poważną minę.

- Moja praca byłaby o wiele ciekawsza, gdybym mogła przeprowadzić rozmowę z niektórymi członkami twojej rodziny i znajomymi twojego szwagra, żeby poznać ich postawy i reakcję na doniesienia prasowe. Anonimowo, oczywiście. Ale - przyznałam łaskawie - to może być zbyt kłopotliwe.

Nie zgodziła się ze mną, więc kontynuowałam:

- To, oczywiście, samolubne, ale miałabym doskonały rozdział, ilustrujący, w jaki sposób zapatrzona w siebie prasa może zniszczyć porządną, moralną amerykańską rodzinę.

- Sama nie wiem - powiedziała Brenda. - Mogłabyś przeprowadzić wywiad ze mną. Mogę też spytać Normę, ale nie wiem, jak będzie się czuł Dicky, mój mąż. Wiele się ostatnio działo i był tym wszystkim bardzo zdenerwowany.

- Doskonale go rozumiem. Możesz mu powiedzieć, że przedstawię stosowne dokumenty i mogę dać mu pisemne zapewnienie, że nie naruszę zasady anonimowości.

- Porozmawiam z nim.

- Świetnie. Chwileczkę.

Podbiegłam do szatni, do biurka Cookie, złapałam długopis i plan ćwiczeń, i zanim zdążyła mi przeszkodzić, wróciłam do pokoju klubowego.

- Proszę - rzuciłam do Brendy, pisząc na kartce - oto mój numer telefonu. Możesz dzwonić o każdej porze. Chcę powiedzieć coś jeszcze. Nie zamierzam wywierać na was nacisku, ale czy wiesz, co możemy zdziałać przy waszej współpracy?

Patrzyła na mnie z pytaniem w oczach. Uznałam, że ma dość inteligencji, żeby zdawać sobie sprawę, iż jest głupsza od większości ludzi, ale nie posiada jej aż tyle, by zaradzić tej sytuacji.

- Twoje opinie staną się częścią historii, żywym przykładem badanym przez uczonych i dziennikarzy w następnych dziesięcioleciach.

- Rozumiem - odparła.

Szczerze mówiąc, jednym z powodów, dla których dotąd nie zaczęłam pracy nad doktoratem, było poczucie, że nie warto poświęcać dwóch lat pracy na napisanie książki, którą - jeśli będę miała wyjątkowe szczęście - przeczyta dwadzieścia osób.

- Porozmawiam z Dickim jeszcze dzisiaj i zadzwonię do ciebie jutro rano albo w środę. Może być?

- Dobrze - powiedziałam.

Chciałam już wyjść i zadzwonić do doktora Ramseya, mojego promotora, żeby prosić o list stwierdzający, że istotnie Judith Singer jest kandydatką na doktora New York University.

- Będę wdzięczna za wszelką pomoc - stwierdziłam, wstając. - Dziękuję za miłą rozmowę.

Brenda uśmiechnęła się i rozparła na krześle. Oczy miała zamknięte; domyślałam się, że spotkanie ze mną musiało być męczące albo może nadszedł dla niej czas codziennej drzemki. W szatni rozpamiętywałam własną pomysłowość. Teraz będę mogła zadawać wszystkie pytania, jakie tylko zechcę. Wspaniale! Zanim jednak zdążyłam się ubrać, stwierdziłam, że okazałam się straszliwie głupia, niezmiernie tępa. Norma i Dicky (albo jedno z nich) przejrzą podstęp i wyśmieją moją prośbę. Nawet jeśli nie, jeśli zgodzą się na rozmowę, to co na tym zyskam? Co będzie, jeśli Bob dowie się o tym przedsięwzięciu? Co z Ramseyem? Czy napisze mi list? Czy w związku z tym będzie domagał się, żebym w ciągu dwudziestu pięciu dni przedstawiła gotową rozprawę na temat wpływu środowisk bankowych na politykę finansową państwa w latach 1932 - 1933?

W samochodzie zerknęłam w lusterko wsteczne. Mimo sauny, moja twarz nie wyglądała już młodo i świeżo. Co mam do stracenia? Dziewictwo, niezależność, kariera - wszystko to już straciłam. Bob nie zgodzi się na zmiany. Kto miałby przygotowywać mu śniadania i prasować koszule? Skóra wokół moich oczu robiła się coraz cieńsza, przygotowując glebę pod żniwo zmarszczek. Poprawiłam lusterko i pojechałam do domu.

Do powrotu Joeya zostało mi jeszcze pół godziny. Zadzwoniłam do doktora Ramseya. Odniosłam wrażenie, że ucieszył go mój telefon. Spytał, czy zrozumiałam wreszcie, jak błędne są moje drogi.

- Nigdy nie twierdziłam, że rezygnuję z doktoratu na zawsze - przypominałam mu. - Musiałam zrobić przerwę, żeby odchowić dwójkę dzieci.

- Droga pani Singer, widziałem wiele osób o świetnych umysłach, które poszły na urlop, żeby wychować dwoje bachorów albo popracować rok czy dwa w rodzinnej firmie. Tacy nigdy nie wracają. Uginają się pod ciężarem materializmu, a w akademii dzwoni dzwon nad następną utraconą duszą.

- Mnie można jeszcze uratować. Z pana pomocą, oczywiście. Czy mogłabym dostać list stwierdzający, że pracuję nad doktoratem? Kiedy zrobi się cieplej, chciałabym pojechać do Hyde Parku i będę musiała przedstawić oficjalne pismo, żeby uzyskać dostęp do dokumentów.

- Po co czekać do wiosny, pani Singer? Niech pani włoży ciepły sweter i kalosze i pojedzie tam zaraz.

- Najpierw muszę mieć list.

- Zostanie wysłany w ciągu godziny.

Odłożyłam słuchawkę i objęłam się ramionami, ale nie z radości. Było mi strasznie zimno. Jakie to ohydne, żeby oszukiwać doktora Ramseya dla osiągnięcia własnych celów. Teraz będę musiała zrobić doktorat, żeby udowodnić, iż nie kłamałam. Rozcierając lodowate dłonie, pomyślałam, że wcale nie mam na to ochoty. Najmniejszej. Gdybym resztę życia miała spędzić na seminariach, czytając i rozprawiając o historii Ameryki, byłabym do głębi nieszczęśliwa. Nie pragnę nauczać, nie mam najmniejszego upodobania do walk między wydziałami. Muszę się jednak czymś zająć. Za cztery czy pięć lat Kate i Joey nie będą wystarczającym usprawiedliwieniem do siedzenia w domu. Co będę odpowiadała ludziom, którzy pytają, co robię? „Och, dużo czytam i czyszczę srebra”.

Ozdobiona natomiast tytułem doktora, będę mogła odpowiadać: „Uczę”. Kiedy pytają mnie, w której klasie, z

uśmiechem odpowiem: „Na uniwersytecie”. Bob zacznie mnie przedstawiać: „Moja żona, doktor Singer”. Nareszcie będę dobrym przykładem dla Kate, a Joey nauczy się dostrzegać w kobietach fachowców. Ożeni się z lekarką lub z prawniczką i będzie się z nią dzielił pracami domowymi. Dysponując własną pensją, będę mogła opłacić pomoc domową, składać telefoniczne zamówienia w sklepie spożywczym i zamienić duży, rodzinny samochód na bladożółte MG.

Zgodnie z nową tożsamością - kompetentnej ludzkiej istoty, kierującej swoim życiem - przygotowałam niskokaloryczny lunch z białego serka i grapefruita. Naturalnie, Joey po powrocie do domu nawet nie chciał słyszeć o czymś takim. Dałam mu kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. Na deser zjedliśmy do spółki pudełko ptasiego mleczka.

Wieczorem uznałam, że cierpię na psychozę maniakalno - depresyjną. Udam się do cichego sanatorium w stanie Nowy Jork i poddam cztero - lub pięcioletniemu leczeniu litem.

Bob spytał:

- Czy coś się stało? Jesteś taka milcząca.
- Nie. Chyba jestem zmęczona.

Uczucia napływały potężnymi falami. Kręciło mi się w głowie na myśl o rozmowach z członkami rodziny Flecksteina i o konieczności zrobienia doktoratu. Zaraz potem martwiłam się, rezygnując z tego zamiaru i decydując się żyć tak, jak dotychczas. Na szczęście około dziewiątej zadzwonił telefon i ktoś spytał łagodnym głosem:

- Czy to Judith Singer?

Brenda Dunck! Zapewniłam ją, że to ja, za wszelką cenę usiłując zachować naturalny ton głosu. Spytałam, jak się czuje.

- Dziękuję, dobrze. Dzwonię w sprawie, o której wczoraj rozmawialiśmy. Pamiętasz? Pytałam mojego męża i

powiedział, że mogę z tobą porozmawiać, jeśli on będzie przy tym, aby sprawdzić, czy to, co zapisałaś, jest zgodne z prawdą. Nie przeszkadza ci to?

- Wspaniale! - Niemal wrzasnęłam i natychmiast zaczęłam mówić bardziej stonowanym głosem: - Czy twój mąż też będzie chciał udzielić wywiadu?

Jeśli Dicky odmówi, szanse na rozmowę z Normą i przyjaciółmi rodziny będą znikome.

- Powiedział, że oczywiście tak, ale nie ma wiele do powiedzenia. Stwierdził, że nie dziwi go to, o czym pisały gazety, ponieważ muszą zarobić na sensacji.

- To bardzo intrygujące stanowisko - skomentowałam. - Chciałabym to lepiej zrozumieć. Co sprawia, że człowiek jest tak cyniczny? A może tak realistyczny, jeśli spojrzeć na sprawę z innego punktu widzenia?

Wiedziałam, że plotę bzdury, ale potrzebny mi był jak najlepszy wabik.

- Nawiasem mówiąc, na jakiej uczelni robisz doktorat?

- New York University.

- Och! - Brenda najwyraźniej była rozczarowana. Przypomniałam sobie, z kim rozmawiam.

- Wydział historii jest słynny. Chciałam zdawać na Harvard, ale wszyscy mówili mi, że tam jest znacznie niższy poziom.

- Och, miałaś rację - zapewniła mnie. Umówiłyśmy się na spotkanie nazajutrz, o dwudziestej, u nich w domu. Zeszłam na dół i zapukałam do drzwi ciemni.

- Bob, czy jutro jesz kolację w domu?

- Judith, czego chcesz? - zawołał spoza zamkniętych drzwi. - Mam pracy po uszy, a ten przeklęty telefon dzwoni jak oszalały. Słuchaj, dzisiaj przyszedłem wcześniej. Uważasz, że przyjemnie jest pracować po dwanaście godzin na dobę? Sądzisz, że to lubię?

- Wiem, kochanie - zagruchałam za drzwiami, starając się nadać swojemu głosowi ciepły, pełen miłości ton. - Muszę wyrwać się z domu na dwie godziny. Może pojedę na zakupy albo pójdę do kina z kimś, kto ma męża pracującego do późnej nocy. Czy mogę zadzwonić po opiekunkę do dzieci?

- Możesz. Dzwon.

Moja łagodność, łaskawa rezygnacja z rzucenia mu pod nogi rękawicy i zwymyślenia go od neurotyków i pracoholików, od odrażających gówniarzy, uczciwie zasługujących na zawał serca, opłaciły się. Jak zwykle.

- Może zjem kolację na mieście! - zawołałam.

- Wspaniale, Judith. Dobrze ci to robi. Miałam wrażenie, że jest zadowolony.

- Jeszcze coś?

- Nie. Pozmywam naczynia i kładę się spać.

- Dobrze. Świetnie. Do zobaczenia rano.

Kiedy skończyłam zmywanie, zamknęłam się w łazience na godzinę hydroterapii. Łazienka jest najlepszym pomieszczeniem w całym domu, ponieważ zbudował ją poprzedni właściciel, Sol Slutsky, król artykułów sanitarnych. Solowi podobała się wprowadzić tapeta w czerwone paseczki w jadalni, nakrapiane złotem ściany z lustrami w pokoju gościnnym, ale, dzięki Bogu, wykazał się dobrym smakiem, gdy urządził łazienki. Remontowaliśmy wszystkie pomieszczenia w całym domu, z wyjątkiem łazienek. Nasza jest olbrzymia, ozdobiona imponującym morzem zielonych płytek, i posiada, jak powiedział Sol, wszystkie udogodnienia. Toaleta ze spłuczką cichą jak styczniowy świt, wpuszczana w podłogę wanna, w której mogą zmieścić się dwie osoby, oszklona kabina prysznicowa, która za przekręceniem kurka przemienia się w łaźnię parową, i bidet. Pani Sol - zdaje mi się, że miała na imię Henrietta - ostrzegła mnie przed

bidetem i oprowadzając nas po domu, szeptała mi do ucha, że bidet wysuszy moje wnętrzności na wiór.

Teraz siedziałam na nim, czułam przelewającą się w moim brzuchu letnią wodę i zastanawiałam się, czy nie poczekać na Boba, nie wyznać mu całej prawdy.

„Potrzebuję na jutro opiekunki do dzieci, bo chcę badać sprawę morderstwa” powiem.

„Oszalałaś?! - krzyknie. Albo, jeśli będzie w lepszym nastroju: - Po co płacimy podatki, Judith? Nie sądzisz, że policja ma obowiązek sama wykonać swoją pracę?”

Nie zrozumie mnie.

Pod prysznicem, kiedy parująca woda z sześciu kurków oblewała moje ciało, zaczęłam się odprężyć, słabnąć i nawet poczułam odrobinę współczucia dla Boba. Wiedziałam, że od lat nie zaznał chwili szczęścia; szczerze mówiąc, od dnia, kiedy zaczął pracować w rodzinnej firmie. On jeden odstawał od rodziny, był Singerem zbyt subtelnym, zbyt czystym, żeby przyłączyć się do zabawy w rzecznika prasowego różnych firm. Całymi latami wysoko nosił brodę o doskonałych kształtach i nie chciał słuchać błagania rodziców. Pewnego wieczoru wrócił do domu po seminarium na temat Dostojewskiego i niespodziewanie powiedział mi, że przyłączy się do Singer Associates.

- Tylko na rok. Chcę im pokazać, że nic z tego nie będzie.

- Wiesz, że nic z tego nie wyjdzie. Dlaczego musisz im to udowadniać? Pozwól, żeby nauczyli się akceptować ciebie takim, jakim jesteś. To oni mają problem, a nie ty.

- Słuchaj, chodzi tylko o jeden rok. Zarobię trochę pieniędzy i pojedziemy na pół roku do Europy. Będzie fajnie.

Było fajnie. Fajnie dla Singer Associates. Bob ma duże zdolności. Jego oświadczenia prasowe to perły. Jest najlepszym orędownikiem od czasów Aarona i Mojżesza. Został w firmie. Nie pojechaliśmy do Europy, ponieważ

straciłby klientów, gdyby był nieobecny dłużej niż tydzień. Kupiliśmy dom. Wstąpił do City Athletic Club i zaczął nazywać swojego promotora „intelektualnym samogwałcicielem”. Przez trzy lata namawiałam go, żeby zrezygnował. Odpowiadał: „Już niedługo, niedługo”.

Pewnego razu powiedział wreszcie:

- Nie zrezygnuję. Lubię to, Judith... - Spojrzałam na niego. - Nie słyszałam, żebyś skarżyła się na to, że możesz wydać osiemdziesiąt tysięcy dolarów rocznie.

Kiedy nie miał w pobliżu klientów, rzadko śmiał się na głos. Nieczęsto zdarzało mu się przeczytać książkę. W dni wolne od pracy brał aparat fotograficzny i robił zdjęcia liściom i kwiatom, po czym spędzał w ciemni całe godziny, powiększając je, aż przestawały przypominać paki kwiatowe i wyglądały jak olbrzymie membrany. Przez wszystkie te lata nie miałam odwagi spytać go, czy cieszy się tym, co osiągnął. Może jest szczęśliwy na swój sposób? Może tylko ja czuję się nie najlepiej, ze względu na to, że człowiek, z którym żyję, nie jest tym, którego poślubiłam?

Zakręciłam prysznic i owinęłam włosy dużym, miękkim ręcznikiem. Może to, co Bob powiedział bez żadnych ogródek, jest prawdą? Może rzeczywiście nigdy nie było mi lepiej? Z pewnością kobiety, które pchały się do Flecksteina, musiały być bardziej nieszczęśliwe niż ja. Inaczej dlaczego miałyby wypinać się na swoich mężów i podkładać się staremu Bruce'owi? A może to ja jestem nieszczęśliwa i zniechęcona do tego stopnia, że brak mi sił na szukanie kogoś, kto mógłby zastąpić tego pustego mężczyznę, z którym żyję?

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że Bob leży w łóżku. Patrzył na mnie: duże piersi, długie nogi - niedoskonała, ale nie najgorsza.

- Cześć - powiedział.

Badał mnie wzrokiem od stóp do głów.

- Judith, nie mów mi, że nie przytyłaś. Widzę po talii.
- Dobranoc.
- Dobranoc.

Rozdział 10

Dom Duncków stoi na obszarze zwanym Shorecrest. Na tej enklawie wielkości prawie tysiąca metrów kwadratowych postawiono trzy rodzaje domów: jedne z półpiętami, inne - nieudane połączenie rancza i domu z półpiętrem oraz domy w stylu kolonialnym. Dicky i Brenda opowiedzieli się za tradycją i wybrali model kolonialny. Skrzynkę na listy ozdobił złośliwie wyglądający orzeł, trzymający w pazurach jednej łapy strzałę, a w drugiej ich adres: złocony numer 14.

- Cześć, mała - powiedział Dicky, otwierając drzwi. Jego rzadka kozia bródka zadarła się do góry, gdy się uśmiechnął. - Miło cię widzieć.

Był wystrojony jak na śniadanie w Dartmouth: spodnie khaki, kolorowa indyjska koszula, klapki z kieszonką, bez skarpet. Udało mu się uchwycić płochliwego ducha białego amerykańizmu, pomyślałam. Prawie. Na lewej ręce miał zbędną, w niczym jednak nieprzeszkadzającą złotą obrączkę ślubną, a na prawej duży, złoty sygnet z inicjałami R. D., ozdobionymi chińskim ornamentem, z maleńkim diamencikiem połyskującym między literami. Pierścień, który dostał w dniu bar micwy (bar micwa - w judaizmie rodzaj konfirmacji, przyjęcie chłopca do społeczności religijnej dorosłych w dniu jego 13. urodzin (przyp. red.)).

- Dzień dobry. Jestem Judith Singer.

- Jasne. Pamiętam cię z pogrzebu. Wejdz proszę. Czuj się jak u siebie w domu.

To byłoby trudne. Wprowadził mnie do pokoju zastawionego replikami kolonialnych, amerykańskich mebli. Pięć czy sześć krzeseł, komoda z licznymi maleńkimi szufladkami, wielka kanapa na wrzecionowatych nóżkach, kołowrotek - wszystko to z połyskującego klonu. Ściany i krzesła pokryte były czerwoniębieskim materiałem, na którym, po uważniejszym przyjrzeniu się, widać było

wytłoczony maleńki wzór: rozrzucone bezładnie apteczne słoiki i sceny z góry Vernon.

- Przepraszam - powiedziałam, potykając się o mały stołeczek.

- Nie szkodzi - odparła Brenda, ubrana w czerwone wdzianko, rozparta w bujanym fotelu w stylu Nowej Anglii. Nie zauważyłam jej. Świetlany początek mojej detektywistycznej kariery.

- Masz ochotę na kawę?

- Tak, proszę.

Kiedy zniknęła w kuchni, otworzyłam starą dyplomatkę Boba i wyjęłam notes oraz długopis. Siedziałam na skórzanym krześle, niespełna pół metra od Dicky'ego. Podałam mu list Ramsey'a, który nadszedł z dzisiejszą pocztą.

- To moje papiery.

- Dziękuję.

Czytał powoli, poruszając ustami. Zauważyłam, że przejechał palcami po wytłoczonym znaku uniwersytetu. Sprawdzał dlatego, że pracuje w drukarni, czy też dlatego, że ma wątpliwości co do prawdziwości dokumentu?

- Rany. Śliczna jak obrazek i do tego mądra - stwierdził z uśmiechem. Odwzajemniłam uśmiech. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Będiesz notowała? - spytał, spoglądając na notes. - Jeśli tak, to napisz, że stary Dicky Dunck uważa, iż gazety są pełne najgorszego gnoju, i możesz mnie zacytować.

- Chętnie bym cię zacytowała, ale nie zrobię tego. Przyglądał mi się ciekawie.

- Widzisz - wyjaśniłam - chcę, żebyś czuł się jak najbardziej swobodnie i mówił całkiem otwarcie. Uważam, że anonimowość stwarza ku temu najlepsze warunki. Oczywiście, jeśli chcesz, żebym użyła twojego nazwiska...

- Mówiąc prawdę, kochanie - powiedział „kochanie” swobodnym, beznamiętnym tonem, jak sprzedawca w sklepie z ubraniami, i nieco zniżył głos - wolałbym, żeby nazwisko Dunck nieprędko stało się znów obiektem publicznego zainteresowania. Chyba że na giełdzie.

Zachichotał dwa razy, za drugim razem pół nuty wyżej. Uśmiechnęłam się bardzo nieśmiało i poczułam, że górna warga mi zdrętwiała i dziwnie się wykrzywiła.

- Dobrze - zgodziłam się.

- Chodzi o to, że wszyscy w okolicy zdają sobie sprawę, iż Norma jest moją siostrą, ale od kiedy gazety zaczęły rozpisywać się o naszej sprawie, już wszyscy na świecie wiedzą, że ktoś z Duncków jest w to zamieszany. Powiedz, skarbie, czy rzeczywiście musieli pisać o Normie: „dawniej Norma Dunck”? Kurczę, wszyscy znają ją jako Normę Fleckstein. Chodzi mi o to, że nie należy do tych wolnych kobiet, które przez całe życie używają dwóch nazwisk.

Powoli zapisałam w notesie: „Wrogo nastawiony do używania nazwiska Dunck”, tylko po to, żeby zyskać kilka sekund.

- Proszę, jest kawa - oznajmiła niespodziewanie Brenda. Gruby, niebieski dywan, sięgający od ściany do ściany, zagłuszył jej kroki. Postawiła tacę na wielkim siedzeniu kołowrotka; służył jej za stół. Staliśmy, schylając się, żeby nasypać cukru i wlać do kawy śmietankę.

- Z kim mogę rozmawiać najpierw? - spytałam chwilę później. Nie było chętnych. - Może ty, Brenda?

- Dobrze.

Światło padające z dwóch cynowych rogów lśniło na jej czarnych włosach, zaczesanych do tyłu i ułożonych w koczek, jak u pierwszych Amerykanek. Tyle tylko, że żadna z amerykańskich pionierek nie mogła osiągnąć głębokiej czerni numer 46 firmy Clairol.

- Jak już mówiłam, próbuję zbadać wzajemne relacje między przywilejami zagwarantowanymi przez pierwszą poprawkę do konstytucji a prawem do zachowania tajemnicy życia prywatnego, właściwym prawodawstwem anglosaskiemu.

Gdyby można złapać to, co mówiłam, zatrzymać i przetworzyć na nowo, mogłoby posłużyć do użyźniania wszystkich trawników w Shorehaven przez następne dziesięć lat. Dicky i Brenda patrzyli na mnie i poważnie kiwali głowami.

- Chcę jednak czegoś więcej niż suche przytaczanie praw i historii konstytucji. Chcę człowieczeństwa: ludzkich uczuć, ludzkich emocji.

- Ach, tak - powiedziała Brenda.

- Dobrze. Jaka była wasza pierwsza reakcja, kiedy zobaczyliście sprawozdania w „Timesie” i „Newsday”?

- Chodzi ci o to, co pisali na początku?

- Tak. Zanim zaczęli pisać o nielegalnych interesach twojego szwagra.

- Zobaczyłam tę maleńką wzmiankę w „Timesie” tylko dlatego, że na stronie obok jest rubryka zgonów i chciałam sprawdzić, czy znajdę informację o śmierci, ponieważ aż do późnych godzin wieczornych nikt z nas nie pomyślał, żeby zadzwonić do „Timesa”.

- Jak się poczułaś, kiedy zobaczyłaś artykuł?

- Sama nie wiem. Wiesz, był tak brutalnie szczery, że ze zdenerwowania chyba wcale nie zareagowałam.

Przepraszająco wzruszyła ramionami.

- Ależ tak, koteczku! - ryknął Dicky, zwracając się do niej pierwszy raz, od kiedy przyszłam. - Byłaś cholernie wkurzona, kiedy zobaczyłaś panięskie nazwisko Normy, i powiedziałaś, że teraz wszyscy będą wiedzieli, że oni są naszymi krewnymi. Pamiętasz?

Brenda wzięła głęboki wdech i powoli westchnęła przez zaciśnięte usta.

- Tak. Teraz sobie przypominam - powiedziała cicho, nie patrząc na niego. - Martwiłam się o dzieci - zwróciła się do mnie. - Myślałam, że to wystarczająco straszne, że ich wujek został zamordowany, a jeśli zaczną teraz wyciągać nasze nazwisko i łączyć je z Flecksteinami, dzieci mogą mieć w szkole nieprzyjemności.

- Rozumiem.

Napisałam: „B. zakłopotana zamord. Flecksteina”.

- Wiesz, nie trzymaliśmy się z nimi zbyt blisko - wyjaśniła. - Stosunki między nami były trochę napięte i spotykaliśmy się tylko podczas świąt. Od lat się nie odwiedzaliśmy.

- Brenda uważała, że on zbyt rzucił się w oczy. Prawda, kochanie? Pamiętasz? Mówiłaś, że jest nieokrzesany.

- Możliwe - powiedziała cicho. - W każdym razie, nie przyjaźniliśmy się jakoś szczególnie.

- Z powodu nieporozumień wywołanych testamentem ojca? - spytałam Brendę. Trudno było oczekiwać, żeby pytanie przyjęło z radością.

Brenda siedziała na krześle, drętwa i wyprostowana. Dicky zrobił się różowy, potem czerwony, a wreszcie prawie purpurowy. Zauważyłam niewielką szczecinę nad uszami, tam gdzie golił głowę.

- Widzę, że jesteście zaskoczeni - stwierdziłam, usiłując odzyskać to, co straciłam. Taki miałam zamiar.

Wpatrywali się we mnie pozwalając, żeby zdziwienie wymieszało się z niesmakiem, jaki wywołało moje zachowanie.

- Słuchajcie - ciągnęłam. - O to właśnie chodzi w mojej pracy. To, co jest w gazetach, nie ogranicza się tylko do serii artykułów. Jeśli raz nadużyją swoich wpływów, nie ma nic

świętego. Szczerze mówiąc, nie znałam was obojga aż do dnia pogrzebu, ale już od dwóch czy trzech osób słyszałam o nieporozumieniach w waszej rodzinie.

- Może przypadkiem powiedziano ci również, że pogodziliśmy się po tym drobnym incydencie? - spytał Dicky.

- Nie. I o to właśnie chodzi. Plotkarzy nie interesuje to, że się pogodziliście. Chcieliby z normalnego nieporozumienia w rodzinie zrobić casus belli, prawdziwą bitwę.

Skoro nie mogłam zrobić nic, żeby się rozluźnili, mogłam przynajmniej zmęczyć ich potokiem słów.

- Rozumiem - powiedziała Brenda, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. Brwi miała ściągnięte tak, że nad jej małym, haczykowatym nosem utworzyły się dwie bruzdy. - W każdym razie - ciągnęła - wszystko zostało załatwione. Nie byliśmy ze sobą zaprzyjaźnieni, ale nie mieliśmy większych zatargów. Bruce dał Dicky'emu jakieś zlecenia.

- Nie odgrzebujmy starych spraw - mruknął Dicky.

- Jakie zlecenia? - spytałam.

- Prace drukarskie - odparł. - Dla jego przyjaciela. Wszyscy zrobiliśmy się spokojniejsi.

- Dobrze - powiedziałam. - Wróćmy do niesławnego artykułu o powiązaniach twojego szwagra z postaciami ze świata przestępczego. Jak się z tym czułaś, Brendo?

- Muszę chwilę pomyśleć.

Kciukiem i palcem wskazującym delikatnie wyjęła z kącika oka rzęsę, położyła ją na skraju popielniczki, jakby nie była w stanie ścierpieć myśli, iż mogłaby rzucić ją na podłogę.

- Byłam zdumiona. Całkiem zaskoczona. Bruce zawsze wydawał mi się miłym, oddanym rodzinie człowiekiem. Fachowcem. Myśl, że mógł robić jakieś ciemne interesy, nie przyszła mi nigdy do głowy. Dla mnie było to nie do pojęcia. Szczerze mówiąc, do dzisiaj w to nie wierzę. Coś musiało się komuś pomylić.

Pewnie pomylili twojego szwagra z innym doktorem Marvinem Bruce'em Flecksteinem, pomyślałam.

Dicky pochylił się do przodu.

- Ci faceci z gazet to banda najgorszych gówniarzy - powiedział. - Słuchaj, kotku, nie mówię, że nie miał w gabinecie pewnych pism. Jest dorosły, prawda? Nie bądźmy naiwni. Twój mąż nigdy nie kupował „Playboya”?

Tak. Powiedział, że podobają mu się wywiady.

- Oczywiście. Mówiąc całkiem szczerze, sama do nich zaglądałam.

- Rozumiesz mnie - oznajmił Dicky. Zdjął kapcie z bosych stóp i wyciągnął nogi. Zerknęłam w dół i zauważyłam, że ma połamane, grube i przebarwione paznokcie u nóg. - Te rzeczy są może nie najciekawsze, to prawda, ale znajdziesz je wszędzie. To wcale nie jest pornografia.

Brenda zobaczyła, że przyglądam się jego paznokciom i wyraźnie była speszona. Udałam, że patrzę na jedną z klonowych nóg kołowrotka, jakieś piętnaście centymetrów od stopy Dicky'ego.

- Innymi słowy - powiedziałam, zmuszając się, by spojrzeć mu w oczy - jesteś przekonany, że artykuł został w całości zmyślony?

- Zmyślony? Chciałaś chyba powiedzieć, że był kupą gówna? Całkiem bez ogródek. Prawda, aniołku?

- Tak - odparła Brenda, nadal wpatrując się w jego stopy, jakby siłą wzroku mogła w jednej chwili sprawić, by paznokcie przestały być tak obrzydliwe. A potem zwróciła się do mnie: - Widzisz, słabo znałam Bruce'a. Nie byliśmy zaprzyjaźnieni. Ale mimo wszystko sądzę, że nie interesowałyby go tego typu książki, świńskie filmy i takie rzeczy.

- Jesteś też przekonana, że nie miał kontaktów z członkami zorganizowanych grup przestępczych? To był jeden z zarzutów stawianych przez prasę - wyjaśniłam.

- Absolutnie; w stu procentach niemożliwe - zapewnił Dicky. - Może miał jakichś znajomych noszących włoskie nazwiska, ale to jeszcze nie znaczy, że należeli do mafii. Kurka wodna, jeśli twoje nazwisko kończy się na samogłoskę, jakiś cholerny prokurator zaraz wszczyna śledztwo.

- Chyba że to nazwisko brzmi Shapiro - mruknęłam.

- Pojmuję - powiedział Dicky. - Bardzo miłe. Cha, cha, cha! Jesteś bardzo inteligentnym buziaczkiem.

- Poważnie; rozumiem, co masz na myśli - dodałam. - Moja sąsiadka była ostatnią pacjentką twojego szwagra i policja gania za nią jak szalona. Ona jest przekonana, że to z tego powodu, iż nosi włoskie nazwisko.

- Kto to jest? - spytał Dicky dość ostrym tonem.

- Znam ją - odparła Brenda. - Marilyn Tuccio. Tak?

Spojrzała na mnie, oczekując potwierdzenia. Kiwnęłam głową. Byłam zmieszana. Zdradziłam coś, co Marilyn powierzyła mi w zaufaniu. Brenda zwróciła się do Dicky'ego:

- Słyszałam, jak Norma mówiła komuś, że policja pytała ją o Marilyn; czy Marilyn i Bruce byli zaprzyjaźnieni? Policja mówi, że Marilyn prawdopodobnie była ostatnią osobą, która widziała go żywego.

- Och! - westchnął Dicky. - Nie słyszałem o tym. Co robi jej mąż? Brenda wzruszyła ramionami.

- Jest chirurgiem dziecięcym - odpowiedziałam.

- Och. Nie jest ojcem chrzestnym? Rozumiesz, co mam na myśli?

- Nie - powiedziałam.

Zerknęłam w dół, znów na paznokcie Dicky'ego i na niebieskie żyły na nogach. Pasowały do dywanu.

- Wiem, że bardzo chcieliście mi pomóc. Jestem wam szczerze wdzięczna. Jeszcze jedno. Czy któreś z was mogłoby zadzwonić do Normy Fleckstein i spytać, czy zgodziłaby się rozmawiać ze mną?

- Zgoda - powiedziała Brenda.

- Świetnie. Zadzwonię za kilka dni. Jeszcze raz bardzo wam dziękuję.

Uśmiechnęli się do mnie i wstali. Dicky na powrót wkładał nogę w kapeć.

- Oczywiście, dostaniecie jeden egzemplarz mojej książki, kiedy ją napiszę.

Podeszliśmy do drzwi; Brenda podała mi szeroki płaszcz, w żółtą kratę, przypominający dobry wołok na konia. Kupiłam go na drugim roku studiów.

- Podoba mi się twój płaszcz - stwierdziła Brenda. - Bardzo angielski.

- Dzięki. Naprawdę jestem wdzięczna za pomoc. Zadzwonię do was.

- Cześć - powiedział Dicky.

- Do zobaczenia - dodała Brenda.

Jadąc ciemnymi ulicami, na których widać było tylko placki światła rzucanego przez odrestaurowane wiejskie lampy i gipsowych dżokejów o białych twarzach, trzymających migocące latarnie, starałam się zrozumieć sens rozmowy z Dunckami. Bezskutecznie. Umysł miałam przepełniony setką różnych myśli ubitych tak gęsto, że nie byłam w stanie zmusić żadnej z nich do wypłynięcia na powierzchnię. Dicky, Brenda. Jak mogła spać z mężczyzną, który ma takie paznokcie u stóp? Dlaczego nie spytałam o nazwiska znajomych, Włochów? Dlaczego nie spytałam, gdzie byli w chwili morderstwa? Dlaczego nie spytałam Mary Alice, gdzie znajdowała się w tamtej chwili? Dlaczego Fay uważa, że Bruce był złym człowiekiem? To mocne słowo.

Dlaczego nie głupkowanym? Absurdalnym? Dlaczego nie nazwała go łajdakiem, o zwichniętym charakterze, który wykorzystuje kobiety do uśmierzenia swojego bólu?

Wjeżdżając na podjazd, zauważyłam zaparkowany przed drzwiami garażowymi samochód Boba. Wyprzedził mnie. Wepchnęłam dyplomatkę pod siedzenie i weszłam do domu, starając się zachowywać jak najbardziej normalnie.

- Cześć! - zawołałam. Bob siedział w dużym pokoju. Był bez marynarki, ale nie zdjął jeszcze krawata. Nie zdążył się odprężyć.

- Cześć - odparł. Długie, szczupłe nogi trzymał wyciągnięte na całą długość. - Gdzie byłaś?

- Właściwie nigdzie. - Schyliłam się i lekko pocałowałam go w policzek. - Wiesz, nikt nie miał czasu, a ja nie chciałam iść do kina sama, więc pojeździłam po mieście i zajrzałam do kilku sklepów.

- Zakupy? Pięknie. Gdzie?

Był kiepskim gliną. Prowadził przesłuchanie tak, żeby podejrzany zyskał fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

- W A & S. - To miejscowy dom handlowy. - Oni zamykają najpóźniej.

Cholera, pomyślałam, powinnam powiedzieć tylko, że w A & S i pozwolić, żeby sam sprawdził, do której są czynni. Podałam zbyt wiele informacji. Wyglądało to podejrzanie.

- Kupiłaś coś?

Dlaczego nie powiedziałam mu, gdzie byłam naprawdę? Co mógłby mi zrobić? Wyrazić niezadowolenie? Krzyczeć? Wpaść w histerię?

- Nie. Miałaś rację. Przybyło mi kilka kilogramów. Nic z tego, co przymierzałam, nie leżało dobrze.

Nie najgorsze, spontaniczne kłamstwo. Jak robią to cudzołożnicy? Czy wspólnie z partnerem uzgadniają alibi? Czy przygotowują wcześniej scenariusz tak nieznośnie nudny,

że ich małżonkowie już po pierwszym zdaniu przestają słuchać?

- Chodźmy na górę - zaproponował.

- Dobrze. - Staralam się zachowywać jak najbardziej naturalnie. - Zapłaciła pani Foster?

- Tak. Jesteś mi dłużna cztery pięćdziesiąt. Weszliśmy do sypialni. Bob cicho zamknął drzwi.

- Co dzisiaj robiłaś? - spytałam.

- To, co zwykle.

Kiedy się rozbierałam, przyglądał mi się, z palcem zawieszonym na węźle krawata. Patrzył w napięciu, jak zdejmuję biustonosz. Zastanawiałam się, czy rzeczywiście ma ochotę na seks, czy też bada swoje terytorium, zdobywając pewność, że nie mam purpurowych śladów na obu piersiach. Zdjęłam spodnie, potem majtki. Gdyby był detektywem, zauważyłby, że pól gumy w pasie oderwało się i mógłby się domyślić, że nie wkładałabym porwanych majtek, gdybym szła na rozbieraną randkę z innym facetem.

- Chodź tutaj - powiedział.

Może nie miałam racji. Może czekał tylko dlatego, że mnie pragnął? Wie, że nic nie mogłabym zrobić. Tak jak ja wiem, że on by tego nie zrobił. Jest zbyt monogamiczny, jeśli chodzi o seks, zbyt zależy mu na klientach, żeby miał wyrywać się z obcą kobietą do hotelu i ryzykować, że nie odbierze jakiegoś telefonu.

- Judith.

Podeszłam i objęłam go ramionami za szyję.

Nie zareagował. Nagle włożył mi palec do pochwy.

- Bob. Co robisz?

- Nic.

Wyciągnął palec. Odsunęłam się.

- Jak to nic?

- Nic. O co ci chodzi? Nie mogę cię dotknąć?

Oczywiście, że może mnie dotykać. Jednak przez te wszystkie lata, kiedy jesteśmy razem, zawsze zaczyna przynajmniej od dwóch długich pocałunków, żeby pokazać, że chodzi mu o coś więcej niż sam akt seksualny.

- Jak to, czy nie możesz mnie dotknąć? Wiesz, że możesz, ale nigdy nie wkładałeś we mnie palca, jakbym była garnkiem z budyniem czekoladowym.

Dzięki Bogu, myślałam, że jestem sucha jak osiemdziesięcioletnia, wiktoriańska stara panna. Napięcie sprawia, że wszystkie soki odpływają do innych części ciała: na przykład do stawów, sztywniejących ze strachu i wymagających szybkiego smarowania.

- Czy musimy ciągle robić wszystko tak samo? - spytał. - To ty zawsze chciałaś próbować nowych rzeczy. Teraz próbuję i co? Odsuwasz się ode mnie.

Podeszłam do swojej szafy i włożyłam koszulę.

- Nie odsuwam się.

- Dobrze - powiedział, zdjął ubranie i usiadł na brzegu łóżka. Za oknem zaczął dąć wiatr. Jakaś gałąź ocierała się o szybę. - Chodź tutaj.

- Nie.

- Nie? Co to znaczy?

Spojrzał w sufit, jakby chciał błagać Boga, żeby pomógł mu zrozumieć moje zachowanie.

- Nie kochasz mnie?

- Kocham. Dzisiaj nie mam na nic ochoty.

- Jesteś zmęczona?

Nie, pomyślałam, a odpowiedziałam:

- Tak.

- Sądziłem, że wolny wieczór dobrze ci zrobi.

Podszedł do szuflady z piżamami, kurcząc bose stopy na zimnej podłodze, i włożył niebieską piżamę, którą dostał od matki z okazji Chanuki (Chanuka - żydowskie święto

świeczek obchodzone przez osiem dni, upamiętniające zwycięstwo Machabeuszów nad pogańskimi wojskami syryjskimi (166 p.n.e.) (przypr.red.)). Potem pomaszerował do łóżka i położył się po swojej stronie. Ja wsunęłam się po swojej i oparłam plecami o zagłówek.

- Wiem, dlaczego to zrobiłeś - powiedziałam.

- Judith, może porozmawiamy jutro? Jestem wykończony.

- Oczywiście. Jutro przyjedziesz do domu o dziesiątej i będziesz zaledwie zmęczony. Pogadamy sobie wtedy prawdziwie po przyjacielsku.

- Czy sarkazm jest rzeczywiście potrzebny?

- Wolałbyś jawną wrogość?

Wydał usta i policzki, po czym ciężko westchnął. Był to znak, że mimo zmęczenia chce okazać tolerancję.

- Zgoda - westchnął. - Co cię gnębi?

- Nic.

Takie sceny zdarzają się u nas mniej więcej raz w miesiącu i prowokator - zazwyczaj ja - niezmiennie się wycofuje. Czy dlatego, że jesteśmy świadomi, jak bezsensowne jest sprzecznianie się o bzdury, które ulotnią się przed poranną szklanką soku pomarańczowego? A może dlatego, że mamy świadomość kruchości naszego związku, pełnego wprawdzie spokoju, ale otoczonego murem z mnóstwem rys? Gdyby w którąś z nich mocniej uderzyć, cała budowla zawaliłaby się, niszcząc nas i nasze dzieci.

- Nic? Jesteś pewna? - nalegał. Bob jest z natury ostrożnym biznesmenem. Jeśli mamy podpisać zawieszenie broni, musi mieć pewność, że rozumiem, iż z własnej woli zgodziłam się zrezygnować z wszelkich wrogich zamiarów, wszelkich nadziei na odwołanie.

- Dobrze. Skoro chcesz, to masz - oznajmiłam, przykrywając się kołdrą po uszy. Musiałam mieć pewność, że

żaden wystający kawałek ciała nie będzie nam przeszkadzał. -
Wiem, do cholery, co robiłeś palcem. Sprawdzaleś mnie.

Zacisnęłam zęby i pięści, pewnie po to, żeby go nie pogryźć i nie podrapać.

- Nie wierzysz, że byłam w A & S. W rzeczywistości myślałeś, że mam jakiś płomienny romans. Nie mogę w to uwierzyć. Z kim? Z cholernym listonoszem? Z lodziarzem? Z nastoletnimi przystojniakami ze stacji benzynowej? Z kim? Odpowiedz mi.

- Oszalałaś?

- Nie próbuj mnie zdenerwować. Wracam do domu, wkładasz we mnie palec, a potem pytasz, czy nie oszalałam.

Walnął pięścią w materac, wydobywając z niego zduszony grzmot.

- Nie wierzę ci. Naprawdę nie wierzę. Co, u diabła, może być złego w tym, że mąż dotyka swojej żony?

- Powiem ci, co jest w tym złego. - Siłą rozwarłam zaciśnięte szczęki, żeby mówić głośniej. - Znamy się tyle lat i nigdy nie robiłeś czegoś takiego. Nagle podchodzisz do mnie jak zwariowany ginekolog. Nie chcesz seksu. Nawet nie miałeś wzvodu i nie próbuj zaprzeczać, bo spojrzałam. Boże, przez tyle lat wracasz do domu o nienormalnych godzinach i ani razu nie podejrzewałam, że pracujesz nad czymś innym niż sprawy biurowe. Wystarczy jednak, że spędziłam kilka godzin poza domem, a już zaczynasz podejrzewać mnie o burzliwy romans.

- Boże - powiedział.

Przez chwilę zrobiło mi się go żal. Był wprawdzie wystarczająco podejrzliwy, by nie uważać mojej wierności za pewnik, ale przecież go okłamałam. Mogłam powiedzieć, co robiłam. Mogłam mu zaufać. A on mógł mieć do mnie zaufanie.

- Wściekłaś się - ciągnął. - Powinnaś iść do psychiatry. Poważnie.

- Jeśli zaczniesz się zbliżać do średniej na skali ludzkich zachowań, to pójdę do psychiatry.

Zmrużył oczy tak, że została tylko szparka niebieskiego światła - jego najobrzydliwsze spojrzenie. Dla zwiększenia efektu rzadko go używał. Potem odsunął się ode mnie jeszcze bardziej, odwrócił plecami i naciągnął kołdrę na głowę.

Rozdział 11

Następnego ranka wjechałam na podjazd u Nancy o dziewiątej piętnaście, objechałam dom od tej strony, gdzie Larry wyciął piękną, starą winorośl, by zastąpić ją metalową płytką z rzeźbą przedstawiającą Sacre Coeur. Zaparkowałam za domem. Gabinet Nancy znajdował się z tej strony domu. Jeśli pracuje, powinno mi się udać zwrócić na siebie jej uwagę, gdy zawołam ją po imieniu głosem z Delancey Street (Delancey Street - zamieszkała przez Żydów dzielnica Nowego Jorku (przyp. tłum)). Zauważyłam jednak Nancy przez kuchenne okno, ubraną w wyblakłą koszulkę z Disneylandu. Zanim zadzwoniłam, ona również mnie spostrzegła i bosą podeszła do drzwi.

- Co się stało? - spytała.

- Nie jest ci zimno? - Dzień był jasny i słoneczny, ale mroźny, a ziemia twarda i zamarznięta. - Dostaniesz zapalenia płuc.

- Ach, Judith, dziękuję ci. Pomyśleć tylko, że wstałaś tak wcześnie, żeby przyjechać tutaj i mnie strofować. Jestem bardzo wdzięczna. Wystarczyło przecież, żebyś zadzwoniła i przeczytała mi artykuł o marskości wątroby.

- Przepraszam.

Rzuciłam płaszcz i rękawiczki na krzesło i podeszłam do szafek. Nacisnęłam z boku i białe drzwiczki otworzyły się szeroko, ukazując lśniące, białe naczynia. Wzięłam kubeczek i nalałam sobie kawy.

- Pokłóciliśmy się.

- Dobrze. To pomaga na katar.

Przyglądała mi się, a ja wbiłam wzrok w toń kawy.

- Dobrze, opowiedz wszystko.

- To nie była drobna sprzeczka, lecz prawdziwa kłótnia.

- Tutaj dochodzi do tego mniej więcej trzy razy w tygodniu. Larry zazwyczaj irytuje się i nazywa mnie Cyganką. Nie zna bardziej okrutnego słowa, żeby kogoś obrazić.

- Ale my się nie kłócimy. Wiesz o tym.

- Wiem, Judith. Musisz jednak zrozumieć, że to przekracza moje pojęcie. Jak ci wiadomo, nie potrafię nawet zacząć sobie wyobrazić, że mogłabym przebywać w jednym pokoju z Lanym dłużej niż godzinę i nie odkryć przynajmniej pięciu poważnych wad w jego charakterze. Dlatego kłócimy się dość często. Potem jednak zawieramy rozejm. Możemy się kochać albo pójść na pizzę.

- Między nami jest inaczej. Chodzi mi o to, że ja nie...

- Chodzi ci o to, że nie masz kochanków, którzy by go zastąpili? Judith, nie mówię, że ja mam rację, a nie ty. Słuchaj, średnio co osiem miesięcy spotykam się z nowym facetem, co czyni moje życie przyjemniejszym, ale nie pełniejszym. Mam ich jednak; od czasu do czasu zbiorę się i napiszę artykuł, a więc pracuję. Nie mówię, że czuję się w jakiś istotny sposób szczęśliwsza od ciebie, ale przynajmniej wydatkuję energię na różne rzeczy. Nie jestem całkowicie zależna od niego. Larry to słodki, interesujący mężczyzna i kocham go, ale nie potrafi zapewnić mi szczęścia. - Westchnęła i podrapała leciutko koniuszek zadartego nosa. - Słuchaj, powiedz mi, co się stało. Chciałabym zrozumieć.

Opowiedziałam jej słowo po słowie, gest po geście, o scenie w sypialni. Słuchała ze skupieniem, w najważniejszych chwilach dodając:

- Mm...

Kiedy skończyłam, stwierdziła:

- Teraz rozumiem, co cię gnębi. Nie wiem tylko, dlaczego jeszcze dzisiaj jesteś taka smutna. Chyba nie wyprowadził się z domu?

- Nie. Nawet pocałował mnie w policzek, zanim wyszedł do biura, ale to nie było szczere.

- Nie było szczere - powtórzyła do sufitu. Potem, znów zerkając na mnie, dodała: - Chcesz seksu i do tego szczerości?

- Tak. I chcę mieć płaski brzuch.

- Dość - oznajmiła. - Czy teraz zechcesz powiedzieć mi, gdzie byłaś wczoraj wieczorem? Chętnie posłucham.

Podniosła dłonie i założyła długie, kasztanowe włosy za uszy.

- Chyba że istotnie byłaś na zakupach w A & S; w takim przypadku możesz sobie darować.

- Nie. Byłam u Duncków i wypytywałam ich o Flecksteina.

- No, tak - westchnęła - jednak coś zrobiłaś.

- Myślałaś, że nie? - spytałam lekko, zachowując obojętny ton głosu.

- Judith, nie mam siły myśleć o różnych rzeczach i potem ponosić konsekwencje. Powiedzmy jednak, że uznałam za interesujący fakt, iż udało ci się odwiedzić Duncków. Teraz muszę pójść na górę i wziąć prysznic, ponieważ przychodzi człowiek od dezynsekcji. - Patrzyła na mnie z powagą. - Larry leżał wczoraj w łóżku i wydawało mu się, że słyszy oddychające termity. To świadczy, jak bardzo koncentrujemy się na sobie. Słuchaj, chodź ze mną na górę. Opowiesz wszystko, kiedy będę się przygotowywała.

Weszłyśmy po plastikowych schodach i powoli poszłyśmy długim korytarzem do sypialni gospodarzy. Zwaliłam się na łóżko - jedyny mebel w sypialni; było wielkie, kwadratowe, pokryte futrzaną narzutą, opadającą na białą, lakierowaną platformę, jakieś czterdzieści centymetrów nad podłogą.

- Zdażyłaś już pościelić łóżko?! - krzyknęłam do Nancy, która właśnie puściła wodę w łazience,

- Nie! - zawołała w odpowiedzi. - Larry ścieli je rano, zanim wyjdzie do pracy. Boi się, że ktoś wejdzie i zobaczy, że mam pastelową pościel. Boże, to dopiero byłby wstyd. Mów, co się działo u Duncków.

- Muszę krzyczeć?

- Tak.

Najgłośniej jak potrafiłam opowiedziałam o wywiadzie i opisałam paznokcie Dicky'ego.

- To jedna z najobrzydliwszych rzeczy, jakie w życiu słyszałam - zauważyła Nancy. Podeszła do ściany od swojej strony łóżka i kopnęła ją lekko. Otworzyły się drzwi i zobaczyłam dużą, wbudowaną w ścianę szafę z miejscem na buty, torebki i swetry. - Kiedyś ją rozwalę. Och, wracając do rodziny Flecksteinów, widziałam wczoraj Małego Pączuszka.

- Nie wierzę. Naprawdę nie wierzę - oznajmiłam. - Jestem tu od dwudziestu minut i nic o tym nie powiedziałaś. Wiesz, jak interesuje mnie to morderstwo, Nancy.

Wciągnęła sztruksy w kolorze burgunda. Zapinając rozporek, patrzyła na mnie z wyrazem pośrednim między lekkim bólem a pełną rezygnacji tolerancją.

- To ty, a nie ja, droga przyjaciółko, wpadłaś w pośpiechu na moje schody, opowiadając o kłótni z Bobem. Tak więc - powiedziała - ja tylko siedziałam i słuchałam twojej skargi, promieniując współczuciem i ciepłem, podczas gdy ty wypuszczałaś z siebie cały jad.

- Wypchaj się - poradziłam. Zignorowała mnie i odwróciła się plecami, wciągając przez głowę kremowy golf.

- W każdym razie - ciągnęłam - musisz mi powtórzyć, co Pączuszek miał do powiedzenia.

- Powiedział: „Cześć, Nancy, maleńka, jak leci?” - odparła jak najniższym tonem, naśladowując brooklyński akcent.

- On tak mówi?

- Nie. Ale tak myśli - stwierdziła, tym razem głosem pełnym słodkiej, południowej kobiecości. - W każdym razie naszej ukochanej przyjaciółce udało się uchronić chudy tyłek od bata.

- Komu?

- Mary Alice. Zdaje się, że nasza wspaniała miejscowa policja, dzięki niezmiernemu oddaniu i niekończącym się przesłuchaniom, ustaliła nazwiska czterech babek Bruce'a.

- Kogo? - Przyszło mi do głowy, że gadam jak przerośnięta sowa.

- A więc była tam jego pielęgniarzka - powiedziała Nancy, podnosząc kciuk i zaczynając wyliczanie.

- Ta Lorna Lewis?

- Właśnie. Nie cierpię aliteracyjnych nazwisk.

- Dobrze - sapnęłam. Nie śmiałam przerwać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o najnowszym dodatku do długiej listy dziwnych opinii Nancy.

- Jak głosi plotka powtarzana w miejscowym posterunku, a pochodząca, jak rozumiem, wprost od geniuszy z wydziału zabójstw, Bruce rznął ją dwa, trzy razy w tygodniu. Zdaje się, że brakowało jej zdrowego rozsądku, ponieważ zwierzyła się pielęgniarce z gabinetu obok i ta laska doniosła glinom, że Lorna była przekonana, iż Bruce zostawi Normę i zwiąże się z nią oficjalnie. Jezu, słyszałaś kiedyś równie niewiarygodne bzdury?

- Codziennie - westchnęłam ciężko. - Co jeszcze Pączuszek mówił o Lornie?

Nancy zniknęła w szafie i wróciła z brązowymi, skórzanymi butami. Położyła je na podłodze i usiadła obok.

- Nic specjalnego. Powiedział, że nie była aż tak szalenie zakochana, żeby zapomnieć o bezpieczeństwie własnej dupy. Podobno ma już drugiego męża i nie zamierzała się z nim rozstać, póki kandydat na trzeciego nie zostawi Normy. Lorna

nie należy zatem do tych, którzy palą za sobą mosty. Ta druga pielęgniarzka twierdzi, że Lorna wyznaczyła Bruce'owi termin. Jeśli nie wyprowadzi się z domu do Wielkanocy, nie będzie się z nim dłużej bawiła i odejdzie.

- Dlaczego wybrała akurat Wielkanoc?

- Skąd miałabym wiedzieć? Judith, do tej chwili powinno być już jasne jak słońce, że wszyscy ci ludzie są szurnięci i że każde wypowiedziane przez nich zdanie jest, z reguły, pełne bzdur. Kto wie? Może zamierzał wsadzić jej w tyłek ogon z waty i zrobić zdjęcie? Nie wiem, nie obchodzi mnie to.

- W porządku. Jeszcze coś o Lornie Lewis?

- Nie. Chodźmy na dół. Chce mi się chałwy.

- Fe... - Otrząsnęłam się. - Jak możesz jeść chałwę tak z samego rana?

- Otwieram usta, wkładam kawałek do środka, a potem powoli i dokładnie żuję.

Poszłyśmy z powrotem do kuchni. Nancy delikatnie skakała po plastikowych schodach; ja kurczowo trzymałam się poręczy, ostrożnie robiąc krok za krokiem.

- Chcesz kawałek? Dwusmakowa, najlepsza - oznajmiła z ustami pełnymi słodkości.

- Nie. Nancy, dlaczego nie zjesz rano czegoś pożywnego? Mogłabyś sobie zrobić na przykład kaszę.

- Kasza smakuje jak kozie gówno. Chcesz usłyszeć dalsze szczegóły?

- Tak. Natychmiast. Jedz szybko.

- Uspokój się. O dwóch następnych kobietach w życiu nie słyszałam. Jedna z nich należy do klubu Bruce'a. Jej mąż jest podobno królem mody dla nastolatków.

- Jak się nazywa?

- Zapomniałam. Jakieś żydowskie nazwisko.

- Pięknie. To brzmi doskonale. Podziwiam twoją pamięć. Nie zapomniabyś, gdyby to była Belinda Jo Slattery, Jr.

- Kobiety nie mogą być juniorami. W każdym razie to Naomi Goldberg.

- Naprawdę?

- Nie. Ale nie zamierzam siedzieć tu i słuchać, jak pieprzysz od rzeczy. Chcesz dowiedzieć się, jak rozpoznali tę petunię? Była kilka razy na policji, wściekła jak osa, ponieważ, według niej, sąsiedzi nauczyli psa, żeby srał na jej trawniku. Chciała, żeby ich aresztowano i stracono.

- O Boże! - wtrąciłam.

- Co?

- Wiem, kto to jest. Linda Berman. Siostra męża Fay Jacobs. Znasz Fay? Uczy historii w liceum w Shorehaven.

- I co z tego?

- Fay mówiła mi o niej. Podobno jest bardzo atrakcyjna i kompletnie zwariowana. Do tego okropnie bogata. Przeszła wszelkie możliwe operacje plastyczne i tylko z tego powodu, że nie wygląda jak Catherine Deneuve, wytoczyła lekarzom chyba ze cztery procesy. Żaden z chirurgów plastycznych w okolicy już nigdy jej nie zoperuje. Ostatnio słyszałam, że wybiera się do Argentyny, żeby zrobili jej dołeczki.

- Na policzkach czy na tyłku?

- Nie spytałam. Fay mówiła, że jest kompletną wariatką. Wynajęła prywatnego detektywa, żeby śledził sąsiadów, kiedy wyprowadzają psy.

Nancy wyciągnęła nogi i ułożyła je na krześle.

- Czy Fay mówiła coś o niej i o Flecksteinie?

Przez chwilę siedziałam cicho. Fay powiedziała mi o zalotach Flecksteina, o jego romansie z Jean Burns i wspomniała, że to nie wszystko. Nie mówiła jednak o szalonej Lindzie. Może nie była ze szwagierką aż tak blisko? Może powstrzymywała ją rodzinna lojalność? Albo jej wstręt do tego, co reprezentował sobą Bruce Fleckstein, okazał się tak wielki, że nie chciała dłużej o nim rozmawiać.

- Jak policja dowiedziała się o Lindzie?

- Ludzie z wydziału zabójstw dali naszym kopie zdjęć znalezionych w szufladzie Bruce'a. Sądzieli, że ktoś tutejszy może poznać miejscowe panie, skoro tworzymy jedną wielką, szczęśliwą rodzinę. Po czterdziestu ośmiu godzinach ślinienia się nad zdjęciami sierżant, w krótkiej chwili jasności umysłu, zdecydował się spojrzeć na twarze i poznał ją: paniusię od psich gówien.

- Przesłuchiwali Lindę? - spytałam. Nancy zostawiła mały kawałek chałwy na stole. Zjadłam go. Był pyszny.

- Oczywiście. Okazuje się, że zdjęcia zostały zrobione u niej w kuchni. Kiedy tylko gliniarz z wydziału zabójstw zobaczył zegar nad kuchenką, przypomniał sobie, że taki sam znajdował się na jednym ze zdjęć. Wygląda na to, że korzystali z Bruce'em z produktów.

- Z produktów? - powtórzyłam. - Jak to?

- Z produktów. Owoców i jarzyn. Może pod tym silikonem bije serce Matki Ziemi? Było kilka świetnych ujęć marchewek i bananów wystających z wybranych otworów w ciele tej baby.

Wzruszyłam ramionami.

- Wiesz, pejczy można jeszcze zrozumieć. Skóra, łańcuchy i tak dalej. Nie mogę jednak zrozumieć bananów. Co ona powiedziała?

- Zaprzeczyła wszystkiemu, nawet temu, że znała Bruce'a. To oczywiste. Potem chcieli pokazać jej zdjęcia, ale odmówiła. Minutę czy dwie później załamana się i przyznała do wszystkiego. Powiedziała, że od sześciu miesięcy nie widywała się z Bruce'em. Raz stawiała się w motelu, pewnie z walizką pełną śliwek, ale jego nie było. Potem zadzwoniła do Bruce'a do gabinetu, ale nie chciał podejść do telefonu. Zadzwoniła następnego dnia, lecz pielęgniarka powiedziała,

że jest bardzo zajęty i sam zadzwoni do niej za tydzień lub dwa. Nie zadzwonił.

- Miły facet.

- Cudowny. Tyle o Owocu Miesiąca. Trzecia to jakaś Ginger Wick. Daj spokój i nie pytaj, jak udało mi się zapamiętać jej imię. Słyszałaś coś o niej?

- Nie.

- Ja też nie. Zdaje się, że jest właścicielką laboratorium, z którym Bruce współpracował. Jej mąż to jakiś wzięty specjalista od chirurgii szczękowej. Gliniarze dostali jej nazwisko od jakiegoś dentysty, który widział ich razem w hotelu w Las Vegas. Okazuje się, że ona i Bruce przez kilka lat załatwiali wszystkie sprawy przez telefon, aż pewnego razu spotkali się na zjeździe w Las Vegas. Jej zdaniem była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale jakiś rok temu zerwali ze sobą.

- Jak długo byli razem?

- Kilka miesięcy. Fleckstein skończył z tym twierdząc, że nie potrafi żyć z poczuciem winy. Nadal jednak korzystał z jej laboratorium.

- A zdjęcia?

- Ona mówi, że nie było zdjęć.

- Co myśli Pączuszek?

- On nie myśli.

- Co z czwartą? Widzę, że najlepsze zachowałaś na koniec.

- Meg Brill.

Na twarzy Nancy zakwitł uśmiech. Jej zielone oczy iskrzyły.

- Och, nie!

Meg Brill jako przedstawicielka Rady Rodziców pomagała nauczycielce Kate. Była niską, otyłą kobietą o pulchnych, czerwonych policzkach i kręconych włosach w

mysioburym kolorze, związanych w kucyk kolorową kokardką, równie przesadnych rozmiarów jak ona sama. Sympatyczna i otwarta, przypominała energicznego szczeniaka. Mówiła bez przerwy z wielkim podnieceniem, organizowała też w imieniu Rady Rodziców i nauczycieli sprzedaż ciast i ciasteczek oraz dni mycia samochodów.

- Ona jest całkiem bezpłciowa! - wykrzyknęłam i dodałam: - To nie fair.

- Czy mogłabyś przestać obarczać się winą za wszystko, Judith. Tak, jest bezpłciowa, przynajmniej według powszechnie przyjętych norm, do tego dokuczliwa jak bolący ząb. Boże, ciągle wydzwania do mnie i prosi, żebym upiekła na jakiś cholerny festyn kurczaka według przepisu z Południa.

- Jak policja dowiedziała się o niej?

- Zgłosiła się sama.

- Żartujesz.

- Nie. Gliniarze przyszli, bo znajdowała się w jego kartotece. Jako pacjentka. W każdym razie spytali ją, czy wie coś o Flecksteinie i wtedy zaczęła obficie lać łzy. Kiedy ją uspokoili, wyznała, że mniej więcej dwa lata temu miała z nim romans. Jej zdaniem był to, według twoich norm, przeciętny, najzwyczajniejszy cudzołożny związek. Żadnych łańcuchów. Bez wymyślnych narzędzi tortur. Bez zdjęć.

- Policja uwierzyła?

- Jasne. Dlaczego nie? Jak twierdzi ten starszy detektyw z wydziału do spraw zabójstw, który po ojcowsku zajął się Małym Pączuszkim, wszyscy czuli się zażenowani i woleliby, żeby nie oczyszczała swojej duszy przez publiczną spowiedź. W każdym razie to tyle, jeśli chodzi o to, co wiedzą gliny. Na zdjęciach figuruje jeszcze kilka piękności, których nie zidentyfikowali.

Nancy wyjaśniła, że policja nie ustaliła do tej pory tożsamości trzech czy czterech obiektów zainteresowania

Flecksteina. Nie wiedzą konkretnie, ile kobiet jest na zdjęciach, ponieważ dwie z nich mają zasłonięte twarze: jedna nosi maskę, a druga zasłania oczy ręką, jak w dziecięcej zabawie. Ciało tej, która zasłania sobie oczy, jest niezwykle podobne do jednej z odsłoniętych piękności, ale policja żywi zrozumiałe wątpliwości, czy na pewno jest to ta sama kobieta.

- Co zrobili? - spytałam Nancy. - Chyba tylko poszerzyli zakres działań śledczych. Stale odkrywają nowych podejrzanych. Każdy z nich mógł wśliznąć się do Flecksteina. Każdy miał motyw; Bóg jeden wie.

- Oczywiście. Popatrz na to z innej strony. Wszystkie informacje, jakimi dysponujesz, pochodzą od Małego Pączuszka. - Podkreśliła „dysponujesz”, wyłączając się ze śledztwa i podkreślając swoją rolę jako pośrednika.

- Sądziś, że nie można na nim polegać?

Nancy opuściła nogi i przesunęła się w krześle do tyłu, przyjmując elegancką królewską postawę.

- Cholera, na pewno można mu ufać, ale on jest ograniczony. Poważnie; pomijając jego inteligencję czy też jej brak, to tylko zwykły glina. Słyszał plotki i dostał kilka pikantnych kąsków od tego faceta z wydziału do spraw zabójstw, ostatnio jego najlepszego kumpla. Zwraca na to wszystko uwagę tylko dlatego, że myśli, iż mnie to bawi, a zależy mu na tym, by mnie zabawiać. Jeśli myślisz o sprawie poważnie, powinnaś porozmawiać z facetem, który kieruje śledztwem. Jest całkiem możliwe, że praktycznie dopina je na ostatni guzik.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem - odparła. - Co ci to da, nawet gdybym wiedziała?

- Nic, jak sądzę - odrzekłam zamyślona - chociaż wydaje mi się, że widziałam jego nazwisko w którejś gazecie.

Wzięłam do ręki opakowanie po chałwie i zaczęłam drzeć je nad popielniczką na strzepy.

- Innymi słowy, nadal podejrzewają wszystkich.

- Tak. Spytałam go, czy ktoś ma niepodważalne alibi.

- No i? Co powiedział?

- Powiedział, że nikt nie może udowodnić, że między piątą a siódmą był w konkretnym miejscu z grupą wiarygodnych świadków. Stąd problem. Gabinet Bruce'a znajduje się nie więcej niż pięć do dziesięciu minut drogi od domu każdego z podejrzanych. Wściekły mąż mógł powiedzieć żonie, że idzie do kibla, wymknąć się, popełnić morderstwo, wrócić na palcach i spuścić wodę. Nikt by niczego nie zauważył.

- Racja. Jeśli dzieci siedzą i oglądają telewizję, mogłyby przysiąc, że mama była w domu, chociaż w rzeczywistości mogła wymknąć się potajemnie. Boże, mogłabym posiąść dziesięciu mężczyzn na kuchennej podłodze w czasie, kiedy Kate ogląda Flintstonów.

- Dlaczego tego nie robisz?

- Kąpię wówczas Joeya.

- Rozumiem. W każdym razie dojrzewasz. To zawsze coś lepszego od twojej starej śpiewki, że cudzołóstwo jest etycznie odrażające.

Zacząło się robić późno; za chwilę przyjedzie autobus Joeya. Byłam zła, że obowiązki zmuszają mnie do przerywania rozmowy; chciałabym żyć w czystszy świecie. Jednym z powodów, dla których uwielbiam filmy z Bette Davis jest fakt, że ma mnóstwo czasu dla Celesty Holm czy Miriam Hopkins. Lubię się jej przyglądać, jak pali papierosa i wpatruje wypukłymi oczami w towarzysza. Mogła siedzieć w restauracji albo w dużym pokoju swojego domu ułożyć wygodnie nogi i pograć się w wielogodzinnej rozmowie z przyjacielem, której nie przerywały telefony od obcych ludzi

pytających, czy zechciałaby dać pieniądze na Fundację Serca, ani dzieci domagające się jedzenia, kąpania i kładzenia do łóżka. Mogła pograć się w luksusie przyjaźni niezakłóconej wizytami u pediatry, zwykłymi sobotnimi wyprawami do pralni chemicznej i podwożeniem gromady dzieci na niedzielne nauki w kościele.

- Odezwę się - powiedziałam.

Ostatecznie sama jestem za to odpowiedzialna, myślałam, wyjeżdżając tyłem na ulicę. Żwir sucho trzaskał pod kołami. Zdecydowałam się na dzieci, które szczerze kocham, i przystałam na przenosiny z Manhattanu na Long Island. Oddając sobie sprawiedliwość, musiałam jednak przyznać, że nikt mnie nigdy nie uprzedził, co to znaczy. Nikt nigdy nie wspomniał, że kiedy urodzę dzieci, nie będę miała czasu na podtrzymywanie przyjaźni z dorosłymi. Pewnie, słyszałam, że macierzyństwo wymaga wyrzeczeń, że trzeba spędzić wiele nocy na bujanym fotelu z łapczywym niemowlakiem przy piersi. Słyszałam, że trzeba zrezygnować z lekcji tenisa, żeby pielęgnować chore dziecko; być gotowym stawić czoło biegunce i osiedlowym zawadiakom. Jednak nikt nigdy nie powiedział wprost, że dzieci wkroczą w każdy aspekt mojego życia. Nikt nie uprzedził, że potrzeba prawdziwych rozmów z dorosłymi zamknie człowieka jeszcze bardziej w małżeństwie, a długie rozmowy będą mogły odbywać się tylko późno w nocy. Mąż będzie ciągle i ciągle na nowo opowiadał, jak to się stało, że mimo wielkich nadziei, wbrew wszelkim planom, wyszło jakoś tak, że pozycja przewodniczącego stowarzyszenia studentów wymknęła mu się z rąk.

Wjechałam do garażu piętnaście minut przed przyjazdem autobusu Joeya. Mogłam rozwiązać krzyżówkę, nałożyć maseczkę ściągającą pory. Mogłam też uczcić cześć pana Bruce'a Flecksteina; usiąść z metrem nitki w ręce i oczyścić sobie przestrzenie międzyzębowe tak starannie, jak nikt w

mieście. Rozważając różne możliwości, otworzyłam drzwi prowadzące z garażu do kuchni. Coś było nie tak.

Ciekawe, że zanim mój intelekt zrozumiał, że coś jest nie w porządku, moje ciało wyczuło niebezpieczeństwo i zareagowało na nie. Poczułam zimne powietrze, kiedy postawiłam nogi w kuchni i napięłam wszystkie mięśnie, a serce biło mi tak mocno, jakbym przygotowywała się do walki. Moje ciało, niezależnie od umysłu, wiedziało, że wchodząc z mroźnego powietrza do ciepłej kuchni, powinno doznać przyjemności. Nie odczuło tego, ponieważ - i tutaj mój umysł okazał swoją wyższość - w kuchni było równie zimno jak w nieogrzewanym garażu.

Mroźne powietrze wpadało do pomieszczenia, a to znaczyło, że czterdziestoletni piec olejowy nie oddał jeszcze ducha. Rzeczywiście, kiedy robiłam dalsze trzy ostrożne kroki rozumiałam, że zimno wpada przez otwarte drzwi albo okno. Kiedy wyjeżdżałam do Nancy, wszystkie drzwi i okna były pozamykane.

Stałam całkowicie bez ruchu, zmuszając się do oddychania przez nos, żeby nieproszony gość nie usłyszał sapania, co mogłoby go skłonić do wyjęcia noża. Było cicho. Nie słyszałam ćwierkania ptaków ani ciężkiego oddechu gwałciciela. Nie docierały do mnie także odgłosy szybkich kroków złodziei goniących po piętze w poszukiwaniu odłożonych oszczędności. Zdjęłam buty i robiłam jeszcze jeden cichy krok w stronę kuchni.

Ktokolwiek tu był, już wyszedł. Drzwi kuchenne wychodzące na tył domu stały otworem, a klamka, odkręcona lub wyrwana, leżała na podłodze przy kuchence. Przyglądałam się jej, jakby stanowiła część drogiej zabawki, którą dzieci popsują po pięciu minutach zabawy. Potem wrócił strach, a za chwilę gniew. Jakiś przeklęty, zasrany gnój włamał się do mojego domu, skalał moją własność. Odwróciłam się, żeby

pójść do telefonu i zobaczyłam to. Napis. Na drzwiach lodówki widniały litery ponad metrowej wielkości wypisane czerwoną farbą o - de - pe. Kreska po „o” była duża; farba spłynęła po drzwiach i kapała na podłogę jak krew.

Zdecydowana złapałam za słuchawkę telefonu, po czym trzymałam ją w ręce, zastanawiając się, czy zadzwonić po pogotowie policyjne? Ktoś włamał się do mojego domu. Nie ma jednak potrzeby wzywać pogotowia, prawda? Mojemu życiu nic nie zagraża. Może powinnam zadzwonić do miejscowego komisariatu? Tam uznają, że to nic pilnego, i sierżant będzie się ociągał, aż napastnik wróci. Mogłabym zostać uczoną talmudystką, myślałam, wykręcając numer 911.

- Pogotowie policji.
- Ktoś włamał się do mojego domu.
- Proszę podać adres.
- Włamywaczy już nie ma.
- Proszę pani, proszę podać adres.

Uznałam, że 911 nie jest zainteresowany rozmową, więc podałam adres, włożyłam buty i wyszłam na dwór, żeby poczekać na Joeya. Autobus podjechał w chwili, kiedy podeszłam do drzwi. Wzięłam syna za rękę.

- Pani Tuccio zaprosiła cię na drugie śniadanie.
- Nie chcę.
- Chodź, Joey.
- Nie cierpię jej masła orzechowego. Nie jest tak chrupiące jak nasze. Zastukałam do drzwi Marilyn i czekałam, aż otworzy.
- Parlez - vous francais? - spytałam szybko.
- Un peu (Troszkę).
- Il y a un criminal qui broke into chez moi. Compris? (Jakiś przestępca włamał się do mnie. Zrozumiałaś?).
- Oui. Czy mogę w czymś...?

- Les gendarmes sont coming (Policja być w drodze.) - ciągnęłam. - Ach, Marilyn, Joey bardzo się cieszy, że zaprosiłaś go na drugie śniadanie.

- Chętnie poczęstuję Joeya czymś dobrym. Tommy bardzo się cieszy, że przyszedłeś, Joey.

Tommy to jej najmłodsze dziecko, genialne, jeśli chodzi o różne mechanizmy; kiedyś naprawił mój opiekacz do chleba. Marilyn wzięła Joeya za rękę, łagodnie wciągnęła go do środka i powiedziała:

- Do zobaczenia później.

Przeszłam na drugą stronę ulicy i spacerowałam po trawniku, od pustego o tej porze roku klombu tulipanów do białej brzozy i z powrotem. Dwie minuty później dwa wozy policyjne zahamowały z piskiem opon. Wskoczyło z nich czterech mężczyzn.

- To pani zgłaszała włamanie? - spytał zwalisty glina o siwych włosach i podwójnym podbródku.

- Tak. Tędy.

Wprowadziłam ich przez główne wejście. Minęliśmy duży pokój i jadalnię i weszliśmy do kuchni.

- Rety - powiedział siwowłosy glina do wysokiego, przystojnego blondyna. - Wywalił pieprzoną klamkę z cholernych drzwi. Rzadko to widuję. Zwykle wyważają całe drzwi.

Czekałam, aż odwróci się do mnie i powie: „Przepraszam za te słowa”, ale on tylko spytał szorstkim tonem:

- Dotykała pani czegoś?

Już miałam powiedzieć, że nie, że bardzo uważałam, ale w tej chwili pozostali trzej zauważyli lodówkę. Potem popatrzyli po sobie. Jeden z nich, niski, blady mężczyzna w rogowych okularach westchnął i wzruszył ramionami. Wyglądał jak księgowy, któremu nie wychodzi bilans.

- Proszę pani, czy to było na drzwiach już wcześniej? - spytał siwowłosa, wskazując na szkarłatne o - de - pe.

Czy wyglądam na osobę, która dekoruje dom w taki sposób?

- Nie. Zrobił to włamywacz.

- Ty i ty - powiedział siwowłosa do „księgowego” i do czarnego gliny o smutnej twarzy - sprawdźcie dom i podwórko.

Potem zwrócił się do przystojnego blondyna, który - jak przeczytałam na identyfikatorze - nazywał się Hogan:

- Dobra, Jimbo, co znaczy to cholerne o - de - pe?

- Znaczą: odpierdol się - powiedział Jimbo.

Jimbo. Jim. Jim Hogan. Boże, Jimbo to Pączuszek Nancy. Wysoki i przystojny jak Troy Donahue, miał zdecydowaną, kwadratową brodę i łagodne, niebieskie oczy. Wyglądał jak pogromca damskich serc.

- Kto chciałby, żeby ktoś stąd się odpierdolił? - spytał siwowłosa. Na identyfikatorze widniało nazwisko Brown.

- Słyszała pani, że ktoś obcy jest w domu? - spytał Pączuszek.

- Dotykała pani czegoś? - dodał Brown.

- Czy mąż jest w domu? - indagował mnie znowu Pączuszek.

- Co ma do tego mój mąż? - spytałam. Popatrzyli na mnie bez wyrazu. Usiadłam na krześle, oparłam łokcie na stole i potarłam czoło dłońmi. Potem spojrzałam na nich i powiedziałam: - Po pierwsze, nie dotykałam niczego z wyjątkiem telefonu i drzwi do garażu. Musiałam po was zadzwonić. Nie słyszałam nikogo. Cały ranek spędziłam u przyjaciółki, Nancy Miller z Blackthorne Lane.

Mówiąc to, patrzyłam na Browna, ponieważ nie chciałam, by Pączuszek zorientował się, że wiem. Nie zaszkodzi jednak,

żeby wiedział, iż jestem przyjaciółką Nancy. Może będzie pilniej szukał włamywacza.

- Jeśli - powiedziałam - chodzi o to, żeby się odpiardolić, to nie jestem pewna.

- Jak to, nie jest pani pewna? - warknął Brown.

- Spokojnie, Roy - mruknął Pączuszek.

Zadzwoił telefon. Wiedziałam, że to Bob chce sprawdzić przed wyjściem na obiad, czy wszystko w porządku.

- Halo - powiedział nadal obrażony po wczorajszej kłótni.

- Jak się masz?

- Dziękuję, dobrze. Przyjechała policja.

- Policja? - spytał, o wiele mniej zdziwiony niż się spodziewałam. - Co robi policja w naszym domu?

- Ktoś się do nas włamał, więc zadzwoniłam po policję - odparłam.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Ukradli moje aparaty fotograficzne?

- Nie wiem. Jeszcze nie byłam w piwnicy.

- Zaczekam. Idź sprawdzić.

- Bob, na pewno wszystko jest w porządku. Ten ktoś zostawił tylko napis na drzwiach lodówki.

- Co?

Wiedziałam, że należy mu się wyjaśnienie, ale słysząc, jak policja kręci się po kuchni, chciałam ograniczyć się do minimum. Miałam też nikłą, niemal bezpodstawną nadzieję, że Bob nie zażąda natychmiastowego wyjaśnienia.

- Ten ktoś napisał czerwoną farbą: o - de - pe.

- Co?

- O - de - pe.

- Słyszałem. Słyszałem. Jadę do domu.

- Nie musisz przyjeżdżać, kochanie. Poradzę sobie.

- Co się, do cholery, z tobą dzieje, Judith? Jakiś przeklęty wariat włamuje się do mojego domu i niszczy moją własność, a ty mówisz, żebym nie przyjeżdżał. Słuchaj, czekaj na mnie, zaraz złapię taksówkę. Powinienem być w domu za czterdzieści minut.

Odłożyłam słuchawkę i odwróciłam się, stając oko w oko z Brownem.

- Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

- Zadzwoił telefon.

- W porządku. Pytałem, kto kazał pani się odpiardolić. Wyprostował palec wskazujący, włożył go do ucha i kilka razy nim pokręcił. Potem spojrzał na mnie, gotowy wysłuchać odpowiedzi. Popatrzyłam na jego ucho z wystającą kępką siwych włosów.

- Słucham panią.

- Nie wiem - wybełkotałam, wruszając ramionami i starając się przybrać równie zaskoczony wyraz twarzy jak policjanci. - Może to znaczy co innego?

- Na przykład co?

- Może to znak jakiejś radykalnej grupy politycznej?

- Zajmuje się pani polityką?

- Jestem członkiem Partii Demokratycznej.

- To nie jest polityka. Chodzi mi o to, czy związała się pani z jakąś ekstremistyczną grupą?

- Nie.

- W takim razie, dlaczego sądzi pani, że o - de - pe to znak jakiejś grupy politycznej? Dlaczego nie miałoby to być: odpieprz się, co? Dlaczego?

Czarny glina o smutnym wyglądzie wrócił do kuchni.

- Na górze nic nie ma - powiedział z żalem. Miał okrągłą, dziecianną, nieszczęśliwą twarz, jak bardzo czarny Dean Rusk. Ledwo skończył, pojawił się nijaki, niewart najmniejszej uwagi „księgowy”.

- Na zewnątrz wszystko w porządku - doniósł Brownowi.
Spojrzał na mnie:

- Wie pani, że w fundamencie jest rysa, niedaleko krzaków azalii?

- Nie, nie wiedziałam.

- Teraz już pani wie. Należałoby coś z tym zrobić, inaczej ściana będzie wilgotniała.

Brown spojrzał na niego z lekkim niesmakiem.

- Wy dwaj możecie już jechać. Poradzimy sobie sami. Właściwie to sam sobie poradzę. Możecie jechać wszyscy trzej. Do zobaczenia.

Wyszli posłusznie. Pączuszek przesłał mi przyprawiający o zawrót głowy uśmiech, odsłaniając idealnie białe zęby.

- Dobrze, wróćmy do mojego pytania - upierał się gburowato Brown.

- Zechce pan usiąść?

- Nie. Proszę posłuchać, chcę załatwić tę sprawę jak należy. Spytam panią jeszcze raz. Kto chce, żeby się pani odpierdoliła?

- Nie wiem.

Wolałam skoncentrować się na nitce zwisającej z rąbka obrusu, a nie na Brownie i jego ciężkim pistolecie u pasa. Nie miałam wątpliwości, co powinnam zrobić: powiedzieć policji, że rozmawiałam z kilkoma osobami zamieszanymi w sprawę Flecksteina. Brown wydawał się jednak wysoce niesympatyczny, niezdolny do żadnych ludzkich uczuć, z wyjątkiem poirytowania. Gdybym miała rozmawiać z prowadzącymi tę sprawę, być może musiałabym opowiedzieć o Mary Alice, która - jak dotąd - pozostawała całkiem bezpieczna. Spojrzałam na Browna, na dużą fałdę tłuszczu zwisającą nad pasem, i uświadomiłam sobie, jak dziwne wyda mu się, że jestem wplątana w sprawę kryminalną. Więcej niż

dziwne, nienormalne. Traktuje mnie jak przedmiot, drobną dolegliwość, swędzenie we włośchatym uchu.

- Naprawdę nie wiem - odparowałam.

- Radzę pani przemyśleć sprawę. To nie jest zwykłe włamanie, nad którym można przejść do porządku dziennego i wezwać sympatycznego agenta ubezpieczeniowego. Tutaj stało się coś złego. Może pani powiedzieć, kto...?

- Raczej nie.

- Raczej nie. Dobrze. W takim razie coś pani powiem. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia, potem tu wrócę. Proszę nikogo nie wpuszczać do kuchni. Rozumie pani? Biegli sądowi mogą być tym zainteresowani. Kiedy stąd wyjdę, niech pani usiądzie i poważnie nad tym pomyśli.

Obiecałam, że tak zrobię, po czym on zapisał sobie moje nazwisko i numer telefonu.

- Niech pani nie zapomni - zawołał już za drzwiami - poważnie nad tym pomyśleć!

Wdrapałam się po schodach na górę i weszłam do sypialni. Wyglądała dziwnie spokojnie: żółte ściany, prześcieradła i zasłony, które promieniowały ciepłym, miłym blaskiem, budząc przyjemne uczucie, jakiego doznajemy, leżąc z zamkniętymi oczami na cichej plaży. Zadzwoiłam do Marilyn i powiedziałam, że policja jeszcze tu wróci. Spytałam, czy Joey może zostać u niej do wieczora. Powiedziała, że tak, nie ma problemu i jest jej przykro z powodu naszych kłopotów.

Kopnęłam buty pod toaletkę i położyłam się na łóżku. Przez minutę czy dwie udało mi się skoncentrować na wewnętrznych rozmyślaniach nad tym, jak poradzić sobie z bagnem, w jakie wdepnęłam: czy mam być miła i łatwa, czy też milczeć jak mogiła. Płaksiwe, pochlipujące, zawstydzone wyznanie, czy też zimne, powściągliwe zaparcie się jakiegokolwiek związku z morderstwem? Jednak mój

zmęczony umysł wkrótce zajął się innymi sprawami i wrócił do czasów studenckich, do dawnych sympatii, przyjemności i swojej ulubionej rozrywki: wspomnienia minionych doznań erotycznych. Wróciłam do lata 1959 roku i rozkoszowałam się doskonałym, siedemnastoletnim ciałem Danny'ego Simona, kiedy usłyszałam dobrze mi znane dwa dzwonki Boba. Włożyłam buty i zwlokłam się na dół ze świadomością, że kiedy otworzę drzwi, stanę twarzą w twarz z trzydziestosiedmioletnim mężczyzną, który nigdy nie dał mi tyle radości, ile Danny Simon tamtego lata, kiedy skończyliśmy szkołę średnią.

- Dobrze. Co się stało? Na miłość boską! - wybełkotał Bob, odpychając mnie, żeby wejść do domu. - Gdzie jest Joey?

- Jest u Marilyn Tuccio. Posłałam go tam, bo nie chciałam, żeby się denerwował.

Mówiłam powoli, spokojnie, całkiem opanowana. Mój uspokajający ton był zaraźliwy. Bob przerwał gniewną i głośną wędrówkę do kuchni, wrócił i objął mnie ramieniem. Odwróciłam się i przylgnęłam do niego z całej siły, świadoma, że za pięć minut o przytulaniu czy choćby najlżejszym pocałunku nie będzie nawet mowy. Uścisnęłam jego szczupły, silny, zadbany brzuch, po czym puściłam go, wzięłam za rękę i zaprowadziłam do kuchni. Staliśmy przed lodówką jak dwaj Aborygeni badający artefakt kultury niepomiernie wyższej cywilizacyjnie i bardziej skomplikowanej.

- Co to znaczy? - spytał.

- To znaczy: odpiardol się - wyjaśniłam łagodnie.

- Och - powiedział i zrobił dwa kroki w lewo, jakby chciał obejrzeć malowidło pod innym kątem. - Skąd wiesz?

- Wiem i tyle. - Powoli przestawałam panować nad siłą swojego głosu. Byłam już bliska piskliwego krzyku. - Nikt w szkole nigdy nie powiedział ci, żebyś się o - de - pe?

- Nigdy.

- Może nigdy nie byłeś dość zainteresowany ludźmi.

Była to złośliwa, krzywdząca uwaga i zaczęłam jej żałować, kiedy wymawiałam jeszcze ostatnią sylabę. Chciałam przeproszać, ale Bob mi przerwał.

- Słuchaj, Judith, zostawmy szkołę i wróćmy do chwili obecnej, bardzo proszę. O co w tym wszystkim chodzi?

Otworzyłam usta w nadziei, że znajdę jakieś uspokajające słowa, ale nie zdążyłam powiedzieć nic miłego, ponieważ Bob nalegał:

- Mów. Dlaczego ktoś miałby tu przychodzić i robić takie rzeczy? Wiesz coś na ten temat?

- Tak. Może.

- Boże. Może zechcesz podzielić się ze mną tą informacją? Zamknął usta. Wargi miał zaciśnięte, twarde, nieustępliwe. Jego twarz znajdowała się trzydzieści centymetrów od mojej; poczułam zapach wody po goleniu, słodki, cytrusowy. Nigdy nie lubiłam pachnących mężczyzn.

- Myślę, że to w związku z zabójstwem Flecksteina.

Czekałam, aż oczy zrobią mu się wielkie ze zdziwienia, aż przemówi, zacznie pytać o szczegóły. On jednak stał nieruchomo, wpatrując się we mnie.

- Zabójstwo Flecksteina, mówisz.

Przez chwilę myślałam, żeby spróbować wyplatać się z tego. Wiedziałam, jak to zrobić, zgodnie ze starym scenariuszem. Mogłam stać nieruchomo ze spuszczonej oczami i powoli, powoli podnosić głowę, żeby Bob zobaczył dwie lśniące łzy na białych policzkach. Będzie wzruszony, chociaż nie bardzo, ale padnę mu wtedy w ramiona, delikatnie, cicho pochlipując: „Kochanie, zrobiłam z siebie idiotkę”. Wtedy on obejmie mnie silnym ramieniem i powie: „Nie martw się, maleńka. Zajmę się tym wszystkim”. Może nawet pogładzi mnie po włosach.

- Zabójstwo Flecksteina - powtórzyłam. - Mówiłam ci o tej cholernej sprawie. Czy ty mnie słuchasz?

- Co mamy wspólnego z tym morderstwem? Kto, do diabła, włamał się do mojego domu?

- Pozwolisz, że ci przypomnę, Robercie, iż jesteśmy współwłaścicielami domu. Może przynajmniej z tego względu zechciałbyś nazywać go naszym domem?

Uderzył pięścią w drzwi lodówki.

- Dobrze! - ryknął. - Może zechcesz mi powiedzieć, co to pieprzone morderstwo ma wspólnego z naszym zasranym domem? Teraz lepiej?

- Jesteś taki uroczy, kiedy się wściekasz - powiedziałam lekkim tonem i natychmiast zdałam sobie sprawę, iż posunęłam się za daleko. Z pięściami zaciśniętymi tak, że kostki mu pobieły, Bob zrobił dwa kroki w moją stronę.

- Daj spokój. Interesowałam się tą sprawą. Nic poważnego, tylko kilka rozmów.

- Co? - wychrypiął.

- Zadałam paru osobom kilka pytań w sprawie morderstwa - wyjaśniłam i wzruszyłam ramionami, żeby pokazać, jak bardzo błahy wydaje mi się ten incydent, drobna intryga w życiu pełnym najbardziej fascynujących momentów.

- Judith, czy ty oszalałaś?

- Ostatnio często mnie o to pytasz.

- Dajesz ku temu wiele powodów.

Mówił trochę ciszej, ale pięści miał nadal zaciśnięte. Kiedy zobaczył, że na nie patrzę, schował ręce do kieszeni.

- Nieprawda. Słuchaj, ciebie ekscytują brudne sprawy, szeroko omawiane w prasie i wymagające prania, a mnie ekscytuje dobre morderstwo. Sprawa gustu. Każdy lubi co innego. Ty robisz swoje, a ja swoje.

- To, co ja robię, przypadkiem jest moją pracą zawodową. Tak się jakoś stało, Judith, że twoją pracą jest wychowywanie

dzieci i prowadzenie domu. - Zrobił przerwę, jakby coś sobie przypomniał. - Oczywiście, jesteś historykiem. Wszystko to wyklucza możliwość pracy w zawodzie detektywa. Proszę - zaczął krzyczeć - powiedz mi, co ty, do cholery, robisz?!

Jego nastrój zmieniał się z regularnością maszyny: dzwoneczek chłodnego racjonalizmu, po którym następuje grzmot wściekłości, i znów dzwoneczek, i grzmot.

- Po prostu rozmawiałam z kilkoma osobami związanymi z tą sprawą. Byłam zwyczajnie ciekawa.

- To wszystko?

- Tak.

- Nie masz na ten temat nic więcej do powiedzenia?

- Nie. To znaczy, gdybyś był zainteresowany morderstwem, chętnie bym z tobą o tym porozmawiała, ale najwyraźniej ciebie to nie obchodzi.

- Masz rację. Nie interesuje mnie to.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni bardzo dostojnie, jak nauczono go w wojsku, zanim został liberałem. Słyszałam, jak idzie po schodach. Drzwi sypialni zatrzasnęły się za nim z hukiem.

Pewnie sprawdza listę podstawowego wyposażenia do robienia zdjęć, pomyślałam. Na wszelki wypadek. Żeby upewnić się, czy zwariowany morderca - włamywacz nie był jednocześnie miłośnikiem fotografii i nie zapragnął przywłaszczyć sobie jego obiektywów. Musiałam przyznać, że podziwiam pana Bruce'a. Wystarczyły mu polaroid i kilka rekwizytów. Nie potrzebował taszczyć skórzanych toreb z ciężkim sprzętem, a żadna źle działająca lampa błyskowa nie stanęła na drodze jego pomysłowej twórczości.

Drzwi sypialni otworzyły się znowu. Słuchałam żalobnego marsza kroków Boba na schodach. Weszłam do dużego pokoju i usiadłam na kanapie, wyrażając wolę zbliżenia: spotkamy się w pół drogi.

- Już jedzie - oznajmił Bob w połowie korytarza.
 - Kto? - spytałam z niepokojem.
 - Facet, który zajmuje się sprawą Flecksteina - odparł całkiem spokojnie, powoli wchodząc do pokoju. Oparł się o kominek.
 - Oszalałeś? - spytałam. - Jak mogłeś do niego dzwonić i nawet mnie nie uprzedzić?
 - Judith, czy nie rozumiesz, że ja mówiłem ci dokładnie to samo?
 - Jaki roztropny! - wrzasnęłam. - Dziękuję. Bardzo dziękuję. Nigdy nie zapomnę ci tej przysługi. Mąż wydaje swoją żonę. Dziękuję.
- Wstałam i odwróciłam się do niego plecami.
- Jeśli się gdzieś wybierasz, to zmień plany. Porucznik będzie tu za piętnaście minut. Chce z tobą rozmawiać.

Rozdział 12

Kiedy usłyszałam dzwonek do drzwi, spokojnie zrzuciłam buty i podwinęłam nogi pod siebie. Bob spojrzął na mnie i kilkakrotnie głośno westchnął: uwertura do cudownie rozpisanych arii fałszywych pouczeń. Nie znalazł jednak słów. Odwróciłam od niego wzrok i skoncentrowałam się na tęczy, powstałej dzięki promieniom popołudniowego światła przeświecającym przez kryształową popielniczkę na stoliku do kawy.

- Dzwonek do drzwi - syknął. - Otworzysz?

- Czy wyglądam na odźwiernego?

Wzruszył ramionami, przyjął moją ulubioną wystudiowaną pozę swobody i powoli poszedł do drzwi.

- W porządku, Judith, ja otworzę. Wyświadczyć mi tylko jedną przysługę - powiedział, idąc do drzwi - włóż, proszę, buty. Nie jesteś nastolatką.

Spojrzałam na swoje pantofle: dwa zniszczone mokasyny udające Gucciego wyciągały do mnie języki. Kopnęłam je pod kanapę.

Usłyszałam odgłos otwieranych drzwi i bełkotliwe głosy. Bełkocz, bełkocz, Bobie Singer. Bełkocz, bełkocz, poruczniku Bełkot. Jest w domu. Dobrze, bełkot, bełkot. Weszli do pokoju. Usłyszałam głos Boba:

- To porucznik Sharpe.

Czułam, że stoją pół metra od kanapy i obserwują mnie, jakbym była wiedźmą i narysowała zaklętą krogocinę, którego nie mogą przekroczyć.

- Judith - powiedział Bob, z trudem powstrzymując jęk.

Podniosłam głowę i spojrzałam na Sharpe'a. Potem głośno przełknęłam ślinę, żeby ukryć zmieszanie. Spodziewałam się spalonego byczka żującego cygaro i charakteryzującego się żółtą, plamistą cerą; patrzyłam jednak w duże, łagodne, brązowe oczy. Miał wprawdzie siwe włosy, ale liczył sobie

nie więcej niż trzydzieści osiem - trzydzieści dziewięć lat. Nie dostrzegłam w nim ani szorstkości, ani brutalności. Na jego dobrodusznej twarzy z zadartym nosem widać było napięcie świadczące o inteligencji i zmęczeniu. Pod oczami miał worki, niebieskoszare smugi; na brodzie widniała siwa szczecina.

Bob chrząknął, przygotowując się do powtórnego przedstawienia mi gościa, ale Sharpe przekroczył narysowany przeze mnie magiczny krąg i wyciągnął rękę.

- Jestem Nelson Sharpe.

Nie mając innego wyboru, wstałam i podałam mu dłoń. Był niski, sześć czy siedem centymetrów wyższy ode mnie, a przecież miał buty.

- Judith Singer.

Uścisnął mi dłoń zdecydowanie, nie w ten omdlewający sposób, jak się to często zdarza mężczyznom, ale nie tak znów mocno, żebym musiała obawiać się o całość swoich kości. Bob znów chrząknął. Dłonie Sharpe'a, jak zauważyłam, były duże; miał długie, grube palce. To jakby rekompensata, pomyślałam, za zbyt niski wzrost. Zawsze wierzyłam w mit - a może fakt - że wystarczy spojrzeć na pewne części ciała mężczyzny, żeby ustalić wielkość jego penisa. Pamiętam, jak kiedyś, w akademiku, w noc przed egzaminem, siedzieliśmy i rozmawialiśmy o tym długo. Ktoś powiedział, że wystarczy spojrzeć na wielkość palców u nóg. Nie, włączył się ktoś inny, chodzi o rozmiar buta. Nie masz racji - powiedziała jakaś dziewczyna - to muszą być palce: małe, szczupłe palce mogą oznaczać duże rozczarowanie. Nancy wyciągnęła swoje wnioski z teorii palców i brała pod uwagę tylko kciuki. Jeśli znasz kciuki, poznałeś mężczyznę.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać o przypadku Flecksteina, pani Singer - zaczął Sharpe. Jego wielkie dłonie zwisały po bokach. - Mąż twierdzi, że przeprowadziła pani jakieś śledztwo.

Sharpe mówił tak spokojnym, neutralnym tonem, że usiadłam sztywna, wyprostowana i czujna. Uświadomiłam sobie, że nie może przecież być obojętny wobec tej sprawy, co znaczy, że albo usiłuje pomóc mi się rozluźnić, albo też traktuje jak wariatkę i używa spokojnego głosu, żeby nie pobudzić moich zszarganych nerwów.

- Powiedz mu, Judith - rozkazał Bob. - Mów.

- Co mam powiedzieć?

Usiadłam na kanapie w nieco wygodniejszej pozycji. Sharpe wybrał sobie żółty fotel klubowy po drugiej stronie stolika. Patrzyłam na Boba, starając się przybrać niepewny, pytający wyraz twarzy. Ciągle stał, niezdecydowany, czy powinien przyłączyć się do mnie na kanapie, czy też wybrać bliźniaczy fotel klubowy, obok Sharpe'a, i zasiąść po stronie prawa i porządku.

- Na miłość boską Judith, przestań udawać. Powiedz porucznikowi Sharpe'owi, jak wtykałaś nos w sprawę zabójstwa Flecksteina. Skończmy z tym.

Odwrócił się ode mnie i spojrzał na Sharpe'a, unosząc brwi i kąciki ust w geście bezradności. Kobiety są dziwne - mówił całą twarzą. Sharpe mrugnął do niego; nadal wyglądał dobrodusznie.

- Co chciałby pan wiedzieć, poruczniku? - spytałam.

- Wszystko, Judith. Wszystko. Zaczynaj mówić, a porucznik, jeśli będzie miał pytania, przerwie ci.

Bob posłał Sharpe'owi skromny uśmiezek, zadowolony, że uczynił los policjanta nieco łatwiejszym.

- Panie Singer - rzekł Sharpe, wyjmując z kieszeni na piersi mały notes i długopis - zechce pan opuścić pokój?

Nastąpił moment absolutnej ciszy; moment, w którym ustał wszelki ruch, kiedy myśli zamaryły w drodze między umysłem a językiem. Doskonała, głęboka cisza. W końcu Bobowi udało się wykrztusić skrzeczące:

- Co?

- Zechce pan wyjść z pokoju? Chciałbym rozmawiać z panią Singer sam na sam.

Sharpe masował koniec nosa grzbietem dłoni; zwykle jest to gest surowy, ale nos Sharpe'a był tak zadarty, tak uroczy, jakby wycięto go z reklamy odżywek dla dzieci.

- Chciałbym zabrać się do pracy, panie Singer - dodał. Mówiąc aż trzy zdania, dał Bobowi czas, żeby odzyskał równowagę.

- Proszę posłuchać, Sharpe, może pan o tym zapomniał, ale moja żona ma prawo mieć kogoś u boku. Jeśli nie mnie, to zaraz dzwonię po adwokata. Moja żona ma niewątpliwe prawo do tego, żeby mieć przy sobie doradcę podczas przesłuchania.

- Co ty wygadujesz, jakie przesłuchanie? - spytałam. - Nawet nie zdążył wyjąć pałki.

- Judith, raz w życiu mogłabyś milczeć. Słuchaj pan, Sharpe...

- Panie Singer, chcę zadać pańskiej żonie kilka pytań. Nie jest o nic podejrzana. Jeśli sytuacja będzie tego wymagała, poinformuję o przysługujących jej prawach.

- Tak, jasne - gderał Bob. Nie zdziwiłabym się, gdyby pokazał Sharpe'owi język i parsknął: „Takiego wała”.

- Proszę posłuchać, panie Singer - zaczął Sharpe miłym tonem. Przerwałam mu:

- Bob, czy możesz wyjść z pokoju? Zawołam cię, jeśli będę czegoś potrzebowała.

Gdyby się uparł, gdyby tupnął nogą albo podniósł głos, wycofałabym się natychmiast, ale Bob tylko patrzył na mnie z otwartymi ustami.

- Słuchaj, Bob, może zabierzesz Joeya od Marilyn Tuccio i pójdziecie na spacer albo zrobicie coś razem?

Stał tam, ciskając we mnie bezdennym, mrozącym krew w żyłach wzrokiem, na jaki stać tylko ludzi o niebieskich oczach. Zacisnął mocniej krawat.

- Dobrze, Judith. Skoro nie chcesz pomocy, musisz radzić sobie sama, ale nie przychodź później do mnie z płaczem.

Schwycił marynarkę i płaszcz, które wcześniej rzucił na stołek przy pianinie, i pomaszerował ku drzwiom.

- Przyjdiesz do mnie w dniu odwiedzin? - zawołałam za nim. - Może pozwolą nam wziąć się za ręce przez kraty.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem. Widocznie wstałam, żeby pobiec za nim i przeprosić, ponieważ Sharpe powiedział:

- Zechce pani usiąść, pani Singer?

- Och, przepraszam. Oczywiście.

Poczułam się bardzo słaba i chora; modliłam się, żebym nie pobrudziła jego niebieskich spodni, kiedy zacznę wymiotować.

- Zna pani Marilyn Tuccio? - spytał, otwierając notes.

- Tak. Znam ją dość dobrze. Fakt, że choćby przez chwilę mogliście uważać Marilyn za podejrzaną, jest niewyobrażalnie absurdalny. Mój Boże, zamiast skoncentrować się na tym, żeby odkryć racjonalny, albo choćby irracjonalny, motyw morderstwa, sprawdzacie wszystkie bezsensowne insynuacje. I kto je podsuwa? Ludzie tacy jak Lorna Lewis. Jak można wierzyć komuś takiemu jak Lorna Lewis? Na Boga, przecież ona sypiała z Flecksteinem. Trudno ją uznać za osobę obiektywną.

- Nieźle pani mówi - stwierdził Sharpe z cieniem uśmiechu na twarzy.

- Tak, ale też nieźle myślę.

- Tak. Skąd pani wie o Lornie Lewis?

- Słucham?

Prawą ręką sięgnął do policzka i pocierał go tam i z powrotem, tam i z powrotem.

- Pani Singer, chciałbym pani coś powiedzieć. Od dwóch tygodni pracuję po osiemnaście godzin na dobę, próbując zrozumieć tę sprawę. Jestem bardzo, bardzo zmęczony. Jeśli może mi pani w czymś pomóc, będę niezmiernie wdzięczny.

- Stara się pan mnie udobruchać?

- Tak - powiedział z wahaniem - ale tylko dlatego, że wydaje się to konieczne. Proszę mi wierzyć, że poświęcam na to resztki sił i jeśli nie zacznie pani ze mną współpracować dość szybko, pewnie zasnę w tym fotelu.

Wyglądał na zmęczonego. Usta miał szare jak popiół, całe ciało przestało walczyć z prawem ciężenia i zwisało prawie bezwładnie.

- Napije się pan kawy? - spytałam, gotowa jakoś mu pomóc.

- Nie. Dziękuję.

- Sok? Coca - cola? Owoce?

- Chętnie przyjmę owoce.

- Jabłko? Pomarańcza?

- Proszę o jabłko. Wstałam i poszłam do kuchni.

- Jabłka są w lodówce! - zawołałam. - Czy mogę jej dotykać?

- Proszę zaczekać.

Wszedł do kuchni, podszedł do lodówki i podważył palcami gumową uszczelkę przy drzwiach. Przytrzymał drzwi, a ja schyliłam się do koszyka z owocami i wyjęłam jabłko.

- Chce pan sprawdzić, czy nie ma na nim odcisków palców? - spytałam, trzymając owoc za ogonek.

- Daruję sobie.

Umyłam jabłko w ciepłej wodzie, po czym, używając dwóch kawałków papierowego ręcznika, wypolerowałam je do połysku.

- Proszę - powiedziałam.

- Dziękuję - odparł, przyglądając mi się. Oczy miał bardzo duże i okrągłe, jak Paul McCartney, ale łagodne - i bardzo czujne. Mimo zmęczenia były żywe, szeroko otwarte. Sharpe bacznie przyglądał się wszystkiemu: najdrobniejszym nawet szczegółom pokoju, a najbardziej mnie.

- Wygląda smacznie - mruknął.

- Mam nadzieję - odparłam.

Ugryzł mały kęs, po czym w ułamku sekundy przebiegł wzrokiem po moim ciele, od głowy do kolan i z powrotem; potem spojrział piwnymi oczami prosto w moje piwne oczy:

- Bardzo dobre.

- Nie mam nic więcej. Nie stać mnie na banany.

- Banany?

- Banany. Jak Królowa Obfitości ze zdjęć Flecksteina, ta od owoców i warzyw.

Ryknął śmiechem: głośnym i niepohamowanym, jak na tak spokojnego, zmęczonego człowieka. Potem, nagle trzeźwiejąc, powiedział:

- Usiądźmy.

Poszedł za mną do dużego pokoju. Usiedliśmy tak, jak poprzednio, na kanapie i w fotelu.

- A więc widziała pani zdjęcia - zauważył, zakładając nogę na nogę tak, że lewa kostka opierała się na prawym kolanie, tworząc duży trójkąt z pachwiną w szczycie.

- Nie. Gdzie miałabym je widzieć?

- Skąd ma pani te wszystkie informacje?

Sharpe trzymał jabłko w prawej ręce, lewa spoczywała bez ruchu na zgiętej nodze. Biodra miał twarde, muskularne, w przeciwieństwie do reszty ciała, dość przeciętnej budowy.

- Dobrze - westchnęłam znużona, jakby jego zmęczenie było zaraźliwe. - Od czego mam zacząć?

- Niech pani sama zdecyduje.

- Dobrze. Od lodówki. Kiedy przyszedłam rano do domu...
Nagle wstał.

- Czy mogę zadzwonić?

- Z kuchni.

Poszedł do kuchni; szara, tweedowa marynarka zakrywała
- byłam tego pewna - twarde pośladki. Wrócił minutę później.

- Chciałem, żeby ktoś z bieglej przyjechał obejrzeć lodówkę. Są w drodze.

Przemaszerował przede mną i usiadł po drugiej stronie kanapy.

- Dobrze, niech pani opowiada o lodówce.

- Nie mam nic do opowiadania. To znaczy, wyszłam z domu kilka minut po dziewiątej i nie było mnie mniej więcej do wpół do dwunastej i zobaczyłam: o - de - pe.

- Gdzie pani była?

Podaliśmy mu nazwisko i adres Nancy. Zapisał je.

- Teraz - ciągnął - niech mi pani powie, czy podejrzewa pani, kto mógł zostawić tę wiadomość?

- Sądzę, że tak.

- Kto? - Sharpe przysunął się trochę bliżej.

- Ktoś, kto najwyraźniej nie życzy sobie, żebym wtykała nos w sprawę Flecksteina.

- Czy podejrzewa pani kogoś konkretnego?

- Nie. Niezupełnie. Mam tylko mgliste przeczucie.

- Kto?

- Wolałabym nie mówić.

Sharpe przez kilka sekund przygryzał górną wargę, zanim wybuchnął:

- Chryste! Proszę posłuchać, ja szukam sprawcy morderstwa i nie mam nic, oprócz kręgu podejrzanych: żadnej porządnej poszlaki.

Przełknął, dość wolno i ostentacyjnie, i trochę się uspokoił.

- Proszę posłuchać, jeśli może mi pani pomóc, choćby tylko mglistą wskazówką, będę niezmiernie wdzięczny.

- Nie jestem zdecydowana. Prawdę mówiąc - powiedziałam, przesuwając się jak najbliżej krańca kanapy - to tylko hipoteza.

- Dlaczego nie mielibyśmy przemyśleć tego razem? - zasugerował.

- Wolałabym nie.

Przez chwilę przyglądał się na wpół zjedzonemu jabłku, po czym patrząc prosto przed siebie, powiedział:

- Czy pani wie, że mogę panią aresztować jako naocznego świadka?

- Co?

- Słyszała pani - odparł cicho i popatrzył mi prosto w oczy, nie mrugnawszy powieką.

- Doby smalone - oznajmiłam. Jego oczy zrobiły się jeszcze większe. - To kiepska sztuczka; chce mnie pan nastraszyć. Jestem zaskoczona. Jak mógłby mnie pan zatrzymać jako świadka naocznego? Co ja widziałam? Jakiej konkretnej informacji nie chcę udzielić? Co pan powie sędziemu? „Proszę o aresztowanie jej, Wysoki Sądzie, pod zarzutem odmowy wyznania swojej teorii”? Proszę posłuchać, jeśli chce pan porozmawiać, możemy rozmawiać, ale nie podobają mi się próby zastraszenia mnie i przymuszenia do uległości.

- Nie należy pani do łatwych osób - zauważył.

- A pan?

- Dobrze. Porozmawiajmy.

Uświadomiłam sobie, że bez przyzwolenia ze strony Sharpe'a nie będę mogła prowadzić dalej śledztwa. Zdecydowałam się na współpracę. Zaczęłam od Mary Alice, nie wymieniając jej nazwiska. Powiedziałam Sharpe'owi, że Fleckstein co prawda nigdy nie próbował jej szantażować, ale

groźba była oczywista: miał zdjęcia i mógł ich pewnego dnia użyć. Innej koleżance - powiedziałam, przypominając sobie rozmowę z Fay - robił propozycje. Matka jednego z kolegów mojego syna była z nim związana. W geście niedowierzania potarłam dłonią czoło; nadal trudno mi było przyjąć do wiadomości fakt romansu Flecksteina ze Scotty Hughes. Zalecał się też do Marilyn Tuccio. Wygląda na to, że gdziekolwiek się obrócę, spotykam kobiety, w jakiś sposób związane z Flecksteinem.

- A pani? - spytał Sharpe.

- Nie.

- Nie znała go pani? Nigdy go pani nie widziała? Wyjaśniłam, że byłam u niego raz, jako pacjentka.

- Nawet nie zerknął na południe od moich dziąseł.

- Nie? - Sharpe był zdziwiony i sprawiło mi to przyjemność.

- Byłam w szóstym miesiącu ciąży i miałam wielki brzuch. Masował brodę i baki.

- Jak godzi pani fakt, że Fleckstein odnosił tak wielkie sukcesy wśród kobiet, z przekonaniem o niewinności sąsiadki, pani Tuccio?

- Nie zawsze mu się udawało. Ta druga koleżanka, o której panu mówiłam, ta starsza, odtrąciła go. Marilyn to nie ten typ. Po pierwsze, jest bardzo religijna, głęboko wierząca; wiara stanowi integralną część jej osobowości. Jest również bardzo zajęta. I - dodałam, przyglądając się jego palcom, poruszającym się w dół i w górę po policzku - ma udane małżeństwo.

- W takim razie, dlaczego niedawno skarżyła się, że męża nigdy nie ma w domu?

Punkt dla niego; muszę jednak przyznać, że grał uczciwie i zwycięstwo przyjął godnie, bez triumfalnego „aha!”

- Skarżyła się? Przed kim?

- Nie mogę pani powiedzieć. Powiedziała komuś, że jej mąż częściej ogląda pielęgniarki pracujące w jego gabinecie niż ją. Czy pani zdaniem tak mówi zadowolona żona?

- Nie. Po prostu była trochę zła na Mike'a i tyle. Ona nie będzie ganiała po mieście i wdawała się w gorący romans z byle chłystkiem, który machnie jej przed oczami czymś różowym. Może pan to zrozumieć?

- Przypuśćmy.

- Przypuśćmy? Wierzy pan Lornie Lewis, jednej z osób najbardziej wpłątanych w tę sprawę; bardziej niż Marilyn Tuccio.

- Dobrze. Skoro już mówimy o Lornie Lewis, to czy nie zechciałaby pani powiedzieć mi, skąd pani wie, co ona zeznała policji?

- Właśnie.

- Tak?

- Właśnie. Nie zechciałabym i nie powiem.

Wyciągnął rękę nad oparciem kanapy, złapał mnie za ramię i mocno przytrzymał:

- Może mi pani powiedzieć?

Lewą dłonią rozchyliłam jego palce i odsunęłam rękę.

- Nie lubię przemocy. Nie powiem i koniec.

- Musi mi pani powiedzieć. Jeśli są przecieki, muszę o tym wiedzieć.

- Mogę powiedzieć tylko tyle, że nie dowiedziałam się tego od policji. W dosłownym sensie była to prawda. Dowiedziałam się wszystkiego

od Nancy, która zasięgnęła języka u policjanta.

- Proszę nie myśleć - powiedział - iż nie aresztuję pani tylko dlatego, że jest pani bardzo inteligentna i bardzo ładna. Muszę przede wszystkim zrobić to, co do mnie należy.

- Aresztować? Pod jakim zarzutem? Zbrodniczej inteligencji?

Dlaczego powiedział, że jestem ładna? To jeszcze bardziej mnie zdenerwowało. Od chwili, kiedy spojrzałam na niego po raz pierwszy, fizycznie odczuwałam jego obecność, jakby wypełniał sobą pokój, usuwając na bok wszystko inne, nawet Boba. Miał w ciele milczące napięcie seksualne - coś, czego brakuje większości mężczyzn. Odnosiłam wrażenie, że za umiejętnością intensywnego obserwowania każdego szczegółu, każdego ruchu, za niemalże wyczuwalną aurą zamyślenia i spokoju, kryje się sieć niezwykle wrażliwych nerwów, pragnących dotyku i - ostatecznie - ukojenia.

- Proszę - zaczął i wtedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. - Otworzę.

- Cześć, poruczniku - powiedziała stojąca za drzwiami kobieta: drobna, roztrzepana blondynka, mająca w sobie coś z Jean Harlow i Sandry Dee. Ubrana była w niebieską kurtkę narciarską, a w ręce trzymała dużą, brązową walizkę.

- Cześć - odpowiedział Sharpe i zwracając się do mnie wyjaśnił: - Ona jest z laboratorium sądowego; obejrzy pani lodówkę.

Sharpe wskazał ręką kuchnię. Weszła wolnym krokiem; pod rdzawymi spodniami rytmicznie poruszały się dwa, okrągłe jak policzki, pośladki. Nienawidziłam jej.

- No, możemy wrócić na miejsce - stwierdził Sharpe, kładąc mi na plecach ciepłą dłoń i kierując w stronę dużego pokoju.

- Czy ona jest oficerem policji? - spytałam.

- Tak.

- Jak się nazywa?

- Nie wiem. Jakaś Marsha.

- Robi tylko takie rzeczy, czy też jeździ na miejsce morderstwa i tak dalej?

- Może zechce pani usiąść? Rozmawialiśmy o sprawie Flecksteina.

- Chce pan posłuchać o Dunckach? - spytałam. Usiadł na kanapie, metr ode mnie. - Wie pan, kim są?

- Tak, dziękuję. Najpierw jednak musimy dokończyć inną sprawę.

- Chodzi panu o wsadzenie mnie do więzienia, razem z mętami i prostytutkami? O narażenie na fizyczne ataki zahartowanych w więzieniu, sadystycznych lesbijek?

- No, dobrze. Niech mi pani opowie o Dunckach.

Tolerował mnie dlatego, że go rozbawiłam i obudziłam ciekawość, a nie dlatego, że nim manipulowałam.

Opowiedziałam o wywiadzie z Brendą i Dickym, starając się przekazać jak najwięcej szczegółów.

- Jak namówiła ich pani do rozmowy? - spytał. - Po prostu poszła pani do nich i posłała promienny uśmiech?

- Trochę się wstydzę.

- Proszę powiedzieć. Nie będę zwracał uwagi na rumieńce. Wyjaśniłam, że poprosiłam mojego promotora, doktora Ramseya,

o list i opowiedziałam, jak podstępem podeszłam Duncków.

- Studentka historii - powiedział cicho - jak ja.

- Amerykańskiej?

- Nie. Europejskiej.

- Gdzie?

- Fordham.

- Jest pan katolikiem?

- Nie.

- A kim?

- Teoretycznie metodystą. Czy mogę zadawać pytania?

- Dobrze.

- Zamierza pani kontynuować śledztwo?

Powiedziałam mu, że istnieje możliwość przeprowadzenia wywiadu z Normą i, jeśli mi się uda, z najbliższymi przyjaciółmi Bruce'a.

- Nie wolno pani - oświadczył.

- Będzie pan musiał wsadzić mnie do więzienia, a tam potną mi twarz żyłkami.

- Mam na myśli - powiedział cierpliwie - fakt, że ktoś chce, żeby się pani odpieprzyła. Pamięta pani, że taki był cel numeru z lodówką? Proszę, niech pani pozwoli, żebym ja załatwił tę sprawę.

- Rozumiem - odparłam jak najbardziej niezobowiązująco. Właśnie wtedy przyszła z kuchni laborantka.

- Żadnych odcisków - oznajmiła. - Kilka smug na klamce. Zdejmę odciski, ale nie sądzę, żeby coś z tego wyszło.

Nie patrząc na mnie, jakbym była ofiarą znalezioną na miejscu morderstwa, umoczyła moje palce w atramencie i zrobiła odbitki na kartce.

- Lubi pani swoją pracę? - zagadnęłam.

- Tak - odparła. - Teraz może pani umyć sobie ręce.

Czekałam. Spojrzała na Sharpe'a i uśmiechnęła się. Nie byłam pewna, czy flirtuje z nim, czy też stara się zaskarbić sobie przychyłność oficera. Zalała mi sadła za skórę; nawet nie pomyślałam, że może zwyczajnie być miła.

- Zrobiłam zdjęcia i pobrałam próbki farby, poruczniku, ale nie sądzę, żebyśmy coś znaleźli. Wygląda jak zwykły czerwony aerozol.

- A drzwi do kuchni? - spytał, wstając.

- Klamka wyważona śrubokrętem i młotkiem. Kiepsciutka. Można się włamać bez trudności.

- Żadnych odcisków? - dociekał.

- Czy robiłabym z tego tajemnicę, poruczniku? - odpowiedziała. Uśmiechnęli się do siebie.

- Czy mogę teraz umyć lodówkę? - włączyłam się.

- Miłej zabawy, kochanie - rzuciła. - Będziesz musiała ją pomalować.

Powoli, jednym ślizgiem, poszła, kręcąc tyłkiem, do kuchni. Wróciła, zapinając kurtkę.

- Na razie - powiedziała do Sharpe'a i podniosła walizkę. Wyszła, napinając pośladki.

Czekałam, aż Sharpe usiądzie, ale stał z rękami w kieszeniach.

- Coś jeszcze? - spytał.

- Z czym?

- Czy ma mi pani jeszcze coś do powiedzenia o tym swoim śledztwie?

- Na ten temat nic nie przychodzi mi na myśl - powiedziałam.

- Dobrze.

Schylił się, podniósł ze stolika notes i wepchnął go do kieszeni marynarki.

- Proszę pamiętać, że została pani ostrzeżona. Z pewnością nie muszę pani mówić, że osoba, która włamała się do pani domu, nie zostawiła napisu po to, żeby rzucić pani wyzwanie. Gdyby przypadkiem miała pani coś nowego do powiedzenia, zostawię swój numer telefonu. Zawsze może pani do mnie zadzwonić.

Wyciągnął notes, urwał kawałek kartki i zapisał numer. Był leworęczny.

- Ma pan płaszcz?

- Tak, w samochodzie.

Odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Ruszyłam za nim.

- Do widzenia - powiedział, otwierając drzwi. Przeszedł po trawniku do niebieskiego, małego samochodu, zaparkowanego przed domem. Zamknęłam drzwi i pędem

pobiegłam na górę, do pokoju Kate, gdzie okna wychodzą na ulicę. Leciutko uchyliłam zasłonę i wyjrzałam. Sharpe siedział w samochodzie. Rękami opierał się o kierownicę i patrzył przed siebie. Dwie czy trzy minuty później uruchomił silnik i odjechał.

Zwinęłam się w kłębek na łóżku Kate, zaczęłam pocierać palcami szorstki, kraciasty koc i rozplakałam się. Może z powodu ulgi, że najgorsze mam już za sobą. Może ze strachu, że morderca zna mój adres. A może z bardziej swojskiego lęku, że wkrótce albo Bob, albo ja będziemy musieli pójść na ustępstwa i na nowo ustalić zasady dalszego współżycia. Nie wiem dlaczego, ale spotkanie z mordercą wydało mi się łatwiejsze. Może chodziło o Sharpe'a? Otarłam oczy grzbietem dłoni. Może rozplakałam się dlatego, że żaden mężczyzna nie wywarł na mnie tak wielkiego wrażenia od... To było tak dawno temu, że nie mogłam sobie przypomnieć kiedy.

Jeszcze przez dziesięć minut byłam pogrążona w rozpacz; czułam się roztrzęsiona i straszliwie samotna. Potem otworzyły się na dole drzwi i dziecinny głosik zawołał:

- Mamo, przyszedłem z tatusiem!

Ostatni raz otarłam łzy i zwlokłam się do kuchni.

Joey opierał się o Boba trzymającego dwie papierowe torby: jedna miała znak firmowy Baskin - Robins, a druga, dużo większa, była ze zwykłego, brązowego papieru.

- To - oznajmił Bob, podnosząc torbę - jest biała farba. Do lodówki. Razem z Joeyem naprawimy wszystko - powiedział do szafki stojącej za mną - prawda, Joey?

Odwiesili płaszcze, a Joey rzucił się po gazety, taśmę samoprzylepną i jeszcze więcej gazet. Wkrótce potem przyszła Kate. Pracowali i śmiali się we trójkę. Smród farby dolatywał aż do dużego pokoju, gdzie siedziałam sama,

wyłączona z grona zgodnego towarzystwa działającego w kuchni.

- Zrobię obiad - oznajmiłam o czwartej, stając na progu kuchni i zaglądając do środka.

- Nie możesz - syknął Bob.

- Jak to nie mogę?

- Naprawdę, mam - wtrąciła się Kate. - Do jutra nie można dotykać lodówki. Musi wyschnąć.

- Musi wyschnąć - papugował Joey. - Tatuś zabierze nas do chińskiej restauracji.

- Jak tylko wyjdzie ślusarz - powiedział Bob do wszystkich, którzy chcieli go słuchać.

Ślusarz przyszedł po godzinie, a kiedy skończył stukać i piłować, pojechaliśmy do restauracji. Bob nie zwracał na mnie większej uwagi niż na własny cień, ale Kate zajęła się wszystkim, pilnując, żebyśmy siedzieli wygodnie i żeby filiżanki na herbatę były czyste. Przyszedł kelner i Bob zadysponował:

- Zupa wonton.

- Wolałabym zupę kwaśno - ostrą - odparowałam.

- Kwaśno - ostra zupa dla pani - powiedział Bob do kelnera, najwyraźniej przekonany, że dzięki temu drobnemu ustępstwu, skutecznie oddziela mnie od reszty rodziny. Jedliśmy w milczeniu, jedną potrawę za drugą od czasu do czasu ostentacyjnie pytając dzieci, jak było w szkole i w przedszkolu.

- Przeczytasz wróżbę z ciasteczka? - spytał Joey.

- Nie. Wolę, żeby przyszłość mnie zaskoczyła.

- Zaskoczyła? - powtórzył. Oczy Joeya były duże i ciekawe, jeszcze nie zimne, obojętne, jak u ojca.

- Dobrze - ustąpiłam i przełamalam ciastko, żeby wyjąć kawałek papieru. Przeczytałam: „Mądry człowiek nie pije herbaty przed południem”.

Odczułam ulgę. Bałam się czegoś takiego jak: „Dobra żona jest cenniejsza od klejnotu” albo: „Kobiety, strzeżcie się niskich, siwowłosych gliniarzy”. Z dużymi, silnymi dłońmi.

Kiedy wjechaliśmy do garażu, ogarnął mnie strach; może znów włamano się do domu? Może ktoś czai się w jadalni?

- Wejść pierwsza - powiedziałam.

- Ja wejść - oznajmił Bob, nadal unikając mojego spojrzenia. Pomaszerował do domu, a ja zostałam z dziećmi w garażu.

- Chodźcie! - zawołał niecierpliwie. - Wszystko w porządku. Kiedy mijaliśmy go, wchodząc do domu, szepnął mi do ucha:

- Uspokój się.

Wszystko było w porządku. Nowy zamek połyskiwał na przywitaniu mosiężnym blaskiem, a smród farby wisiał w powietrzu. Nikt nie wybił okna. Wszystkie drzwi były pozamykane.

- Hej, dzieciaki - powiedział Bob, posyłając im swój najszerszy z uśmiechów - może wykąpię was pod prysznicem w mojej łazience?

- Och, tato! - westchnęła Kate.

- Ja razem z Kate? - spytał Joey.

- Jasne. Czemu nie? Teraz idźcie na górę i rozbierzcie się - zadysponował, lekko chichocząc, jak tatuś z komedii obyczajowej z lat pięćdziesiątych. Do dzisiaj umył dzieci raz, kiedy były niemowlakami, i nigdy później nie chciał tego robić. „Denerwują mnie. Boję się, że któreś upuszczę” - wyjaśniał. W głębi serca bałam się, że rzeczywiście to zrobi, choćby dlatego, żeby udowodnić, że ma rację. Dzieci pisały i śmiały się w swoich pokojach na górze, bliskie euforii, ponieważ wreszcie udało im się zwrócić na siebie uwagę Boba.

Zostałam w dużym pokoju, kiedy brali prysznic wśród radosnych krzyków, tylko nieznacznie stłumionych przez odległość. Kiedy na koniec zeszli na dół, z promieniejącymi buziami i mokrymi włosami, z wyraźnymi rządkami po grzebieniu, poczułam się jak wzruszona stara panna całująca na dobranoc dzieci swojej siostry.

- Branoc, mamó - powiedzieli chórem.

- Chodźcie, dzieci. Położę was do łóżek.

Bob miał podwinięte rękawy, a włosy na rękach były mokre, ciemne i matowe.

- Możesz mi coś przeczytać, tato? - spytała Kate.

- Jest już za późno, kochanie - odparł. Pogodziła się ze swoim losem bez jednego jęku. Potem, trzymając się za ręce, troje szczęśliwych Singerów weszło po schodach. Czekałam i czekałam. Minęło pewnie pół godziny, zanim zrozumiałam, że Bob nie zejdzie. Powoli ruszyłam na górę.

Leżał w łóżku, w piżamie w zielono - białe pasy. Kołdra była gładka i dokładnie otulała jego piersi. W dłoniach ścisnął „Business Week” i z ostentacyjnym zainteresowaniem studiował tekst. Na okładce widniał mężczyzna w beżowym garniturze i wąskim krawacie opierający się łokciami o duży globus.

- Możemy porozmawiać? - zaczęłam.

- Czytam.

- Widzę. Czy możesz na chwilę odłożyć gazetę? Położył ją na piersiach i spojrzał na mnie.

- Chciałbyś usłyszeć, dlaczego zainteresowałam się tą sprawą? „Business Week” uniósł się kilka centymetrów, kiedy wziął głęboki

wdech. Poza tym trwał w bezruchu, nie odwracając spojrzenia.

- A więc? Mam wyjaśnić?

- Nie zależy mi na tym - powiedział cicho.

Poruszyłam się lekko. Przełknęłam. Nerwowo przejechałam palcami po brwiach.

- Jak to: nie zależy ci?

- Chcę ci tylko powiedzieć, że jeśli będziesz kontynuowała śledztwo, jeśli nadal będziesz narażała całą rodzinę, to zrobię wszystko, co konieczne, żeby chronić dzieci. Możesz bawić się w to sama. Możesz robić, co chcesz.

- Bob... - Podeszłam do łóżka od jego strony i dotknęłam jego ramienia.

- Nie dotykaj mnie, Judith. Nie dotykaj mnie, dopóki nie poukładasz sobie wszystkiego w głowie jak należy. Czy wyrażam się jasno?

Odwrócił się i sięgnął do lampki. Rozebrałam się po ciemku, weszłam pod zimną kołdrę i położyłam na jeszcze bardziej zimnym prześcieradle.

- Bob - szepnęłam, przesuwając się na jego stronę łóżka. - Bob. Wstrząsnął się, jakby chciał odpędzić natrętnego komara. Odsunęłam się, ubiłam poduszkę, naciągnęłam kołdrę na uszy i w końcu zasnęłam.

Rozdział 13

Rano nie widziałam się z Bobem. Zostawił na swojej poduszce złocisty krawat w skomplikowany wzorek i karteczkę: „Pojechałem wcześniejszym pociągiem. Proszę, wyczyść plamę (prawdopodobnie po kawie). R.M.S.” Wstałam, przeciągnęłam się i pościeliłam łóżko, pilnując, żeby narzuta dokładnie przykryła krawat. Potem zbiegłam tanecznym krokiem na dół, przygotowałam dzieciom śniadanie, bardziej urozmaicone niż zwykle, i wysłałam je do szkoły wśród ostentacyjnych uścisków i pocałunków.

Nalewając sobie drugi kubek kawy, zastanawiałam się, czy uprać stertę wełnianych swetrów, czy też wpaść do Hyde Parku i poprosić o przygotowanie korespondencji Roosevelta z Morgenthauem. Zanim podjęłam decyzję, zadzwonił telefon.

- Słucham - rzuciłam z nadzieją.

- Tu Brenda Dunck.

- Cześć. Jak się masz? - spytałam, siląc się na wylewność.

- Dobrze, dziękuję. Znasz moją szwagierkę, Normę? Dicky, mój mąż, rozmawiał z nią i powiedziała, że zgadza się na rozmowę z tobą.

- Och!

- Widzisz, wyjeżdżamy dzisiaj na kilkudniowe wakacje, pomyślałam więc, żeby zawiadomić cię przed wyjazdem. Mogę dać ci jej numer telefonu. Jeśli się zdecydujesz, zadzwoń do niej.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziałam powoli. - Bardzo miło.

Wypiłam łyk kawy.

- Brenda, czy mogłybyśmy to odłożyć? Mam strasznie dużo notatek do przepisania.

- Tak, oczywiście. Zadzwoniłam tylko dlatego, że wydawałaś mi się bardzo zainteresowana i prosiłaś mnie o to.

- Wiem, i jestem bardzo wdzięczna za pomoc. Skorzystam z tej możliwości trochę później. Bardzo dziękuję.

- Nie ma sprawy.

- Zadzwońię do ciebie po powrocie.

- Dobrze. Cześć.

Tyle. Każdy, kto będzie próbował rozmawiać ze mną o tym przypadku, usłyszy to samo: już mnie to nie interesuje. Nie będzie więcej anonimowych ostrzeżeń. Koniec z zimnymi, sztywnymi plecami późnym wieczorem. Westchnęłam. Powinnam westchnąć z ulgą, ale mi się nie udało. Jeszcze jedno westchnienie i podniosłam słuchawkę. Wykręciłam numer informacji.

- Chodzi mi o Shorehaven. Numer domowy Marvinina Bruce'a Flecksteina.

Wykręciłam podany numer.

- Halo - usłyszałam kobiecy głos, zachrypnięty i niezainteresowany.

- Czy to Norma Fleckstein?

- Tak - odparła z wahaniem.

- Dzień dobry. Tu Judith Singer. Pani szwagierka, Brenda, powiedziała, że mogę do pani zadzwonić. Przygotowuję się do doktoratu i piszę pracę na temat problemu, jaki stwarza wolność prasy i...

- Tak. Dlaczego chce pani ze mną rozmawiać?

- Ponieważ została pani skrzywdzona przez prasę drukującą obelżywe artykuły - powiedziałam, starając się okazać jednocześnie współczucie i oburzenie.

- Sądzę, że w niczym to nie zaszkodzi. Kiedy chciałaby pani przyjść?

- Dzisiaj przed południem - zaproponowałam.

- Nie. Dzisiaj nie mogę. Mam spotkanie z księgowym. Może jutro rano?

Tylko lekki nowojorski akcent sprawiał, że nie można jej było wziąć za robota. Ton się nie zmieniał, nie zmieniła też melodii głosu pod koniec pytania; była całkiem bez życia.

- Dobrze. Dziękuję. Czy o dziesiątej rano nie będzie za wcześnie?

- Nie.

- Świetnie. W takim razie, do zobaczenia. Odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

Na górze, w sypialni, zdjęłam koszulę nocną i ogarnął mnie nagły przyptyw poczucia winy. Kim ja jestem, że pozwalałam sobie wykorzystywać wykończoną, obolałą wdowę dla zaspokojenia swojej przewrotnej ciekawości? Potykając się, poszłam do łazienki i odkręciłam prysznic. Biedne, przerażone stworzenie. To nie jest uczciwe. Będę musiała zachowywać się bardzo łagodnie.

Woda była gorąca. Pozwoliłam jej grzmocić w czepek na głowie. Poczułam, jak pod naporem wody moja skóra robi się różowa. Ping, ping, ping! - spadała i spływała po plecach. Ping, ping, ding! Ding - jak sobie uświadomiłam - nie pasowało do poprzednich dźwięków. Zakręciłam prysznic, chwyciłam ręcznik i szybko się wytarłam. Wciągając dzinsy, czułam, że robią mi się na nogawkach mokre plamy. Ding! Znów. Kto to, do diabła, może być? Nagle przypomniałam sobie: Świadkowie Jehowy. Tylko oni mogli dzwonić do drzwi tak wcześnie. Byłam jedyną osobą w okolicy, która nie zatrząskiwała im drzwi przed nosem. Mówiłam: „Dziękuję, bardzo dziękuję, ale nie”. Tę zdawkową grzeczność przyjmowali jako znak, że moja dusza może jeszcze zostać zbawiona, wpadali więc co miesiąc czy dwa sprawdzić, czy już dojrzałam do rozmowy. Zwykle przychodziła blada, jasnowłosa nastolatka i starsza Japonka. Ding!

- Chwileczkę! - zawołałam i natychmiast tego pożałowałam. Gdybym się nie odezwała, poszłyby sobie.

Teraz będę musiała zejść na dół i znów je spławić. Włożyłam biustonosz, szybko chwyciłam stary, czerwony sweter i wciągnęłam go przez głowę. Ding, ding! Uparte diabełki, pomyślałam i przesunęłam jeszcze szczotką po włosach. Ding! Zbiegłam po schodach, podeszłam do drzwi i otworzyłam je z rozmachem zrodzonym z zaciekawienia.

- Nigdy pani nie pyta, kto dzwoni?

Sharpe opierał się o framugę i wyglądał dość porządnie w żółtym golfie i sportowej marynarce z tweedu.

- To mógł być morderca.

- Myślałam, że to Świadkowie Jehowy - wyjaśniłam. Mój głos zabrzmiał słabo. Pomyślałam o swojej twarzy bez makijażu i zrobiłam krok do tyłu, schodząc ze słońca.

- Jest pani umówiona?

- Nie. Ale komu jeszcze chciałoby się wychodzić z domu i marznąć przed moimi drzwiami o tej porze?

Popatrzyłam na niego i spytałam:

- Nigdy nie nosi pan płaszcza?

- Nie. Jeszcze jedna rzecz, o której musiałbym pamiętać.

Zawsze leży w samochodzie.

Patrzył mi prosto w oczy, ale teraz spuścił wzrok na dół, aż do moich stóp.

- Nigdy nie nosi pani butów?

- Właśnie wyszłam spod prysznica.

- Zastanawiałem się, dlaczego pani tak długo nie otwiera.

Myślałem, że nie ma pani w domu.

- Albo leżę w kałuży krwi, skoro nie zgodziłam się na współpracę z panem.

- Nie - powiedział, jak zwykle spokojnie, powoli. - Morderca woli wąskie ostrza. Lekarz sądowy uważa, że było to coś przypominającego szpikulec do lodu. Powstała bardzo wąska rana, niekrwawiąca zbyt obficie. - Przerwał na moment, czekając na reakcję, ale ja pozostałam niewzruszona; minę tę

wyćwiczyłam przed lustrem, kiedy miałam osiemnaście lat i bardzo chciałam wyglądać na zblazowaną. - Zaprosi mnie pani? - odezwał się w końcu.

- Tak, oczywiście - odparłam i otworzyłam drzwi szerzej, żeby mógł wejść. Wszedł, nie korzystając z tej doskonałej okazji, żeby się o mnie otrzeć.

- Napije się pan kawy?

- Poproszę - odparł i pomaszerował prosto do kuchni. Pospieszyłam za nim. - Nie spyta mnie pani, dlaczego tu przyszedłem?

W kuchni nadal czuło się farbę; zauważyłam, że przygląda się drzwiom lodówki.

- Zakładam, że przyszedł pan postraszyć mnie i namówić do złożenia zeznań. Mleczko? Śmietanka? Cukier?

- Śmietanka. Łyżeczka cukru. Nie. Skoro morderca nie przestraszył pani, włamując się do domu, to co ja mogę zrobić?

- Słabo krwawiąca, śmiertelna rana okazała się dość skuteczna.

- Najwyraźniej nie dość skuteczna - powiedział, popijając kawę i patrząc na mnie. - Nie. Przyszedłem, żeby oszczędzić pani czasu. Pomyślałem, że kiedy zobaczy pani samochody policyjne zaparkowane po drugiej stronie ulicy, będzie pani musiała poświęcić co najmniej pół godziny na przeprowadzenie śledztwa. Powiem pani, dlaczego tu stoimy.

- Jakie samochody policyjne? - spytałam, uświadamiając sobie jednocześnie, że wygaduję głupstwa. Podeszłam do drzwi wejściowych, otworzyłam je i rzeczywiście zobaczyłam dwa samochody policyjne zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Niebieski samochód Sharpe'a stał na moim podjeździe. Cicho zamknęłam drzwi i wróciłam do kuchni.

- Miał pan rację. Samochody policyjne.

- Chce mi pani powiedzieć, że ich dotąd nie zauważyła?

- Nie. Byłam pod prysznicem.
- A podczas rozmowy ze mną na progu?
- Widocznie nie zauważyłam, albo może skojarzyłam je z panem.

- Czy wyglądam na osobę, która lubi dużą eskortę? Otworzyła pani drzwi, nie pytając kto to. - Przyglądał mi się w zamyśleniu. - Mogę prosić więcej kawy?

Napełniłam kubeczek.

- Jest oczywiste - stwierdziłam - że śledztwo prowadzi donikąd, więc przyszedł pan do mnie, żeby uporządkować myśli.

Zaśmiał się.

- Właśnie. Specjalnie wezwałem dwa samochody, żeby zrobić na pani większe wrażenie.

- Niech będzie - powiedziałam, opierając się o zlew. - Po co te samochody?

- Ponieważ znaleźliśmy coś, co wygląda jak narzędzie zbrodni. Mechanizm elektrycznego zegara warczał, smród farby przenikał

kuchnię i zauważyłam, że Sharpe ma czarne mokasyny, a nie brązowe, oficjalne policyjne kamasze.

- Może przejdziemy do pokoju? - spytałam. Stał, trzymając w ręce kubek; teraz pierwszy ruszył w kierunku pokoju. Usiadł na kanapie i popatrzył na mnie z nieruchomym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Postawiłam kubeczek z kawą na stoliku i usiadłam na podłodze, metr od Sharpe'a.

- Znaleźliście narzędzie? Gdzie?

- U pani sąsiadki, pani Tuccio.

- Niemożliwe.

- Znaleźliśmy.

- Gdzie?

- Przed jej domem, w kratce studzienki kanalizacyjnej.

- Jak to, znaleźliście?

- Jak? - spytał. - Wcześniej rano przyjechaliśmy tutaj, zaczęliśmy się rozglądać i znaleźliśmy.

Wzięłam wolny, głęboki wdech i wstałam.

- Mały elf pokazał się panu we śnie i szepnął do ucha, że jeśli zajrzy pan do kanalizacji koło domu Marilyn Tuccio, znajdzie pan coś cenniejszego od garnka złota? A może ma tu zastosowanie żelazna logika i to ona zaprowadziła pana prosto do kanalizacji?

- Jezu, ale pani jest nieznośna - powiedział cicho.

- Co to było? List anonimowy?

- Telefon - mruknął, patrząc na swoje lśniące mokasyny.

- Mężczyzna czy kobieta?

- Trudno powiedzieć. Ktoś zadzwonił do miejscowego komisariatu i szeptem poinformował o tym oficera dyżurnego. Wczoraj, o jedenastej w nocy. Od jedenastej dwadzieścia obserwowaliśmy dom, ale poszukiwania mogliśmy rozpocząć dopiero o świcie. Pracowaliśmy tutaj od rana.

- Halo, policja - wyskrzeczalam, przyciskając do ucha nieistniejącą słuchawkę. - Sprawdźcie studzienki ściekowe u Marilyn Tuccio. My, mordercy, zawsze zagrzebujemy narzędzia zbrodni w ogródkach.

Odłożyłam niewidzialną słuchawkę, spojrzałam na niego i odchrząknęłam:

- Co powiedziała Marilyn, kiedy pokazaliście jej nakaz rewizji?

- Nie potrzebowaliśmy nakazu. Kratka ściekowa jest własnością publiczną. Ten, kto dzwonił, był bardzo konkretny. Powiedział, żebyśmy zajrzeli do kratki ściekowej studzienki po prawej stronie domu. Tam też to znaleźliśmy.

- Co to było?

- Szydło. Zawinięte w plastikową torebkę.

- Pewno nie ma szans na zidentyfikowanie go?

- Nie wiem. Wysłaliśmy je do laboratorium. Mogę skorzystać z łazienki?

- Na górze. Pierwsze drzwi na lewo.

Poruszał się szybko, wchodząc po dwa stopnie naraz. Drzwi się zamknęły. Przesunęłam się na brzeg kanapy, tam gdzie przedtem siedział Sharpe. Poduszki były ciepłe. Na górze porucznik spuścił wodę. Chwilę później zszedł na dół.

- Zauważyła pani coś niezwykłego wczoraj w nocy, około jedenastej? - spytał, siadając przy mnie.

- Nie. Wczesnie usnęłam.

- Tak. Widziałem, że pani mąż wyszedł dzisiaj o szóstej trzydzieści.

- Och!

- Wie pani, dlaczego pytam o wczorajszą noc?

- Tak. Skoro ktoś zadzwonił o jedenastej, mógł podłożyć to trochę wcześniej. Chyba że założycie, iż to Marilyn wrzuciła szydło do studzienki kanalizacyjnej, po dokonaniu nikczemnego czynu.

- Wydaje się, że podłożono to całkiem niedawno. Torba nie była brudna.

- Gdyby leżała tam od dnia morderstwa, byłaby pokryta warstwą brudu.

- Właśnie - potwierdził. Siedział wygodnie na kanapie; rękę położył na oparciu, za moimi plecami. Jego twarz znajdowała się o trzydzieści centymetrów od mojej. Tego ranka Sharpe dokładnie się ogolił; na lewym policzku była świeża, czerwona plama.

Odwróciłam wzrok na złocisty dywan i zapatrzyłam się na jego splot.

- A więc myślicie, że Marilyn popełniła to morderstwo, potem trzymała szydło za torbą mąki, aż wczoraj postanowiła wetknąć je do kratki ściekowej i zadzwonić do was, żebyście się nie nudzili.

Czułam, że przygląda mi się, więc spojrzałam w górę, żeby się upewnić. Rzeczywiście.

- Dość kiepska hipoteza. - Przerwałam na moment. - Przepraszam. Nie chciałam być tak sarkastyczna.

Wpatrywał się w kominek i nic nie wskazywało na to, że mnie usłyszał.

- Przepraszam - powiedziałam cicho i położyłam dłoń na jego dłoni. Była tak ciepła, że natychmiast cofnęłam rękę.

- Nie szkodzi - rzekł Sharpe. - Nie jestem urażony. To jeden z najtrudniejszych przypadków, nad jakimi zdarzyło mi się pracować. Nic nie idzie tak, jak powinno. Kiedy tylko pomyślę, że wreszcie jestem na dobrym tropie, okazuje się, że to pomyłka.

- A więc nie podejrzewacie już Marilyn Tuccio?

- Nie wiem. W każdym przypadku, z wyjątkiem tych całkiem oczywistych, po dwudziestu czterech godzinach wiemy prawie wszystko. Wiemy, kto to zrobił i pozostaje wyjaśnić różne szczegóły. Tym razem byliśmy przekonani, że to pani sąsiadka. Miała motyw...

- Co?

- Zdawało się, że to może być motyw. Powiedziała pielęgniarce Flecksteina, że powinien być bardziej ostrożny. Miała też okazję, ponieważ została z nim sama.

- W dodatku zawsze nosi w torebce szydło - zauważyłam.

- Wiem, wiem. Kilka godzin po zabójstwie zdawaliśmy sobie sprawę, że pół miasta miało motyw, by go zabić. Braliśmy pod uwagę jeszcze kilka osób, ale mieliśmy zamiar ją uprzedzić, żeby poszukała sobie adwokata.

- Już ma - powiedziałam. - Helen Fields, z władz hrabstwa.

- Tak mi mówiono.

- Marilyn jest przenikliwa. Któryś z waszych ludzi powiedział, że może mieć coś wspólnego ze znajomymi

Flecksteina z mafii, ponieważ nosi włoskie nazwisko. -
Zrobiłam krótką przerwę. - To pan?

- Wolne żarty? - spytał nieporuszony. - Sądzi pani, że
zrobiłbym coś podobnego?

- Nie. Jasne, że nie - odparłam. Przygniatało mnie
ogromne poczucie winy, ponieważ znów go uraziłam. - I co
dalej?

- Wracam do biura.

- Chodzi mi o śledztwo.

- Ach - powiedział ostrożnie - to w znacznym stopniu
zależy od pani.

- Ode mnie?

- Chcę prosić panią o przysługę.

- Niech pan przestanie traktować mnie jak dziecko.

- Co mam zrobić? Krzyczeć? Obrazić się? - spytał
ostrożnie. - Może mi pani pomóc. Zna pani ludzi. Ma pani
oczy szeroko otwarte.

- Dobrze. Co mam zrobić?

- Odprężyć się. - Zauważył, że siedzę spięta i sztywna na
skraju kanapy. - To nie będzie bolało. Chcę, żeby zerknęła
pani na zdjęcia. Może rozpozna pani kogoś. Chyba, że mnie
pani oszukała i już je widziała.

- Nie oszukiwałam. Nie wiem. Jak miałabym kogoś
rozpoznać?

- Można spróbować.

- Nie wiem.

- Przywiozę je jutro. Nawet nie musi pani fatygować się
do nas.

- Nie. Jutro będę zajęta. Nie dam rady - stwierdziłam,
przypominając sobie, że umówiłam się z Normą Fleckstein.

- Dobrze - powiedział, wstając. - W takim razie
zobaczymy się pojutrze. O dziewiątej trzydzieści?

- Nie wiem - powtórzyłam. Co zrobię, jeśli zobaczę na zdjęciu Mary Alice? Czy potrafię gładko skłamać? Nawet jeśli tak, Sharpe może być dość bystry, by zauważyć, że coś mnie poruszyło, a wtedy trudno będzie go powstrzymać. Jest inteligentny i podstępny. Nie da mi spokoju, aż powiem wszystko, co wiem.

- Niech pani teraz o tym nie myśli - rzekł. - Do zobaczenia pojutrze.

- Dobrze.

- Do widzenia.

Odwrócił się i szybko podszedł do drzwi.

Czasem bywam bardzo opanowana, dlatego nie wyjrzałam przez okno Kate, żeby zobaczyć, jak Sharpe idzie do samochodu. Zostałam na kanapie i przywoływałam w pamięci jego obraz - żółty golf, ściśle przylegający do ciała. Sharpe nie miał brzuszka ani wiotkich, sflaczałych piersi. Był szczupły, twardy i wyjątkowo sprężysty. Na udach nie robiły się fałdy, kiedy siadał, a pas i biodra tworzyły napiętą, płynną linię. Nagle, nawet nie do końca uświadamiając sobie przeskok od pożądania do poczucia winy, podeszłam do telefonu i zadzwoniłam do Boba.

- Dzień dobry - powiedziałam do sekretarki. Candi jest wysoką, szczupłą blondynką mniej więcej w moim wieku, ciągle jeszcze nosi spódniczki mini i białe botki. - Czy jest mąż?

- Przykro mi, pani Singer. W tej chwili siedzi na konferencji. Powiedział, żebym powtórzyła pani, gdyby pani dzwoniła, że będzie dzisiaj dłużej pracował. Czy mam coś przekazać?

Czy mam coś do przekazania? Powiedziałam tylko:

- Nie. Nic. Życzę miłego dnia.

Nie czułam się zraniona ani nawet zła. Bob jest o wiele bardziej rezolutny niż ja. Kiedy tylko zaczęliśmy ze sobą

chodzić, urządzaliśmy konkursy gapienia się: patrzyliśmy sobie w oczy, aż któreś zaśmiało się lub odwróciło wzrok. Zawsze przegrywałam. Tym razem nie mogę wygrać, ponieważ nie zamierzam włączyć się do gry. Może wpatrywać się w moje oczy do końca świata, a ja nie zacznę chichotać ani przepraszać. Nie będę nawet błagała o przerwę. Może wygrać walkowerem.

Nadal trzymałam słuchawkę w ręce, więc zadzwoniłam do Mary Alice.

- Pozwól, że przejdę na górę - powiedziała, kiedy się przedstawiłam. Musiałam zaczekać dwie czy trzy minuty, zanim znów podniosła słuchawkę. - Jest u mnie siostra - powiadomiła. Uznałam, że w ten sposób tłumaczy dość długą przerwę.

- To miło - stwierdziłam.

- Szczerze mówiąc, Judith, wcale nie jest miło.

- Przykro mi.

- Mąż wyprowadził się od niej. To straszny wstrząs. Możesz sobie wyobrazić.

- Która to siostra? - spytałam zamyślona.

- Mary Jeanne.

- Ta z Larchmont?

- Nie. Tamta to Mary Elizabeth. Mary Jeanne mieszka w Darien. Powinam powiedzieć, że mieszkała. Mówi, że dom bez męża to żaden dom i jest zrozpaczona, całkowicie zrozpaczona. Wiesz, dlaczego ją zostawił?

- Nie.

- Ponieważ ma czterdzieści dwa lata i chce poznać siebie samego. Możesz to sobie wyobrazić? Ma czterdzieści dwa lata, czeka go awans na wiceprezesa IBM i musi poznać siebie. A Mary Jeanne się nie liczy. Całe szczęście, że pozostałe siostry powychodziły za męża za mężczyzn pracujących w Nowym Jorku i mogą jej pomóc. Czuje się

strasznie. Ponad pół godziny rozmawiała przez telefon ze swoim psychiatrą; inaczej całkiem by się załamała. Wiesz, co jej powiedział?

- Posłuchaj, Mary Alice...

- Powiedział, że jej mąż to tchórz. Kiedy psychiatra tak mówi...

- Mary Alice, muszę z tobą porozmawiać o sprawie Flecksteina.

- Judith, proszę. Co jeszcze mogłabym ci powiedzieć? Jestem całkowicie pochłonięta problemami siostry. Co jej zostało w życiu? „Niech każdy, kto tu wchodzi, porzuci nadzieję”, tak? Czy mogę zajmować się teraz swoimi problemami?

- Policja chce, żebym zobaczyła zdjęcia, które znaleźli w biurze Flecksteina - powiedziałam.

- Judith, nie! - westchnęła. Jej głos nagle stracił całą lekkość. - Nie możesz. Mówiłam ci, że zrobiłam to tylko dla nas dwojga, dla mnie i Bruce'a. Tak jak rozmawia się z księdzem albo lekarzem. Czy przyjaźń nic dla ciebie nie znaczy? Czy wszystko, co powiedziałam ci w zaufaniu, to dla ciebie zupełnie zero? Judith, nie mogę uwierzyć...

- Bądź cicho, Mary Alice. Zapadła cisza.

- Teraz posłuchaj mnie. Może zadzwonisz do Claymore'a Katza? Jeśli jest tam twoje zdjęcie, wcześniej czy później ktoś cię rozpozna. Jeśli glinom nie uda się nic znaleźć, będą pokazywali fotografie wszystkim po kolei. Zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa...

- Nie wiem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- Już masz - powiedziałam. Znow zapadła cisza. Na koniec odezwała się:

- Czy musisz to robić, Judith?

- Posłuchaj, Mary Alice, coś ci powiem. Obejrzę te zdjęcia, ale jestem pewna, że nie rozpoznam twojego, jeśli tam będzie.

- Jak to? Dlaczego go nie rozpoznasz?

- To znaczy, że mam świadomość, iż rozmawiałaś ze mną jak klient z prawnikiem i wszystko pozostaje między nami.

- Naprawdę?

- Nie wiem. Wydaje mi się jednak, że nie poznam twojego zdjęcia, jeśli je zobaczę.

- Co będzie, jeśli poznasz? - Jest jeszcze głupsza, niż się z Nancy spodziewaliśmy.

- Postaram się nie poznać. Rozumiesz mnie, Mary Alice?

- Tak. Teraz rozumiem. Ale...

- Co? - Staralam się zachować cierpliwość.

- Jak byś się czuła, gdybym oglądała twoje zdjęcia? Oczywiście, miała rację. Gdyby sfotografowano mnie leżącą na

wznak, przykrytą przez własnego męża, nie chciałabym, żeby ktoś zobaczył takie zdjęcie - nawet Bob.

- Masz rację, Mary Alice.

- Nie chodzi tylko o mnie, Judith, możesz mi wierzyć. Opowiadał mi o ludziach, z którymi robił różne rzeczy, i byłabyś tym zaskoczona. Chodzi o to, że w zasadzie nie robiłam nic nadzwyczajnego.

- O kim mówisz? - spytałam. - Wymieniał nazwiska?

- Mnóstwo osób - upierała się.

Uświadamiając sobie, że znów zaczynam starą grę, zażartowałam:

- Daj spokój. Mnóstwo osób. Naprawdę wymienił jakieś nazwiska?

- Oczywiście. Uwierzyłabyś w Ginger Wick? Tak, Nancy już mi mówiła.

- Wszyscy sądzą, że Ginger robi wspaniałą karierę, ale Bruce zdradził mi, co lubi Ginger. Powiedz mi, Judith... - bełkotała. Słowa płynęły tak szybko, że trudno było dokładnie zrozumieć ich znaczenie. - Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, co lubi Ginger Wick. Uchodzi za bardzo niezależną. I pani Gordon - Jaffe... - Parsknęła przy słowie „pani”. Laura Gordon - Jaffe jest miejscową feministką; współdziała z ogólnokrajową grupą zbierającą fundusze na finansowanie spraw sądowych o dyskryminację kobiet. Uchodzi za inteligentną, skuteczną i gwałtowną. Jej nazwisko pojawiło się w artykule o przywódczyniach ruchu wyzwolenia kobiet. Byłam zaskoczona.

- Laura Gordon - Jaffe? Jak osoba jej pokroju mogła związać się z Bruce'em Flecksteinem?

- Jak to: „osoba jej pokroju”? Zachowałam się mało dyplomatycznie.

- Chodzi mi o to, że jest bardzo zajęta. Ciągłe podróże. Przygotowuje przemówienia. Organizuje.

- Nie wiem, ale Bruce opowiadał mi o niej.

- Co powiedział?

- Twierdził, że jak na wyzwoloną kobietę, bardzo to lubi.

- Co lubi?

- Seks.

- Och! - Odczułam ulgę. Gdyby Laura Gordon - Jaffe dała się skuć kajdankami albo ubrała w dziecienną piżamkę, odłożyłabym słuchawkę, upiekła czekoladowe ciasto i zaczęła czekać na narodziny wnuków. - Wspominał jeszcze kogoś?

- Nikogo więcej nie pamiętam.

- Mówisz prawdę?

- Tak. Znam tylko te nazwiska.

Pożegnałam się, jeszcze raz zapewniając, że jej twarz zatrze się w mojej pamięci, kiedy będę oglądała zdjęcia. Prosiłam, żeby porozmawiała z adwokatem. Skoro Bruce

mówił jej o swoich przyjaciółkach, to im też mógł wspomnieć o niej. Mary Alice uznała, że to niemożliwe i zapewniła mnie, że obiecał utrzymać ich związek w tajemnicy.

- Ptasi mózdzek - mruknęłam, odkładając słuchawkę. Mój żołądek zaczął się głośno skarżyć, więc nalałam sobie mleka. Zdążyłam wypić dwa duże łyki, kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. To była Nancy.

- Bardzo zajęta - zauważyła. - Dość długo gadałaś. Ktoś interesujący? Artur Schlesinger? Papież?

- Lepiej - odparłam znużona. - Mary Alice.

- Przykro słyszeć.

- Nancy, jesteś wolna dzisiaj wieczorem?

- Wolna?

- Zjesz ze mną kolację? Może Larry będzie w domu?

- Powiem mu, że później skończę pracę - stwierdziła. - Coś jest nie tak?

- Właśnie. Nie. Sama nie wiem. Mam ochotę wyrwać się z domu. Pójdziemy gdzieś, gdzie będzie miło. Włożę nowe rajstopy, dobrze?

- Dobra. Chcesz, żebym po ciebie wpadła?

- Możesz? Koło siódmej?

- Do zobaczenia - powiedziała. - Zarezerwuję miejsce. Chyba rzeczywiście dobrze ci to zrobi.

Wypiłam resztę mleka i zadzwoniłam do pani Foster, która powiedziała, że tak, chętnie posiedzi ze swoimi jagniątkami. Pani Foster nazywa dzieci, których pilnuje, jagniętami.

Później, w sypialni, otworzyłam szafę i sięgnęłam do tylnej kieszeni starych dżinsów, w które nie mieściłam się od czasu poczęcia Joeya. Moje ziemskie dobra, pomyślałam, to całe czterdzieści pięć dolarów.

Wystarczy na obiad i na opłacenie opiekunki do dzieci. Za mało jednak na agresywnego prawnika, który mógłby przeprowadzić rozwód.

Rozdział 14

Butelka chablis - poinformowała kelnera Nancy. - Później zamówimy posiłek.

Siedziałyśmy w mniejszej sali Hermann Lomm, miejscowej restauracji, która słynęła ze wspaniałych kotletów i chrupiących, słonych ziemniaków po niemiecku. Rozparłam się na niewygodnym, dużym, twardym krześle, wykładanym czerwonym winylem przybitym pinezkami. Nie było tu atmosfery sprzyjającej spokojnemu wypłakaniu się na ramieniu przyjaciółki. Surowe miejsce, gdzie można pożywić się mięsem i ziemniakami. Pochyliłam się nad stolikiem i ułożyłam torebki cukru i słodzika w równe, niewielkie kupki.

- Pięknie i precyzyjnie - zauważyła Nancy. - Może zostawisz w spokoju swoje domowe zajęcia i porozmawiasz ze mną?

- Jasne - zgodziłam się i uśmiechnęłam słabo. - Zdaje się, że moje życie może rozpaść się w gruzy.

Czekałam na ciętą replikę, ale Nancy nic nie powiedziała.

- Bob zupełnie się ode mnie odsunął. Ktoś, może morderca, włamał się do mojego domu. Głina, który prowadzi tę sprawę, straszy, że mnie aresztuje, a ja nawiązałam z nim romans.

- Judith - westchnęła - dużo ostatnio działałaś.

- To lepsze niż porządkowanie szaf - odparowałam.

- Na miłość boską, przestań udawać, że jesteś całkiem opanowana. Powiedz, co się stało.

Przez następne pół godziny, przy butelce zimnego wina i sałatce cesarskiej, opowiedziałam o wszystkim, co się wydarzyło od chwili, kiedy weszłam do domu i zobaczyłam na lodówce napis: o - de - pe, aż do umówionego spotkania z Normą Fleckstein i ostatniego spojrzenia na Sharpe'a wychodzącego z pokoju na silnych, zgrabnych nogach.

- Rozumiem, że chcesz usłyszeć, co o tym wszystkim myślę? - powiedziała na koniec Nancy. Kiwnęłam głową. - Zaczynijmy od włamania. Jasne jest...

Podszedł kelner i spytał, co chcemy zjeść. Zamówiliśmy dwa średniej wielkości kotlety, chrupiące ziemniaki i cebulkę z patelni.

- I karafkę czerwonego wina! - zawołała Nancy za oddalającym się w stronę kuchni mężczyzną.

- Nie sądzę, żebym miała jeszcze ochotę na wino - powiedziałam.

- Cicho, Judith. Jeśli chodzi o włamanie: sympatyczni ludzie zazwyczaj nie wyważają cudzych drzwi, chyba że coś ich bardzo martwi.

- Wyciągnęła zza kołnierza żółtej, jedwabnej bluzki swoje długie włosy i pozwoliła im swobodnie opaść na plecy. - Sądzę więc, że powinnaś potraktować to ostrzeżenie całkiem poważnie.

- Też tak myślę. To poważna sprawa.

- Dobrze. Jasne jest, że to ktoś związany ze sprawą tego okropnego morderstwa. Najprawdopodobniej nikt z mafii. Nie mogę sobie wyobrazić człowieka od brudnej roboty podjeżdżającego pod twój dom lśniącym, błękitnym cadillakiem i malującego sprejem lodówkę. Mam rację? Oni potrafią wyrażać się jaśniej.

Zgodziłam się bez zastrzeżeń.

- Ktokolwiek to był - orzekłam - jest amatorem. Pozbawionym subtelności.

Nancy podniosła wzrok. Podszedł kelner i postawił na środku stołu naczynia z grubymi kotletami. Siedziałyśmy w milczeniu czekając, aż nałoży nam na talerze.

- Dobrze - powiedziała Nancy, kiedy odszedł. - Możemy wykluczyć zawodowców. Czy wiesz, który spośród wszystkich mieszkańców Shorehaven mających powód, żeby

pragnąć widoku Flecksteina leżącego z lilią w dłoniach, mógł to zrobić?

- Tak.

- Kto?

- Wiesz, to tylko przeczucie. Nie mam żadnych dowodów.

- Rozumiem - stwierdziła, nadziejąc na widelec kawałek ziemniaka. - To właśnie powiedziałaś temu kozłowi, Sharpe'owi, i dlatego grozi, że cię aresztuje.

- Tak.

- Skoro jemu nie udało się nic z ciebie wyciągnąć, ja mogę nawet nie próbować. - Wpatrywała się w swój talerz i badała wzrokiem kotlet.

- Od kiedy - spytała - interesuje cię typ anglosaski? Zawsze pociągał cię groźny, pełen napięcia typ żydowskiego intelektualisty.

- Och, Nancy, nigdy nie poznałam kogoś takiego jak Sharpe. Powinnaś go zobaczyć.

- Och, Nancy - przedrzeźniała mnie. - Boże, mówisz jak dojrzewające dziewczę. Marzysz, żeby spacerować z nim za rękę po polach kwitnących goździków?

- Nie. Marzę, żebyśmy znaleźli się w miłym, podniszczonym hoteliku i pieprzyli się, aż obydwójce omdlejemy ze zmęczenia.

- Ludzie - powiedziała. - Jak sobie z tym radzisz, Judith?

- Nie radzę sobie. Zresztą on pewnie nie jest tym zainteresowany.

- Tak myślisz?

- Myślę, że jest, ale to tylko odczucie. Chodzi o to, że nie mam nic konkretnego...

- Zjedz obiad - poleciła.

Zjadłam, popijając czerwonym winem. Potem wypiałam następny kieliszek. To dziwne, ale nie czułam zawrotów

głowy i miałam wyjątkowo jasne myśli. Nancy siedziała rozparta na krześle. Połowa jej kotleta leżała nietknięta na talerzu. Wspominałam stale te same szczegóły, reakcje ludzi, z którymi rozmawiałam: Fay, Mary Alice, Scotty Hughes, Dunckowie, Marilyn Tuccio.

- Masz zamiar rozmawiać z jego pielęgniarką, Lorną Lewis? - spytała Nancy.

- Tak. Jest następna na mojej liście, zaraz za Normą.

- Sądzisz, że to mogła być ona?

- Nancy. Daj spokój.

- Tylko pytam. Nie bądź taka drażliwa.

- Powiem tylko tyle, iż policja jest przekonana, że wyszła z gabinetu pierwsza, zanim Fleckstein skończył zabieg u Marilyn Tuccio.

- Czy rzeczywiście? Jak myślisz, może później wróciła? Nabrałam pełne usta powietrza i powoli westchnęłam.

- Nie wiem nic pewnego.

- Ludzie - skomentowała Nancy. - Chcesz wszystko zachować tylko dla siebie. Co masz zamiar zrobić? Zawinąć to w ładny paperek i złożyć swojemu glinie jako dowód miłości?

- Nie wiem - powtórzyłam zamyślona.

- Dobrze, nie będę nalegać. Co z Dunckami?

- Powiedziałam ci wszystko, co o nich wiem. On jest członkiem twojego klubu, tak?

- Tak. Wszyscy zgadzają się, że komisja kwalifikacyjna popełniła straszliwy błąd. Boże, to nastolatek. Pozwól, że o coś spytam. Czy miałam rację, że pokłócili się z Bruce'em o pieniądze?

- Tak. Ale zdaniem Brendy ucałowali się na koniec i pogodzili. Podobno Fleckstein nawet nagrał mu jakąś pracę.

- Rozumiem. A Mary Alice?

- Motyw oczywiście miała. Tak jak wszystkie kobiety, którym robił zdjęcia.

- Szantażował je?

- Na ten temat wiem tylko to, co powiedziała nam Mary Alice, gdy z nią rozmawialiśmy. Oczywiście, miał te zdjęcia, więc zagrożenie było całkiem realne. Najwyraźniej wybierał kobiety, których mężom dobrze się powodziło, które mogły płacić.

- Widzisz teraz - powiedziała Nancy - dlaczego ja zawsze wybieram miłych, słodkich, młodych chłopców, którzy nie sięgają wyobraźnią dalej niż ich własne penisy. Oni mnie lubią, ja lubię ich, dobrze się bawimy i na tym koniec. Jezu, te skomplikowane relacje! Nie mogę tego zrozumieć.

- Tym kobietom brakowało czegoś w życiu. Tobie nie brak niczego?

- Tak. Potrzebuję mnóstwo dobrego, zwykłego seksu.

- Nie potrzebujesz miłości? Uwagi?

- Judith, oni nie całkiem mnie ignorują. Larry mnie kocha. Czasem jest nieznośnie nudny i ma duszę kalwinisty, ale szczerze mnie kocha. I ja go kocham.

- Wiem, że go kochasz. Ale dlaczego potrzebujesz tych innych mężczyzn?

- Ponieważ dają mi to, czego nie może mi dać Larry. Spojrzałam na nią zaciekawiona.

- Porywy uczuć. Spontaniczność. Nowość. Podniecenie.

- Nie możesz dostać tego od Larry'ego?

- Nie możesz dostać tego od Boba?

- To nieuczciwe.

- Ależ tak, uczciwe.

Przez moment siedziałyśmy w milczeniu, potem zmieniłam temat i zapytałam o jej artykuł o uciekającym mieszkańcu podmiejskiego osiedla.

- Idzie mi dobrze - powiedziała - i pewnie skończę pracę za dwa tygodnie. - Przyszedł kelner z rachunkiem. Nancy zapłaciła i oznajmiła, że chce mi zrobić przyjemność.

- Dlaczego? - spytałam.

- Czemu nie? - odparła.

Odwiozła mnie do domu. Kiedy sięgnęłam do klamki, złapała moją rękę, ścisnęła mocno i powiedziała:

- Wszystko będzie dobrze.

Weszłam do domu nastrojona dość wojowniczo - pewnie z powodu wypitego wina - ale Bob jeszcze nie wrócił. Zapłaciłam pani Foster, pomaszerowałam na górę, lekko się chwiejąc, włożyłam koszulę i wsunęłam się do łóżka. Złoty krawat Boba nadal leżał na jego poduszce. Pięć minut później już spałam.

Wiem, że noc spędził w domu, ponieważ pościel po jego stronie była zmięta. Kiedy obudziłam się koło siódmej, już wyszedł. Krawat też zniknął. Chwilę później znalazłam go. Leżał zwinięty w koszu na śmieci w łazience, razem z opakowaniem po solach musujących na żołądek i garścią zgniecionych chustek do nosa. Pił, żeby o mnie zapomnieć, pomyślałam, ale ma zbyt słaby żołądek. Dostaje bóleści po wypiciu pół szklanki martini. Chustki do nosa. Płakał. A może wytarł nimi ślady szminki, które jakaś dziwka zostawiła na jego ustach i kto wie, gdzie jeszcze. Wyjęłam je i obejrzałam: normalne zasmarkane chusteczki. Zdegustowana wrzuciłam je znów do kosza.

Głośno wzdychając, wzięłam prysznic, ubrałam się i zeszłam na dół, zrobić dzieciom śniadanie. Pełna poczucia winy zadzwoniłam do matki jednego z kolegów Joeya i umówiłam się, że odbierze go po zajęciach. Dzięki temu będę mogła dłużej zostać u Normy Fleckstein i nie martwić się, że mój syn stoi przed zamkniętymi drzwiami pustego domu, becząc ze strachu i głodu.

O dziewiątej trzydzieści znalazłam w książce telefonicznej adres Flecksteina. O dziewiątej trzydzieści pięć wsiadłam do samochodu i pojechałam. Norma Fleckstein błyskawicznie otworzyła drzwi. Miała na sobie koralowy sweter z kaszmiru, spodnie w podobnym kolorze i czarną, żałobną wstążkę na lewej piersi, jakby zdobyła czwarte miejsce w straszliwie smutnych zawodach.

- Dzień dobry - powiedziałam.

- Dzień dobry - odparła. - Cicho, Prince - rozkazała, kiedy olbrzymi owczarek niemiecki zaczął na mnie warczeć, przepychając się obok niej. - On jest bardzo łagodny - wyjaśniła, kiedy pies wepchnął nos między moje uda. - Zostaw, Prince. Niegrzeczny pies. Niegrzeczny pies.

Prince powąchał z uwagą i, najwyraźniej niezainteresowany tym, co miałam do zaoferowania, odszedł cichcem.

- Wejdz - powiedziała Norma.

Weszłam, ale cała spięta. Na ogół lubię psy, lecz owczarki niemieckie działają mi na nerwy. Żywię bezsensowną obawę, że nadal są sojusznikami nazistów i na rozkaz rzucony z głębi Argentyny bądź Schwarzwaldy runą by pożreć wszystkich Żydów w promieniu dziesięciu kilometrów.

Wprowadziła mnie do dużego, niespodziewanie przyjemnego pokoju: dywan w kolorze trawiastej zieleni, tapicerowane kanapy i krzesła oraz lekkie, lśniące meble z jasnego drewna. Pokój przypominał ogród; rośliny zwisały z sufitu, porastały ściany, przykrywały stoliki i wydzierały wilgotną ziemistą woń wiosny.

- Piękny pokój - powiedziałam z uśmiechem. Gospodyni zachowywała się tak, jakby nie usłyszała komplementu. Zaczęłam więc swoją gadkę o pracy doktorskiej, o nadużyciach dokonywanych przez prasę, o prawie do prywatnego życia i przykrościach związanych z

niepożądanym rozgłosem. Norma kilkakrotnie kiwnęła głową niekoniecznie dlatego, że zgadzała się ze mną ale na znak, że mnie rozumie. Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i spytała cichym, bezbarwnym głosem:

- Czego chcesz ode mnie?

- Zanim spytam cię o reakcję na to wszystko, chciałabym wiedzieć, co się działo, kiedy zaczęły pojawiać się artykuły prasowe. Czy ktoś zadzwonił, żeby udzielić ci moralnego wsparcia? Czy też niektórzy znajomi zachowali się wręcz przeciwnie?

- Zapalisz? - spytała, częstując mnie parlamentami, równie eleganckimi jak ona sama.

- Nie. Dziękuję.

Ścisnęła papierosa i złotą zapalniczkę w lewej ręce.

- Przepraszam. O co pytałaś?

- Pytałam o reakcję przyjaciół.

- Niektórzy dzwonili. Niektórzy wpadli do mnie.

- Co mówili? Byli wzburzeni? Zaprzeczali wszystkiemu?

Komentowali doniesienia prasowe?

Wiedziałam, że ostatnie pytanie jest całkiem beznadziejne, ale chciałam sprawić wrażenie zupełnie pochłoniętej tym tematem.

- Powiedziałam im, że to stek bzdur, i uwierzyli mi. Po co Bruce miałby to robić? Zarabiał bardzo dobrze jako dentysta i korzystnie inwestował oszczędności. Niczego nam nie brakowało.

Mówiła głosem bezbarwnym, wypranym z uczuć, jakby nauczyła się tego przemówienia na pamięć w języku, którego nie rozumie.

- Jak sądzisz - spytałam - kto jest odpowiedzialny za te problemy i oszczerstwa?

- Ktoś chciał wyrządzić mu krzywdę. Zniszczyć go. To również powiedziała martwym głosem.

- Kto? - spytałam, starając się jak najdokładniej ukryć ciekawość.

- Nie wiem. Wolałabym nie mówić.

- Ktoś bliski?

- Proszę - zaczęła, gasząc papierosa w dużej, ceramicznej popielniczce i sięgając po następnego.

- Twój brat?

Jej palec właśnie nacisnął zapalniczkę. Pozwoliła ogniewi płonąć, ale nie zapaliła papierosa.

- Kto ci powiedział?

- Szczerze mówiąc - odparłam - wiem już, że twój mąż i Dicky mieli ze sobą na pieńku z powodu testamentu ojca. Czy to prawda?

Zapaliła papierosa i zgasila zapalniczkę.

- Tak, ale jest inaczej, niż ci się wydaje. Mój ojciec dał Dicky'emu za życia mnóstwo pieniędzy. Dicky zawsze zaczynał jakąś działalność, potem mu nie szło. Ojciec podarował mu przed śmiercią około pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Miał zawał. Wszystko zostawił mnie, ponieważ Dicky dostał swoją część już wcześniej.

- Dicky chciał jednak dostać jeszcze więcej?

- Tak - odpowiedziała, wychylając się lekko do przodu. - Dicky powiedział, że jest biznesmenem i pierworodnym dzieckiem, a w dodatku ja mam zapewniony byt dzięki temu, że dobrze wyszłam za mąż.

- Ale twój mąż - zauważyłam, spuszczać wzrok w rytualnym geście żalu - uznał, że masz prawo do swojej części?

- Właśnie. Nie zamierzałam robić z tego historii, ale Bruce stwierdził, że nie da, dla zasady.

- Oczywiście - zgodziłam się.

- Skąd dowiedziałaś się o Dickym?

- Och. Tak. Kiedy prowadziłam badania do tego rozdziału mojej pracy, obito mi się o uszy, że między wami a Dunckami istniały jakieś napięcia.

Siedziała sztywna i czekała, aż powiem coś więcej. Doczekała się.

- Mówiono mi jednak, że później twój mąż pomógł mu znaleźć jakieś zlecenia.

Nie powiedziałam, że wspomniała o tym Brenda Dunck.

- Potem nagle okazało się, że jest prowadzone śledztwo przeciwko twojemu mężowi. Pomyślałam więc sobie: kto może mieć coś przeciw niemu? Kto może mieć żal, szczególnie, jeśli interesy nie okazały się wystarczająco intratne? Twój brat, czyż nie tak?

- Tak - westchnęła. - Najgorsze jednak jest to, że Bruce nic nie wiedział o pornografii i tym podobnych rzeczach. Sądzę, że dowiedział się o kimś, kto szukał drukarni, i ze zwykłej uprzejmości polecił mu Dicky'ego. A potem dowiedzieliśmy się, że prowadzone jest śledztwo przeciw niemu. Dostał wezwanie do sądu.

- Naprawdę?

- Tak. Szukali tutaj czegoś.

- Kto?

- Nie wiem. Policja. Byli w cywilnych ubraniach. Mieli nakaz rewizji i przyszli przed południem.

- Co zrobiłaś?

- Zadzwoiłam do Bruce'a, ale go nie zastałam; zostawiłam u sprzątaczkę wiadomość, żeby jak najszybciej wrócił do domu.

- Pielęgniarki nie było w gabinecie?

- Nie. Zwykle robią przerwę śniadaniową o tej samej porze. W każdym razie ci mężczyźni, było ich trzech czy czterech, szukali w całym domu. Wiesz, co znaleźli?

- Co?

- Nic.
 - Oczywiście. Wtedy dowiedziałaś się po raz pierwszy, że przeciwko twojemu mężowi prowadzone jest śledztwo?
 - Tak. Bruce nie chciał mnie niepokoić. Powiedział, żebym się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze. Miał adwokata.
 - I rzeczywiście wszystko było dobrze? Zwiesiła głowę.
 - Przepraszam. Chodziło mi o to, czy zakończono śledztwo?
 - Nie wydarzyło się nic więcej do dnia, kiedy Bruce został... kiedy został zamordowany. Wtedy te wszystkie historie zaczęły pojawiać się w gazetach.
 - Co działo się potem?
 - Nic. Dzwonili różni reporterzy, ale odkładałam słuchawkę.
 - A co z tak zwanym wątkiem mafijnym?
 - To śmieszne. Bruce miał dobry zawód, był znany. Wzywano go nawet do Kennedy'ego, kiedy ten miał chore dżąsła.
 - Och! - powiedziałam i z szacunkiem schyliłam głowę. - Jeszcze jedno. Skąd twój mąż wiedział, że to Dicky jest źródłem całego zamieszania? Przyznaję, że to naturalny wniosek, sama też na to wpadłam, ale czy mógł mieć pewność?
- Norma przeciągnęła ręką po schludnych, krótkich, lakierowanych włosach. W uszach miała kolczyki z korali otoczonych półkolem drobnych i prawdopodobnie prawdziwych diamentów.
- Powiedział mi, że tego samego dnia, kiedy był w sądzie, przypadkiem spotkał tego mężczyznę, którego prawie nie znał i któremu polecił Dicky'ego, tylko przez uprzejmość, żeby mój brat miał okazję trochę zarobić. Dicky bardzo potrzebuje

pieniędzy. Kolekcjonuje antyki. Moja szwagierka powinna wyjść za mąż za bogacza.

- Och! - skomentowałam. - A co z tym mężczyzną, na którego natknął się twój mąż w sądzie?

- Powiedział Bruce'owi, iż słyszał od kogoś, kto współpracuje z policją, że to Dicky doniósł.

- Czy twój mąż powiedział o tym Dicky'emu?

- Nie.

- Dlaczego?

- Uznał, że Dicky z pewnością pójdzie po rozum do głowy i pojmie wreszcie, jak ważna jest lojalność w rodzinie. Nie zamierzał robić mu nic złego, ponieważ Dicky jest moim bratem; nie chciał wyrządzać mi przykrości.

- Często rozmawialiście o tej sprawie?

- Nie. Bruce powiedział, że chce, by dom stanowił dla niego schronienie przed burzą.

- Byliście sobie bardzo bliscy? Nie odpowiedziała.

- Byliście sobie bliscy? - spytałam jeszcze raz, nieco łagodniej.

- Tak - odparła, a jej oczy zaszczyły łzami.

- Bardzo mi przykro. Musiałaś wiele wycierpieć. Taka potworna strata, potem te artykuły w gazetach i jeszcze nieporozumienia z bratem.

- Nie - powiedziała. - Nie jestem zła na Dicky'ego. Zbyt dobrze go znam. Zawsze był słaby, dziecinny.

Zerknęła na mnie.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Jeszcze z dziesięć minut wypytywałam o jej reakcję na doniesienia prasowe. Była, co zrozumiałe, wściekła. Ukrywała to wszystko przed dziećmi, ale drżała ze strachu, że koledzy ze szkoły powiedzą im o kłopotach ich ojca.

Wstałam, żeby się pożegnać. Byłam u niej mniej niż trzydzieści minut.

- Pragnę ci podziękować - powiedziałam.

- Drobiazg - odparła. Kiedy wstawiała, nogawki jej spodni szybko opadły i idealnie się ułożyły. - Mam nadzieję, że ci pomogłam.

- Bardzo.

Kiedy szłyśmy do drzwi, podbiegł do nas szczerzący Prince, najwidoczniej obudzony odgłosem kroków.

- Spokój, Prince! - krzyknęła i złapała go za obrozę z łańcuszka.

- Do widzenia - powiedziałam, szybko wynosząc się za drzwi. - Jeszcze raz dziękuję.

No, tak, pomyślałam, przynajmniej otrzymałam potwierdzenie moich zwariowanych domysłów. Jeśli zamordowany miał coś wspólnego z rynkiem porno, to zginąć powinien Dicky, a nie Bruce. W takim razie, myślałam, przejeżdżając obok lśniących, kolonialnych i niskich, w wiejskim stylu domów, kto to zrobił? Czułam, że wiem, ale brakowało mi pewności. Mnóstwo ludzi, mnóstwo motywów. Pozornie smutna wdowa, zrozpaczona po stracie lojalnego i kochającego męża.

Rozdział 15

Zanim dojechałam do domu, górę zaczął we mnie brać sangwinik. Powoli wszystko staje się coraz jaśniejsze, powiedziałam do siebie. Niedługo wszystko zrozumiem. Do domu dobiegłam w kilku susach. Jestem blisko! Prawie to mam! Kto to zrobił?

Usiadłam na krześle w kuchni; moją głowę spowiła niemal wyczuwalna ciężka, czarna chmura. Nic się nie wyjaśniło. Było równie mroczno jak poprzednio.

Tylko po to, żeby udowodnić sobie samej, że jeszcze żyję, zadzwoniłam do liceum. Czy pani Jacobs mogłaby zadzwonić do mnie podczas przerwy śniadaniowej? Dziękuję. Może brakuje mi tylko kilku drobnych informacji?

Ganiałam po domu, ubijając poduszki, upychając zabawki na półki, wkładając wymazane błotem dziecięce ubrania do pralki. Reagując na nagły przyptyw adrenaliny, chwyciłam leżącą gdzieś kredkę i sporządziłam olbrzymią listę zakupów, dzieląc wszystko starannie na konkretne kategorie: artykuły papiernicze, chemia kosmetyczna, makarony i przyprawy, sery, jaja, jogurt, mleko, szpinak, ogórki... i zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

- Kto tam? - spytałam z lekkim uśmiechem. Wyobraziłam sobie moje biedne kaznodziejki od Świadków Jehowy.

- Nelson Sharpe.

Przesunęłam palcami po nosie, żeby wytrzeć nadmiar tłuszczu, i otworzyłam drzwi.

- Cześć. Wydawało mi się, że byliśmy umówieni na jutro.

- Mam dzisiaj dzień wolny i przypadkiem znalazłem się w tej okolicy.

Miał na sobie wyblakłe džinsy, szarą bluzę i wyglądał bardzo nieoficjalnie.

- Mogę wejść?

- Oczywiście.

- Ładnie pani wygląda - powiedział. Przygotowując się do spotkania z porażająco elegancką Normą włożyłam porządne, czerwone spodnie, czerwono - biały sweter i zużyłam tyle pudru w kremie, że wystarczyłoby go do nasmarowania całej ciężarówki.

Odchrząknęłam.

- Dziękuję. - Miałam ochotę dodać: „To nieprawda”. Potem spojrzałam na niego i naszła mnie chęć, żeby powiedzieć: „Pan też ładnie wygląda”. Bluza, którą miał na sobie, była nieco rozciągnięta pod szyją, tak że widziałam niewielką kępkę kręconych, brązowych i siwych włosów. Czy rzeczywiście ubrał się tak nieformalnie, wręcz niedbale, dlatego że miał dzień wolny, czy też wybrał ten strój z premedytacją, wyczuwając, że w dżinsach i sportowej bluzie ma siłę rażenia dynamitu?

- Ma pan zdjęcia? - spytałam.

- Nie. Przyniosę jutro. Coś nowego? Zrobiła pani jakieś zaskakujące odkrycia w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Otworzyłam usta, żeby mówić, ale zrezygnowałam.

- Rozumiem. Coś się wydarzyło - rzekł. - Co? Proszę mi powiedzieć.

- Dicky Dunck donosił na Flecksteina.

- Święty Jezu Chryste, Judith - ryknął - może zechciałabyś mi powiedzieć, skąd czerpiesz swoje informacje?! Wcale nie żartuję.

Twarz miał czerwoną i widziałam, że naprawdę jest zły, ale nazwał mnie Judith, więc wcale się tym nie przejęłam.

- Z przyjemnością, Nelsonie - odparłam. - Nie chcę, żebyś dostał apopleksji w moim domu, więc już mogę ci powiedzieć, że usłyszałam o tym od Normy Fleckstein. Widzisz, że jestem chętna do współpracy?

- Od Normy Fleckstein! - krzyknął.

- Spodziewałam się, że tak zareagujesz - zauważyłam. -
Uspokój się na chwilę i pozwól, że wszystko wyjaśnię. Norma
powiedziała, że Bruce przypadkiem spotkał jakiegoś dalekiego
znajomego, któremu polecił drukarnię Dicky'ego Duncka. Ten
osobnik, którego, jak powiedział Normie, prawie nie znał,
zdradził Bruce'owi, że słyszał od kogoś współpracującego z
policją, że doniesienie złożył Dicky.

Najdokładniej jak potrafiłam, powtórzyłam rozmowę z
Normą.

- Czy to prawda, co mówił o Dickym? - spytałam. Nic nie
odpowiedział. - No, ja powiedziałam ci wszystko, co wiem.

Teraz przygryzał dolną wargę.

- Dobrze, Judith, ale jeśli to komuś powtórzysz, będziesz
miała wiele nieprzyjemności.

Siedziałam nieruchomo obok niego, na kanapie w dużym
pokoju. Kanapa stała się naszą bazą operacyjną. Nic nie
mówiłam.

- Tak - powiedział. - Dunck donosił.

- Ach!

- Ale Fleckstein nie dowiedział się o tym od policji, nawet
pośrednio. Nic o tym nie wiedzieliśmy, dopóki go nie
zamordowano. Śledztwo prowadziła prokuratura, we
współpracy z Urzędem Skarbowym i FBI. Nie rozumiem,
dlaczego powiedział jej, że chodzi o policję.

- Prawdopodobnie Norma coś przekreśliła. Każdy, kto
współpracuje z prokuraturą, jest gliną. Wracając do Dicky'ego.
Myślałam, że chodzi o dystrybucję filmów porno. Po co im
drukarnia?

- Mieli też książki. Niewiele, za to bardzo sprosne.

- Na przykład?

- Wolałbym nie mówić.

- Mój Boże, Nelson. Nie jestem szesnastoletnią dziewczyną.
Powiedz.

- Coś, co przypadłoby do gustu przeciętnemu, bogatemu facetowi napastującemu dzieci. I trochę rzeczy homoseksualnych, sadomasochistycznych.

- Literatura czy zdjęcia?

- Jeśli potraktować to pojęcie bardzo szeroko, była to literatura.

- I co? Co się stało? - Zrzuciłam buty i oparłam stopy o stolik.

- Krótko mówiąc, Fleckstein miał pacjenta, który potrzebował kapitału, żeby zainwestować w sztukę. Kino. Fleckstein dał około dwudziestu tysięcy, później jeszcze dołożył, ale nie wiemy, ile. W każdym razie jego wspólnicy sugerowali, że mają obiecujące rękopisy i szukają drukarni, więc polecił im swojego szwagra: Dicky'ego Duncka.

- W takim razie dlaczego Dicky zaczął donosić?

- Powiedział, że treść była odpychająca.

- Daj spokój - zaprotestowałam.

- Zapłata nie była aż tak hojna, jak Dicky się spodziewał.

- Dlatego puścił parę?

- Czytasz zbyt dużo Dashiella Hammetta.

- Usiłuję dostosować się do twojego poziomu.

- Nie bądź taka mądra - powiedział z uśmiechem.

- Jak do tego doszło? Dicky przyleciał z płaczem?

- Mniej więcej. Postawiłam nogi na podłodze.

- Mniej więcej?

- Judith, to jest tajemnica.

- Wiem, wiem.

- Urząd Skarbowy miał jeszcze innego donosiciela, ale chciał zyskać pewność. Jeden z ich agentów rozmawiał z Dickym; wpadł już po kilku minutach.

- Dobili targu?

- Tak. Miał być tajnym informatorem.

- Kim był drugi donosiciel?

- Nie powiem. Jego związki z Flecksteinem były prawie żadne. Jakie wrażenie zrobiła na tobie Norma Fleckstein?

- Jest nieprzenikniona - powiedziałam powoli. - Ciężka, ospała, ale nie głupia. Wydaje mi się dość bystra. Może jeszcze nie podniosła się po tym ciosie. Mówiła, że Fleckstein był dobrym mężem i żywicielem rodziny. Jeśli jej wierzyć, nie miała zielonego pojęcia, że jest zaangażowany w jakieś mętne interesy, i z pewnością nie wiedziała o jego pozamałżeńskich związkach.

Nieomal zakrztusiłam się przy słowie „pozamałżeńskich”, ale mówiłam dalej:

- Sądzę jednak, że musiała czuć, że coś jest nie tak.

- Może nie chciała wiedzieć - powiedział Sharpe.

- Może. Zamilkliśmy.

- Wydaje mi się, że jestem głodny - powiedział w końcu.

- Zrobić ci kanapki?

- Dobrze.

- Pod warunkiem, że przedstawiś mi alibi każdej z interesujących nas osób.

- Dobrze, ale to nieładnie stawiać warunki, skoro wcześniej zgodziłaś się poczęstować mnie drugim śniadaniem.

- Wiem, ale jeśli nie przedstawiś alibi, nie będzie tuńczyka.

- Och, tuńczyk.

- Nie lubisz tuńczyka?

- Nieszczególnie. Mogłyby być jajka? Masz jajka? - spytał.

- Kilka. Ile chcesz?

- Chodźmy do kuchni. Zrobię omlet, którego nie zapomnisz do końca życia.

Omlet był rzeczywiście niezwykły: bardziej wilgotny i puszysty od najlepszego, jaki robiłam w swoim życiu.

- Wyśmienity - oznajmiłam. - Wspaniały. Gdzie nauczyłeś się tak dobrze gotować?

- Byłem kucharzem w wojsku.

- Potem zostałeś gliną?

- Nie. Mój ojciec był gliną, komendantem sześciuosobowego zespołu w Bay Harbor. To małe miasteczko, dwadzieścia kilometrów od...

Zadzwoił telefon. Była to Fay Jacobs.

- Judith, czy coś się stało? - spytała.

- Nie. Przepraszam, że zawracam ci głowę. Zaczekaj, pójdę na górę.

Wręczyłam słuchawkę Sharpe'owi i szepnęłam:

- Telefon służbowy. Odłóż słuchawkę, kiedy podniosę na górę.

- Dobrze - odrzekł.

Pobiegłam do sypialni i podniosłam słuchawkę. Usłyszałam wyraźnie, że Sharpe odłożył swoją na dole.

- Fay. Przepraszam, miałam nadzieję, że znajdziesz wolną chwilę w czasie przerwy śniadaniowej. Chyba nie przeszkadzam?

- Nie szkodzi, Judith. Jak leci? Bardzo miło wspominać nasze ostatnie spotkanie. Mam tak mało czasu na spotkania z przyjaciółmi.

- Może przyjdiesz do nas na przyjęcie w czasie przerwy wielkanocnej? Fay, czy będziesz chodziła na wykłady o kobietach w historii? Chętnie wybrałabym się z tobą.

- Nic jeszcze nie słyszałam - powiedziała - ale wiem, że są takie plany.

- To dobrze. Powiadomisz mnie?

- Oczywiście.

- Słuchaj, czy znasz Laurę Gordon - Jaffe, feministkę?

- Spotkałyśmy się kilka razy. Jest bombowa.

- Sympatyczna?

- Tak. Wydaje się, że jest miła.
- Meżatka?
- Tak. Wygląda na szczęśliwą, chociaż nie wiem, skąd ma na to czas.
- Jej mąż działa w ruchu?
- Aktywnie nie. Należy do rodziny właścicieli sieci księgarni Jaffe. Słyszałam, że jest czarodziejem, jeśli chodzi o interesy, i z maleńkiej, rodzinnej firmy stworzył wielkie przedsiębiorstwo.
- Dobrze ze sobą żyją?
- Tak sądzę. Widziałam ich mniej więcej rok temu, na szkolnym zebraniu. Miał przypięty znaczek z napisem: „Jestem feministą”.
- Cudowne - sapnęłam. - Fay, masz jeszcze kilka minut? Powiedz, co u ciebie nowego i ciekawego?
- Powiedziała, że czerwiec spędzi w Kolorado, na konferencji historycznej dla nauczycieli szkół średnich. Będą rozmawiali o tym, jak włączyć inne nauki społeczne do programu klas trzecich i czwartych.
- Fay, zazdroszczę ci. Na pewno będzie wspaniale. Jedziesz z mężem?
- Chyba nie - rzekła trochę za szybko. - Ma mnóstwo pracy w banku.
- Rozumiem - powiedziałam, wyczuwając, że stanęłam na niepewnym gruncie. - Bob też pracuje od rana do nocy. Nawiasem mówiąc, pamiętasz naszą rozmowę o Flecksteinie?
- Tak - potwierdziła powoli - oczywiście.
- Coś, co powiedziałaś, zaintrygowało mnie. Mówiłaś, że zawsze wybierał kobiety, które miały udanych mężów.
- Ach, więc dlatego pytałaś o męża Laury Gordon - Jaffe.
- Fay...

- W porządku, Judith. Szczerze mówiąc, słyszałam różne plotki, ale trudno mi było w to uwierzyć. Co ona mogła w nim zobaczyć?

- Narysuję ci - powiedziałam.

- Ach, to. Przynajmniej wykazał odrobinę dobrego smaku. Pochlebia mi to. Myślałam, że ograniczał się do pustogłowych i neurotyczek.

Takich jak bratowa Fay, Linda Berman? - pomyślałam. Postanowiłam jednak nie pytać. Powiedziałam natomiast:

- Czy wtedy, kiedy mówiłaś, że mężowie byli udani, miałaś na myśli zamożność?

- Tak. Byli bogaci i cieszyli się szacunkiem. Dlaczego o to pytasz, Judith?

- Przez ciekawość. Zastanawiam się, czy to tylko przypadek. Podniosłam wzrok. W drzwiach stał Sharpe. Wykrzywiłam twarz

i machnęłam ręką, żeby wyszedł. Został, opierając się lewym ramieniem o framugę drzwi.

- Miło było pogadać chwilę - rzuciłam do słuchawki, nadal wpatrując się w Sharpe'a.

- Dziękuję za telefon, Judith. Dam ci znać, kiedy tylko dowiem się o następnych wykładach z historii.

- Dzięki. Czekam na telefon. Pa.

Odłożyłam słuchawkę i miękko odwróciłam się, żeby stanąć przodem do Sharpe'a.

- Nie miałeś prawa słuchać tej rozmowy.

- Nie słuchałem.

- Gdybyś był choć trochę bardziej subtelny, założyłbyś podsłuch.

- Nie podsłuchiwałem. Przyszedłem, bo bardzo długo cię nie było.

- Powiedziałam, że to telefon służbowy.

- O - de - pe - rzucił.

- To wcale nie jest śmieszne. Zachowujesz się po prostu niegrzecznie.

- Kim jest Fay? - spytał.

- Wstręciuch! Mówiłeś, że nie słuchałeś.

- Nie słuchałem. Imię Fay usłyszałem przypadkiem.

- Czy zechciałbyś w tej chwili opuścić mój dom?

Uśmiechnął się.

- Mówię poważnie, poruczniku. Do zobaczenia.

- Nie chcesz już słyszeć o alibi? - spytał. Cały czas uśmiechał się. - Możesz robić notatki.

- Dobrze - powiedziała sztywno i poprawnie. - Zejdźmy na dół.

- Judith?

- O co chodzi?

- Jesteś zdenerwowana, że wszedłem do sypialni?

Zrobił krok do przodu na dowód, że celowo pogwałcił moje granice terytorialne.

- Tak, jestem zdenerwowana.

Pomaszerowałam w kierunku drzwi, a kiedy go mijalam, lekko się obróciłam. Sharpe zrobił to, na co miałam nadzieję i na co brakowało mi odwagi. Złapał mnie, przytulił i długo, głęboko, badawczo pocałował.

Odchyliłam lekko głowę i złożyłam protest pro forma.

- Proszę.

Potem, nie zostawiając mu czasu na odpowiedź, przycisnęłam usta do jego warg. Wypróbowaliśmy mocne pocałunki, czułe pocałunki, pocałunki wargami, zębami i językiem. Sharpe lubił się całować; dla niego nie było to preludium do obmacywania ani automatyczny akompaniament do aktu seksualnego - coś, czym można zająć usta, kiedy reszta ciała młóci gdzie indziej. Był utalentowanym partnerem do całowania.

- Judith - szepnął. Pod jego dżinsami było coś wielkiego, cudownego, napierającego na mnie. Poczułam, że moje palce niemal odruchowo przesunęły się w kierunku suwaka.

Mimo wszystko się odsunęłam.

- Nelson, nie mogę, proszę.

- A jednak.

- Nie. Proszę.

Odsunęłam się nieco, tak że między nami było dość miejsca, żeby piersi mogły swobodnie opadać i wznosić się w ciężkim oddechu.

- Czy powinienem cię przeprosić? - spytał. - Przepraszam, ale jesteś wspaniałą kobietą. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego, jak ty.

Wzięłam jego dłoń i ścisnęłam ją.

- Porozmawiajmy o alibi - zaproponowałam. Czułam się bardzo szczęśliwa.

- Nie chcę rozmawiać o alibi - powiedział, kiedy wchodziliśmy do dużego pokoju. - Judith, proszę, usiądźmy i porozmawiajmy - zawahał się - o innych rzeczach.

- Nie chcę rozmawiać o innych rzeczach - mruknęłam, opuszczając się na bujany fotel i mocno ściskając uda. - Nie teraz.

Sharpe usiadł, jak zwykle, na kanapie i popatrzył na mnie.

- Dlaczego usiadłaś tak daleko?

- Ponieważ to wszystko bardzo mnie zdenerwowało.

- Och.

Złożył dłonie, jakby zamierzał się modlić, i oparł brodę o środkowe palce.

- Czy - spytał spokojnie i precyzyjnie - uważasz mnie za interesującego?

- Nie. Usiłuję cię podniecić tylko dlatego, że jestem okropną wiedźmą, która lubi zabawiać się mężczyznami.

Westchnęłam i kontynuowałam łagodniejszym tonem:

- Oczywiście. Jesteś interesujący, ale nie chcę teraz o tym rozmawiać. Moglibyśmy zmienić temat?

- Dobrze.

- Jesteś żonaty?

- Myślałem, że chcesz zmienić temat.

- Chcę.

- Nie, nie chcesz.

- Unikasz odpowiedzi - stwierdziłam oskarżycielskim tonem.

- Jestem żonaty.

- Jak ma na imię?

- June.

Blondynka, szczupła, z mnóstwem świeżych stokrotek w dłoniach.

- Pracuje?

- Tak.

- Tak?

- Uczy głuche dzieci.

- Macie dzieci? - pytałam.,

- Trójkę - odparł. - Chcesz, żebym ci o nich opowiedział?

- Nie - odrzekłam. Potem westchnęłam. - W jakim są wieku?

- Karen jest najstarsza, ma osiemnaście lat. John szesnaście, a Emily dwanaście. Czy teraz możemy porozmawiać?

- Nie.

- Dlaczego?

- Wolę nie rozmawiać.

Był już ojcem, kiedy ja kończyłam szkołę średnią.

- Jakie alibi ma Norma Fleckstein?

- Naprawdę chcesz, żebyśmy rozmawiali o tej sprawie? - spytał. Kiwnęłam głową. - W czasie, o który nam chodzi,

odwoziła gdzieś swoje dzieci, potem wróciła do domu. Dwójka dzieci była z nią, trzecie zostało na obiedzie u kolegi.

- Czy Norma mogła wymknąć się z domu?

- Wątpliwe - powiedział w zamyśleniu - ale możliwe. O to właśnie chodzi, Judith. Wszyscy mają rozsądne alibi, ale nikt nie ma niepodważalnego.

- Jakie alibi byłoby według ciebie absolutnie niepodważalne?

- Nie wiem. Gdyby ktoś znajdował się w samolocie lecącym do Ohio i rozmawiał z trzema zakonnicami, których nie zna, ale które dokładnie go zapamiętały.

- Rozumiem. Co z gronem wybranych kobiet?

- O których myślisz?

- Lorna Lewis.

- W domu, gotowała obiad. Dzieci były w kuchni.

- Jakież inne?

- Oczywiście, były inne. Facet nie potrafił trzymać rozporka zapiętego, ale wszystkie, do których udało nam się dotrzeć, przysięgają, że ich romans skończył się kilka miesięcy temu.

- Wierzysz im?

- Nie mam żadnych dowodów. Rozmawialiśmy z właścicielem motelu, w którym lubił bywać. Mógł powiedzieć tylko tyle, że Fleckstein był stałym klientem i zawsze sam płacił za pokój, podczas gdy kobieta czekała w samochodzie.

Odgarnęłam włosy z czoła. A więc tak się to robi.

- Nigdy nie zauważył, jak wchodzili do pokoju?

- Nie. Fleckstein zawsze korzystał z pokoju położonego od tyłu. Parkował przed wejściem do numeru.

- Rozmawiałeś z pokojówkami? Z kelnerami? Czy można zamówić coś do pokoju?

- Judith, Tudor Rose to nie Plaza, a Fleckstein nie jeździł tam na długie obiady przy szampanie. - Sharpe uśmiechnął się

do mnie. - Może zechciałabyś pojechać tam teraz? To bezpieczne miejsce.

Pokręciłam głową, ale udało mi się rozluźnić dłonie ściskające poręczę fotela.

- Dunckowie?

- On był w drukarni. Ona w klubie.

- W klubie. To dobre alibi.

- Tak jak każde. O piątej miała masaż, ale nie wiemy, co robiła potem. Nikt nie może stwierdzić z całą pewnością, o której wyszła. Ona mówi, że odpoczywała w sali klubowej, zasnęła i obudziła się dopiero o siódmej.

- Wierzysz jej?

- Nie więcej niż innym.

- Marilyn Tuccio była w A & P. To wiesz. Ma paragon.

- Tak, ale na rachunku nie zaznaczają godziny. Nie wydaje ci się dziwne, że zachowała paragon?

- Jasne, ale nie w przypadku Marilyn. Ona wszystkiego dokładnie pilnuje. Nic jej nie umknie.

- Może - powiedział niezobowiązująco. - Judith, usiądź przy mnie. Nie dotknę cię, jeśli nie wyrazisz na to pisemnej zgody.

Wzruszyłam ramionami, jakby podobne rzeczy zdarzały mi się co najmniej dwa razy dziennie: męski, pełen magnetyzmu facet prosi mnie, żebym usiadła obok niego. Podeszłam do kanapy i usiadłam.

- A co z mafią? - spytałam. - Warto przyjrzeć się temu bliżej? Czy to może być ich robota?

Sharpe nie odpowiedział. Trudno było mieć pewność, czy usłyszał pytanie. Wpatrzony w mój sweter zauważył:

- Sutki ci sterczą. - I lekko przejechał czubkami palców po moich piersiach.

- Co ci się stało?! - krzyknęłam.

- Nic. Dobrze wiesz. Będziemy razem dobrzy. Jesteś bardzo wrażliwa - powiedział niskim, chrapliwym głosem.

- A ty jesteś cholernie niewrażliwy - odparłam szorstko, siłą powstrzymując się od płaczu. Czułam, że gardło mam ściśnięte. - Nie możesz zrozumieć, że kiedy mówię nie, to rzeczywiście odmawiam? Nie jestem nieśmiała. Jeśli zdecyduję się spać z tobą, dam ci znać, dobrze? Jeśli nadal będziesz mną zainteresowany, to dobrze. Jeśli nie, nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań. Mam męża...

- I ty mówisz, że to ja jestem niewrażliwy. Chryste, mogłabyś na niego popatrzeć.

- Mój mąż nic cię nie obchodzi - powiedziałam.

- Nie, ale ty mnie obchodzisz.

- Słuchaj, ja nie pytam o twoją żonę, prawda? A może jej nie obchodzi, że kochasz się z innymi kobietami?

- Myślisz, że o to mi chodzi? O szybki numerek?

- Skąd mam wiedzieć, o co ci chodzi? Prawie się nie znamy.

- Rozumiem. Przepraszam, jeśli zbyt nalegałem. To już się nie powtórzy.

Musiałam patrzeć na niego z niedowierzaniem, ponieważ dodał:

- Obiecuję, ale naprawdę mam żal. Zarzuciłaś mi, że chodzi mi tylko o seks. To jest poniżające, zarówno dla ciebie, jak i dla mnie. Jezu, nie jestem Bruce'em Flecksteinem. Nie robię tego z każdą poznaną kobietą.

Zrobił krótką przerwę.

- Wiem, że nie mogę ci tego udowodnić, ale możesz mi albo uwierzyć, albo nie.

- Wierzę ci - odpowiedziałam, chociaż jeszcze nie byłam pewna. - Czy teraz możemy zmienić temat?

- Jasne. Przy czym byliśmy? Przystępczość zorganizowana?

- Naprawdę mnie słuchałeś.
- Powiedziałem ci, że interesuje mnie coś więcej niż tylko twoje ciało. Uśmiechnął się, kiedy zeszywniałam.
- Judith, na miłość Boską, odpręż się wreszcie. Ja tylko żartuję. Dobrze. Z tego, co wiemy, nie może być o tym mowy. Prokuratura gwarantowała Flecksteinowi nietykalność, ale nie przyjął propozycji. Albo był tak silnie związany ze współnikami, albo bał się zeznawać przeciwko nim. Nie wiemy, ale morderstwo... Wiesz, to wygląda na robotę amatora. Pomysłowego, ale takiego, który nie zabija zawodowo.
- Nie mógłbyś dowiedzieć się od prawnika Flecksteina, czy jego klient miał powiązania z mafią?
- Nie. Te informacje nadal są tajne.
- Naprawdę sądzisz, że morderca był sprytny? - spytałam.
- Albo sprytny, albo miał szczęście. Nie wiem.
- Opowiedz mi o samym morderstwie. Co powiedział koroner?
- Lekarz sądowy, Judith, lekarz sądowy. Musisz poznać stosowny żargon, jeśli chcesz pozostać w branży. Nic wielkiego. Wąski, ostry przedmiot wbity w podstawę czaszki. Śmierć nastąpiła prawdopodobnie najpóźniej po dziesięciu minutach.
- A lusterko? Przeczytałam, że obok ciała znaleziono lusterko dentystyczne.
- Mogę tylko zgadywać, ale sądzę, że posłużyło do sprawdzenia, czy rzeczywiście nie żyje. Morderca prawdopodobnie przyłożył je do ust Flecksteina, żeby sprawdzić, czy nie zaparuje.
- Faj - powiedziałam, wyobrażając sobie mordercę klękającego przy nieruchomej ziemskiej powłoce Wielkiego Kochanka z Long Island. - Dobrze. Ostatnie pytanie. Co z mężami tych wszystkich kobiet? Wiesz coś o nich?

- Nic wielkiego - odrzekł. - Dopóki nie okaże się, że któryś z nich wiedział o romansie żony, nie mamy żadnego punktu zaczepienia.

- Dobrze - stwierdziłam i wstałam.

- Dobrze? To wszystko? Nie chcesz mi powiedzieć, kto to zrobił? Oszczędzić mi mnóstwa pracy? Pokazać światu, jakimi niezdarami są policjanci?

- Nie jesteś niezdara, a ja nie mam pewności. Czegoś mi brakuje.

- Komu to mówisz!

- Dowiemy się - powiedziałam. - We właściwym czasie.

- Judith, bardzo mi przykro, ale pracuję w tym zawodzie dostatecznie długo, by wiedzieć, że twoja pewność jest praktycznie bezpodstawna.

- Zaufaj mi - poprosiłam i zerknęłam na zegarek. - Och, Boże, mam odebrać syna od kolegi i już spóźniłam się o pół godziny.

- Dobrze. Do zobaczenia jutro, koło dziewiątej trzydzieści.

- Jutro? Słuchaj, właśnie skończyłam mówić...

- Zgodziłaś się zerknąć na zdjęcia. Pamiętasz?

- Dobrze - poddałam się i podeszłam do szafy po płaszcz.

- Nie pożegnasz się ze mną, Judith?

- Cześć.

- Do jutra - rzucił.

Przez całe popołudnie, robiąc z dziećmi papierowe samoloty w Burger Kingu i zlizując z ust ściekający sos z hamburgera, całowałam Sharpe'a, pozwalając sobie w marzeniach zadrzeć bluzę i głaskać jego pierś, powoli osunąć palce na suwak przy spodniach i włożyć dłoń do środka. Co chwila jednak moje fantazje coś przerywało; ostatecznie jestem kobietą zamężną.

W tym samym czasie próbowałam wywołać z pamięci podobną scenę z Bobem. W mieszkaniu, które wynajmował pod koniec studiów, przespaliśmy się ze sobą po raz pierwszy, nie tracąc czasu nawet na ściągnięcie narzuty. W pokoju hotelowym na Florydzie, kiedy dzieci bezpiecznie spały w domu moich teściów, kochaliśmy się w dużej, marmurowej wannie, w której przyglądały nam się jedynie złote cheruby na kurkach. Czas przytępił jednak moją wrażliwość. Zbyt wiele dwudziestominutowego, zaplanowanego z góry, tarzania się po małżeńskim łóżku wyryło w mojej świadomości diagram ciała Boba, jego zapachu, głosu i stylu.

Na jego korzyść przemawiały jednak: lojalność, przyzwyczajenie i - może - jakieś niewyczerpane jeszcze zasoby miłości. Czekałam więc na niego, ułożona wysoko na dwóch poduszkach. Wrócił o jedenastej piętnaście. Usłyszałam klucz w zamku, głośnie chrząknięcie i ciężkie kroki na schodach.

- Cześć, Judith - powiedział.

- Cześć, Robert - odparłam z uśmiechem, usiłując pokazać, jak niepotrzebne są te formalności między starymi przyjaciółmi.

- Jak było? - spytał.

- W porządku. A co u ciebie?

- Dziękuję, wszystko dobrze.

- To wspaniale - odparłam. - Czy teraz możemy skończyć z tym głównem i porozmawiać?

- O czym chcesz rozmawiać? - spytał.

O tym, jak Roosevelt obsadził Sąd Najwyższy swoimi ludźmi. O coraz większej rysie w toalecie, w zielonej łazience.

- O nas.

- Poinformowałam cię, że nie mam nic do powiedzenia - odparł. Zdjął krawat, niebieski i - prawdopodobnie - czysty, po czym odwiesił go do szafy. - Wplątałaś się w sprawy

przerastające twoje możliwości i dopóki tego nie zrozumiesz, nie jestem w stanie nic na to poradzić.

Zaczął rozpinąć koszulę. Odwrócił się ode mnie trochę, jakby celowo chciał pozbawić mnie widoku swojej klatki piersiowej.

- Dlaczego uważasz, że to przerasta moje możliwości? Odwrócił się teraz do mnie, ukazując białą przestrzeń podkoszulka.

- Daj spokój, Judith. Co ty wiesz o przestępczości?

- Jeśli zechcesz posłuchać, chętnie ci powiem.

- Judith, co ty wyprawiasz? - spytał. - Chcesz zostać mścicielem, czy co? Słuchaj, znam ciebie lepiej niż ty sama.

Kiedy usiłowałam przerwać, uniósł ręce jak kierujący ruchem policjant.

- Mam wielki szacunek dla twojej inteligencji i możliwości, ale nie znasz się na tym. Wystawiasz na niebezpieczeństwo siebie, a może nawet dzieci; na to nigdy się nie zgodzę.

- Bob, pozwól mi coś powiedzieć. To nie jest dziedzina całkiem mi obca. Dobrze wiem, co robię, i sędzę, że mam kilka pomysłów, które mogą doprowadzić do rozwiązania tej zagadki. Porucznik policji, Sharpe, nie uważa mnie za głupią. Wysłuchał tego, co miałam do powiedzenia, myślę więc, że ty również mógłbyś wyświadczyć mi tę uprzejmość.

- Ten niski, siwy facet? Po prostu chciał cię udobruchać.

- Nie.

- Możesz mi wierzyć, że tak. Słuchaj, do czego jesteś mi potrzebna? Judith, bardzo mi na tobie zależy. Wiesz, że to prawda. Nie mogę jednak spokojnie patrzeć, jak wplątujesz się w niebezpieczną zabawę, przerastającą twoje siły. Nie mam zamiaru cię poniżyć - dodał. - Wiem, jak ciężko jest siedzieć w domu, jaka jesteś tym znudzona. Jeśli chcesz dokończyć

doktorat, postaram się o pomoc domową. Czy to nie wydaje ci się rozsądne?

- Nie chcę robić doktoratu. W każdym razie nie teraz.

- A więc czego chcesz?

- Chcę znaleźć mordercę.

Kiedy to mówiłam, całe jego ciało zeszywniało, ale opanował się siłą woli. Patrzyłam na niego, kiedy podchodził i siadał przy mnie na łóżku. Wziął moją dłoń między swoje.

- Wiesz, że to nierozsądne - zagruchał. - Posłuchaj, może zechciałabyś pogadać z psychiatrą? Judith, nie jestem okrutny. Nie twierdzę, że oszalałaś. Ludzie czasem chodzą do psychiatry, żeby uporządkować swoje życie. Dawid ma psychiatrę.

Dawid to jego zupełnie zwariowany brat.

- Jesteś mądrą, wykształconą kobietą, uwiązaną do dwójki dzieci, bez żadnego ujścia dla bujnej inteligencji. Rozumiem, że to rodzi wiele frustracji. Naprawdę rozumiem.

- Bob, ja nie potrzebuję psychiatry.

- Nie powiedziałem, że potrzebujesz.

- Dobrze, nie chcę psychiatry. Jestem bardzo szczęśliwa i satysfakcjonuje mnie poszukiwanie mordercy. Gdybym chociaż przez sekundę myślała, że z tego powodu coś może stać się z dziećmi, natychmiast bym przestała.

Była to czysta prawda.

- Nic im się nie stanie. Szczerze mówiąc, gdybym chciała dokończyć doktorat, zrobiłabym to, nie patrząc, czy mam pomoc domową, czy nie. Wcale nie wiem, czy chciałabym spędzić resztę życia, przemawiając do setek znudzonych studentów.

- A więc zajmij się czymś innym. Zaczynaj studiować prawo. Clay powiedział, że masz dobry, analityczny umysł. Wiele kobiet kończy prawo.

- Nie chcę być prawnikiem.

- Kim chcesz być? Detektywem? - spytał głosem pełnym ironii.

- Nie wiem. Chcę, żeby mnie wszyscy zostawili w spokoju i żebym mogła sama podjąć decyzję. Boże, chodzi o moje życie.

- Judith, to jest nasze wspólne życie.

- Nasze życie? Kiedy mowa o mnie, to życie jest nasze; kiedy chodzi o ciebie, jest twoje.

Puścił moją dłoń.

- Wiesz, jak się czułam, kiedy zaczynałeś pracować z rodzicami. Mam żal o to, że jesteś nieobecny po dwanaście godzin na dobę, rzadko widzisz dzieci i mnie. Skoro chcesz rozmawiać o naszym życiu, dlaczego nie odejdziesz z firmy i nie poszukasz porządnej posady od dziewiątej do siedemnastej, żebyśmy mieli więcej czasu dla siebie?

- Nie jesteś zadowolona z życia, jakie prowadzimy? Czy moglibyśmy żyć w taki sposób - jego ręka wykonała szeroki gest - gdybym pracował od dziewiątej do siedemnastej?

- Kto powiedział, że musimy żyć tak, jak żyjemy?

- Jesteś śmieszna.

- Mówię o naszym życiu.

Ciężkim krokiem podszedł do szafki, chwycił piżamę i pomaszerował do łazienki, żeby się przebrać. Nie odezwał się już do mnie ani słowem. O szóstej trzydzieści usłyszałam, jak wychodząc, trzaska drzwiami.

Rozdział 16

O dziewiątej dwadzieścia pięć otworzyłam drzwi, żeby przywitać porucznika Sharpe'a. Kiwnął głową i wszedł do domu, nie unikając mojego spojrzenia, ale też nie nawiązując kontaktu wzrokowego.

- Napijesz się kawy? - spytałam, kiedy pominął milczeniem moje: „Cześć”.

- Nie.

Potał grzbietem dłoni wargi.

- Nie, dziękuję.

Nastąpił - uświadomiłam sobie teraz - koniec krótkiej, ale złotej ery. Koniec kontaktów fizycznych, koniec osobistych wizyt. Jeśli będzie pani miała policji coś do powiedzenia, proszę zadzwonić do miejscowego komisariatu. Oni przekażą mi wiadomość. Dziękuję, do widzenia.

- Dobrze - westchnęłam - przejdźmy do rzeczy.

- Nie powiedziałaś mi wszystkiego.

Miał gęste, proste brwi; teraz były ściągnięte tak, że pojawiły się nad nimi dwie głębokie bruzdy. Spróbowałam uśmiechnąć się, ale mi nie wyszło.

- Chyba już czas, żebyśmy sobie wszystko wyjaśnili, Judith. Zdaje się, że wiesz o Flecksteinie dużo więcej, niż mi powiedziałaś. Prawda?

- Tak.

- Mogłabyś przynajmniej spróbować zaprzeczyć - stwierdził.

- Dlaczego? Powiedziałam ci, że domyślałam się, kto pomalował moją lodówkę. Ale to tylko moje domysły, oparte na spekulacji. Myślę, że ten, kto to zrobił, jest mordercą, ale nie mam pewności. To nie jest dla ciebie nowina. Powiedziałam ci też, że nie chcę wskazać palcem kogoś, kto może okazać się Bogu ducha winny.

- Czy tylko to zataiłaś przede mną? - spytał. - Czy może jest coś jeszcze?

- Zabawiasz się ze mną i to mi się nie podoba - powiedziałam, podnosząc głos. - Jeśli masz coś do mnie, powiedz, o co chodzi.

- Ja się zabawiam?! - krzyknął, robiąc krok w moją stronę. - A co z tobą? Zaufałem ci. Rozmawiałem z tobą o tej sprawie. Chryste, przyszedłem tu i powiedziałem, co do ciebie czuję, do cholery, a ty mi mówisz, że ja się zabawiam! Słuchaj, Judith, prowadzę sprawę morderstwa. Muszę wiedzieć wszystko. Nie mogę się zabawiać, nawet z tobą. Chodź do mnie.

Podeszłam do niego, objęłam go ramionami i delikatnie ugryzłam w dolną wargę.

- Nie gniewaj się. Proszę.

Całowałam go na początku leciutko, delikatnie, potem mocniej.

- Nelson, proszę.

Położył dłonie na moim krzyżu i przyciągnął do siebie. Zaczął rytmicznie ocierać się o mnie: w górę i w dół, w górę i w dół.

- Judith.

To można uznać za wyraźną deklarację, pomyślałam i pozwoliłam sobie na krótki pomruk przyjemności.

- Judith. - Jego język badał zakamarki moich ust. Niespodziewanie jednak odsunął się.

- Nie.

Szeroko otworzyłam oczy.

- Nie?

- Nie. Nie teraz. Równocześnie przełknęliśmy ślinę.

- Musimy porozmawiać.

- Jesteśmy potępieni - powiedziałam. - Wiesz o tym, prawda? Jesteśmy postaciami z greckiej mitologii, skazanymi

na spoczywanie w wielkim łożu, w ciemnym kącie Hadesu, wiecznie pragnącymi, ale nigdy niezaznającymi spełnienia. Zawsze, kiedy ty będziesz gotowy, ja nie będę mogła tego znieść, a kiedy ja ciebie zapragnę, ty będziesz chciał rozmawiać.

Podeszłam do kanapy i usiadłam.

- Wrócimy do tego tematu. - Uśmiechnął się, usiadł obok mnie i delikatnie pocałował w czoło.

- Nie wracajmy - odparłam, pogrążona w rozpacz. Byłam gotowa złamać śluby małżeńskie, porwać kontrakt, cisnąć ostrożność i poczucie winy w diabły, a w zamian dostałam tylko obietnicę na przyszłość. - Dobrze, Sharpe. Skoro chcesz rozmawiać służbowo, to porozmawiajmy. Jaki straszliwie ważny skrawek informacji zataiłam przed tobą? Mów. Byłeś na mnie zły, pamiętasz? Jestem niedojrzałą Judith, która zabawia się tobą.

- W przeciwieństwie do twojej przyjaciółki, pani Mahoney.

- Mary Alice! - Roześmiałam się na całe gardło, ale szybko położyłam sobie rękę na ustach. - Och, Nelson, poszła do ciebie. To fantastyczne!

- Jasne. Fantastyczne. Szkoda, że zapomniałaś wspomnieć o jej istnieniu. Wczoraj późnym popołudniem wpadłem do biura i znalazłem informację, że mam zadzwonić do prokuratury. Zadzwoniłem i spróbuj zgadnąć, czego się dowiedziałem? Otóż w biurze czekała na mnie porządna, dbała o interes publiczny obywatelka ze swoim prawnikiem, którego akurat ty jej poleciłaś.

- Claymore Katz!

- We własnej osobie.

- Nie kazałam im iść do ciebie - wyjąkałam.

- Wiem o tym, Judith. Dziękuję, że zadałaś sobie tyle trudu, żeby uchronić mnie przed najbardziej plugawymi aspektami tej sprawy.

- Nelson! - Chciałam wyrazić oburzenie, ale świadomość, że jest to całkowicie bezpodstawne sprawiła, że w moim głosie brzmiało tylko rozdrażnienie.

- Myślałaś, że się nie dowiem? Jak ci się wydaje, kto prowadzi tę sprawę?

- Wiem, wiem. Ona zwierzyła mi się w zaufaniu. Skoro przyszła do ciebie, to znaczy, że zrobiła test na wykrywaczu kłamstw. To znaczy, że nie zabiła Flecksteina, a więc nie kryłam przestępcy ani też nie sprowadzałam śledztwa na fałszywe tory.

- Testy na wykrywaczu kłamstw nie są niezawodne - powiedział. - Nie interesuje mnie, co słyszałaś. Jestem przekonany, że zwariowany kłamca mógłby przejść test z doskonałymi wynikami. Chryste, widziałem już takie rzeczy.

- Naprawdę myślisz, że Mary Alice mogła to zrobić? Powiedz prawdę, Nelson, czy rzeczywiście ją podejrzewasz?

- Nie. Tak czy inaczej, przeszła test i przekonująco mówiła, że nie spotykała się z nim od kilku miesięcy. Słuchaj, chcę, żebyś powtórzyła mi wszystko, co ci opowiadała o romansie z Flecksteinem. Interesuje mnie jego technika.

- Twoja jest lepsza.

- Nie pleć, Judith - powiedział, ale się uśmiechnął.

- Dobrze. Wydaje się, że zaczynał od telefonu. Mówił kobiecie, którą niedawno poznał, że jest niewyobrażalnie atrakcyjna, i pytał, czy zechciałaby zjeść z nim obiad.

- Dowiedziałaś się tego od przyjaciółki?

- Od Mary Alice. Tak. I od jeszcze innej znajomej.

- Jakiej innej znajomej?

- Och, pewnej kobiety, którą znam.

- Nazwisko.

- Co zrobisz, jeśli ci nie powiem? Nie odpowiedział.
- Dobrze. Fay Jacobs. Uczy w liceum w Shorehaven. Słuchaj, ona się z nim nie umówiła. Uznała go za odrażającego piskorza. Powiedziała, że jest zły.
- Zły? To ciekawe.
- Nelson, daj spokój. To wspaniała kobieta. A ja jestem wszą.
- Sprawdzę ją.
- Proszę! Nikomu o tym nie mówiła; jeśli zaczniesz ją wypytywać, będzie wiedziała, że to ja doniosłam.
- Dobrze, zrobię to dyskretnie... A teraz mów mi jeszcze o Flecksteinie.

Nie odezwałam się.

- Nie martw się, Judith. Jeśli to nie będzie konieczne, nie dowie się o niczym. Mów.

Przez dwadzieścia minut rozpracowywaliśmy metody Flecksteina. Jak dużo czasu poświęcał na zdobycie kobiety? Jak udało mu się przekonać niektóre z nich do robienia zdjęć? Dlaczego innych najwidoczniej nie udało mu się przekonać? A może z innymi nawet nie próbował? Czy nachodziło go to tylko od czasu do czasu, czy też odczuwał taki wewnętrzny przymus? Możliwości szantażu: Mary Alice wyczuła takie zagrożenie, ale czy rzeczywiście próbował zapędzić niektóre z kobiet w kozi róg? Czy mordercą mogła być miła, anonimowa kobieta, która zakradła się do gabinetu, zadźgała go i zniknęła ze zdjęciami? Pani X, która... Wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Ding!

- Kto to może być? - spytałam.
- Sprawdź.
- To może być morderca.
- Czy morderca dzwoniłby do drzwi?
- Czemu nie?
- Otwórz - powiedział.

- Może ktoś dźgnie mnie szydłem w czoło? Szydła są tanie. Ding!

- Chwileczkę! - zawołałam w kierunku drzwi.

- Jestem z tobą. Mam broń. Nie martw się.

- Masz broń?

- Tak. Oczywiście.

- Nie lubię broni.

- Judith, noszę broń, bo muszę. Jestem gliną. Uważam, że powinno się wydawać zezwolenia na broń palną, rozumiesz? Słuchaj, może ja otworzę?

- Nie.

Dzwonek zadzwonił jeszcze raz, w chwili, kiedy otwierałam drzwi. Za progiem stała Nancy ubrana na biało: spodnie, sweter, krótkie futerko; anglikańska księżniczka.

- Najwyraźniej zabawiałaś się czymś, Judith - powiedziała głośno. - Wypróbowywałaś nowy wibrator?

- Ćśśś.

- Słuchaj, mam dla ciebie pyszne kąski. Znaleźli narzędzie mordy i to na kratce ściekowej twojej słodziutkiej sąsiadeczki. Właśnie był u mnie Pączuszek i powiedział, że ta rzecz jest już w laboratorium policyjnym.

- Dlaczego nie zadzwoniłaś? - szepnęłam.

- Co ci jest? Zachowujesz się jak kurczak, który dostał zatwardzenia. Po prostu postanowiłam wpaść. Wpadałam już nieraz, jak może pamiętasz?

- Nic mi nie jest - syknęłam gwałtownie, wskazując głową na duży pokój. - On jest tam - powiedziałam, bezgłośnie poruszając ustami.

- Kto? - spytała nieco ciszej.

- Jestem Nelson Sharpe - oświadczył, wchodząc do przedpokoju.

- Porucznik Sharpe - poprawiłam. - Wydział zabójstw.

Nancy zrobiła, co mogła, żeby sprawić wrażenie tylko trochę zainteresowanej.

- Prowadzi sprawę zabójstwa Flecksteina. Pamiętasz? Tego dentysty.

- Tak, pamiętam, czytałam o tym - powiedziała Nancy, zamyślona.

- Pamięta pani, że czytała o tym - powtórzył jak echo Sharpe, patrząc na mnie kwaśno. - Słuchaj, chcę wiedzieć, co tu się dzieje.

Potem do Nancy:

- Skąd pani wie o szydle?

- Jestem dziennikarką - powiedziała, prezentując swój bardzo przyjazny uśmiech. - Nancy McLaren, poruczniku.

Wyciągnęła dłoń i podała Sharpe'owi.

- Miło pana poznać.

Do tej pory nie używała w pracy swojego panińskiego nazwiska.

- Skąd pani wie o szydle?

- Panie poruczniku, nie sądzi pan chyba, że panu powiem. Nie mogę zdradzać swoich informatorów.

Odwróciła się od niego i obdarzyła mnie szerokim uśmiechem.

- Przepraszam, że przeszkodziłam, Judith. Chciałam tylko spytać o pewne historyczne aspekty sprawy, o której aktualnie piszę. Przyjadę później.

Odwróciła się i odeszła w stronę podjazdu.

- Judith - zaczął Sharpe.

- Nelson, to prawda, ona jest dziennikarką.

- I pisze o sprawie Flecksteina, tak? Daj spokój. Znam wszystkich reporterów zajmujących się tą sprawą. Kim jest?

- Powiedziała ci. Nancy MacLaren.

Bardzo inteligentna osoba. Wiedziała, że Sharpe jej nie odnajdzie, nie znając aktualnego nazwiska i słusznie założyła, że nie zdradzę przyjaciółki.

Sharpe złapał mnie za przedramię i zaprowadził do dużego pokoju.

- Judith, to poważna sprawa. Podobno ja mam ją prowadzić, ale nagle okazuje się, że wszyscy są ekspertami. Ty. Twoje przyjaciółki. Śledztwo przypomina czerpanie wody sitem i prowadzi donikąd. Proszę, powiedz mi wszystko, co wiesz, od początku do końca. Zgadzam się na współpracę, ale pod warunkiem, że mi pomożesz.

- Dobrze. Może najpierw, zanim stracimy czas na moje gadanie, zobaczę te zdjęcia?

- W porządku, ale to tylko chwilowe odsunięcie egzekucji. Porozmawiamy, jak skończysz.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął niedużą, szarą kopertę.

- Masz. - Podał mi kopertę nad stolikiem. Otworzyłam ją i zajrzałam do środka. Rozłożone nogi i włosy łonowe. Zamknęłam.

- Wstydzisz się? - spytał. Kiwnęłam głową. - Są brutalne. Widziałaś kiedyś pornografię?

- Pewnie. To dziwne - próbowałam wyjaśnić - bo jestem przekonana, że nie ma tu nic, czego nie widziałabym wcześniej, ale czuję się, jakbym otwierała puszkę Pandory.

- Wydaje mi się, że nie fotografował Pandory - oznajmił.

- Nelsonie, proszę, bądź poważny.

Podszedł do mnie i przez chwilę sądziłam, że chwyci mnie, rozpalony wspomnieniami zawartości koperty, ale on wziął mnie tylko w ramiona i przytulił delikatnie, bez namiętności. Odsunęłam się i spytałam:

- Chcesz mnie chronić? Jeśli tak, to...

- Chciałem cię przytulić.

- Nie musisz mnie ochraniać, wiesz.

- Wiem - powiedział. - Myślisz, że chciałem cię upokorzyć?

- Nie - odparłam - ale jestem podenerwowana. To dziwne. Widziałam przecież najróżniejsze filmy: z kobietami wkładającymi to we wszelkie otwory w ciele, z lesbijkami, zwierzętami i mnóstwo innych, i nigdy nie robiło to na mnie większego wrażenia. Niektóre nawet mnie podniecały. Ale to co innego. Te zdjęcia są częścią większej całości... rozumiesz mnie. Mogę tu znaleźć moje koleżanki; to mogłabym być ja sama. Mają dzieci, sprawdzają w sklepie, czy melony są miękkie. Teraz mam zajrzeć w ich wewnętrzne życie; w coś, co nigdy nie miało stać się własnością publiczną. Czy w twoim życiu nie ma takich rzeczy, takich myśli, które chciałbyś ukryć przed wszystkimi?

- Pewnie są.

- A więc? - Dałam mu kopertę.

- Judith, powiedziałaś, że te zdjęcia są częścią większej całości, tak? Pomyśl o tej całości. Ktoś zabił Flecksteina. Muszę znaleźć zabójcę. Dla mnie to jest najistotniejszym fragmentem całości. Słuchaj, mógłbym usiąść i stwierdzić, że był odrażającym człowiekiem, zepsutym i manipulującym innymi śmierdzielem, bo tak było. Ale to nie może przeszkodzić mi w pracy, nawet, jeśli muszę wejść w bagno, którego narobił. Sama wplątałaś się w śledztwo. Z jakiegoś powodu coś dotknęło cię do żywego i zareagowałaś na to. Musisz zdecydować. Musisz doprowadzić sprawę do logicznego końca - zakładając, że taki istnieje - albo powiedzieć: cześć, to przestało mnie bawić. Wszystko zależy od ciebie. Ja nie mam wyboru. To moja praca.

- Daj to.

Wręczył mi kopertę, którą mu zwróciłam. Sięgnęłam do niej i wyjęłam zdjęcia. Było ich sporo - dziesięć czy może dwanaście.

- Przejdźmy do jadalni. Może będzie łatwiej, jeśli rozłożę je na stole. Szybko rozłożyłam zdjęcia na stole, jakbym układała pasjansa.

- Te trzy przedstawiają tę samą osobę - powiedziałam.

- Tak - zgodził się. Kobieta miała długie, proste, brązowe włosy sięgające do połowy pleców, jak studentka pierwszego roku, ale musiała już mieć około trzydziestu pięciu lat. Widać było głębokie linie ciągnące się od krańca nozdrzy do połowy brody. Kobieta się śmiała. Na wszystkich zdjęciach siedziała naga na czerwonym, plastikowym krzeselku z drewnianymi oparciami na ręce i chichotała z czegoś bardzo zabawnego. Na jednym zdjęciu ramiona miała skrzyżowane poniżej drobniutkich, ledwie zarysowanych piersi. Na drugim przykrywała oczy dłońmi, jakby bawiła się w ciuciubabkę. Na trzecim złożyła dłonie na udach.

- Ta przynajmniej nie wygląda na wykorzystywaną - powiedziałam.

- Chyba nie - zgodził się. - Ale spójrz na to.

Wskazał na zacieniony róg zdjęcia, w którym widać było brzeg łóżka. Na przykrytej czerwonym dywanem podłodze leżał olbrzymi sztuczny penis.

- Boże - jęknęłam. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

- Poczekaj na naszą randkę. Potem dodał rzeczowym tonem:

- Znasz ją? Widziałaś ją kiedyś?

- Nigdy. Nawet gdyby była inaczej uczesana i ubrana. Ma bardzo długą, pociągłą twarz; poznałabym, gdybym ją kiedyś widziała.

- A te?

Pokazał na zdjęcie nieco pulchnej kobiety. Była ubrana w stylu Czterdziestej Drugiej ulicy: czarne majteczki i czarny biustonosz z wyciętymi pośrodku dziurkami tak, że jej sutki zerkwały w aparat fotograficzny brązowaworóżowym, ślepym spojrzeniem. Na twarzy miała maskę z rogiem nosorożca. W ręce trzymała szpicrutę.

- Nie mogę poznać w tej masce. Bat do niej nie pasuje. Powinna być wysoka, szczupła i surowa.

Wzięłam zdjęcie do ręki.

- Nie, nie poznaję jej, ale Bruce najwyraźniej miał eklektyczne upodobania.

- I uwielbiał rekwizyty - dodał Sharpe. - Próbowaliśmy niektóre sprawdzić. Pytaliśmy właścicieli sex - shopów, ale dowiedzieliśmy się, że te przedmioty są całkiem zwyczajne; takie, jakich wszyscy używają.

- Jasne - stwierdziłam. - Niecałe pół dolara sztuka. W tym tygodniu są w specjalnej ofercie „Pathmark”. Dwie sztuki za dziewięćdziesiąt dziewięć centów, plus kupon z bonifikatą.

Nagle przerwałam.

- Och, Boże!

Wpatrywałam się w zdjęcie kobiety z wielkim psem.

- Nelson, to zostało zrobione w domu Flecksteina.

Dokładnie mówiąc, na podłodze dużego pokoju. Ten sam zielony dywan i zatrząsienie bujnych, liściastych roślin, ta sama tkanina tapicerska.

- A to jest Prince!

- Kto to jest Prince?

- Pies. Nazistowski. Widziałam go u Normy Fleckstein.

- Nie było go, kiedy ja tam przyszedłem - powiedział.

- Był, kiedy ja tam poszłam. To nie yorkshire, przypominający zabawkę i złośliwy; nie taki, jakiego mógłbyś nadepnąć i nawet nie zauważyć.

- Z pewnością nie. A co z Księżniczką?

- Z kim?
- Z kobietą, która jest z Princesem?
- Pokaż.

Pochyliłam się nad stołem i zapatrzyłam na zdjęcie. Kobieta leżała obok szklanej maski Flecksteina; widziałam takie w „Gent” albo „Oui”, czy też „Penthouse”, albo „Stud”, kiedy czekałam w aptece na wydanie przepisanych lekarstw.

- Wydaje ci się znajoma? - spytał Sharpe.
- Zaczekaj.

Oczy były widoczne, ale nie mogłam rozpoznać ich koloru. Maski rzucała na nie cień.

- Ledwie ją widać - powiedziałam. - Czy to nie dziwne - stwierdziłam, odwracając się do Sharpe'a - że fantazje tych kobiet wydają mi się tak bardzo zrozumiałe? Nie ma tu nic nowego. Nieważne, czy to przedmieścia, czy Manhattan...

Jeszcze raz zerknęłam na zdjęcie, na ciało kobiety. Drobne, szczupłe, wąziutkie w talii, prawie doskonałe, jeśli nie brać pod uwagę dwóch niewielkich blizn na brzuchu: jedna dłuższa na środku, a druga mniejsza, równoległa do tamtej, po prawej stronie.

- Nelson!
- Co? Co takiego?
- Jedno pytanie. Czy w stwierdzeniu lekarza sądowego...
- Judith!
- Zaczekaj. Czy lekarz stwierdził, jakiego wzrostu był morderca? Wiesz, na podstawie kąta, pod jakim wbito sztych?
- Był niższy od Flecksteina. No, mów, Judith.
- Dużo niższy?
- Prawdopodobnie kilka centymetrów.
- Nie był bardzo niski, na przykład metr sześćdziesiąt?
- Nie. Cios zadano pod kątem mniejszym niż dwadzieścia pięć stopni. Z ułożenia ciała Flecksteina wiemy, że morderca stał; nie siedział w fotelu dentystycznym.

- Czy mogła to zrobić kobieta?
- Tak.
- Ale nie bardzo niska i drobna?
- Do diabła, Judith!
- Nelson.
- Co?
- To jest Brenda Dunck.

Rozdział 17

Sharpe stał zupełnie nieruchomo, nie oddychając. W końcu spojrzał na mnie i powiedział:

- Mam nadzieję, że to nie jest żart?

- Nelson - jęknęłam. - Oszalałeś?

- Może. Jeśli żartujesz... Słuchaj, męczę się nad tą sprawą już kilka tygodni. Od pięciu dni nie potrafię docenić nawet najlepszego żartu.

- Nelson. To jest Brenda.

- Skąd wiesz? - warknął. - Ma zasłoniętą twarz. Wysunęłam jedno z krzeseł i padłam na nie.

- Siadaj - rozkazałam. Wysunął krzesło, postawił je obok mojego i usiadł. - Słuchaj, wiem, bo znam jej ciało.

- Zechciałabyś wyjaśnić, co masz na myśli?

- Należymy do tego samego klubu. Pewnego razu byłam w saunie i widziałam ją. Ma cudowne ciało o talii wąskiej jak Scarlett O'Hara i dwie blizny na brzuchu.

- Prawdopodobnie cięcie cesarskie i operacja wyrostka robaczkowego. Bardzo częste. Pytałem lekarza.

- Nie tak znów częste - upierałam się. - Nelson, miliony kobiet nie ma takich śladów na brzuchu. Poza tym, kto inny ma taką talię?

- Nie wiem - mruknął.

- I włosy na wzgórku łonowym. Ma tylko taki maleńki pasek.

- Jesteś pewna?

- Dlaczego nie chcesz mi wierzyć?

Wzięłam zdjęcie i popatrzyłam na nie jeszcze raz.

- Popatrz, ma nawet takie same długie, pomalowane paznokcie u stóp.

Prawa stopa, spoczywająca na zadzie Prince'a, zwrócona była w stronę aparatu; na pierwszym planie widniały dwa palce. Sharpe pochylił się i spojrzał na zdjęcie.

- Jesteś pewna?
- Tak - odparłam zmęczonym głosem.
- Dobrze. Co nam to daje? Powiedziałaś, że jest niska.
- Tak, nie ma więcej niż metr sześćdziesiąt.
- W takim razie nie mogła zabić Flecksteina; chyba że na niego wskoczyła.
- Nie należy do takich, które potrafią skakać do oczu. Jest bardzo opanowana. Chce wyglądać dostojnie, statecznie, uroczo, jak dobrze sytuowana dama z anglosaskiej rodziny.
- W takim razie mogłaby kochać się z angielskim psem - zauważył. - Co nam to daje?
- Nie wiem.
- Osunęłam się na krzesło, z twarzą ukrytą w dłoniach.
- Może nic - myślał na głos Sharpe. - Może była tylko jedną z jego kochanek.
- Nie.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Przez chwilę bądź cicho.
- Siedział kilka centymetrów dalej i patrzył na mnie, co sprawiało, że nie dało się myśleć.
- Nelson, może lepiej będzie, jeśli już pójdziesz. Nie mogę się skoncentrować. Zadzwoń do ciebie, kiedy na coś wpadnę.
- Nie chcę wychodzić.
- Nie masz nic do roboty?
- Nic lepszego niż to, co robię tutaj - upierał się. - Słuchaj, wyskoczmy gdzieś razem. Postawię ci obiad.
- Nie mogę. Niedługo syn wraca z przedszkola.
- Nie może zrobić sobie kanapki?
- Nelson, on ma cztery lata!
- Nie żartuj. Nie wiedziałem, że masz takie małe dzieci. Jak ma na imię?
- Joseph. Joey.

- Masz więcej dzieci?
- Katherine. Ma sześć lat. Wiesz, co wydaje mi się bardzo dziwne?
- Co?
- Fakt, że spokojnie myślimy o tym, żeby pójść razem do łóżka, a nie wiemy o sobie podstawowych faktów. Czy to nie wydaje ci się dziwne?
- Nie. Judith, rozumiemy się doskonale. Czy tak jest z każdym facetem, którego poznajesz?
- Nie. Tylko w sześćdziesięciu procentach. Spośród tych sześćdziesięciu procent znajduję czas, żeby przespać się ledwie z połową.
- Słuchaj - powiedział - jesteśmy dorośli. Żyjemy dość długo, żeby umieć oceniać ludzi. Czy to rzeczywiście coś zmieni, jeśli będziesz wiedziała, jak brzmi moje drugie imię?
- Nie, ale wówczas wszystko byłoby nieco bardziej realne. Jak masz na drugie imię?
- Lawrence. Czy teraz znasz mnie lepiej?
- Ja mam na drugie Eve.
- Wspaniale. Teraz już wiem o tobie wszystko, co powinienem. Słuchaj, Judith Eve, czy mogę zabrać cię na obiad?
- Nie. Powiedziałam ci, że lada chwila wróci mój syn.
- Czy nie może gdzieś pójść? Pobawić się z kolegą?
- Miałabym zostawić swoje dziecko, żebyś mógł mnie uwieść?
- Judith. Mam klucz do mieszkania kolegi. To dziesięć minut stąd. Po drodze powiem ci, jak brzmi panięskie nazwisko mojej matki.
- Kiedy przyszedłeś, wydawało mi się, że jesteś na mnie bardzo zły. Jak to się stało, że masz przy sobie klucz?
- Miałem nadzieję, że uda nam się wszystko wyjaśnić.

- Przecież pracujemy nad konkretną sprawą. Co z Brenda Dunck?

- Ona mnie nie podnieca; ty tak.

- Proszę. Skończmy to, co mamy do zrobienia - powiedziałam. - Potrzebuję czasu, żeby przemyśleć zebrane informacje.

- Możesz myśleć w tamtym mieszkaniu. Tam jest bardzo spokojnie. Postaram się nie przeszkadzać.

- Nelson - powiedziałam i wtedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Był to Joey.

- Mamo, nie było cię na przystanku, więc przyszedłem sam. Pamiętasz, mówiłaś, że jeśli kiedyś cię nie będzie, mam przyjść do domu i zadzwonić do drzwi. Byłem posłuszny?

- Grzeczny chłopiec - stwierdziłam i wzięłam go za rękę.

- To jest porucznik Sharpe, Joey. Policjant.

- Witaj, Joey - powiedział Sharpe.

- Ma pan pistolet? - spytał Joey.

- Tutaj. - Sharpe rozchylił marynarkę, żeby pokazać kaburę wiszącą u paska. Zobaczyłam, że ma wzwód.

- Mogę mu się przyjrzeć bliżej? - spytał Joey.

- Nie. Możesz tylko popatrzeć z daleka. Pistolety są niebezpieczne.

- Porucznik Sharpe już wychodzi, Joey. Co zjesz na drugie śniadanie?

- Masło orzechowe i dżem. Kanapka pocięta w kwadraciki.

- Co ty zjadłabyś na drugie śniadanie? - spytał cicho Sharpe.

- Do widzenia, poruczniku - oznajmiłam głośno.

- Do widzenia, Joey - powiedział. - Miło było cię poznać. Joey zignorował go. Sharpe spojrzał na mnie i mruknął:

- Przyjadę po ciebie za pół godziny.

- Nie.

- Czterdzieści pięć minut. Pomachał ręką Joeyowi i wyszedł.

- Powiedz - odezwałam się do Joeya, próbując jednocześnie otworzyć nowy słoik dżemu i uspokoić się - co robiliście dzisiaj w przedszkolu?

- Dlaczego jest u nas tylu gliniarzy?

- Policjantów. Sprawdzają, czy wszyscy są bezpieczni i posłuszni prawu. Na tym polega ich praca.

Przygotowałam kanapkę, pokroiłam ją na drobne kwadraciki i podałam synowi.

- Proszę.

Jadł, nie spiesząc się. Odgryzał małe kęsy i pieczołowicie obracał je w ustach.

- Jesz bardzo powoli - stwierdziłam zgryźliwie.

- Mówiłaś, że nie powinienem jeść szybko. Chcesz, żeby rozboleł mnie brzusek i żebym zwymiotował?

- Nie.

Zakręciłam słoik z masłem orzechowym.

- Co będziesz dzisiaj robił? - spytałam. - Chcesz pobawić się z Northern?

- Nie. On pierdzi.

- Daj spokój, nie pleć głupstw. Zadzwonię zaraz do pani Hughes.

- Nie.

Stałam przy zlewie i czekałam, aż instynkt macierzyński zabije pożądanie.

- A co powiesz o Jenny? Mogę zadzwonić do jej mamy?

- Nie.

- Słyszałam, że ma nową, wspaniałą zabawkę.

- Co?

- Nie jestem pewna. Chcesz pójść do niej i zobaczyć?

- Och, dobrze.

Zanim zdążył zmienić zdanie, zadzwoniłam do nieciekawej matki nudnej, małej Jenny.

Czterdzieści minut później siedziałam w dodge'u Sharpe'a. Czekaliśmy na zmianę świateł. Nikt nie może mnie do tego zmusić, myślałam. Mogę mu powiedzieć, że cudzołóstwo uważam za moralnie odrażające. Mogę powiedzieć, że potrzebuję czasu, żeby rozwiązać swoje problemy z Bobem. Co chwila otwierałam i zapinałam torebkę. Słuchaj, Nelson - mogłam powiedzieć - pozostajmy przyjaciółmi.

- Co będzie - zaczęłam chrapliwym i obcym głosem - jeśli zmienię zdanie?

Sharpe wjechał na krawężnik.

- Chcesz zmienić zdanie? - spytał spokojnie.

- Nie wiem. Co będzie, jeśli zechcę?

- Zawrócę i odwiozę cię do domu.

- Tak po prostu? Bez żadnych wymówek? Nie mogę w to uwierzyć.

- Czego się po mnie spodziewasz? Sądzisz, że uderzę cię w głowę i dobiorę się do ciebie, kiedy będziesz nieprzytomna?

- Nie przestaniesz się do mnie odzywać? - spytałam.

- Nie. Nie wiem. Pewnie byłbym rozczarowany albo zraniony, ale nie przestałbym z tobą rozmawiać. Chociaż pewnie potrzebowałbym kilku dni na wylizanie ran.

Przerwał i wziął moje ręce między swoje wilgotne dłonie.

- Judith, lubię cię. Chcę pójść z tobą do łóżka, ale jeśli to okaże się zbyt trudne dla ciebie, nie będę nalegał. Nie zależy mi na tym, żeby cię zdobyć. Ty sama musisz podjąć decyzję.

- Ja muszę ją podjąć?

- Ja już się zdecydowałem. Nie mam żadnych wątpliwości. Przesunęłam dłonią po desce rozdzielczej.

- Co będzie, jeśli nam się nie uda? Jeśli uznasz mnie za najnudniejszą kochankę świata?

- Odwróć się plecami i usnę. Szturchniesz mnie, kiedy będziesz chciała wracać do domu. Judith, uspokój się. Co będzie, jeśli mnie się nie uda? Co wtedy zrobisz?

- Och! - odparłam z wielką ulgą. Pogłaskałabym go po głowie i powiedziała, że takie rzeczy czasem się zdarzają; szczególnie, kiedy mężczyzna jest podenerwowany. Uśmiechnęłabym się bez szyderstwa, ze współczuciem. Ale jeśli ma tak być, to po co jadę?

- I co?

- Jedź - powiedziałam. - Za dwie godziny muszę być w domu.

Blok, w którym mieszkał jego kolega, znajdował się w mieście, jakieś osiem kilometrów na południe od Shorehaven. Był to pięciopiętrowy budynek z czerwonej cegły. Po lewej stronie znajdował się sklep mięsny, a po prawej salon kosmetyczny. Adres - duża dwójka i Dwudziesta Piąta ulica - wypisano mosiężnymi literami na szklanych drzwiach wejściowych. Poniżej adresu zauważyłam nazwę domu.

- Wersal? - spytałam. - Naprawdę nazywa się Wersal?

- W korytarzu na dole jest mnóstwo luster. Zaparkowaliśmy za budynkiem i weszliśmy tylnym wejściem.

- Byłeś już tutaj? - spytałam.

- Oczywiście. Kolega wynajął to mieszkanie po rozwodzie. Chciał być blisko dzieci.

- Odwiedzałeś go tu?

- Nie. Dał mi klucz, żebym w te dni, kiedy on pracuje, mógł przychodzić tutaj z różnymi kobietami, z którymi chcę się przespać. Judith, to mój przyjaciel; kumpel, z którym chodziłem do szkoły średniej. Oczywiście, że go odwiedzałem. Po rozwodzie był kompletnie załamany.

- Dlaczego się rozwiódł?

- Jego żona puszczała się na prawo i lewo.

Wcisnął guzik przy windzie i drzwi natychmiast się otworzyły.

- Wejdz pierwsza - powiedział. W milczeniu wjechaliśmy na czwarte piętro. Opiekę nad dziećmi, mimo wszystko, przyznano żonie tego przyjaciela, pomyślałam.

Nadal milcząc, poszliśmy wyłożonym niebieskim dywanem korytarzem do mieszkania numer 4E. Pod dzwonkiem zobaczyłam nazwisko przyjaciela, wypisane zgrabnymi, białymi, drukowanymi literami na czarnej, plastikowej tabliczce: Greenberg. Przynajmniej, myślałam, zerkając na malutki nos Sharpe'a, nie jest antysemitą. Otworzył drzwi i puścił mnie przodem.

- Och, zapomniałem ci powiedzieć - oświadczył - że zadzwoniłem do biura po tym, jak wyszedłem od ciebie, i dowiedziałem się, że są już wyniki ekspertyzy dotyczącej szydła.

- Powiedz.

Usiadłam na niewielkim, zielonym krzeselku, pasującym do kanapy w dużym pokoju Greenberga; była to błotnista zieleń z odcieniem brązu, często spotykana w motelach, urzędach państwowych i mieszkaniach do wynajęcia. Nie znać na niej brudu, dzięki czemu wytrzymuje często zmieniających się lokatorów.

- Mają niemal całkowitą pewność, że jest to narzędzie, którym dokonano zbrodni - powiedział Sharpe, nadal stojąc. - Nie było dość krwi, żeby dało się zrobić badania, ale długość krwawej plamy dokładnie odpowiada długości rany.

- To ciekawe.

Wymieniliśmy uśmiechy. Potem odchrząknęłam; nasze umysły były całkiem trzeźwe. Przypomnieliśmy sobie, po co przyjechaliśmy do mieszkania Greenberga. Sharpe wziął mnie za rękę i pomógł podnieść się z krzesła. Przez chwilę staliśmy w pełnym skrępowania milczeniu.

- Judith - szepnął w końcu i zaczął mnie całować - kto to zrobił?

- Nie mam pewności. Czy po to przyjechaliśmy tutaj? Żebyś wszystko ze mnie wyciągnął?

- Nie. Dlatego - powiedział powoli - że jesteś urocza.

- Ty też jesteś uroczy - szepnęłam później, kiedy leżałam obok niego w łóżku Greenberga i głaskałam jego brzuch. Włosy na głowie miał całkiem siwe, ale na klatce piersiowej brązowoszare; jeszcze niżej robiły się coraz bardziej brązowe, ciemne i kręcone, jakby jego umysł dojrzał i okrył się patyną o wiele lat wcześniej niż genitalia.

- Mogłabym ci wiele powiedzieć - zaczęłam.

- Wiem - odparł łagodnie i zaczął całować końce moich palców.

- Chcę ci powiedzieć. Myślałam, że będzie strasznie.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Sama nie wiem. Bałam się, że wpadnę w panikę i będę cała sztywna, albo coś takiego.

- Coś takiego?

- Myślałam, że pod tą ujmującą fasadą kryje się drżący, pełen strachu wrak człowieka i że nie dasz sobie rady.

Zaśmiał się głośno, aż echo odbiło jego głos od szafy Greenberga, na której stały woda Brut i dwa oprawione w pleksi zdjęcia córek.

- Chciałam ci powiedzieć, że nie mam o to żalu.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Myślałam, że nie jesteś obrzezany i że może mi się to nie spodobać. Albo że spodoba mi się za bardzo.

- Oberżnęli mi to, zanim zdążyłem dorosnąć i zgłosić sprzeciw. Nie jestem bardzo egzotyczny, prawda?

- Wszystko jest dokładnie tak, jak powinno.

- Wiesz co? - spytał, przytulając mnie mocno. - Od lat nie zdarzyło mi się nic równie cudownego. Wiesz?

Położyłam głowę na jego ramieniu w nadziei, że okaże się to wystarczającą odpowiedzią.

- Judith, mów do mnie.

- Byłeś wspaniały - odparłam.

- Ty też. Jezu, potrafisz cudownie się poruszać. Mów do mnie. Powiedz, o czym myślisz.

- O czym myślę?

- Tak.

- Myślę - powiedziała - że jestem zbyt szczęśliwa, żeby myśleć. Wiesz, spodziewałam się czegoś zupełnie innego.

- Powiedz mi, czego się spodziewałaś? - nalegał, otulając moje pośladki dłońmi i lekko je gładząc.

- Zakładałam, że będzie szybko, schludnie i że doznam tylko ulgi.

- Na początku miałem wrażenie, że się spieszysz.

- Wiem. Potem, kiedy trochę zwolniłam tempo, zdziwiło mnie, że przez cały czas byliśmy na sobie skoncentrowani. Wydaje mi się, że miałam nadzieję, iż seks będzie niezależny od wszystkiego, co czuję, i że dzięki temu łatwiej sobie z tym poradzę. Seks: czysty i prosty.

Odsunęłam się trochę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Nelsonie, w pewnym sensie robiłam to, o co oskarżałam ciebie: szukałam szybkiego rozładowania. Wyszło jednak inaczej i cieszę się z tego. Teraz nie chcę już o tym rozmawiać, dobrze?

- Dobrze. Porozmawiamy o tym jutro.

- Jutro jest sobota - powiedziała.

- Cholera.

Ubieraliśmy się powoli, pomagając sobie przy zapinaniu suwaków i guzików, odsuwając jak najdłużej myśl o długim, zimnym weekendzie.

- Pracujesz jutro? - spytałam w drodze do domu.

- Rano pewnie tak. Obiecałem dzieciakom, że po południu zabiorę je na lodowisko.

- Jeździsz na łyżwach?

- Pewnie. A ty?

- Kiedyś jeździłam - powiedziałam.

Wysadził mnie przed domem, jakieś pięć minut przed przyjazdem autobusu szkolnego Kate. Kiedy jechałyśmy po Joeya, zaczęła mnie wypytywać. Dlaczego tata jest zły? Czy ja jestem zła na tatę? Kaszlnęłam i odrobina nasienia Nelsona spłynęła mi na majtki. Czy weźmiemy z tatą rozwód? Bała się; udawała, że to zwykła rozmowa, ale głos jej drżał. Staralam się podtrzymać ją na duchu: ludzie czasem mogą być na siebie bardzo źli, nawet jeśli się kochają.

- Czy ty nigdy nie złościsz się na mnie, Kate? Wiesz, tak na poważnie?

- Chyba tak. Ale to co innego. Tata wcale się do ciebie nie odzywa. Wtedy, kiedy poszliśmy do restauracji, prawie na ciebie nie patrzył. Wiem, mamó. Widziałam.

- Wiem, że widziałaś, Kate. Postaraj się nas zrozumieć; kiedy dwoje dorosłych całymi latami mieszka razem, czasem działają sobie na nerwy. Jeśli ja bardzo chcę zrobić coś, co wydaje mi się niezmiernie interesujące, a tata nie chce, żebym to robiła, to kto ma rację? Kto jest szefem?

- Ty jesteś szefem - odparła. Dobrze ją wychowałam.

- Właśnie. Kiedy nie ma między nami zgody, mogą pojawić się trudności.

- Wiem. Ale to było dziwne. Tata nie krzyczał na ciebie.

- Wszystko będzie dobrze. Nie martw się, kochanie. Kate wyglądała przez okno.

- Czy wy się jeszcze kochacie?

- Oczywiście, że się kochamy. Gdybyśmy się nie kochali, nie zależałoby nam na sobie i nie złościlibyśmy się. Prawda?

- Nie wiem - powiedziała cicho.

Wieczór z pewnością przyniósł jej ukojenie. Bob wrócił do domu i przemówił:

- Cześć, Judith.

Pocałował mnie lekko, prawie nie dotykając mojego policzka.

- Jak ci zleciał dzień?

- Nieźle - odpowiedziałam, cudem nie wypuszczając z rąk miski z sałatką.

- Zgadnij, kto wczoraj umarł - rzucił radośnie. - Sam Brown. To znaczy, że jego księgowy nie będzie już podliczał słupków.

- Pogrzeb był o jedenastej, ale miałem spotkanie.

- Przykro mi. Podałam kolację.

- Wiele bym dał, żeby wiedzieć, o czym myślisz - powiedział później, sącząc kawę.

Zastanowiłam się, czy nie odpowiedzieć całusem, czy nie podejść, usiąść mu na kolanach i na koci sposób potrząść nosem o jego nos.

- W sprawie Flecksteina pojawił się nowy wątek. Staram się coś z tego zrozumieć.

Walnął dwiema pięściami w stół.

- Dzieci - wycedził przez zaciśnięte zęby - możecie pójść pobawić się na dworze.

- Jest już ciemno, tato - poinformowała go Kate.

- I zimno - dodał Joey.

- Och. W takim razie zejźcie na dół i pooglądajcie telewizję. Dzieci, ociągając się, wyszły z jadalni i rzucając na nas podejrzliwe

spojrzenia, poszły w głąb korytarza.

- Co to ma znaczyć? - chciał wiedzieć Bob. - Myślałem, że już po wszystkim.

- To znaczy po czym? - spytałam. - Po sprawie Flecksteina? Myślałeś, że została zakończona?

- Myślałem, że przestałaś się tym zajmować.
- Mówisz poważnie? Skąd to wiedziałeś?
- Przez kilka dni nic nie mówiłaś, więc myślałem...
- Chciałabym ci coś powiedzieć - odezwałam się radośnie. - Gdybyś wysilił pamięć, z pewnością zauważyłbyś, że przez kilka ostatnich dni prawie nie było cię w domu. Bywałeś na krótko i tylko w czysto fizycznym sensie. Nie odzywałeś się. Nie słuchałeś, co miałam ci do powiedzenia. Potem jechałeś do swojego biura i miałam z tobą kontakt jedynie przez przyglupią sekretarkę, która twierdziła, że masz jakieś spotkanie, podczas gdy ty w tej samej chwili prawdopodobnie pochylałeś się nad nią i przyciskałeś ucho do słuchawki, żeby dowiedzieć się, jak zareaguję na wiadomość o rozwoju twojej błyskotliwej kariery. Nie mów mi więc, że...

Głos powoli zamarł mi w gardle. Cała złość na Boba zbladła i wyparowała. Mam! Sprawa Flecksteina. Teraz rozumiem.

- Jeśli sądzisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak słuchać twoich rozmów z moją sekretarką, która, nawiasem mówiąc, jest bardzo miłą osobą, to najwyraźniej zwariowałaś.

Wstałam i zajrzałam do kuchni.

- Przepraszam. Muszę zadzwonić.

Weszłam do kuchni i na zmywarce do naczyń znalazłam torebkę. Wygrzebałam z niej kawałek papieru, na którym Nelson zapisał swój numer telefonu.

- Wydział zabójstw, detektyw Dugan - odezwał się straszny, nosowy głos.

- Proszę z porucznikiem Sharpe'em.

- Nie ma go w biurze. Pani w jakiej sprawie?

Bob został w jadalni przy stole; mieszał palcem wskazującym w filiżance i robił czarne kropki z kawy na spodeczku.

- W sprawie Flecksteina. Mogę prosić, żeby do mnie zadzwonił? Podałam swój numer.

- Czy mogę pani pomóc?

Może ten człowiek zabawiał się wypróbowywaniem różnych głosów, o których słyszał na wykładach, ponieważ teraz mówił zdecydowanie gardłowo.

- Nie, dziękuję. Wolę rozmawiać z porucznikiem. Życzyliśmy sobie miłego wieczoru. Wróciłam do jadalni.

- Bob, proszę, posłuchaj. Właśnie przyszedł mi do głowy świetny pomysł związany z tą sprawą. Proszę. Przepraszam, że przed chwilą byłam taka wredna. Posłuchaj mnie.

Wstał, dłońmi oparł się o stół i chrząknął, jakby miał zamiar przedstawić listę czcigodnych gości, którzy przemówią po obiedzie:

- Judith, to mnie nie interesuje. Jestem zmęczony. Przez cały tydzień ciężko pracowałem. Idę do łóżka.

Zerknęłam na zegarek.

- Nie ma jeszcze ósmej.

- Powiedziałem, że jestem zmęczony.

Wyszedł w wielkim stylu: z brodą uniesioną wysoko, sztywnie stawiając długie nogi. Możliwe, że to, co stanowiło jego wnętrze, zostawił na studiach, ale nadal był w doskonałej formie.

- Dobranoc! - zawołałam za nim.

Byłoby o wiele lepiej, pomyślałam, gdyby Sharpe zadzwonił, kiedy będę sama z brudnymi naczyniami, niż kiedy zanurzę łokcie w mętnej wodzie, próbując domyc uszy Joeya. Zawołałam dzieci, umyłam je szybko, nie dając czasu na wołanie, że mydło szczypie w oczy, i położyłam je do łóżek. O ósmej piętnaście znów byłam na dole i zeskrobywałam z talerzy zwiędłą sałatę, kawałki pieczonych ziemniaków i challah oraz zaschłe kawałki szarlotki. W jadalni płonęły szabasowe świece, rozjaśniając pokój

romantyczną poświatą. Ósma siedemnaście. Może Sharpe wysłał dzieci do kina i dobiera się teraz do June? Po naszym popołudniowym spotkaniu? Czemu nie? Ma bujny temperament. Na co liczę? Na nieśmiertelny podziw? Przysięgę wiecznej wierności?

Telefon milczał do dziewiątej trzydzieści. O tej godzinie leżałam na podłodze w piwnicy i po raz kolejny słuchałam, jak Sinatra śpiewa: You Go to My Head.

- Judith - powiedział.

- Och, cześć - odparłam, z najwyższym wysiłkiem osiągając zwyczajny, spokojny ton głosu. - Dużo myślałam.

- O tej sprawie?

- Tak, oczywiście.

- Najpierw porozmawiaj ze mną - nalegał łagodnie. - Powiedz mi, o czym myślisz.

- Myślę - szepnęłam - o dentyście z dziurą u podstawy czaszki. Proszę, Nelson, posłuchaj.

- Dobrze, ale najpierw musisz powiedzieć mi coś miłego. Złożyłam dłonie w trąbkę, żeby lepiej słyszał mój szept.

- Myślę, że jesteś najbardziej sympatycznym, najpiękniejszym mężczyzną, jakiego spotkałam w swoim życiu, i chciałabym być teraz z tobą, dotykać ciebie.

- Dotykać mnie gdzie?

- U podstawy czaszki. Czy teraz możemy porozmawiać?

- Dobrze; mówiłaś poważnie, że jestem najpiękniejszym mężczyzną, jakiego znasz?

- Tak. Nie chcesz usłyszeć mojej błyskotliwej teorii?

- Strzelaj - powiedział normalnym głosem.

- Rozmawiałam z mężem o...

- Chcesz mi powiedzieć, że rozmawiasz o tej sprawie ze swoim mężem?

- Może zechcesz posłuchać?

- Przepraszam.

- Jak już mówiłam, rozmawiałam z mężem o pewnych problemach, związanych z jego błyskotliwą karierą i nagle głos zamarł mi w gardle.

- Co wtedy mówiłaś?

- Nelson, powiem ci, jeśli tylko dasz mi pół sekundy na wzięcie oddechu, zanim zacznę następne zdanie.

- Oddychaj szybciej.

- Dobrze. W każdym razie utknęłam na słowie „kariera”.
Cisza.

- Czy to ci coś przypomina?

- Cicho - warknął. W czasie, kiedy Sharpe myślał, ja zaczęłam chodzić z telefonem po pokoju. Podniosłam z podłogi papieraek po gumie i kopnęłam ciężarówkę Joeeya.

- Judith - powiedział radośnie. Zamarłam przed telewizorem. - Myślę, że wiem, co chcesz powiedzieć. Cholera, jesteś straszliwie inteligentna.

Zaśmiał się radośnie.

- Opowiedz mi wszystko własnymi słowami, powoli. Usiadłam w skórzanym, wygodnym fotelu, podniosłam nogi do góry

i głęboko odetchnęłam.

- Dobrze. Jaka wspólna cecha łączyła wszystkie kobiety Flecksteina? Nie były w jednym typie. Nie miały podobnego pochodzenia ani osobowości, prawda? Łączyło je tylko jedno: ich mężowie robili karierę. Każda z nich miała za męża człowieka obrotnego; wszystkie, z jednym wyjątkiem. Rozumiesz?

- Brenda Dunck - powiedział Sharpe. - Judith, podobasz mi się.

- Bądź poważny.

- Mówię czysto służbowo. Podobasz mi się też pod innym względem, ale to zachowam na nasze następne spotkanie. No, mów.

- Dobrze. Dicky Dunck był w opinii rówieśników nieudacznikiem. Od Normy dowiedziałam się, że próbował różnych rzeczy, zanim otworzył drukarnię. Ojciec stale pożyczał mu pieniądze i dlatego Norma dostała resztę majątku w spadku. Pamiętasz? Mówiłam ci o tym. Od kogoś innego dowiedziałam się, zapomniałam ci to powtórzyć, że Dicky'emu nie szło najlepiej i musiał pożyczyć pieniądze z banku, żeby mieć na wypłaty.

- Zapomniałaś mi powiedzieć? Święty Jezu Chryste, Judith, od kilku tygodni dwóch ludzi szuka takich informacji po wszystkich bankach. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Przepraszam. Uspokój się.

- Dobrze - powiedział spokojniej. - Mów dalej.

- Fakt, że potrzebował pożyczki, wskazuje na to, iż historia znów się powtarza: znów mu nie idzie, chociaż twierdzi, że to tylko drobne kłopoty z płynnością. W grę wchodzi tu jeszcze inne sprawy, ale o tym później. W każdym razie możemy uznać, że w interesach mu nie szło.

- Tak.

- Dobrze. W takim razie, dlaczego Bruce zrobił wyjątek i zaczął dobierać się do żony człowieka, który według niego był nikim?

- Może napalił się na Brendę?

- Nie. Fleckstein był zbyt wyrachowany.

- Co masz na myśli? - spytał Sharpe. - Może od lat próbowała go uwieść i wreszcie zdecydował się skorzystać z okazji.

- Nie sądzę. Mimo że robił to, co robił, nie należał do nieopanowanych, niewyżytych facetów. Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, to widać, że uwodził z zimną krwią, metodycznie. Stale używał tej samej techniki: telefon, trochę komplementów, obiad. Pokaz siły.

- Pokaz - powtórzył. - Może masz rację. Możliwe, że więcej radości dawało mu zdobywanie niż konsumowanie zwycięstwa.

- Tak - powiedziałam, owijając na palcu kabel od słuchawki. - Właśnie z tego powodu nigdy nie pozwolił sobie na to, żeby ktoś zawładnął jego uczuciami. To nie leżało w jego naturze. Teraz następna sprawa. Jeśli wierzyć Normie, a moja znajoma, Mary Alice, potwierdza to, zawsze skrupulatnie chronił rodzinę. To nie stoi w sprzeczności z jego grą; nigdy nie angażował się emocjonalnie w związki z innymi kobietami. Przed jedną z randek zadzwonił do Normy i powiedział, że jedzie do kliniki. Zawsze miał dla siebie dobre wytłumaczenie. Nie chciał narażać na szwank małżeństwa. Starał się być kochającym mężem i oddanym ojcem. Tak? Dlaczego więc zaryzykował, nawiązując romans ze swoją szwagierką? To było bardzo niebezpieczne. Zbyt blisko domu. Sharpe głęboko westchnął.

- Rozumiem. Chcesz powiedzieć, że Fleckstein miał konkretny powód, żeby przespać się z Brendą. Nie myślał o seksie, tylko o intrydze. Pójdźmy krok dalej. Czego od niej chciał? Próbował ją szantażować? Dlaczego? - Znowu westchnął. - Jeśli chciał ją szantażować, to dlaczego na wszystkich zdjęciach miała tę cholerną maskę?

- Po pierwsze, nie wiemy, jakie zdjęcia zabrał morderca. Mogły być inne, bez maski. Po drugie, Fleckstein nie potrzebował twarzy, żeby osiągnąć to, co chciał. Pomyśl, Nelson. Jej ciało jest niezwykle. Szwy, wąziutka talia. Boże, ile bym dała, żeby mieć taką talię.

- Uwielbiam twoją talię - powiedział. - Jest doskonała.

- Jesteś uroczym mężczyzną - szepnęłam. - No, dość tego. Wracajmy do naszej sprawy. Bruce'owi z kilku przyczyn nie zależało na twarzy Brendy. Po pierwsze, nie chciał budzić jej podejrzeń, chociaż ona jest tak ograniczona, tak łatwowierna,

że pewnie zgodziłaby się złożyć na zdjęciach swój autograf. Po drugie, nie potrzebował twarzy, ponieważ wiedział, że osoba, której chce pokazać zdjęcia, natychmiast rozpozna jej ciało.

- Wiedziałem, że to powiesz - stwierdził.

- Skoro wiesz, to po co ja to wszystko mówię?

- Ponieważ chcę mieć pewność, że dokładnie ciebie rozumiem. I żebyśmy mogli nawzajem wymienić myśli.

- Dobrze - przystałam. - Ale tutaj nie mam pewności. Wydaje mi się, iż powiedział Brendzie, że jeśli ona mu nie pomoże, to pokaże zdjęcia Dicky'emu. Ale czego się po niej spodziewał? Sądził, że skłoni Dicky'ego, żeby odmówił współpracy z Urzędem Skarbowym?

- Chyba nie - powiedział Sharpe. - Słuchaj, Judith, w czasie, kiedy Fleckstein został zabity, sprawa znajdowała się już w sądzie. To znaczy, że dochodzenie zostało zakończone. Bomba miała wybuchnąć. Wtedy Fleckstein dowiedział się od jednego ze znajomych, że jego szwagier pracuje dla Urzędu Skarbowego.

- Właśnie. To samo powiedziała mi Norma. Przypadkiem spotkał faceta, który powiedział mu, że Dicky donosi.

- Fleckstein miał mało czasu. Musiał powstrzymać Duncka przed złożeniem zeznań. Może apelował do rodzinnej lojalności, ale Dunck go nienawidził. Zresztą, gdyby Dunck miał w sobie odrobinę lojalności, nie złożyłby doniesienia, prawda?

- Delikatnie mówiąc - zgodziłam się. - Dicky nienawidził Bruce'a, bo ten nie chciał oddać ani grosza z majątku teścia. Z tego, co mówiła Norma, zrozumiałam, że ona zgodziłaby się oddać mu co nieco, ale Bruce jej nie pozwolił. Och, przypomniałam sobie. Kiedy Dicky starał się o kredyt, prosił Bruce'a, żeby został jego żyrantem, ale Bruce odmówił.

- Skąd o tym wiesz, Judith? - spytał dość spokojnie.

- Od pracownika banku.
- Co?
- Fay Jacobs, ta urocza kobieta, na punkcie której miałeś obsesję, jest żoną pracownika Shorehaven National.
- Racja. Sprawdziłem ją. Jezu, jesteś niezwykła.
- Ty też - powiedziałam cicho i pokręciłam głową, jakbym chciała odpędzić zamroczenie, przeszkadzające mi myśleć. - Boże, przez to pogmatwanie spraw między nami zachoruję na schizofrenię. Wróćmy do tematu.
- Ja mogę wrócić.
- Wiem, ale ja nie mogę uwolnić się od napięcia między rozsądną dedukcją a nieokiełznanym pożądaniem. W każdym razie było tak, Dicky nienawidził Bruce'a Flecksteina. Nie miał zamiaru wycofać zeznań, ponieważ chciał, żeby Bruce cierpiał. Jestem tego pewna.
- Ja też. Fleckstein miał dwie możliwości do wyboru. Mógł pozwolić, żeby jego szwagier nadal paplał i poszedłby do więzienia albo musiał znaleźć sposób na uciszenie Duncka. Musiał pokazać swoją siłę, a silny był tylko w jednym, w seksie. Jak zwykle zrobił zdjęcia, a owoce tego przedsięwzięcia pokazał Dunckowi. To załamało Duncka. Fleckstein mógł też zagrozić, że ma mnóstwo zdjęć i że jeśli Dunck nie zamilknie, zdjęcia rozejdą się po mieście. Jeśli masz rację co do Duncków, jeśli rzeczywiście zależy im na pozycji społecznej, to byłaby to dla nich katastrofa.
- Więc ty też myślisz, że Dicky go zabił? - powiedziałam powoli.
- Tak, ale jest mnóstwo brakujących ogniów. Muszę je odnaleźć. Proszę, żebyś mi pomogła. Zgodzisz się?
- Oczywiście.
- Dobrze. Chcę się z tobą jutro spotkać. Czysto służbowo, Judith. Chciałbym, żebyś porozmawiała z Brendą. Sprawdź, ile wie. Poznaj ją trochę. Upewnij się, czy nie próbuje osłonić

siebie i jednocześnie pozbyć się męża. Może być mądrzejsza, niż sądzisz. To nie jest normalna procedura, ale jeśli zechce z tobą rozmawiać, zaoszczędzi nam to mnóstwo czasu.

W tym momencie oczami wyobraźni zobaczyłam siebie, Boba i Sharpe'a, jak siedzimy przy kuchennym stole w mroźny, niedzielny poranek, popijamy gorącą kawę i oglądamy zdjęcia.

- Jutro nie. Mój mąż będzie w domu.

- Jak to? - spytał. - Judith, nie zamierzam wdawać się w perwersyjne zabawy. Co ty sobie myślisz? Sądzisz, że stanę między tobą a twoim mężem, żeby posłuchać, które z was będzie głośniej krzyczało? Słuchaj, może spotkamy się u mnie w biurze? Dobrze?

- Jak sobie to wyobrażasz?

- Nie rozumiem - powiedział. Rzeczywiście nie rozumiał.

- Chodzi mi o to, co mam powiedzieć mężowi?

- Nie wierzę własnym uszom. Potrzebujesz pisemnej zgody męża; potwierdzenia, że Judith Singer może odwiedzić budynek policji?

Natychmiast dostrzegłam inną przeszkodę.

- Co będzie, jeśli on jutro pójdzie do pracy? Kto zostanie z dziećmi?

- Może znajdziesz opiekunkę do dzieci?

- Nie wiem - powiedziałam niepewna.

- Zapłacę za to.

- Stać mnie na opiekunkę do dzieci - stwierdziłam.

- Więc o co chodzi?

- Spotkajmy się jutro. Około dziesiątej?

- Dobrze - powiedział i podał mi adres.

- Dobrze.

- Albo niech będzie jedenasta. Zdążę przedtem zabrać dzieci na ślizgawkę.

Pożegnaliśmy się, a potem na paluszkach zakradłam się na górę. Po schodach wchodziłam tuż przy samej poręczy, żeby uniknąć skrzywienia stopni. Obawiałam się, że zastanę Boba w przedpokoju, zdrtwiałego z wściekłości po tym, co udało mu się podsłuchać z rozmowy telefonicznej. „Ty dziwko, ty kurwo” - zaskrzeczy z twarzą wykrzywioną złością. A może zachowa się obojętnie, po miejsku, i otulony brązowym płaszczem kąpielowym powie: „Wiesz, skarbie, cieszę się, że znalazłaś sobie czas na ponadplanowe zajęcia. Zacząłem już myśleć, że tylko ja czuję potrzebę poszerzenia horyzontów”.

Oczywiście, Bob smacznie spał. Spod kołdry wystawały mu stopy z palcami skierowanymi do środka, mimo że matka aż do końca szkoły średniej zmuszała go do noszenia butów ortopedycznych. Rozebrałam się w ciemnościach i wsunęłam do łóżka. Nie poruszył się nawet.

Nie było też widać, żeby jakoś specjalnie zareagował rano, kiedy powiedziałam mu o spotkaniu z Sharpe'em. Wzruszył ramionami i stwierdził:

- Rób, co chcesz.

- Mam wrażenie, że według niego, chyba rzeczywiście jestem na dobrym tropie - wyjaśniłam.

- Oczywiście - powiedział, nalewając sobie soku pomarańczowego. Zostawiłam swoje płatki zbożowe, żeby namiękły, i poszłam się na

górze ubrać. Co wypada włożyć na policję? Co zaś na spotkanie z kochankiem? Dzinsy są zbyt nieformalne, ale Bob mógłby zastanawiać się nad tym, dlaczego stroję się na dyskusję o morderstwie. Wybrałam więc niezawodne szare spodnie i żółty, kaszmirowy sweter, który kupiłam w przerwie między koncertami podczas festiwalu w Edynburgu w 1965 roku. Machając Bobowi na pożegnanie i pobrzękując kluczykami od samochodu, myślałam, że wyglądam bardzo porządnie, stanowczo i uroczco, a jednocześnie zwyczajnie.

- Cześć. Świetnie wyglądasz - szepnął Sharpe, wstając, żeby mnie przywitać. - Dzień dobry, pani Singer - powiedział głośno, ściskając moją dłoń. Zamknął drzwi. Jego biuro było niemal dokładnie takie, jak się spodziewałam: ściany kremowe, a nie zielone, ciężkie, drewniane biurko i kilka drewnianych krzeseł z plastikowymi poduszkami, szary ekspres do kawy i dwa plastikowe kubeczki.

- Bardzo tu miło - powiedziałam, rozglądając się. - Sympatycznie, chociaż brak wszelkich ozdób.

- Dziękuję, pani Singer - odparł.

- Nie ma za co, poruczniku. Co mogę dla pana zrobić?

- Chcę, żebyś wycisnęła z Brendy Dunck tyle, ile się da. Upewnij się, czy nie popełniłaś błędu, biorąc ją za osobę tak mało rozgarniętą.

Siedział na biurku z rozstawionymi nogami i wspierał się na rękach.

- Pojedziemy za tobą, ale tak, żeby nie było nas widać. Owiniemy cię przewodami, żebyśmy słyszeli, co się tam dzieje. Nie chcę żadnych niespodzianek. Całą godzinę przekonywałem kapitana, żebyśmy skorzystali z pomocy cywila. To dość niezwykle. Jeśli coś ci się stanie, Judith, zapłacę za to, więc musisz bardzo uważać.

- Czy owijanie mnie przewodami nie jest przesadą?

- Judith, to jest śledztwo w sprawie morderstwa. Nie mogę cię tam posłać tak zwyczajnie. Nie mam co do Brendy Dunck pewności i nie chcę podejmować najmniejszego ryzyka. Nie posiadasz broni i mogłabyś krzyknąć do usranej śmierci, a i tak bym cię nie usłyszał. Rozumiesz?

Poruszyłam się na krześle. Proste oparcie zmuszało do przyjęcia niewygodnej pozycji.

- Dobrze, ale nie dzisiaj. Właśnie sobie to uzmysłowiłam.

- Dlaczego? - spytał zdenerwowany. - Dlaczego mamy to odkładać?

- Z dwóch powodów. Brenda zadzwoniła do mnie kilka dni temu, żeby zawiadomić, iż mogę rozmawiać z Normą. Mówiła też, że wyjeżdżają z Dickym na kilka dni. Nawet nie wiem, czy już wrócili.

- Sprawdzę.

- W dodatku lepiej będzie, jeśli porozmawiam z nią w cztery oczy, nie sądzisz? Dzisiaj Dicky będzie pewnie w domu. Może lepiej poczekać do poniedziałku, kiedy pójdzie do drukarni.

- Chyba tak - zgodził się Sharpe. - Chcę, żebyś była owinięta przewodami, Judith. Nie sprzeczasz się ze mną. Zaufaj mi.

- Dobrze, ale nie sądzę, żeby ona była niebezpieczna. Nelson, to nie książka, w której mordercą okazuje się osoba najmniej podejrzana. Mordercą jest Dicky. Wszystko, co wiemy, wskazuje na to.

Sharpe zsunął się z biurka i zaczął krążyć po pokoju.

- Wiem. Rozumiem, ale nie mamy stuprocentowej pewności.

- Ja mam.

- Judith, nie ujmuję ci niczego, ale nie badasz morderstw tak długo jak ja. Zakładanie czegoś z góry jest bardzo niebezpieczne.

- Ja niczego nie zakładam. Po prostu myślę nad tym, co wypływa z jego charakteru.

Podniosłam się, zeszywniała od siedzenia na niewygodnym krześle, i stanęłam przed nim.

- Pomyśl o Duncku. Nieskuteczny. Niedojrzały. Rogacz. Prawda? Sharpe kiwnął głową.

- Przypomnij sobie moją lodówkę.

- Twoją lodówkę? - powtórzył wolno.

- Tak. Pamiętasz, jak przyszedłeś do mnie pierwszy raz? Uśmiechnęliśmy się do siebie.

- Powiedziałaś mi, że podejrzewam, kto mógł to zrobić. Wiedziałaś wtedy i wiem teraz, że to Dicky Dunck. Wystarczy go posłuchać: mówi jak nastolatek, dla którego lata pięćdziesiąte jeszcze się nie skończyły. Ktoś inny napisałby: „Uważaj” albo: „Pilnuj się”, albo coś podobnego. Ale „O - de - pe”? Tylko on mówi takim językiem. Przedstawia się „Dicky”. Na Boga. Ty wiesz i ja wiem, że każdy normalny, dorosły człowiek przedstawiałby się Richard albo Rich, albo Rick, może Dick. To jeszcze dziecko, Nelsonie. Czy w sprawę jest zamieszana jeszcze jakaś osoba, która mówi tak jak on?

Sięgnął po moją dłoń, ale się powstrzymał. Jego biuro oddzielała od reszty szklana ściana.

- Masz rację, Judith. Naprawdę. Ale nie mogę go aresztować tylko dlatego, że na twojej lodówce ktoś napisał słowo, jakiego on używa. W poniedziałek rano owiniemy cię przewodami i pójdziesz tam, dobrze?

- Dobrze - zgodziłam się.

- No - powiedział. - Jest dopiero piętnaście po jedenastej i mamy ciepły dzień. Może się przejdziemy?

- Co zamierzasz?

- Możemy napić się kawy albo coś.

- Wolę coś. Nie mam ochoty na kawę. Uśmiechnął się.

- Będziemy musieli pójść do motelu. Wytrzymasz to?

- Tak.

- Dobrze. Mogę poprowadzić twój samochód? Swój pożyczyłem jednemu z naszych ludzi.

- Ja poprowadzę.

- Ale ja znam drogę.

- Możesz mnie pilotować.

Pojechaliśmy do motelu, jakieś piętnaście kilometrów na wschód. Uważałam, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości. Sharpe załatwił formalności i weszliśmy do pokoju.

- Judith.

- Tak?
- Obiecaj, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Nie pójdziesz do Brendy Dunck wcześniej, dopiero jutro, kiedy będę z tobą. Proszę.
- Dlaczego miałabym to zrobić?
- Ponieważ chcesz być niezależna. Obiecaj, że zaczekasz na mnie.
- Obiecuję.
- Jesteśmy w tym razem.
- Wiem - powiedziałam, kiedy ściągał mi sweter.

Rozdział 18

Plaster swędzi - skarżyłam się Sharpe'owi.

- Jesteś zdenerwowana.

- Oczywiście, że tak - syknęłam. - Jestem dość zamożną Żydówką z podmiejskiego osiedla, a nie zwariowanym terrorystą z granatem w zębach. Przychodzisz tutaj z policjantką, która okręca mnie kablem i mówi: „Jest pani bardzo odważna”. Potem udzielasz mi piętnastominutowego pouczenia, przestrzegając, żebym nie siadała na niczym miękkim ani na tapicerowanych krzesłach, żebyś miał pewność, iż odbiornik wyłapie moje krzyki i żeby, niech Bóg broni, żaden dźwięk nie został zdławiony. Czy w tej sytuacji spodziewasz się po mnie, że będę spokojna?

- Ćśś - powiedział, przytulając mnie. - Posłuchaj, gdyby ona zrobiła jakiś gwałtowny ruch, gdybyś zaczęła żywić choćby najłżejsze podejrzenia, zacznij mówić do niej „pani Dunck”. Normalnie mówisz „Brenda”, tak? - Kiwnęłam głową. - Dobrze. Jeśli usłyszę „pani Dunck”, będę wiedział, że mnie potrzebujesz i zjawię się tam w ciągu trzydziestu sekund.

Siedzieliśmy w kuchni i czekaliśmy, aż ludzie pilnujący Duncków dadzą znać, że Dicky wyszedł. Sięgnęłam do kieszeni džinsowej spódnicy - jedynej rzeczy wystarczająco obszernej, z dostatecznie dużymi kieszeniami, żeby ukryć w nich nadajnik - i namacałam włącznik. Miałam nacisnąć go w chwili, kiedy zadzwonię do drzwi.

- Przestań się tym bawić. Zostaw to w spokoju, na Boga.

- I ty twierdzisz, że ja jestem zdenerwowana? Nelson, to fatalny przykład projekcji: twoje nerwy są w strzępach. Odpręż się wreszcie. Nic mi nie będzie.

- Wiem, wiem. Przepraszam.

Przesłał mi nad stołem całusa, ale jego myśli były gdzie indziej. Wpatrywał się w karmnik w naszym ogrodzie.

- Słuchaj - powiedział, zwracając się do mnie - powtórzmy to jeszcze raz. Nadajnik jest sprawny, dlatego jeśli coś się stanie i choćby przez minutę nie będziemy cię słyszeli, natychmiast wkraczamy do środka. To znaczy, że musisz zacząć mówić w tej samej chwili, kiedy ona otworzy drzwi. Mam w dupie to, czy rozmowa będzie miała jakikolwiek sens; możesz recytować wiersze albo powiedzieć: „Cześć, Brenda. Udały ci się te numery”, albo jeszcze coś innego. Musisz mówić.

- Powiem jej, że jestem członkiem organizacji walczącej o prawa zwierząt i badam przypadki znęcania się nad nieszczęsnymi stworzeniami.

- Ona jest zbudowana jak luksusowy wychodek. Stary Prince miał szczęście.

- To była uwaga dyskryminująca kobiety.

- A jak nazwiesz zdjęcie, które widziałem?

- Skoro wydaje ci się taka piękna - powiedziałam zgryźliwie - to dlaczego nie spróbujesz swoich sił? Może będzie chętna.

- Judith, możesz się uspokoić?

- Odwal się.

Popatrzyłam na niego, a on wziął mnie za rękę. Siedzieliśmy tak mniej więcej pięć minut, aż zadzwonił telefon.

- To pewnie wasi ludzie. Odbierz.

- Słuchaj, to twój dom, ty odbierz. To może być na przykład Brenda.

Dzwonił sierżant Fuller. Pilnujący domu powiadomili go, że Dicky wyszedł pięć minut temu.

- Czy oni wiedzą, że śpiam z tobą? - zapytałam, wkładając płaszcz.

- Kto?

- Ludzie z twojego wydziału.

- Oszalałaś? Oczywiście, że nie.
- W takim razie, za kogo mnie mają?
- Za bardzo bystrą laskę, która pomaga mi rozwikłać tę sprawę.
- Dlaczego powiedziałaś „laska”?
- Daj spokój, Judith. Chodźmy.

Przyjechałam do Duncków o dziewiątej czterdzieści pięć. Sięgnęłam do kieszeni spódnicy, włączyłam nadajnik i nacisnęłam dzwonek. Cisza. Chciałam powiedzieć: „Nikogo nie ma w domu”, żeby Sharpe mnie usłyszał, ale uznałam, że gdyby Brenda otworzyła drzwi, mogłoby to wyglądać dość dziwnie. Zadzwoiłam powtórnie i zaczęłam nucić Yankee Doodle. Tym razem usłyszałam kroki. Drzwi się otworzyły.

- Cześć, Brenda. Przepraszam, że przeszkadzam, ale chciałabym z tobą porozmawiać.

- Nie szkodzi - odparła. - Wejdz. Sprzątałam i nie zdążyłam się jeszcze ubrać.

Było to oczywiste kłamstwo: oczy miała jeszcze obrzmiałe od snu, a nogi odmawiały jej posłuszeństwa, kiedy weszła do domu, otulając się granatowym szlafrokiem, którego nie zdążyła nawet zapiąć. Gdy doszliśmy do drzwi dużego pokoju, odwróciła się i spojrzała na mnie bez wyrazu.

- O co chodzi? - spytała.

Patrzyłam na nią; nie miałam ochoty zaczynać. Nieumalowana wydawała się zmęczona i blada, tylko krem, nałożony na noc, lśnił na jej twarzy. Na policzkach widać było drobniutkie, czerwone żyłki, a ślady kredki, tworzące dwie czarne kropki w kącikach oczu, sprawiały, że wyglądała, jakby miała lekkiego zeza.

- Chodzi o Bruce'a - powiedziałam.

- O Bruce'a - powtórzyła, mocniej owijając się szlafrokiem.

- Usiądźmy, proszę - zaproponowałam, wchodząc do pokoju. Wybrałam bujany fotel. Zdjęłam płaszcz i tak ułożyłam spódnicę, żeby nie przykrywała nadajnika. - Wiesz, że rozmawiałam z różnymi ludźmi - zaczęłam.

- Tak, chyba tak.

- Zdobyłam pewne informacje, o których powinnaś chyba wiedzieć. Czy mogę mówić?

Kiwnęła głową.

- Wiesz, że twój mąż donosił na Bruce'a. Przekazał wiadomość, że Bruce zarabia na dystrybucji pornografii.

Jej oczy otworzyły się szeroko ze zdumienia - a może tylko tak dobrze udawała. Wypuściła szlafrok z rąk tak, że rozsunał się nieco; odkrył nie - jak się spodziewałam - przezroczystą, niebieską koszulkę, ale skromną, białą, flanelową, z pączkami róż i czerwonymi lamówkami.

- Jak to? - spytała. - Skąd Dicky miałby o tym wiedzieć?

- Pamiętasz, powiedziałaś, że Bruce załatwił mu jakieś zlecenie? Wiesz, jakie to było zlecenie?

- Coś związanego z higieną jamy ustnej. Dla szkół.

- Nie - powiedziałam. - To była pornografia.

- Niemożliwe.

- Tak. Kiedy wspólnicy Bruce'a nie zapłacili mu tyle, ile obiecywali, Dicky zgodził się złożyć obciążające ich zeznania.

- Och, Boże! - Brenda złożyła dłonie, ściskając je tak mocno, że aż kostki zrobiły się białe. - Och, mój Boże!

- Czy Bruce mówił ci o tym?

- Bruce? Jak to?

Wpatrywała się w niebieski dywan, najwyraźniej niepewna, jak ze mną postąpić.

- Daj spokój, Brenda - natarłam, nie dając jej czasu na zastanowienie.

- Powiedział, to znaczy Bruce powiedział... - przerwała. Wbiłam w nią wzrok. - Bruce powiedział kiedyś, gdy

przypadkiem go spotkałam, że Dicky okazał się niewdzięczny, chociaż on tyle dla niego zrobił. Spytałam, co ma na myśli, a on odparł, że Dicky jest zbyt chciwy.

- I co dalej?

- Nic. Zmienił temat. Powiedział, że to nieważne i że nie chce mnie mieszać w te sprawy.

- Rozmawiałaś o tym z Dickym?

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ - mówiła powoli - ponieważ on nie lubi, żebym wtykała nos w jego sprawy.

- Dicky tak ci powiedział? Kiwnęła głową.

- Kiedy rozmawiałaś o tym z Bruce'em?

- Nie pamiętam. Naprawdę. Nigdy nie pamiętam, kiedy coś się zdarzyło.

- To było już po tym, jak zaczęliście ze sobą sypiać?

Całe jej ciało zadrżało, jakby nagle dostała wysokiej gorączki.

- Kto ci powiedział? - szepnęła.

- Co? - jęknęłam przestraszona, że nadajnik nie wyłapał jej głosu. Powtórzyła pytanie.

- Brenda - odparłam - nie mogę zdradzić, skąd o tym wiem, ale chcę cię pocieszyć. Jeszcze nikt o tym nie wie. Nikt cię nie skrzywdzi ani nie będzie szargać twojego dobrego imienia. Oni chcą wiedzieć tylko jedno: kto zabił Bruce'a. Rozumiesz? Przyszłam, żeby ci pomóc, powiedzieć ci tyle, ile wiem, i wysłuchać, co ty masz do powiedzenia. Słuchaj, nie zamierzam gadać głupstw, opowiadać, że jestem twoją przyjaciółką i że możesz mi bezgranicznie ufać.

Wiedziałam, że Sharpe'a to nie ucieszy, ale chciałam, żeby rozmowa była jak najbardziej szczerą. Gdybym udawała serdeczną przyjaciółkę, prawdopodobnie zamknęłaby się w sobie.

- Wiem, co się dzieje - ciągnęłam - i chcę ci pomóc. Dlatego proszę, żebyś mi wszystko opowiedziała.

Zrobiłam krótką przerwę i wzięłam głęboki wdech.

- Brenda, widziałam zdjęcia, które zrobił ci Bruce.

Zaczęła płakać. Bez głośnego zawodzenia; łzy cicho spływały po oleistej warstwie kremu na twarzy. Płakała i płakała. Wyjęłam z torebki chusteczkę i podałam jej.

- Brenda - powiedziałam, bardziej przez wzgląd na nadajnik niż na nią - opowiedz mi o tym.

- Nie mogę - szlochała.

- Brenda, nie przyszedłam po to, żeby cię osądzać. Jeśli będzie to dla ciebie jakąś pociechą, to wiele innych kobiet jedzie na tym samym, co ty, wozie.

Spojrzała na mnie; jej małe, ciemne oczy miały czerwone obwódki.

- To prawda. Bruce miał mnóstwo romansów i zrobił dużo zdjęć. Uwielbiał to i myślę, że dzięki temu potrafił przekonać wiele kobiet. Nie jesteś jedyna. Proszę, powiedz mi dokładnie, co się wydarzyło?

Siedziała wyprostowana i tylko jej dłonie były w ruchu: prawa ugniatała i ścisnęła lewą.

- Przysięgiesz, że nie powiesz o tym nikomu? - poprosiła. Musiałam szybko ocenić sytuację. W dosłownym sensie, nikomu tego nie powtórzę - wszystko zostanie bowiem nagrane i moje zeznania będą zbyteczne.

- Brenda, nie zamierzam o tym paplać na prawo i lewo. Boże, to mogła być każda inna kobieta, choćby ja.

Patrzyła z powątpiewaniem.

- To prawda. Nie rozniosę tego po Shorehaven. Mogę przysiąc. Przekażę tylko te informacje, które mogą mieć coś wspólnego z morderstwem. Mam w policji znajomego, który potrafi być dyskretny.

Oczywiście wyobraźni zobaczyłam Sharpe'a walącego pięścią w deskę rozdzielczą samochodu policyjnego i obrzucającego mnie przekleństwami.

- Teraz mów - nalegałam.

- Wiesz - powiedziała cicho - to wszystko zaczęło się jakieś dwa tygodnie przedtem, zanim... zanim został zamordowany.

- Możesz mówić głośniej? Mam lekki niedosłuch.

- Przepraszam. Powiedziałam, że to się zaczęło jakieś dwa tygodnie przedtem, zanim Bruce został zamordowany. To było tak: kiedyś rano zadzwonił do mnie i zaczął rozmowę. Wiesz, jak przyjaciel. Pytał, jak mi się żyje i tak dalej. Potem zaprosił mnie na obiad.

- Co konkretnie powiedział przez telefon?

Brenda poruszyła się lekko i przysiadła jak grzeczna dziewczynka, z wyprostowanymi plecami i złożonymi rękami.

- Nie pamiętam.

- Przypomnij sobie - nalegałam, nie popuszczając.

- Stwierdził, że przypomniało mu się, jak wyglądałam w kostiumie kąpielowym w zeszłym roku i jak... wołałabym o tym nie mówić.

- Nie jesteś w stanie mnie niczym zaskoczyć.

- Dobrze. Mówił, że moje ciało doprowadza go do szału i że mnie pragnie.

- A co ty na to?

- Powiedziałam... nic nie powiedziałam. Wiesz, byłam zaskoczona. Potem stwierdził, że wie, iż od lat darzę go takim samym uczuciem i że najwyższy czas przestać udawać. Wtedy zgodziłam się na spotkanie po południu. Tylko po to, żeby porozmawiać.

- To znaczy, że on ci się podobał? - spytałam.

- Trochę - odparła w taki sposób, że nie miałam wątpliwości; podobał się jej bardzo. - Spotkaliśmy się, zjedliśmy obiad i poszliśmy do motelu.

- I?

- I przespałam się z nim.

- Bez zdjęć?

- Nie, to było dopiero za trzecim czy czwartym razem. Chyba za czwartym. To znaczy, spotykałam się z nim codziennie. Czwartego dnia zadzwonił i powiedział, że Normy nie będzie w domu i że mogłabym przyjechać do niego.

Fleckstein musiał znaleźć się w strasznych opałach, pomyślałam. W sytuacji, kiedy wyrok skazujący wisiał tuż nad jego głową a kumple z mafii nie dawali mu spokoju, zdecydował się skalać swoje przytulne gniazdko.

- W jakim stadium znajdował się wówczas wasz romans?
- spytałam.

- Wiesz, powiedział, że mnie kocha. Pierwszego dnia, w restauracji, zdradził, że od lat jest moim cichym adoratorem i że jeszcze nie rozszedł się z Normą tylko z tego powodu, że ona jest siostrą Dicky'ego, co pozwala mu widywać się ze mną. - Mówiła szybko, jakby chciała prześliznąć się nad jaskrawą nieszczerością jego słów. - Przekonywał, że spotkania ze mną są dla niego bardzo ważne. Wiesz, powiedział, że zawsze mnie kochał, ale nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogę zwrócić na niego uwagę.

- Co sprawiło, że zmienił zdanie?

- Stwierdził, że wreszcie podjął decyzję: to nie może trwać dłużej. Musi mnie mieć albo wiedzieć na pewno, że nigdy nie zdecyduję się być z nim.

- A zdjęcia?

- Proszę - błagała - nie chcę już o tym rozmawiać.

- Daj spokój. Wiem, że to nie jest łatwe, ale bardzo ważne.

- Za trzecim razem, kiedy spotkaliśmy się w motelu, zaczął opowiadać mi o swoich fantazjach seksualnych.

- Jakie to były fantazje?

- Marzył o tym, że gwałci kobiety, którym uratował życie.

- Uratował?

- Tak. Wyciągnął je z ognia i tak dalej. Poza tym, że jest alpejskim pastuchem i robi to z pasterką i z owcami. Potem spytał o moje fantazje. Opowiedziałam mu o niektórych.

Wiedziałałam, że Sharpe przejdzie nad tym do porządku dziennego, ale myśl o innych mężczyznach, obserwujących dom i zanoszących się tłumionym śmiechem, zabolęła mnie.

- Następnego dnia poszłaś do niego do domu - powiedziałałam powoli - i był tam Prince.

- Ale nic się nie działo tak, jak się wydaje. Naprawdę; on, to znaczy pies, nie chciał tego robić. Tylko udawaliśmy. Wiesz, pies nie miał, nie miał - zniżyła głos - wzrodu.

Straszne rozczarowanie, pomyślałam.

- A co mówił o zdjęciach?

- On? Ach, Bruce. Chciał zapamiętać te chwile na zawsze. Jako symbol wzajemnego zaufania. Powiedział, że schowa je w sejfie, gdzie nikt ich nie zobaczy.

- Rozmawiał z tobą o Dickym?

- Nie. Tylko to, co już ci powiedziałałam, że Dicky jest chciwy. Zmieniłam pozycję, nie opuszczając bujanego fotela. Na prawym

biodrze czułam ciężar nadajnika.

- Nie pytał o Dicky'ego? O nic?

- Oczywiście rozmawialiśmy o Normie i o Dickym. Powiedział, że oboje mają zahamowania seksualne, ponieważ ich rodzice byli bardzo pruderyjni.

- Skąd wiedział, że Dicky ma zahamowania? Bruce pytał o wasze życie seksualne?

- Trochę o tym rozmawialiśmy. Czekałam.

- To znaczy, opowiedziałam mu o niektórych rzeczach. On mówił mi o Normie. - Spojrzała na swoją obrączkę. - Dlatego ja opowiadałam mu o Dickym. Mówiłam, że czasem niełatwo go podniecić. Wiesz, nie ma w tym nic niezwykłego.

- Czy on jest impotentem? Westchnęła.

- Tak, ale nie od początku. Dopiero od dwóch czy trzech lat.

- Wcale z nim nie sypiasz?

Mój głos brzmiał spokojnie, jakbym rozmawiała o częstym schorzeniu, chronicznym katarze, dokuczliwym bólu głowy.

- Nie. Może to moja wina, sama nie wiem. On mówi, że jestem zbyt wymagająca i że to studzi zapaly mężczyzny.

- Rozumiem. Kiedy widziałaś Bruce'a ostatni raz?

- W dniu, kiedy został zamordowany.

- Nie powiedziałaś o tym policji?

- Nie mogłam. Powiedzieliby Dicky'emu.

- Nie sądzę - stwierdziłam. - Opowiedz mi o tym. Czy coś było inaczej?

- Bruce był bardzo czuły i oddany. Powiedział, że chce pomyśleć nad naszą przyszłością. zaproponował, że powinniśmy przestać się widywać na pewien czas i zastanowić się, czy chcemy wziąć rozwód, żeby się pobrać. Mówił, że całe miasto trzęsłoby się od plotek, ale miłość byłaby dla nas ostoją. Obiecał, że za dwa tygodnie zadzwoni.

Wpatrywała się we mnie usilnie.

- Tak powiedział.

- Coś jeszcze? Pomyśl.

- Stwierdził, że dzięki mnie jego problemy zostały rozwiązane.

- Co miał na myśli?

- Spytałam go. Odparł, że jego życie nabrało nowego znaczenia.

- Czy coś jeszcze? Pomyśl.
 - Nie. To wszystko. Musisz mi coś powiedzieć. Gdzie widziałaś zdjęcia? Proszę. Musisz mi powiedzieć.
 - Policja znalazła je w jego gabinecie.
 - W sejfie? - spytała.
 - Nie wiem - skłamałam. - Widziała je tylko garstka najwyżej postawionych oficerów.
 - I ty.
 - Tak.
 - Współpracowałaś z policją, kiedy przyszłaś do nas poprzednim razem?
 - Nie, ale teraz współpracuję z nimi. To wydaje mi się ważne, a tobie?
- Nie odpowiedziała.
- A teraz powiedz, co Dicky mówił o Flecksteinie?
 - Nic.
 - Nic?
 - Nigdy go nie lubił. Mówił, że był agresywny i nigdy nie rozumiał, co Norma w nim zobaczyła. W pewnym sensie podzielałam jego pogląd. Bruce trochę rzucał się w oczy, z tymi głęboko porozpinanymi koszulami i łańcuszkami, ale w głębi serca był naprawdę wyrafinowany. Sądzę, że ubierał się w taki sposób, żeby przypodobać się Normie i znajomym.
 - Rozumiem. A co z Dickym i Normą?
 - Kiedy byli dziećmi, bardzo się ze sobą przyjaźnili. Ich matka często chorowała i właściwie to Norma go wychowała, ale później ich drogi się rozeszły.
 - Rozumiem. Teraz pomówmy o dniu, w którym popełniono morderstwo. Czy Dicky mówił coś o Flecksteinie? Czy zachowywał się inaczej niż zwykle?
 - Nie. - Brenda wpatrzyła się we mnie. - Chyba nie myślisz, że Dicky miał z tym coś wspólnego?

- Nie mam pewności - stwierdziłam od niechcienia. -
Opowiedz mi o dniu, w którym popełniono morderstwo.

Wahała się przez kilka sekund; potem zaczęła:

- Dicky był w drukarni do siódmej czy ósmej. Wrócił do domu w dobrym humorze. Powiedział, że skończyły się nasze problemy.

- Co miał na myśli?

- Och, nie to, o czym ty myślisz. Zdaje mi się, że znalazł nowego księgowego; nie był zdenerwowany.

- Kiedy dowiedziałaś się o morderstwie?

- Kilka minut po powrocie Dicky'ego. Zadzwoiła do nas sąsiadka Normy. Pojechaliśmy tam.

- Jak zachowywał się Dicky?

- Był zdenerwowany. Obydwoje byliśmy zdenerwowani.

- Jej głos brzmiał teraz bardziej miękko. - Proszę, już dłużej nie mogę.

Stałam sztywna. Bujany fotel - kopia mebla dostosowanego do ciała żyjących w XVIII wieku - był bardzo niewygodny.

- Zadzwoń, gdybyś miała ochotę porozmawiać. Jeszcze jedno: chcę, żeby to, o czym rozmawialiśmy, zostało między nami. Jeśli powiesz mężowi, że tu byłam, on zacznie zadawać mnóstwo pytań, na które żadna z nas nie ma ochoty odpowiadać. Dobrze?

Kiwnęła głową. Podeszliśmy do drzwi wyjściowych. Na malutkiej, klonowej półeczce pod lustrem stało zdjęcie Brendy i Dicky'ego przy zastawionym stole, trzymających się za ręce nad jakąś potrawą z selerem i oliwkami.

- Mogłabyś dać mi zdjęcie Dicky'ego? - spytałam. - To mogłoby pomóc wyeliminować go jako potencjalnego podejrzanego.

- Tego nie mogę ci dać. Zauważyłby. Zostało zrobione podczas obiadu, na którym zbierano pieniądze na wsparcie dla

Izraela. Jego krewna, Murray, została podczas tego obiadu wyróżniona.

- Och, oczywiście. Możesz znaleźć jakieś inne? Przeprosiła i odeszła w głąb domu.

- Proszę - powiedziała, podając wycinek z gazety. Dicky stał przed swoim zakładem, a nad jego głową widniał napis: „Drukarnia”. - Ukazało się w „Shorehaven Sentinel”, kiedy otworzył drukarnię. Mamy mnóstwo egzemplarzy.

- Dziękuję.

Wyszłam powoli i podeszłam do swojego samochodu. Ulica była pusta.

Mijając pierwszy zakręt, niedaleko domu Duncków, zauważyłam wóz Sharpe'a z włączonym silnikiem. Za nim stał zaparkowany samochód należący do elektrowni. Sharpe ruszył za mną. Minęłam dwa domy, nie spoglądając w lusterko wsteczne, ale dłużej nie mogłam wytrzymać. Musiałam sprawdzić, jaki ma wyraz twarzy. Nic nie zobaczyłam; słońce odbijało się od mojego samochodu tak, że dostrzegłam jedynie jasną plamę światła. Czy będzie tryskał dumą, a duże, okrągłe oczy ze zmarszczkami w kącikach zamigocą z zadowolenia? Czy też przybierze nieruchomy, odpychający wyraz twarzy gliniarza, tak jak podczas naszego pierwszego spotkania, nic nie okazując, nic nie dając, wszystko wchłaniając i zachowując dla siebie? Może wpadnie w złość, ogarnie go szybka, zimna fala gniewu, jak zawsze, kiedy czuje, że jakiś aspekt sprawy wymyka się spod jego kontroli. „Judith - parsknij, wychodząc z samochodu - powiedziałem ci, do cholery, żebyś nie...”

Ostrzegął mnie, że powinnam zachować w stosunku do Brendy dystans emocjonalny i nie wolno mi zapominać, że to ona może okazać się morderczynią. Ale ona nie zamordowała; byłam przekonana, że nie. Brenda już dawno zrezygnowała z kierowania swoim życiem i postanowiła unikać wszelkich

kłopotów. Kiedy ten osioł, jej mąż - bo przecież wiedziała, że jest osłem - kazał jej nie wtykać nosa w jego sprawy, posłuchała go. Prawdopodobnie przestało ją to interesować. Jedyne, co jej w życiu pozostało, to piękne, starzejące się ciało: staranny makijaż, pokrywający wszelkie niedoskonałości, męczące ćwiczenia i doskonałe, precyzyjne malowanie paznokci. Nawet gdyby się uniosła, gdyby ze strachu zabiła Flecksteina, natychmiast by się załamała. Brenda nie potrafiłaby udawać, podobnie jak Fleckstein nie potrafił prowadzić szczerego, uczciwego życia.

Wjechałam na podjazd, wyszłam i oparta o przedni zderzak przyglądałam się, jak Sharpe jedzie ulicą. Zaparkował i podszedł milczący, z twarzą wypraną z wszelkiego wyrazu.

- Dobrze się spisałam - powiedziałam cicho. Lekko rozchylił wargi i się uśmiechnął.

- Ja postąpiłbym inaczej - zaczął.

- I dlatego wysłałeś tam mnie.

- Wyłączyłaś nadajnik? - spytał. Powiedziałam, że tak. - Wiesz, Judith, kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że jesteś wspaniała. Naprawdę wspaniała. Nawet poprosiłaś ją o zdjęcie. To genialne. Módl się, żeby mu o tym nie powiedziała. Jak wpadłaś na ten pomysł?

Ujął moją twarz w dłonie i pochylił się, żeby mnie pocałować.

- Nie przed moim domem - syknęłam. - Wejdzmy do środka.

- Nie rozumiem tylko jednego. Po co jej powiedziałaś, że masz znajomego policjanta?

Sharpe siedział na kanapie w dużym pokoju i rozluźniał wstrętny, czarny krawat w duże zielone plamy, którego wcześniej, w nerwach, nie zauważyłam.

- Co w tym złego?

- Co złego? Twoja wartość polega na tym, że jesteś sąsiadką, koleżanką. Widać gołym okiem, że ona na myśl o policji robi ze strachu w majtki.

- Nie jestem jej koleżanką i ona dobrze o tym wie. Gdybym zaczęła udawać serdeczną przyjaciółkę, wyczułaby, że to do mnie niepodobne i stałaby się podejrzliwa. Co miałam zrobić? Powiedzieć o solidarności kobiet, że wszystkie jesteśmy siostrami?

Otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie.

- Czy ktoś już ci mówił - szepnął - że jesteś bardzo inteligentna?

- Tak, ciągle to słyszę. Może raczej powiedziałbyś, że jestem dla ciebie pożądanym obiektem seksualnym i że trudno ci trzymać ręce przy sobie?

- Wiesz, że tak jest - stwierdził - ale gdybym ci powiedział, zanim się o to upomnisz, byłabyś na mnie wściekła jak wszyscy diabli. Teraz opowiedz mi o zdjęciu. Dlaczego o nie prosiłaś?

- Pomyślałam, że skoro skoncentrowaliśmy się na Dickym, nie zaszkodzi pokazać jego zdjęcie tu i tam. Może... to tylko nikła nadzieja... ktoś widział, jak wchodził do domu, w którym Fleckstein ma gabinet. Dicky rzuca się w oczy. Może widział go człowiek, który znalazł ciało?

- Judith, dzisiaj nikt nie mówi „ciało”.

- Ja mówię „ciało” i jestem dobrym detektywem.

- Dobrze, ciało. Możemy pokazać doktorowi Goldbergowi, kręgarzowi, który je znalazł. Możemy pokazać wszystkim, którzy byli w tym budynku. Większość wynajmujących lokale to lekarze i dentyści, prowadzący dokładne kartoteki. Dzięki temu możemy skontaktować się ze wszystkimi pacjentami, którzy mogli tam przebywać w chwili morderstwa.

- Jasne, ale to chyba potrwa?

- Judith, musimy to zrobić. To wymaga czasu, ale dziewięćdziesiąt procent pracy detektywa na tym właśnie polega: sama nuda. Rozmawiasz z ludźmi, starasz się dogonić ich wspomnienia, dzwonisz do drzwi, aż ci palce zdrtwieją.

- Dobrze, zajmij się tym, a mnie przypadnie cała chwała. Siedziałam, trzymając w dłoniach rękę Sharpe'a; naciskałam na długie żyły i patrzyłam, jak znów zaczynają się napełniać.

- O czym myślisz? - spytał.

- O Marilyn Tuccio. Chyba warto ją spytać?

- Jasne. Możemy porozmawiać z panią Tuccio raz jeszcze. Z tego co pamiętam, powiedziała, że widziała lekarza, człowieka w białym fartuchu. To wszystko. Może Dunck był na tyle przewidujący, że się przebrał? Trzeba spytać.

- Nelson, ona widziała nie tylko lekarza.

- Co?

- Jestem prawie pewna. Pamiętam, że powiedziała, iż czuła się niezręcznie, kiedy została z Flecksteinem sama i że doznała ulgi, wychodząc, ponieważ w korytarzu znajdowało się kilka osób. Jedna z nich była lekarzem, ale nie mówiła nic o pozostałych.

- Zadzwoń do niej - zaproponował.

- I co mam powiedzieć?

- Poproś, żeby tu przyszła.

- Jeszcze nie teraz.

- Jezu, Judith.

- Nelson, może zechcesz mnie posłuchać? Kiwnął głową.

- Dobrze. Zanim ona tu przyjdzie, chciałabym wiedzieć, jak zamierzasz ją traktować. Nie zapominaj, że przez cały czas była podejrzana. Poprosiła prawnika o pilotowanie jej sprawy i założę się, że nie darzy policji miłością. Co jej powiesz? Czy możesz powiedzieć, że już jej nie podejrzewacie?

- Dobrze. Zadzwoń do niej, powiedz, że tu jestem i że chciałbym z nią rozmawiać. Możesz wspomnieć, że już jej nie podejrzewamy.

- Czyli jest czysta.

- Tak.

Słyszając wesołe „halo” Marilyn, zawahałam się przez moment. Znam jej inteligencję i pomysłowość. Może jednak ona to zrobiła?

- Cześć - powiedziałam. - To ja, Judith.

Marilyn Tuccio, anioł zemsty, jednym potężnym ciosem oczyszczający Shorehaven z brudu. Obraz ten znikł równie nagle, jak się pojawił. Znałam Marilyn i jej charakter. Od czasu do czasu mogły ją ponieść emocje z oburzenia na tych, którzy są nieuczciwi i nie płacą podatków, ale nie jest morderczynią.

- Marilyn, mogłabyś przyjść do mnie? Jest tutaj człowiek z wydziału zabójstw, ten, który prowadzi sprawę Flecksteina, porucznik Sharpe. Uznał, że już nie jesteś podejrzana.

- Jest u ciebie w domu? - spytała bez wyrazu.

- Tak. Później ci to wyjaśnię. Możesz wpaść na chwilę?

- Dobrze - powiedziała z wahaniem. - Zaraz będę, ale...

- Zaufaj mi, Marilyn.

- Nie musisz o to prosić.

Przyszła trzy minuty później, świeża i rześka w czarnych, wełnianych spodniach i koszulce z długim rękawem z różowym napisem: „Adopcja zamiast aborcji”.

- Marilyn - powiedziałam, spoglądając na jej podkoszulek i kręcąc głową.

- Zawsze mówiłaś, że chociaż nie zgadzamy się ze sobą w wielu sprawach, szanujesz moje opinie. Dobrze wiesz, Judith, że dla mnie jest to jedna z najważniejszych spraw.

- Wiem, ale czy musisz mieć to wypisane na piersiach?

- Judith, mogę ci pokazać zdjęcia płodów; wyglądają zupełnie jak maleńkie dzieci...

- Pani Tuccio? - spytał Sharpe, podchodząc do nas. - Jestem "Nelson Sharpe. - Wyciągnął rękę i Marilyn uścisnęła ją. - Wiem, że rozmawiała pani z paroma osobami pracującymi nad tą sprawą, ale chciałbym osobiście zadać pani kilka pytań, jeśli znajdzie pani wolną chwilę.

Marilyn zaszczyliła go niezbyt wrogim spojrzeniem, jakby nie miała pewności, czy to jeszcze jeden wstrętny glina, czy może prawdziwa glista.

- Na początek mam dwa pytania - powiedziała chłodno. - Czy nadal jestem podejrzana?

- Nie - powiedział Sharpe.

- I ja mam panu uwierzyć? Może powinnam zadzwonić do prawniczki? Czy jej powie pan to samo?

- Tak.

- Mogę skorzystać z telefonu, Judith?

Kiwnęłam głową. Poszła do kuchni. Obydwoje z Sharpe'em przysłuchiwalismy się rozmowie.

- Proszę z panną Fields. Helen? Marilyn Tuccio. Dobrze. Dobrze. A ty? Przykro mi. Tak, jestem tutaj z porucznikiem Sharpe'em. Tak. On twierdzi, że już mnie nie podejrzewają. Zechciałabyś z nim porozmawiać?

Sharpe poszedł do kuchni. Słyszałam, jak mówi:

- Dzień dobry, pani Fields. Marilyn nie dała mi podsłuchiwać.

- Judith, co się dzieje?

- Zaczęłam rozpytywać niektórych ludzi o tę sprawę i trochę się w to zaangażowałam, a potem ktoś włamał się do mnie do domu, pamiętasz? Wtedy, kiedy zostawiłam u ciebie Joeya. Włamywaczem był prawdopodobnie morderca. W ten sposób poznałam porucznika Sharpe'a i razem wpadliśmy na kilka niezłych pomysłów.

- Rozumiem - powiedziała. - Czy on zna się na swojej pracy?

- Doskonale.

- Nie tak jak ten bufon, który mnie przesłuchiwał? Ten wstrętny, źle wychowany obłudnik?

- Nie - zapewniłam. - Ten wygląda na uprzejmego. Sharpe zawołał Marilyn do kuchni i przyszedł do mnie.

- Co jej powiedziałaś? - spytał.

- Powiedziałam, że jesteś miły. Była bardzo obrażona na tego twojego byczka, który przyszedł do niej z insynuacjami, że jej rodzina musi mieć powiązania z mafią, ponieważ noszą nazwisko Tuccio.

- Moi ludzie to nie byczki, Judith.

Marilyn wróciła i we trójkę usiedliśmy w dużym pokoju: ja i Sharpe na stojących obok siebie fotelach, a Marilyn na tej części kanapy, na której zwykle siadaliśmy my dwoje.

- Dobrze - powiedziała. - Mój prawnik mówi, że mogę z panem rozmawiać, więc pewnie ma rację. Co mogę dla pana zrobić?

- Przede wszystkim - powiedział Sharpe - muszę panią przeprosić. Zdaje się, że jeden z moich ludzi był wobec pani nieuprzejmy. Porozmawiam z nim o tym.

Mówił bardzo łagodnie i szczerze, uśmiechając się do Marilyn, która odwzajemniła uśmiech.

- Pani Singer przypomniała mi, z pewnością znajdziemy to w pani zeznaniach, że wychodząc z gabinetu doktora Flecksteina, zauważyła pani na korytarzu kilka osób. Może pani to sobie przypomnieć, pani Tuccio?

- Niech pomyślę. Jeden z nich był lekarzem albo dentystą. Miał na sobie biały fartuch.

- Był młody? W średnim wieku? - wtrąciłam.

- Wydaje mi się, że raczej w średnim wieku. Dość mocno zbudowany. Siwe włosy. Ach tak, nosił okulary w drucianych oprawkach.

- To pewnie Goldberg - powiedział do mnie Sharpe. - A teraz - zwrócił się do Marilyn - niech pani spróbuje przypomnieć sobie ten moment, kiedy wychodziła pani z gabinetu. Zaniepokoiła się pani tym, że została sama z doktorem Flecksteinem. Było już późno. Spieszyła się pani, żeby zdążyć zrobić zakupy i jak najszybciej wrócić do domu. Otwiera pani drzwi i co pani widzi? Niech pani wyobrazi sobie tę scenę.

Głos miał czuły, monotony, prawie hipnotyczny.

- Widzę - powiedziała Marilyn z wahaniem - widzę na końcu korytarza kobietę...

- Jak ona wygląda? - spytałam.

- Ćśś - powiedział Sharpe.

- Z drugiej strony korytarza, trochę na lewo, widzę mężczyznę; pije wodę z kranu.

- Dobrze - powiedział Sharpe. - Doskonale. Niech mi pani opisz tę kobietę.

- Chwileczkę. Starsza. Sześćdziesiąt, może sześćdziesiąt pięć lat. Chyba niesie torbę z zakupami. Nie pamiętam. Wszystko jest dość mgliste.

- To rozumiałe - rzekł. - To tylko codzienna scena, nie ma w niej nic niezwykłego. Muszę powiedzieć, że ma pani doskonałą pamięć. Bardzo to wszystko plastyczne. Teraz mężczyzna. Pochyla się nad kranem. Kran jest wysoko czy nisko?

- Wysoko. Trzeba nacisnąć nogą pedał, żeby popłynęła woda.

- Dobrze. Jak pani się wydaje, na jakiej wysokości jest kran?

- Och, mniej więcej metr dwadzieścia.

- Dobrze. Czy ten mężczyzna rzeczywiście pochyla się nad kranem? Może pije z niego? Niech pani spróbuje sobie przypomnieć, jakiego mógł być wzrostu.

- Pochylał się, ale nie za bardzo. Sądzę, że był średniego wzrostu.

- Dobrze. Czy ten spragniony mężczyzna miał na sobie płaszcz?

- Tak, ciepły płaszcz.

- Pamięta pani kolor?

- Nie.

- Dobrze. Skoro miał na sobie płaszcz, to znaczy, że właśnie wszedł albo zamierzał wyjść. Czy niósł coś?

- Nie. Chyba nie. Przykro mi.

- Doskonale sobie pani radzi, pani Tuccio. Może pani określić w przybliżeniu jego wiek?

- Nie. Był odwrócony do mnie plecami. Nie robił wrażenia młodej osoby. Dzisiaj nastolatki nie noszą płaszczy.

- Słusznie. Czy w tym człowieku było coś, co rzucało się w oczy? Co zwróciło pani uwagę?

Marilyn zaczęła pocierać dłonią czoło.

- To może wydać się dziwne - zaczęła.

- Proszę powiedzieć - wtrącił Sharpe.

- Pamiętam, że kiedy go zobaczyłam, pomyślałam o świętym Pawle.

- O świętym Pawle? - powtórzyłam zdumiona.

- Dlaczego o tym pomyślałam? - pytała samą siebie Marilyn. - Och, wiem! Od jego głowy odbijało się światło, tworząc coś na kształt aureoli.

- Chce pani powiedzieć, że mężczyzna był łysy? - spytał cicho Sharpe.

- Tak, właśnie tak! Nie miał włosów. Był zupełnie łysy. Teraz sobie przypominam. Jego głowa wyraźnie się świeciła, co sprawiło, że wyglądał jak święty z aureolą.

- Zdaje się, że to nasz przyjaciel - powiedziałam do Sharpe'a.

- Zdaje się, że tak. - Uśmiechnął się do mnie. - Bardzo dziękuję, pani Tuccio.

Marilyn przesunęła się lekko do przodu.

- Coś jeszcze? - spytała Sharpe'a.

- Nie. Sądzę, że na dzisiaj to wszystko - odparł. - Bardzo dziękuję za pomoc; szczególnie, że jest pani rozgoryczona na policję.

Powiedział to smutnym, powściągliwym tonem, jakby martwiła go myśl, iż policja sprawiła jej kłopot.

Marilyn uśmiechnęła się i taktownie zapewniła, że nie żywi żalu.

- Cieszę się, że już po wszystkim - powiedziała. - Czy mogłabym już pójść? Dzisiaj piekę chleb i muszę przygotować ciasto.

- Oczywiście - odrzekł Sharpe. - Miło było poznać panią.

- Z wzajemnością - odparła. Odprowadziłam ją do drzwi.

- Judith - szepnęła w korytarzu - bardzo ci dziękuję za to, co zrobiłaś.

- Ależ Marilyn...

- Nie bądź taka skromna - powiedziała. - Nie wiem, jak ja ci się odwdzięczę.

- Może bochenkiem chleba?

- Podeślę ci dzisiaj - obiecała. Podałam jej płaszcz i Marilyn wyszła.

Wracając biegiem do pokoju, zderzyłam się z Sharpe'em.

- Gratulacje - powiedział z powagą i uścisnął mi rękę.

- Jeszcze nie doszliśmy do końca - zaprotestowałam. -

Nie mamy pewności. A jeśli to nie on? Jeśli nie uda nam się nic udowodnić?

- Nie martw się.

- Jak mam się nie martwić?

Zęby miałam zaciśnięte, podobnie jak pięści.

- Judith, co ci jest? Powiedziałem, żebyś się nie martwiła. Dostanę nakaz i sprawdzę wszystko. Dopadniemy go. Uspokój się.

- A jeśli nie?

- Chodźmy na górę - poprosił, biorąc mnie za rękę. - Najpierw pomogę ci się nieco odprężyć, a potem wszystko wyjaśnię.

- Nie.

- Chodź.

- Nie - rzuciłam. - Za pół godziny syn wraca z przedszkola.

- Postaram się działać szybko. Mogę pomóc ci odprężyć się w ciągu pół godziny.

- Nie, Nelson. Nie tutaj.

- Gadasz głupstwa.

- Nie gadam. Nie będę tego robiła we własnym domu i koniec.

- Jesteś zdenerwowana.

- Oczywiście, że jestem - burknęłam ze złością. - Już prawie mamy mordercę, a ty chcesz się kochać.

- Nie musimy się kochać. Możemy...

- Nelson, czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać? To było dla mnie koszarne przedpołudnie. Nie spodziewaj się, że będę rozkoszna i milutka.

- Dobrze. Chętnie porozmawiam - powiedział powoli.

- Nie traktuj mnie, jakbym była postrzelona. Nie mów tym cichutkim, słodziutkim tonem.

Złapał mnie za ramiona.

- Słuchaj, może powiesz, co ci jest? Dzisiejsze przedpołudnie też nie było dla mnie cholernym łóżem z płatków różanych. Jesteś zdenerwowana. I ja też. W takim razie usiądźmy i porozmawiajmy.

- Dobrze - warknęłam. - Niech będzie.

Usiedliśmy na kanapie, nie dotykając się ani nie spoglądając na siebie. W końcu powiedziałam:

- Dobrze. Zostańmy przyjaciółmi. - I pocałowałam go w ucho.

- W porządku - powiedział cicho, starając się nie zniszczyć ducha ugody. - Chcesz wiedzieć, co dalej zrobię?

- Tak.

- Dobrze. Za chwilę wyjdę stąd i poproszę o nakaz rewizji. Otrzymam zezwolenie na rewizję w nocy i przeszukam drukarnię wtedy, kiedy on będzie w domu.

- Możesz to zrobić?

- Oczywiście. Nakaz rewizji nocnej dostaje się z kilku różnych powodów, a ja zamierzam stwierdzić, że morderca znów może użyć przemocy. Nie chcę go denerwować. Jest niebezpieczny.

- Jak dostaniecie się do środka, skoro go nie będzie? - spytałam.

- Jeśli to konieczne, możemy się włamać. Rozejrzę się tam. Chcę zobaczyć, co ma w sejfie, jeśli ma sejf, i w dokumentacji.

Pochyliłam się nad nim tak, że dotykaliśmy się ramionami.

- Myślisz, że coś tam znajdziesz?

- Mam nadzieję - powiedział. Wziął moją dłoń między swoje i zaczął ją pocierać. - Dunck jest wiewiórką, lubi wszystko chować. Pamiętaj, że zatrzymał szydło, a w końcu zdecydował się zostawić je przed domem Marilyn Tuccio. Skoro zachował szydło, mógł też zachować zdjęcia.

- Chyba masz rację - uznałam. - Wiedział, jaką władzę dały Bruce'owi. Mógł pomyśleć, że teraz cała władza spoczywa w jego rękach. Jeśli wierzyć Brendzie, że nic jej nie powiedział, mógł zachować zdjęcia, żeby pewnego dnia

wykorzystać je przeciw niej. - Sharpe przytaknął. - Ale jak dostaniesz się do sejfu? - spytałam.

- Włamiemy się.

- Naprawdę?

- Jasne. Jeśli tylko dostaniemy nakaz.

- Kiedy tam pojedziesz?

- Nie wiem. Pewnie koło dziewiątej lub dziesiątej. Może później.

- Mogę pojechać z tobą? Proszę?

- Nie.

Wyrwałam rękę i popatrzyłam na niego.

- Przykro mi, Judith. Wiem, że przywiązujesz do tego wagę, ale to niemożliwe.

- Oczywiście, że możliwe. To ty kierujesz śledztwem.

- Tak, ale to znaczy, że muszę być w porządku; gdybyś tam pojechała, mogłyby pojawić się najróżniejsze komplikacje. Słuchaj, zadzwonię do ciebie, gdy tylko skończymy.

- Kiedy to będzie?

- Nie wiem. Zależy od tego, czy znajdziemy dość dowodów, żeby go aresztować.

- To znaczy, że mogę trochę poczekać, może nawet do jutra.

- Tak.

- Dobrze - powiedziałam, wzruszając ramionami. Sharpe zerknął na mnie podejrzliwie.

- Jak to, dobrze?

- Dobrze - powtórzyłam, wzruszając znowu ramionami.

- Judith, ty coś knujesz. Co?

- Czy stanie się coś strasznego, jeśli zaparkuję samochód przed drukarnią i zaczekam?

- Tak. Słuchaj, chciałybyś narazić całe śledztwo na szwank?

- Dobrze wiesz, że beze mnie nigdy nie zbliżyłbyś się do Duncka i jego wszawej, parszywej drukarni.

- Wiem, Judith - powiedział cicho. - Ale nie jesteś gliną. Nie możesz tam jechać. Nie ma mowy.

„Nie ma mowy” Sharpe'a doprowadziło mnie do wściekłości.

- Wynoś się stąd - syknęłam. - Wynoś i nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Wstał i oznajmił:

- Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

- Nie rób sobie kłopotu - powiedziałam, maszerując do drzwi i otwierając je szeroko. - Teraz ty rozgrywasz piłkę. Ty jesteś gliną. Moja rola skończona.

Sharpe ciężko westchnął i wyszedł.

Padał marznący, szary deszcz i ulice były pokryte błotem. Co jakiś czas przejeżdżał samochód, zostawiając za sobą ślady kół, które wkrótce pokrywały świeże warstwy deszczu ze śniegiem. Później dzieci wróciły ze szkoły i przyczepiły się do mnie, jęcząc, że chętnie coś przekąszą i że się nudzą. Wysłałam je na górę, do ich pokojów, każdemu wręczając na pociechę po dwa ciasteczka i ostrzegając, że nie wolno im schodzić na dół wcześniej niż o szesnastej trzydzieści, kiedy zacznie się Ulica Sezamkowa.

- To program dla dzieci - zaprotestowała Kate.

- Jesteś zła, mamó - zauważył Joey.

To koniec, myślałam, siadając na kanapie, na miejscu Sharpe'a. Żegnajcie zabójstwa, witajcie ruchy wspierające mniejszości. Miło było cię poznać, Nelson; Bob, czy możesz mi wybaczyć? Zadzwoił telefon. Może to Nancy. Mogę zamówić opiekunkę do dzieci na środę. Jeśli Nancy skończyła swój artykuł, pojedziemy do miasta i spędzimy ranek w kinie. Coś lekkiego. Może film muzyczny. Albo komedia o cudzołóstwie.

- Halo - powiedziała zniechęcona.

- Cześć - usłyszałam męski głos. - Jak leci?

- W porządku - odpowiedziałam i trochę się ożywiłam.

Modliłam się, żeby to nie był ktoś usiłujący wcisnąć niezniszczalne żarówki, z których dochód będzie przeznaczony dla niewidomych albo dystrybutor dostarczający do domu niedzielne wydanie „Newsday” po okazyjnie niskiej cenie. - Kto mówi?

- Dicky Dunck.

Wszystkie powiedzonka opisujące panikę: walenie serca, pocenie się, gwałtowne skurcze jelit - wszystko to okazało się prawdą.

- Och, cześć - powiedziała; język miałam zeszywniały ze strachu. - Co słychać?

- Dobrze. Super. Słuchaj, kochanie, mógłbym wpaść do ciebie? Mam dobry pomysł związany z twoim doktoratem i chciałbym ci o tym opowiedzieć.

- Ludzie - odparłam; chyba pierwszy raz w życiu użyłam tego wyrażenia. - Mam dom pełen dzieci i muszę zabawiać ich mamy.

Zabrzmiało to ciepło i rodzinie.

- Przepraszam.

- Przed chwilą przejeżdżałem koło ciebie i nie widziałem żadnych samochodów.

- To tylko kilka sąsiadek.

- Och. Może spotkamy się później? - zaproponował.

Kilka możliwości przemknęło mi jak burza przez myśl. Mogę przeprosić i stwierdzić, że będę zajęta w ciągu najbliższych miesięcy. Mogę umówić się z nim i dowiedzieć się, czego chce. Jeśli Brenda powiedziała mu o naszym spotkaniu, to z pewnością wspomniała, że mam znajomego w policji. Nie odważy się zrobić mi krzywdy. Albo...

- Słuchaj - zaczęłam - może spotkamy się wieczorem? Po kolacji, dobrze?

- Jasne. Może być ósma?

- To trochę za wcześnie. O której wracasz z pracy?

- Wpół do szóstej, szósta.

- Rozumiem. Mój mąż wraca dopiero koło wpół do ósmej albo o ósmej; do dziewiątej będę zmywała naczynia. Może być? Mogę przyjechać do ciebie?

- Nie - powiedział bez wahania. - Moja żona robi coś z włosami i nie ma ochoty na towarzystwo; chyba mnie rozumiesz? Może spotkamy się gdzieś, gdzie można coś wypić?

- Dobrze.

Czy on myśli, że jestem aż tak głupia? A może na niczym mu nie zależy? Może on jest taki głupi? A może taki sprytny?

- Dobrze. Znasz tę francuską restaurację La Crevette?

- Tak.

- Spotkajmy się o dziewiątej na parkingu. Na tym wzgórzu, od tyłu, dobrze?

- Świetnie - odparłam. - Do zobaczenia o dziewiątej.

Wreszcie domyśliłam się: jest głupi. Ale też znalazł się w rozpaczliwej sytuacji i ma silny instynkt przetrwania, jak dżdżownica wkręcająca się głębiej, kiedy czuje, że ktoś kopie ziemię. Prymitywny, ale bardzo konkretny. Co zamierza zrobić? Weźmie drugie szydło i zabije mnie na parkingu? Z pewnością wie, że to będzie oznaczało jego koniec. Mogę spotkać się z nim, pogadać, a potem donieść wszystko Sharpe'owi. Ale jakim cudem zdobędę jego wyznanie, jeśli wbije mi szydło w głowę, zanim zdążymy porozmawiać? Podniosłam słuchawkę i wykręciłam numer.

- Proszę z porucznikiem Sharpe'em.

- Nie ma go. W czym mogę pomóc?

- Proszę posłuchać - powiedziałam - to bardzo ważne. Proszę mu powtórzyć, że dzwoniła Judith Singer; przed chwilą rozmawiałam z Dickym Dunckiem. Dunck prosił mnie o spotkanie. Chodzi o sprawę Flecksteina - wyjaśniłam.

- Wiem, wiem - powiedział podekscytowany detektyw. - To pani poznała zdjęcie jego żony. Zadzwoił do pani?

- Tak.

- Dobrze, proszę posłuchać. Niech się pani nie rusza z domu. Niech pani pozamyka drzwi i nikomu nie otwiera.

- Umówiliśmy się na dziewiątą wieczorem.

- Umówiła się pani? - spytał z niedowierzaniem. - Niech się pani nie rusza z domu. Pobiegnę do sądu i złapię Sharpe'a. On załatwia nakaz. Niech pani nie próbuje nic robić. Sharpe zadzwoni do pani.

- Dobrze.

- Proszę podać mi swój adres i numer telefonu.

- Sharpe je zna.

- Proszę panią.

Przekazałam mu dane, o które prosił, i pożegnaliśmy się. Obeszłam dom i sprawdziłam główne wejście, tylne wejście i wejście do garażu. Wszystkie drzwi były pozamykane.

Chwilę później, jakby na jakiś sygnał, dzieci wyszły ze swoich pokoi. Poszłam z nimi do piwnicy, usiedliśmy na podłodze i zaczęliśmy śpiewać.

- Budowałem tory - gruchał Joey. Zaczęłam obgryzać paznokcie; na początek zajęłam się kciukiem prawej ręki. Jednym uchem słuchałam, jak Kate śpiewa: Free to be, you and me. Żadnego znaku od Sharpe'a.

- Może zaśpiewamy o starym kaczorze? - zaproponowałam.

- To zbyt dziecinne - westchnęła Kate.

- Za głupie - powiedział Joey.

Odśpiewaliśmy wiązanekę piosenek ludowych i zaczęliśmy melodię z Ulicy Sezamkowej. W połowie Rubber Duckie zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

- Ja otworzę, ja otworzę! - krzyknęły dzieci, popychając się nawzajem.

- Ja otworzę - oznajmiłam. - Zostańcie tutaj, bo jak nie, to...

Bo jak nie, myślałam, może was trafić zabłąkana kula. Wyszłam na korytarz; bliżej drzwi przytuliłam się do ściany.

- Kto tam? - powiedziałam głośniejszym głosem, niż chciałam.

- To ja. Nelson Sharpe.

Dlaczego przedstawiał się po nazwisku?

- Jak masz na drugie imię? - spytałam.

- Chryste - odparł zniekształcony głos. - Może otworzysz?

To z pewnością jest Dicky, pomyślałam. Ale skąd wie o Nelsonie? Czy Sharpe go przesłuchiwał? Może nas śledził? A jeśli jestem w błędzie? Może to ktoś inny? Ktoś, kogo nie podejrzewałam?

- Dobrze. Moje drugie imię brzmi Lawrence. Jestem magistrem historii Europy i...

Otworzyłam drzwi. Sharpe miał poważną minę. Za nim stała policjantka, kilka centymetrów wyższa od niego, szeroka w ramionach, potężna, z imponującą fryzurą afro. Na jej szczupłym prawym biodrze wisiał pistolet. Gdybym zamierzała przekroczyć prawo i zobaczyła ją, natychmiast zmieniłabym plany i resztę życia spędziła w zakonie o ścisłej regule, nieustannie pełniąc dobre uczynki. Wyglądała na twardą babę.

- Pani Singer, to oficer Jackson. - A więc dlatego przedstawił się z nazwiska. - Możemy wejść?

- Tak, oczywiście - powiedziałam i szerzej otworzyłam drzwi. Samochód policyjny już odjeżdżał.

- Cześć - powiedziałam do pani oficer Jackson.

- Cześć - odpowiedziała głosem zdumiewająco wysokim u tak groźnie wyglądającej osoby. - Mam pani dotrzymać towarzystwa.

Mówiła jak Jacqueline Kennedy. Wymieniłyśmy uśmiechy.

- Mogę rozejrzeć się po domu?

- Pewnie - powiedziałam. Jej głowa poruszała się na prawo i lewo, jakby nastrajała swój radar do fal mojego domu.

- Och, rano nie zdążyłam pościelić łóżka - dodałam.

- Ja też nie - odparła, chociaż byłam przekonana, że tylko z grzeczności. Gdyby łóżko w jej pokoju nie zostało pościelone, z pewnością miałoby dość rozumu, żeby pościelić się samo.

- Ma pani dwoje dzieci, prawda? Gdzie one są?

Podeszłam do schodów i zajrzałam na dół. Kate i Joey czyhali przy schodach. Pokazałam ręką, że mogą wejść i przedstawiłam im Sharpe'a i Jackson. Kate z otwartymi ustami gapiła się na policjantkę, przyglądając się to plakietce z nazwiskiem, to pistoletowi. Joey spojrzał na Sharpe'a i spytał:

- Znowu pan?

- Tak. Twoja mama pomaga policji.

- Też mi coś - odparł Joey. Zanim zdążyłam się przerazić, Jackson poprosiła dzieci, żeby pokazały jej dom. Pierwsza poszła Kate, co chwila oglądając się z podziwem i uwielbieniem. Joey pomaszerował za nimi, pogardliwie parskając. Wiedziałam, że potrafi być nieprzyjemny, jak każdy przedszkolak, ale w Sharpie było coś takiego, co budziło w moim synu najgorsze instynkty. Czyżby miał jakiś edypowy szósty zmysł, jakąś wrodzoną przenikliwość podpowiadającą mu, że Sharpe stanowi źródło zagrożenia? A może chciał zaimponować glinie?

- Nie mogę cię zostawić nawet na chwilę - uznał Sharpe, kiedy tylko tamta trójka weszła na górę.

- Nelson, proszę, przytul mnie - szepnęłam. Wprowadził mnie do kuchni i objął. Staliśmy tak, mocno przytuleni, i leciutko się kiwaliśmy.

- Już dobrze - powiedziałam w końcu i usiadłam przy stole. Sharpe zajął miejsce po drugiej stronie. - Powiedz, co ustaliliście - zaproponowałam rzeczowo.

Wiedział, gdzie jest La Crevette, i stwierdził, że bez trudu obstawią teren.

- Kilku ludzi będzie siedziało w zaparkowanych samochodach, jeden może w taksówce na parkingu. Sprawdzę, jak wygląda tylne wejście do budynku. Nie martw się, będziemy z tobą.

Spojrzał na mnie przekonująco.

- Chcesz tam pojechać, prawda? Nie odpowiedziałam.

- Jeśli nie, to nie ma sprawy.

- Chcę jechać.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Przerwałam na chwilę. - Och, on wychodzi z drukarni między siedemnastą trzydzieści a osiemnastą. Spytałam, kiedy będzie w domu.

- Judith, jesteś wspaniała - powiedział, zmuszając się do uśmiechu. Byliśmy zdenerwowani. Ja bawiłam się solniczką, a on obracał w dłoniach pierścienie na serwetki.

- Zostawię Jackson, żeby pilnowała domu. Jest dobra. Pracuje w wydziale gwałtów, więc potrafi rozmawiać z dziećmi.

- Z dziećmi? Wydział gwałtów?

- Daj spokój. Nie denerwuj się.

- Nie jestem zdenerwowana.

- Ależ jesteś. Wiesz, znów owiniemy cię przewodem. Tym razem będziesz miała na sobie kamizelkę kuloodporną, więc musisz włożyć płaszcz z dużymi kieszeniami, żeby zmieścił się nadajnik.

- Skoro będziecie tak blisko, on może was usłyszeć.

- Nie, sprzęt będzie w wozie z zamkniętymi szybami. Zostań w swoim samochodzie; on musi wysiąść pierwszy. Chcemy wiedzieć, czy nie ma przy sobie broni. Jeśli tak, w co wątpię, padnij na podłogę samochodu. Rozprawimy się z nim.

Przestał bawić się pierścieniami do serwetek.

- Słuchasz mnie, Judith?

- Oczywiście - odpaliłam. - Powiedz, jak mam kierować rozmową? Myślę...

Rozmawialiśmy jeszcze pół godziny, po czym wstał. Zanim wyszedł, ścisnął mnie za rękę.

- Dasz sobie radę - mruknął. - Jak zawsze.

Kiedy otwierałam Sharpe'owi drzwi, zauważyłam, że mżawka przeszła w śnieg. Z nieba nie spadały duże, puszyste, wilgotne płatki, roztapiające się w kontakcie z podłożem, ale fale twardego, sypkiego śniegu, przyczepiającego się do jezdni. Sharpe stanął na schodach i powoli odwrócił głowę, jak pies szukający na polowaniu zgubionego tropu.

- Brzydka pogoda - zauważył, strzelając oczami w kierunku świetlistych, niskich chmur. - Wprowadź samochód do garażu.

- Co? - spytałam, chociaż go słyszałam.

- Samochód. Wprowadź go do garażu. Chyba nie chcesz stracić pół godziny na zdrapywanie lodu z szyb?

Wyczułam, że na mnie patrzy, więc spojrzałam na niego.

- Judith, czy jesteś pewna...?

- Jestem pewna. Myślałam, że muszę zadzwonić do męża, żeby był w domu i zajął się dziećmi. Co będzie, jeśli nie wróci na czas? Nelson, to byłoby okropne, gdyby całe śledztwo utknęło tylko dlatego, że nie znalazłam opiekunki do dzieci.

Włosy i brwi miał pokryte śniegiem. Wyglądał jak dziecko, które używając waty, przebrało się za świętego Mikołaja na występy w szkolnym teatryku. Jego gładka cera i

wielkie, brązowe oczy przywodziły na myśl uroczego dziesięciolatka.

- Gwiżdż na opiekunki - powiedział. - Jackson tu zostanie. Nie myśl za dużo, dobrze?

- Dobrze - warknęłam i głęboko zaczerpnęłam zimnego powietrza. Stojąc w drzwiach, czułam na plecach ciepło domu, a na twarzy zimne, wilgotne, marcowe powietrze. - Dobrze - powtórzyłam spokojniej. - Jakie są plany?

- Jeden z naszych ludzi pilnuje jego drukarni, a drugi domu. Zawiadomi mnie, kiedy tylko Dunck wyjdzie z drukarni; kilka minut po tym, jak znajdzie się w domu, wejdziemy do drukarni. Powinniśmy skończyć w ciągu godziny, najdłużej półtorej. Jeśli wystarczy mi czasu, zadzwonię do ciebie. Jeśli nie, to będę na parkingu. Tylko, na Boga, nie szukaj mnie tam.

- Wiem, wiem - powiedziałam nieobecny głosem. Myślałam o tym, jak bardzo nie lubię jeździć samochodem, kiedy pada śnieg.

- Chodzi tylko o to... - zaczął i zdjął palcem wskazującym śnieg z brwi.

- Chodzi o co? - spytałam.

- O nic.

- Nelson - powiedziałam z naciskiem - mam spotkać się z zabójcą, a nie z jakimś uroczym socjopata specjalizującym się w drobnych wykroczeniach. On zabija, włamuje się do domów. Nie ma "w sobie uczciwości ani honoru. Na Boga, on ma takie paznokcie u stóp, jakby je sobie obgryzał.

- Naprawdę? Nie mówiłaś mi o tym. Zadrżałam i objęłam się ramionami.

- Czy to ważne? - spytałam.

- W Nowym Jorku nie jest to podstawa do aresztowania. Słuchaj, Judith, chciałem powiedzieć, że jeśli nadal będzie tak

sypać, możliwe, że zmienimy plany i nie będziemy mieli ludzi w zaparkowanych samochodach.

- Martwisz się, żeby nie dostali odmrożeń? A co ze mną?

- Chodzi mi tylko o to, że jeśli będzie taka pogoda, szyby zamarzną i pokryją się szronem tak, że nic nie będzie widać. Nie martw się, znajdziemy jakieś wyjście.

- Wiesz, co mnie martwi? - powiedziałam cicho. Jackson z dziećmi była blisko, w dużym pokoju. - Denerwuję się, wspominając różne kryminały, które czytałam.

Sharpe patrzył na mnie bez wyrazu i słuchał.

- Zdajesz sobie sprawę, co w nich wypisują? Detektyw ma romans z jakąś wspaniałą kobietą, ale czy wiesz, co się jej przytrafia? - Sharpe pokręcił głową. - Na końcu zabijają ją - wyjaśniłam. - Wiesz dlaczego?

Znów pokręcił głową.

- Tylko po to, żeby w następnej książce detektyw mógł mieć następny wspaniały romans z inną uroczą kobietą, która w końcu zginie, żeby w następnej książce... - Westchnęłam.

- Judith, to jest życie. Prawdziwe. Nic ci się nie może stać, bo nie ma chyba na świecie innej kobiety, która w następnej książce mogłaby choćby trochę przypominać cię. Rozumiesz?

- Teraz tak mówisz.

Przez chwilę milczeliśmy. Potem spojrzeliśmy na siebie i roześmialiśmy się.

- W porządku, idź już. Robi się późno.

- Dobrze się czujesz?

- Tak, dobrze. Do zobaczenia.

- Bądź ostrożny! - zawołałam za nim. Nie odwrócił się.

Przez kilka minut siedziałam z dziećmi na podłodze dużego pokoju i we trójkę spoglądaliśmy z podziwem na oficer Jackson dotrzymującą nam towarzystwa. Siedziała na stołku przy pianinie wyprostowana, z uniesioną głową. Kate

poinformowała mnie, że zrezygnowała z kariery w innych zawodach i postanowiła pracować w policji. Joey dodał, że Jackson nikogo nie zabiła, ale kiedyś postrzeliła faceta.

- Zadzwonię do męża i spytam o jego plany - uprzedziłam policjantkę. Kiwnęła głową. Zadzwoniłam do Boba z sypialni, przygotowana na to, że sekretarka poinformuje mnie, iż mąż jest na konferencji i w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin nie wolno mu przeszkadzać. Dowiedziałam się jednak, że właśnie wyszedł.

Może, myślałam, schodząc na dół, jego pociąg utknie w zaspach. Nic groźnego; dostaną kanapki i kawę, ale dzięki temu wróci do domu koło dziesiątej lub jedenastej. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że spadło nie więcej niż piętnaście centymetrów śniegu.

- Przygotuję kolację - zaproponowałam. Wszyscy troje spojrzeli na mnie bez zainteresowania. Jackson oznajmiła, że będzie oglądała z dziećmi telewizję, ale żebym ją zawołała, gdybym usłyszała jakieś dziwne odgłosy. Na przykład Dicky'ego, który chichocze na podwórku, pomyślałam, i trzyma połyskujące szydło w ręce.

Otworzyłam zamrażarkę i wyłowiłam duży, aluminiowy pojemnik z pulpetami. Włożyłam je do garnka, żeby rozmarzły. Na szczęście miałam całą paczkę spaghetti, więc udało mi się przygotować niezgorszą zapiekankę. Za niecałe trzy godziny będę otulona w kuloodporną kamizelkę, tymczasem zaś kroję rzodkiewkę. Czułam, że sytuacja ta powinna wydać mi się absurdalna, ale w rzeczywistości było mi nawet przyjemnie. Co może przytrafić się kobiecie, która za chwilę zacznie przygotowywać sos do sałaty? Sos z pietruszką, estragonem i koperkiem. Siedziałam przy kuchennym stole i odmierzałam kawę, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Jackson znalazła się tam pierwsza; jej plakietka odbijała światło, a ręka znajdowała się blisko pistoletu.

- Słyszała pani samochód? - spytała swoim srebrzystym głosem.

- To pewnie mój mąż - powiedziałam cicho. - Kto tam?

- Ja - odpowiedział Bob głosem zniekształconym przez grube, dębowe drzwi.

- To on - upewniłam policjantkę i otworzyłam drzwi. - Cześć. Bob zapatrzył się na Jackson. Stał bez ruchu z lekko otwartymi ustami.

- Dzień dobry - powiedziała. - Jestem oficer Sandra Jackson.

- Wchodź - popędziłam Boba i wzięłam go za rękę, jakby był nieśmiałym gościem, którego trzeba przeprowadzić przez próg. - Wszystko w porządku.

Wreszcie odzyskał głos.

- Jak wszystko może być w porządku, skoro w domu jest policja? Możesz mi to wyjaśnić, Judith?

Zaczął rozpinać palto.

- Potrzebuję drewnianego wieszaka - poinformował mnie. Ponieważ nie byłam w nastroju do kłótni, zrobiłam dwa kroki do szafy i podałam mu wieszak. Powiesił palto i potrząsnął nim kilka razy, żeby opadł śnieg, który osiadł w drodze do domu. Zdjął brązowy, kraciasty, kaszmirowy szalik i umieścił go na wieszaku, gładką stroną do spodu.

- Czy ktoś mi wreszcie wyjaśni, co się tu dzieje? - zażądał, podając mi palto na wieszaku.

Oddałam mu je.

- Zaraz powiem, tylko najpierw odwieś palto - zaproponowałam. Spojrzał na mnie. Policjantka po raz pierwszy posłała mu szczerzy uśmiech.

- Tata. Tata. - Dzieci wyskoczyły z piwnicy i uwiesiły się Bobowi u pasa, wspinając na palce, żeby dostać całusa.

- Zdążyłeś na kolację - zauważyła Kate z uśmiechem.
- Prawda, że to miło - oznajmiłam - kiedy tatuś jest w domu? Zjedzmy coś.

Pierwszy raz od tygodni rozmowa przy stole była ożywiona. Bob, oczywiście, siedział naburmuszony, ale reszta rozmawiała o odciskach palców. Kiedy wstałam, żeby podać spaghetti, szepnęłam do Boba:

- Przepraszam, że nie zdążyliśmy porozmawiać. Wyjaśnię ci wszystko po kolacji.

Bob podniósł widelec i wbił go w klopsik.

Kolację skończyliśmy kilka minut po siódmej. Jackson kazała dzieciom zejść na dół i oglądać telewizję; posłuchały jej bez protestów. Teraz spoglądała to na mnie, to na Boba.

- Zejdę na dół, do dzieci. Kiwnęłam głową.
- Za piętnaście minut musimy zaczynać. Wstała.
- Miło było z panem porozmawiać, panie Singer. Przez cały czas Bob nie raczył jej zauważyć.
- No - powiedziałam - teraz muszę ci wszystko wyjaśnić. Bob odgryzł kawałek ciasta.

- Nie będzie to łatwe - stwierdziłam - ponieważ mnie nie słuchałeś i nie masz pojęcia, co się dzieje. Postaram się wszystko ci opowiedzieć.

- Dlaczego ta kobieta kręci się po moim domu? - spytał. - Kim ona jest?

- Jest z wydziału gwałtów. - Bob wbił we mnie wzrok. - Nie, nie, to nie ma nic wspólnego z gwałtem. Chcieli, żeby to była kobieta, ponieważ owiną mnie kablem i będę musiała zdjąć sweter; przysłali kobietę, żeby, broń Boże, jakiś mężczyzna nie zobaczył mojego biustonosza.

- Owiną cię kablem? - spytał. - Jak to?
- Och, to taki elektroniczny wynalazek...
- Nie traktuj mnie jak osła, Judith. Możesz mi wyjaśnić, dlaczego policja uznała, że trzeba cię owinąć kablem?

Nalałam sobie drugi kubek kawy.

- Dobrze... Wiesz, że współpracowałam z policją w sprawie Flecksteina. Są przekonani, że mordercą jest osoba, która napisała na lodówce o - de - pe. Ten człowiek zadzwonił do mnie i umówił się na spotkanie. Policja chce słyszeć naszą rozmowę. To wszystko.

- To nie wszystko - powiedział z chłodem.

- Oczywiście, że nie - zgodziłam się. - Otrzymali nakaz rewizji i sprawdzą jego biuro, kiedy tylko stamtąd wyjdzie. Mają nadzieję znaleźć coś, co będzie się wiązało z morderstwem. Widzisz, Fleckstein miał zwyczaj fotografować kobiety, z którymi romansował.

Bob popatrzył na mnie bez wyrazu.

- Fotografował je nago, w różnych ujęciach. Nic pomysłowego, ale zdjęcia były dość zenujące. W każdym razie oni myślą, że Dicky Dunck... właśnie jego podejrzewają... zabrał zdjęcia z gabinetu Flecksteina, a najpierw go zabił. Dicky wyczuwa, że maczam w tej sprawie palce, a my chcemy wiedzieć, czy zdaje sobie sprawę, że jest głównym podejrzanym. Mam nadzieję, że uda mi się wyciągnąć z niego coś, co go obciąży.

- To szaleństwo! - ryknął Bob, wstając. - To nie do wiary. Zamierzasz ryzykować życie, żeby spotkać się z mordercą. Jesteś zdrowa na umyśle?

- Nie martw się - powiedziałam słodkim głosem. - Będę miała na sobie kamizelkę kuloodporną, a wszędzie zaczają się gliny. Będą wszystko widzieli i słyszeli każde moje słowo.

Twarz Boba nabiegła krwią, a oczy otworzyły się szeroko z przerażenia.

- Bob, usiądź. Proszę, posłuchaj mnie. - Na chwilę - wyprężył się, ale potem usiadł. - Słuchaj, wiem, że między nami nie było ostatnio najlepiej - zaczęłam, a oczy zaszły mi

łzami. - Ale ta sprawa dała mi tyle radości, ile nie zaznałam od lat. Spójrz na mnie, proszę. Wiem, że uważasz to za jakąś szaleńczą obsesję, za epizod całkowicie niezgodny z moim charakterem. Słuchaj, mieszkamy tu od lat i nawet przez jedną sekundę nie czułam się szczęśliwa. Wiem, że to nieuczciwe, ale tak jest. Nudziłam się na śmierć, błakając się między sklepem a wspólnymi przejazdami do miasta, aż nagle coś znalazłam. Morderstwo. Zagadkę. Sama wpadła mi w ręce. Wreszcie miałam się czym zająć. Nie tylko z nudów. Składanie tych strzępów w całość, współpraca z policją, wszystko to było ekscytujące. - Przerwałam na chwilę, ale dla Boba stwierdzenie „współpraca z policją” było nie mniej absurdalne niż cała reszta, więc podjęłam na nowo: - Robię to dobrze. To znaczy, chodzi mi o pracę detektywa. Możesz to zrozumieć?

- Mogę to zrozumieć - powiedział powoli - i już mówiłem, że ci współczuję. Może nie powinniśmy wyprowadzać się z miasta. Nie wiem. Ale dłużej nie możesz tego ciągnąć. Nie pozwolę ci. Jesteś mężatką, matką, osobą, która ma zobowiązania. Nie możesz pozwalać sobie na coś tak szalonego tylko dlatego, że sprawia ci to przyjemność. Nie ma w tym nic przyjemnego. To poważna sprawa.

Sięgnął po następny kawałek ciasta i trzymał go teraz od niechcienia w lewej ręce. Miałam wrażenie, że zrobił to specjalnie: obrączka błysnęła jasno na jego palcu.

- Możesz robić miliony różnych rzeczy - stwierdził. - Są różne organizacje społeczne walczące o czyste środowisko albo przeciwko narkotykom w szkołach. Jeśli chcesz, możesz podjąć pracę albo wrócić na studia. Jak wolisz. Ale z tym już koniec, Judith. Nie pozwolę ci na to.

Dziubnął ciasto i odłożył je na talerzyk. Kciuk i palec wskazujący miał w czekoladzie. Podałam mu serwetkę.

- Nie mogę się z tym zgodzić, Bob.

- Przykro mi, ale musisz.

- Nie. Nie potrzebuję twojej zgody. Chcę to zrobić i zrobię to.

- Mimo że ja tego nie chcę?

- Tak.

- Kiedy wrócisz, może mnie tu nie być. Mówię poważnie, Judith.

- Mam nadzieję, że będziesz.

- A jeśli nie? Chcesz wyrzucić dziesięć lat małżeństwa do śmieci? Chcesz podjąć takie ryzyko?

- Nasze małżeństwo już od kilku lat nie jest tym, czym być powinno, prawda? To znaczy, że wszystko jakoś toczy się siłą bezwładu, ale w rzeczywistości tylko dryfuje. Może jeśli zrozumieć siebie samą, poznam siebie i ciebie, wtedy wymyślimy coś lepszego.

- Nigdy nie mówiłaś, że nie czujesz się szczęśliwa.

- Nigdy też nie mówiłam, że jestem szczęśliwa. Nigdy nie pytałaś.

- Idę na górę - powiedział. - Masz czas na zmianę decyzji. Chwilę później, ściskając róg stołu, podjęłam świadomą decyzję: nie załamie się. Nie ma czasu na moralne rozterki. Szybko sprzątnęłam ze stołu i pogoniłam dzieci do łóżek. Pocałowałam je jak zwykle, rezygnując z czułego przytulenia do piersi.

- Dobranoc, skarby.

Jackson rozpakowywała się na dole, przygotowując do wręczenia mi nadajnika, który dostarczono kilka minut wcześniej.

Właśnie kończyła umocowywanie przewodu wokół mojej przepony, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Szybko naradziłyśmy się, kto ma otworzyć; ona wygrała. Był to Sharpe.

- Przyszedł pan wcześniej - powiedziałam.
- Weszliśmy tam trochę po wół do szóstej. - No i?
- I gównu znaleźliśmy.
- Gównu? - spytałam.
- Nic - powiedział, patrząc pod nogi. - Ani jednej cholery.

Tylko... - zaczął.

- Tylko co? - spytała Jackson. Aż do tej chwili powstrzymała się od zadawania pytań. Powiedziała mi, że zajmuje się gwałtami i kontaktuje czasem z ludźmi od morderstw, ale są to dwie różne specjalności. Nie chciała wkraczać na ich terytorium. Teraz jednak zainteresowała się i chciała wiedzieć.

- Sejf był zupełnie pusty - mruknął Sharpe.
- Och - powiedziała, unosząc brwi.
- Co to znaczy? - spytałam. - Pewnie go uprzątnął?
- To jedyny wniosek - stwierdził.
- To bardzo możliwe, prawda, poruczniku? - spytała Jackson.

- Chyba tak.

Oparł się o drzwi. Wyglądał na zmęczonego i przygnębionego. Jego wielkie dłonie, czerwone i szorstkie od mrozu, zwisały z rękawów zielonego swetra.

- To nie jest nowy sejf. Widać, że był długo używany. Kto to może wiedzieć?

- Przejdźmy do pokoju - zaproponowałam. Obydwie z Jackson weszłyśmy i usiadłyśmy. Sharpe podążył za nami, ciągnąc nogami po dywanie i patrząc w dół.

- Cholera - powiedział. Wymienili spojrzenia z Jackson. Ona wzruszyła ramionami. Myślałam, co mogłabym powiedzieć, jak go pocieszyć, ale on odezwał się pierwszy: - Chcecie wiedzieć, co mnie naprawdę dobija? Z tego, co o nim wiem, nigdy bym nie przypuszczał, że będzie dość mądry, by oczyścić sejf. Kto wie? Może nic nie miał. Może nie...

- To jeszcze nie koniec - powiedziałam. Mało brakowało, a przez pomyłkę zwróciłabym się do niego po imieniu, w obecności Jackson. - Poruczniku, przecież zadzwonił i umówił się ze mną. Obydwoje wiemy, że nie obchodzi go mój doktorat. To znaczy, że ma coś do powiedzenia. Poczekamy i zobaczymy, co będzie o dziewiątej.

- Ona ma rację, poruczniku - powiedziała Jackson. - Teraz to spotkanie jest jeszcze ważniejsze.

Rzucił jej krótkie, złe spojrzenie, aż wcisnęła się głębiej w fotel. Najwyraźniej informowanie starszego rangą że jego intuicja okazała się zawodna, nie było zbyt grzeczne.

Przez kilka żałosnych minut siedzieliśmy w milczeniu, w końcu Jackson zaproponowała, żebym przymierzyła kamizelkę kuloodporną. Wyobrażałam sobie szykowną, jaskrawopomarańczową osłonę na piersi, ale zobaczyłam brudnoszarą tunikę.

- Myślałam, że będzie cięższa.

- Teraz są lżejsze - powiedziała Jackson.

Wysłała mnie do szafy po płaszcz, ale nie mogłam go dopiąć na kamizelce. W końcu zdecydowaliśmy się na narciarską kurtkę Boba.

- Wyglądam jak przebrana za niedźwiedzia polarnego.

- Gorzej - stwierdził Sharpe. Wszyscy zaśmialiśmy się, po czym znów zapadła cisza.

- Mogę to na chwilę zdjąć? - spytałam.

- Raczej nie - powiedziała Jackson - bo będę musiała powtórnie przyczepiać mikrofon.

Goście siedzieli spokojnie, co jakiś czas wymieniając uwagi dotyczące technik obserwacji. Ja chodziłam tam i z powrotem; w tym stroju trudno było usiąść. Kwaśny pot zaczął zalewać mi ciało, spływał po czole i łaskotał między piersiami. W końcu Sharpe powiedział, że jest ósma.

- To znaczy, że już jesteśmy na miejscu - oznajmił. Spojrzałam na niego, nie rozumiejąc.

- To znaczy, że wszyscy moi ludzie zajęli swoje miejsca na parkingu. Nie chcemy zbędnego ruchu na wypadek, gdyby wcześniej sprawdzał to miejsce.

- Och - sapnęłam. - Wychodzę.

- Nie - warknął Sharpe. - On może tędy przejeżdżać.

- Wyjdę na podwórko za domem - powiedziałam i poszłam do kuchennych drzwi. Kilka sekund później wyszła Jackson, wciągając płaszcz. Śnieg lśnił własnym, nierzeczywistym światłem; co jakiś czas rozjaśniał go dodatkowo wyglądający zza chmur księżyc. Podeszłam do huśtawki, oczyściłam siedzenie ze śniegu i przysiadłam. Jackson stała tuż przy mnie - olbrzymia, ciemna postać na białym śniegu Shorehaven.

- Boi się pani? - spytała.

- Nie wiem. Boli mnie żołądek.

- To znaczy, że się pani boi - oceniła. - Wszyscy się boimy, każdy na swój sposób. Za każdym razem, kiedy idę na wabika, na godzinę zamykam się w ubikacji.

- Boi się pani nawet, kiedy zaczyna pracę?

- Tak. - Zamilkła. - Ale gdy coś zaczyna się dziać, kiedy podejrzany podchodzi, nic mi nie jest. Od tej chwili myślę tylko o tym, co mam zrobić.

- Ale to pani zawód - powiedziałam cicho. - Przeszła pani szkolenie. Wie pani, co robić.

Patrzyła na mnie.

- Z tego, co słyszałam, pani też nie jest oferumą. Ma pani dobry instynkt.

Uśmiechnęłam się do niej. Odwzajemniła uśmiech. Potem odwróciłyśmy się, ponieważ w drzwiach stanął Sharpe, przywołując nas gestem. Wróciłyśmy do domu.

- Właśnie dzwonił - oznajmił. - Dicky już wyjechał.

- Nie ma nawet wpuł do... - zaprotestowałam.

- Wiem - powiedział. - Może chce jeszcze gdzieś wstąpić. Ma pani tam być o dziewiątej, dobrze? Tak, jak się umówiliście.

Kiwnęłam głową.

- Hej! - zawołał nagle. - Gdzie jest pan Singer?

- Na górze, w sypialni.

Spojrzał na mnie z pytaniem w oczach.

- Pan Singer najwyraźniej nie pochwała tego - wyjaśniła Jackson. Jej głos był tak dziecinny, że uwaga wydała się całkiem pozbawiona ironii.

Zostaliśmy z Nelsonem w kuchni, przez większą część czasu milcząc i popijając sok pomarańczowy. Nagle spojrzałam na niego.

- Powiedziałeś, że wszyscy ludzie są na swoich miejscach? Kiwnął głową.

- To znaczy, że ciebie tam nie będzie?

- Będę - powiedział - na podłodze, w twoim samochodzie, pod kocem. Jeśli skarżysz się, że kamizelka kuloodporna jest niewygodna, to spróbuj kiedyś tej pozycji.

Dziesięć minut przed dziewiątą zaczęliśmy się ruszać. Jackson miała zostać w domu aż do mojego powrotu. Sharpe poszedł do bagażnika swojego samochodu i wyjął duży, brązowy koc. Położył się na podłodze mojego samochodu, przed tylnym siedzeniem, i przykrył się.

- Nie możesz z tym poczekać? - spytałam.

- Nie - powiedział. - Dalej. Ruszamy.

Włączyłam silnik i uruchomiłam wycieraczki. Znow zaczął sypać śnieg. Na pierwszym skrzyżowaniu zbyt mocno nacisnęłam hamulce i wpadłam w lekki poślizg.

- Spokojnie - mruknął. Jechałam powoli.

- Nelsonie - powiedziałam - gdyby coś się stało...

- Przestań. Nic się nie stanie.

- Ale jeśli coś się stanie...
- Dopilnuję, żebyś miała policyjną straż honorową na pogrzebie.
- Nelsonie, proszę.
- Judith, odpręż się. Zadbam o to, żeby twoim dzieciom niczego nie zabrakło i podeślę twojemu mężowi jakąś miłą osóbkę.
- To wcale nie jest śmieszne.
- Ależ tak. Jesteś wspaniała i wszystko będzie dobrze.
- Nelsonie... - zaczęłam.
- Kieruj - powiedział. - Wkrótce będziemy na miejscu.
- Dojeżdżamy do wjazdu na parking. Już go widzę.

Rozdział 19

Ostatnie słowa Sharpe'a, zanim wjechałam na parking, brzmiały:

- Nie zamykaj okna.

Opuściłam szybę. Sharpe poruszył się pod kocem, co spowodowało cichy, szurający odgłos, po czym zamilkł. Nawet nie słyszałam jego oddechu.

Na niskim biegu wjechałam na parking i ominęłam dwa cadillaki, bmw, volkswagena i pustą taksówkę. Ta ostatnia, pomyślałam, z pewnością należy do policji. Taką przynajmniej miałam nadzieję. Nie czułabym się bezpieczna tylko z detektywem z wydziału zabójstw, właścicielem samochodu eldorado. Głośno przetykając ślinę, rozejrzałam się po parkingu. Był pusty.

- Nikogo nie ma - powiedziałam, nie poruszając ustami. W tej samej chwili moje światła omiotły czarnego mercedesa stojącego w samym rogu. Powoli, obawiając się śliskiego asfaltu, przerażona własną bezczelnością, podjechałam do niego. Obok samochodu stał oparty o drzwi Dicky.

- Cześć - powiedział. Uśmiechnął się do mnie szeroko, pokazując rząd nierównych zębów. Potem schylił się, otworzył moje drzwi i spytał: - Jak się czujesz, kochanie? Wyjdź. Jest piękny wieczór. Możemy porozmawiać tutaj, a potem napijemy się czegoś.

Kiedy wyłączyłam silnik, zauważyłam, że pada gęsty śnieg. Powietrze było ostre i wilgotne. Krótkie, silne porywy wiatru zamiatały śnieg, tworząc maleńkie, białe góry; równiny i doliny.

Dicky otworzył drzwi mojego samochodu i podał mi rękę. Przyjęłam ją; starałam się wyjść z gracją, mimo grubej, kuloodpornej kamizelki. Czy zauważy, że nagle przytyłam? Rękawy kurtki Boba zsunęły mi się do połowy dłoni. Koniuszki palców miałam zdrętwiałe.

- Jestem bardzo wdzięczna, że chcesz mi pomóc. Nie odpowiedział.

- To bardzo miło z twojej strony - ciągnęłam.

- Dobrze, cipko - syknął. - Co powiedziałaś mojej żonie?

- Przepraszam?

- Powiedziałem, żebyś przestała rżnąć głupią i zechciała mnie poinformować, co powiedziałaś mojej żonie, do cholery!

Oczy miał przymknięte tak, że widać było tylko wąskie szparki, ale ręce, w rękawiczkach kolorem dobranych do czapki, były nieuzbrojone. Zacisnął palce. Gdyby próbował mnie udusić, Sharpe pewnie zdążył mu w porę przeszkodzić.

- Jeśli będziesz nadal używał takiego języka - oznajmiłam - nie będę z tobą rozmawiać. Nie jestem przyzwyczajona do takich świństw.

Otworzył trochę szerzej oczy i rozejrzał się wkoło, niepewny, co zrobić.

- Należą mi się przeprosiny - dodałam.

Wahał się przez chwilę, po czym, nie patrząc na mnie, mruknął: „Przepraszam”. Potem zamilkł na dobre. Najwyraźniej dlatego, że nie wiedział, co zrobić, skoro nie udało mu się mnie zastraszyć.

- Chcesz wiedzieć, co powiedziałam twojej żonie? Kiwnął głową.

- Co ona ci powtórzyła?

- Posłuchaj, to ja zadaję pytania. Rozumiesz, maleńka? Znow próbował wrócić do pierwotnego planu.

- Zadzwoiła do mnie, kiedy tylko wyszłaś. Chcesz wiedzieć, co mi powiedziała? Powiedziała: „To ty zeznawałeś przeciwko Bruce'owi”. Tak powiedziała.

- To przecież prawda. Zeznawałeś przeciwko niemu. Wiem, dlaczego. Ponieważ go nienawidziłeś.

- Kupa gówna. Był moim szwagrem.

- Nienawidziłeś go, bo miał wszystko, czego ty nie masz. Pieniądze. Kobiety. Sukcesy.

Mówiłam jak bohaterka filmu, który oglądałam wczoraj w telewizji. Dicky spojrział na mnie gniewnie i miał właśnie odpowiedzieć, kiedy usłyszałam ciche kichnięcie.

- Apsik.

Krótkie, ale wyraźne. Dicky zamarł na chwilę, ale zdawał się nie słyszeć tego. Podniosłam rękę, otarłam nos i pociągnęłam nim. Potem spojrzałam groźnie na Dicky'ego.

- Od lat Bruce Fleckstein nie dawał ci spokoju. Dlatego chciałeś go zniszczyć.

- Jak to zniszczyć? - powiedział. - Nigdy nie słyszałem czegoś równie głupiego. Postąpiłem jak porządny obywatel. Co miałem zrobić, kłamać? He? To miałem zrobić? Ukrywać przestępstwo? Daj spokój. Co jeszcze powiedziałaś mojej żonie? He?

- Dlaczego nie spytasz, co ona mi powiedziała, Dicky? - odparłam spokojnie. Może było to nieco wykrętne, ale uznałam, że skoro Brenda nie dotrzymała słowa i opowiedziała Dicky'emu o naszej rozmowie, ja mogę odpłacić tym samym.

Cofnął się nieco, lekko otwierając usta, i znów oparł o samochód.

- Dobrze - szepnął. - Co ona ci powiedziała?

- Powiedziała, że macie pewnego rodzaju trudności.

- Jakie trudności? To bzdury.

- Trudności w łóżku, Dicky. Kiedy dowiedziałeś się, że ona sypia z Bruce'em, zabiłeś go.

W świetle śnieżnego wieczoru miałam wrażenie, że jego skóra zrobiła się zielonkawa, ale powiedział tylko:

- Rany koguta, czy nie zechciałabyś zejść ze swojego konika, króliczku?

Na co liczyłam? Na wyznanie? Sharpe mówił, żebym bezpośrednio oskarżenie zachowała na koniec. Zbyt szybko wystrzeliłam. Spróbowałam naprawić błąd.

- Nie mam bzika. To prawda.

- Nie, nieprawda.

- Ależ tak. Bruce zadbał o to, żebyś nic nie odziedziczył po ojcu. Nie zgodził się być twoim żyrantem. Kiedy w końcu rzucił ci kość i załatwił zlecenie, jego przyjaciele nie zapłacili tyle, ile chciałeś. To prawda, Dicky - powiedziałam łagodnie. - Potem zdawało ci się, że go dopadłeś. Chciałeś mu za to wszystko odplacić. Chciałeś, żeby Bruce trafił do więzienia.

- Kurwa - parsknął.

- Ale on znów cię dopadł. Sypiał z Brendą. I zrobił jej te urocze zdjęcia z Prince'em. Widziałam je, Dicky.

Dicky płakał; łzy po cichu spływały mu po policzkach.

- Brenda powiedziała Bruce'owi, że jesteś impotentem, a on sobie z ciebie żartował, prawda? Dlatego go zabiłeś.

- Nie - powiedział słabo. - Nie.

- Dicky, mam naocznego świadka. Ktoś widział cię pod jego gabinetem, tuż przed zabójstwem.

- Nie. Próbujesz mnie przestraszyć.

Drżał - pewne siebie, małe dziecko, które wmieszało się w sprawy dorosłych i przekonało właśnie, że nie wystarcza mu siły.

- Nie, wcale nie próbuję cię straszyć. Mówię prawdę. Ktoś cię widział. Przy kranie. Pamiętasz, że napiłeś się wody, Dicky? Zaschło ci w ustach, kiedy szedłeś go zabić?

Przesunął językiem po wargach. Znów próbował rozruszać palce, ale uleciała z niego wszelka wola walki.

- Chciał pokazać zdjęcia ludziom - powiedział, bliski płaczu. - Najpierw te, ale powiedział mi, że ma też inne, na których widać twarz.

- Dlatego go zabiłeś. Próbował cię szantażować.

Kiwnął głową, ale mnie zależało na tym, żeby przyznanie się do winy było słycać przez nadajnik.

- Dlatego go zabiłeś, tak, Dicky?

Byłam tak skoncentrowana na nim, że tylko jakby przez mgłę usłyszałam, że otwierają się drzwi samochodu. Osły, pomyślałam. Nie mogli zaczekać? Nagle doszedł mnie kobiecy głos:

- Zamknij się, Dicky.

Spojrzałam przez jego ramię i zobaczyłam Normę Fleckstein, biegnącą z drugiej strony mercedesa. Przez cały czas była ukryta w samochodzie.

- Norma? - powiedziałam. Dziwne, ale pierwszą rzeczą, na jaką zwróciłam uwagę, to jej ocieplany, pomarańczowy kombinezon. Drugą był mały nóż do obierania jarzyn; trzymała go w prawej ręce.

- Ty też tam byłaś? - spytałam, tak zaskoczona jej obecnością, że nawet nie próbowałam udawać lekceważenia.

- Nie. Ona nie ma z tym nic wspólnego! - krzyknął Dicky.

- Zamknij się - warknęła na niego i ruszyła w moim kierunku z nożem skierowanym w dół, na śnieg. - Lepiej będzie, jeśli powiesz mi wszystko, co wiesz - stwierdziła.

Myślałam nie dłużej niż sekundę, po czym rzuciłam się do ucieczki; to biegnąc, to ślizgając się, pędziłam na środek parkingu. Rzuciła się za mną; jej długie, chude nogi robiły większe kroki niż moje, a ciało, szybkie i posłuszne po wielu latach ćwiczeń i gry w tenisa, potrafiło osiągnąć większą prędkość. Dopadła mnie przy wielkim pojemniku na śmieci, niedaleko tylnego wyjścia z restauracji.

- Mów - powiedziała, łapiąc mnie za rękaw i celując nożem w moje serce.

Gdzie jest policja, myślałam, rozglądając się histerycznie. Ach, wiedzą, że kamizelka ochroni mnie od noża.

- Podziwiam rodzinną lojalność, Norma.

- Co?

- Powiedziałam, że podziwiam w tobie rodzinną lojalność; przyszedł tutaj, żeby ratować brata...

- Nie myśl, że jestem aż taka głupia! - zagrzmiała. Nagle, zanim miałam czas odpowiedzieć, stanęła za mną i lewym ramieniem objęła mnie za szyję, a prawą ręką przyłożyła mi nóż do gardła.

- Norma - powiedział Dicky, brnąc przez śnieg ku nam. - Norma, skarbie, nie...

- Zamknij się, durniu! Znowu wszystko popsujesz! - krzyknęła. - A teraz - syknęła mi do ucha - mów, co wiesz.

- A więc to ty go zabiłaś - powiedziałam głośno.

- Nie. Jej tam nie było. Słowo - jęknął Dicky.

- Zamknij się, zamknij się! - krzyczała Norma.

- Nie martw się, Norma. Obronię cię. Słuchaj, to ja go zabiłem. Norma nie ma z tym nic wspólnego. Powiedziałem jej o zdjęciach, a ona kazała, żebym zrobił to, co powinienem. Tylko tyle.

Próbowałam przełknąć, ale nóż był zbyt blisko mojego gardła. Na koniec wychrypiałam:

- A więc namówiłaś brata, żeby zabił twojego męża.

- Ona mnie nie namawiała - zaprotestował Dicky, spoglądając to na nóż, to na twarz Normy.

- Oboje - krzyknęła ciekim głosem Norma - macie być cicho! A ty, przekłeta, wścibska dziwko, jesteś w tarapatach. - Jej głos stał się spokojny, jedwabisty w poczuciu siły, do jakiej nie przywykła. - Co mam z tobą zrobić, Judith Singer? Zbyt dużo wiesz.

Nagle cały parking zalało światło. Odwróciłam głowę o kilka milimetrów i zobaczyłam czterech czy pięciu policjantów w zwykłych mundurach, nadbiegających z różnych miejsc parkingu. Sharpe, z pistoletem w dłoni, był blady i przestraszony.

- Proszę odłożyć nóż, pani Fleckstein - powiedział zaskakująco spokojnym głosem. Pistolet, zaciśnięty w lewej ręce, nawet nie drgnął.

- Wynoś się - odparła.

Po lewej stronie jeden z policjantów przeszukiwał Dicky'ego. Drugi osłaniał kolegę z pistoletem w ręce.

- Dość tego, pani Fleckstein - warknął Sharpe. - Współpraca z nami może przynieść pani tylko korzyści.

- Norma, puść ją. Proszę, Norma. Będę cię chronił - błagał Dicky. Mówił nad głową detektywa obmacującego mu nogi w poszukiwaniu broni. Wysoki, szczupły glina zakładał mu na ręce kajdanki. Zignorowała ich.

- Proszę, Norma.

- Jesteś gnojem, Dicky. Zawsze byłeś - powiedziała, mocniej ściskając swoją szyję. - Teraz nie mów nic.

- Pani Fleckstein - zaczął Sharpe.

- Chcę dostać samolot - oznajmiła.

- Co? - spytał Sharpe.

- Samolot. Chcę się stąd wydostać. Jeśli nie dostanę samolotu, zabiję ją.

- Pani Fleckstein, możliwe, że uda nam się załatwić samolot - powiedział Sharpe - ale najpierw musimy porozmawiać o pewnych sprawach.

Poczułam, że uścisk Normy lekko zelżał, ale w tym właśnie momencie uwagę Sharpe'a zwróciło coś, co znajdowało się za nami, po lewej stronie. Stanął szerzej i skierował pistolet w tę stronę.

- Pani Dunck! Brenda! Nie rób tego! - krzyknął Sharpe głosem pełnym przerażenia.

- Co? - pisnęła Norma i się odwróciła. W tym momencie wyrwałam się jej i padłam na ziemię. W ciągu kilku sekund pięć par nóg znalazło się koło mnie. Jeden z oficerów, ale nie

Sharpe, wykręcił Normie rękę i złapał nóż w chwili, kiedy go upuściła.

- Przysługuje pani prawo odmowy składania zeznań - zaczął ktoś recytować.

- Norma, policjant powiedział: „Brenda”. Gdzie ona jest?
- zawołał Dicky.

- Durniu. Oszukał nas.

- Przysługuje pani prawo do obrony, a jeśli nie stać pani...
Leżałam na śniegu i szlochałam. Sharpe uklęknął i przytulił mnie.

Nic nie czułam, otulona kamizelką, aż jego ręka przesunęła się wyżej i zaczął głaskać mnie po włosach. Inny glina w skórzanej kurtce podszedł do nas i głaskał moją dłoń.

- Jest mi niedobrze - powiedziałam.

Ten drugi policjant pomógł mi wstać. Sharpe stanął obok mnie.

- Dobrze. W porządku.

Powlokłam się do różowego cadillaka i pochyliłam nad nim. Sharpe poszedł za mną.

- Możesz zostawić mnie na chwilę samą? Będę wymiotować.

- Nie krępuj się - powiedział łagodnie. - Jestem z tobą.

- Już nawet nie wolno mi zwymiotować bez pomocy? Na Boga...

- Wszystko w porządku, Judith.

- Nie. Muszę puścić pawia. Dlaczego nie przyszliście wcześniej?

- Nie wiem. Wszystko stało się tak nagle.

- Jesteś policjantem. Powinieneś...

- Wiem, wiem. Jezu! - Wyglądał, jakby był bliski płaczu.

- Nic mi nie jest, Nelson. - Złodowaciałą dłonią otarłam łzy.

- Zaczekaj tutaj na mnie - poprosił. Podszedł do Normy i Dicky'ego. - Może porozmawiamy? - zaproponował im. Podążyłam za nim, metr z tyłu. Niespodziewanie pojawił się jeszcze inny glina i dał mi chusteczkę do nosa.

- To naprawdę nie jej wina - stwierdził Dicky.

- Zamknij się - rzuciła Norma. Patrzyła na Sharpe'a z pogardą. - Chcę mieć przy sobie prawnika. Eda Mollina. Senatora Eda Mollina.

Kilka minut później odwieziono ich na policję. Ja i Sharpe zostaliśmy na parkingu.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest, Judith? - spytał. Stałam, płacząc i drżąc.

- Nie, dziękuję - chlipnęłam. - To tylko spóźniony strach. Stałam przed nim bez ruchu, kiedy zdejmował ze mnie kurtkę Boba

i kamizelkę kuloodporną.

- Włóż - powiedział, zwracając mi kurtkę. - Zaniosę nadajnik do samochodu.

- Teraz to.

Delikatnie uniósł mi sweter i ostrożnie oderwał plaster. Mikrofon i przewód schował do kieszeni spodni. Potem, milcząc, poszliśmy do samochodu.

- Nelson, czy to ty kichnąłeś? Boże, myślałam wtedy, że to koniec.

- Nie, to Norma, chociaż nic wtedy nie widziałem. Myślałem, że to ty albo Dunck. Chryste, pewnie podskoczył z przerażenia.

- Na pewno strasznie się bał.

- Tak - mruzczał. - Pewnie tak. Potem przytulił mnie i powiedział:

- Judith, to była najgorsza chwila w moim życiu. Kiedy cię tam zobaczyłem. I nóż w jej ręce.

- Wiem, wiem, ale uratowałeś mnie.

Pocałowaliśmy się kilka razy, nie z pożądania, tylko po to, by upewnić się, że żyjemy i jesteśmy zdrowi. Potarłam policzkiem o jego policzek; poczułam szorstką brodę.

- Nelson? - spytałam.

- Tak, Judith.

- Nelson, jaką rolę odegrała w tym Norma? Myślisz, że naprawdę miała z tym coś wspólnego? Czy tylko próbowała wyciągnąć z tego Dicky'ego?

- Zobaczymy. Odwiozę cię do domu, a potem pojedę do siebie, na przesłuchanie.

Wpatrywałam się w niego.

- Judith - powiedział - nie możesz być przy tym. Przykro mi, bo bez ciebie do dzisiaj bawilibyśmy się w zgadywanki. Ale wszystko będzie w porządku. Wydaje mi się, że powinnaś pojechać do domu i napić się mocnego alkoholu.

Bob zaproponowałby kubek gorącego kakao i valium. Pocałowałam go w czubek nosa.

- Wiesz, trochę mam ochotę kopnąć cię w jaja za to, że jesteś takim wrednym typem, ale z drugiej strony chce mi się wrócić do domu i cieszyć spokojnym załamaniem nerwowym.

- W każdym razie, Judith, twój mąż prawdopodobnie odchodzi od zmysłów ze strachu. Wydaje mi się, że powinnaś być z nim w domu.

- Tam, gdzie moje miejsce - rzuciłam z goryczą.

- Tego nie powiedziałem.

- Prawdopodobnie smacznie śpi.

- Wątpię. W każdym razie ktoś przyjedzie po ciebie jutro rano. Będziemy musieli spisać twoje zeznania, a potem powiem ci, jak poszło podczas przesłuchania. Dobrze?

Kiwnęłam głową.

- Nie muszę ci chyba mówić, że spisałaś się bez zarzutu.

- Musisz.

- Spisałaś się bez zarzutu.

- Dziękuję. Nie jesteś zły, że zbyt wcześnie rzuciłam mu oskarżenie prosto w twarz? Myślałam, że będziesz na mnie wściekły.

- Do wyników nie można mieć żadnych zastrzeżeń. Postąpiłaś jak zawodowiec.

Odwiózł mnie do domu w milczeniu. Teraz, kiedy był już pewien, że dam sobie radę, myślał widocznie tylko o przesłuchaniu. W garażu lekko musnęłam jego wargi i poszłam po Jackson. Siedziała w kuchni, przy stole; słyszałam, że podskoczyła, kiedy otwierałam drzwi.

- Nic się pani nie stało - westchnęła, ni to pytając, ni to konstatując fakt.

- Tak. Złapaliśmy ich.

- Ich?

- Może mi pani wyświadczyć przysługę? - spytałam. - Niech porucznik Sharpe opowie pani wszystko. Jestem taka zmęczona...

- Jasne.

Poszłam za nią do szafy, kiedy wkładała płaszcz.

- Miło było panią poznać - powiedziałam.

- Mnie również. Nawiasem mówiąc, pani mąż zszedł na dół kilka minut temu, spytać, czy coś wiem. Jest załamany. Ledwo się trzyma.

- Pójdę na górę.

Otworzyłam drzwi. Jackson wyszła i wsiadła do samochodu Sharpe'a. Nelson gołą ręką zdejmował śnieg z wycieraczek.

- Judith. - Bob stał na schodach. Był ubrany, zdjął tylko krawat i marynarkę. - Czy wszystko...

Zaczął płakać i schodzić po schodach. Złapałam go za rękę, żeby się nie przewrócił.

- Judith - szlochał; odwrócił głowę, żebym nie widziała jego łez.

- Daj spokój - powiedziałam, odwracając jego twarz ku sobie. - Spójrz na mnie. Nic mi nie jest.

Znów spróbował odwrócić głowę, więc przyciągnęłam go do siebie i przytuliłam. Dwa uściski, dwaj mężczyźni, w ciągu zaledwie dziesięciu minut, pomyślałam.

- Napijmy się czegoś - zaproponowałam. - Czegoś mocnego.

- Przyniosę brandy.

Pociągnął nosem. Potem zrobił dwa niezgrabne kroki i wziął mnie w ramiona. Nie czułam pociechy ani ciepła, tylko wielki smutek, że tak bardzo go przestraszyłam.

- Mamy brandy? - spytałam, przytulając go jeszcze raz.

- Tak. Z St. Thomas, trzy czy cztery lata temu. Pamiętasz?

- Racja.

Wrócił z butelką koniaku i szklankami ozdobionymi kolorowymi kaskami do futbolu i reklamą dzemu. Pierwsza poszłam do sypialni. W milczeniu usiedliśmy na łóżku, pociągając koniak.

- Nigdy tego nie polubię - mruknęłam.

Bob wzruszył ramionami.

- Bob?

Spojrzał na mnie; białka oczu miał podbiegnięte krwią.

- Chciałbyś wiedzieć, co się wydarzyło?

- Chyba tak.

W dziesięć minut opowiedziałam mu o całej sprawie. Kończąc, piłam drugą szklankę koniaku i szerokimi gestami ręki podkreślałam wagę swoich słów.

- Teraz opowiem ci o dzisiejszym wieczorze.

Opowiedziałam o spotkaniu na parkingu, starając się zachować neutralność. Przyjął to dość dobrze. Wysunął dolną wargę i kiwał głową, kiedy mówiłam, jak Dicky przyznał się do winy; zbladł na wieść o nożu przyłożonym mi do szyi i

zamrugał oczami, słysząc o sympatycznym poruczniku policji, który odwrócił uwagę Normy.

- To wszystko - skończyłam.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie... - nie dokończył.

- Proszę. Chciałabym poznać twoje zdanie. Napełniłam jego szklanekę.

- Wydaje mi się, że główną rolę odegrała Norma - powiedział. - Jej brat nie potrafi sobie z niczym poradzić. Możliwe, że to on dokonał morderstwa, ale nie potrafiłby zachowywać się konsekwentnie, gdyby nim ktoś nie kierował.

Mówił coraz głośniej, niemal z entuzjazmem.

- Słuchaj, Judith, załamał się, kiedy tylko go przycisnęłaś. Nie jest zbyt inteligentny, prawda? Nie sądzę, żeby taki człowiek był w stanie tak długo to ukrywać. Dlaczego Norma przyniosła ze sobą nóż? Wiedziała, że jesteś niebezpieczna, i to nie tylko dla jej brata. Powiedz mi, czy wystawiłaby twoje życie na niebezpieczeństwo ze zwykłej lojalności?

- Nie - powiedziałam powoli. - Chyba nie. Miała zbyt dużo pogardy dla niego.

- Właśnie; to znaczy, że była w to zamieszana. Kiwnęłam głową. Ale w jaki sposób?

- Jeszcze jedną szklanekę, proszę - powiedziałam.

- Wydaje mi się, że masz dość.

- Jeszcze nie - odparłam. - Jestem jeszcze przytomna.

- Jak chcesz - westchnął.

- Ale na czym polegał jej udział? - spytałam. - Dicky powiedział wprawdzie, że kazała mu zrobić to, co powinien, czy coś w tym rodzaju, ale nie sądzę, żeby to dowodziło jej udziału w zabójstwie. Chyba że ona wszystko zaplanowała i wszystkim kierowała. Ale czy mogła to zrobić?

- Sama mówiłaś, że Fleckstein dbał, by jego romanse nie miały wpływu na życie rodzinne, że zawsze dobrze traktował Normę.

- Racja - przyznałam. - Był wzorowym mężem: kochającym, czułym; dzwonił do niej w ciągu dnia i mówił, że jest wspaniała.

- Racja. Wielki oszust. Nagle Norma dowiaduje się, że jej idealny mąż miał menage a trois (menage a trois - trójkąt małżeński.) w jej pokoju, z jej psem.

- Tak. Wydaje się, że Norma jest bardzo przywiązana do Prince'a.

- Judith, ja mówię poważnie.

- Ja też.

Bob wziął głęboki wdech, a potem kolejny łyk koniaku.

- W każdym razie niespodziewanie kobieta staje twarzą w twarz przed faktem, że jej idylliczne małżeństwo to wielkie oszustwo. Wyjąwszy możliwość, że jest całkowicie blase (blase - zblazowany.) - chrząknął - sprawa ta musiała być dla niej wielkim wstrząsem; tak samo zresztą jak upodobania seksualne jej męża. Chodzi mi o to, że mnóstwo żonatych mężczyzn lata za spódniczkami, ale nie utrwalają tego faktu dla potomnych. I nie zabawiają się ze zwierzętami i robią innych podobnych bzdur.

- Może to niskie, ale nie bzdurne. Gdybym ja miała ochotę, wybrałabym coś takiego jak Katarzyna Wielka: muskularnego, czarnego ogiera o spoconych bokach.

- Judith! Co ty opowiadasz?

- Nie wiem - wybełkotałam. - Dlaczego Norma chciała go zabić? Czy w kilka minut uwielbienie może przemienić się w nienawiść?

- Możliwe. Gdyby nie była w to zamieszana, lecz straszliwie przerażona, dlaczego miałaby bronić swojego brata, zabójcę męża?

Przez kilka minut wymienialiśmy podobne myśli, ale nie doszliśmy do żadnych wniosków. Potem ziewnęłam.

- Chcesz się położyć? - spytał.

Spojrzałam na Boba; nie chciałam znów zaprzepaścić jego dobrej woli, ale byłam tak zmęczona i pijana, że nie mogłam się zdobyć na bardziej stosowną reakcję.

- Tak - odparłam w końcu. - W tej chwili nie stać mnie chyba na nic innego.

- Nie szkodzi - odpowiedział wielkodusznie i schylił się, żeby pocałować mnie w czoło. - Jeszcze jedno.

- Co takiego?

- Przysięgnij mi, że już nigdy czegoś podobnego nie zrobisz. Nigdy.

Patrzyliśmy sobie w oczy.

- Nie mogę - szepnęłam.

- Judith, już nigdy. Na tym koniec. Nie pozwolę na nic więcej.

- Jak sądzisz, Bob, ile morderstw mogę jeszcze spotkać na swojej drodze?

- Nie wiem. Ale to koniec, Judith. Chcę, żeby to było jasne.

- Bob - zaczęłam.

- Dobranoc. Miłych snów.

Znów mnie lekko pocałował; rozebraliśmy się, nawet na siebie nie patrząc.

Zasnęłam prawie natychmiast, ale często się budziłam, walcząc o swoją część kołdry. Czułam się sztywna i obolała, jak na początku grypy. Nie pamiętam żadnych snów, ale ilekroć się budziłam, czułam niepokój, niewygodę, chciałam coś dokończyć, ale byłam zbyt zmęczona i rozbita, żeby przypomnieć sobie, co powinnam zrobić. W końcu, koło trzeciej nad ranem, wstałam z łóżka i powlokłam się do łazienki; w głowie kotłowała się mętna myśl, że aspiryna może mi pomóc. W lustrze zobaczyłam niechłujny, rozmazany obraz: brązowe oczy, podkrążone i niezdrowe, obrzmiałe i

spękane usta, przypominające powiększony odcisk palca. Boże, pomyślałam, co za widok.

Zastanawiając się nad tym, wyszłam na palcach z łazienki, przeszłam przez sypialnię i zeszłam po schodach do piwnicy, skąd zadzwoniłam do Sharpe'a. Czekałam prawie dziesięć minut, zanim podszedł do telefonu.

- Nelson - powiedziałam; miałam sucho w gardle i zaczęłam chrypieć - zdjęcia.

- Co? - spytał. - Masz fatalny głos. Wszystko w porządku?

- Tak. Nie martw się. Posłuchaj mnie. Zdjęcia; nie było ich u Dicky'ego, ale jeśli Norma mu pomagała...

- Wiem. Ja też o tym pomyślałem. Dwóch ludzi przeszukuje jej dom od godziny, ale jeszcze nic nie znaleźli. Ona nie ustępuje ani na milimetr.

- Nie chce mówić?

- Nie. Jest z nią jej prawnik, krzyczy i podskakuje; grozi, że wytoczy wszystkim na świecie proces o aresztowanie bez dostatecznych powodów. Zatrzymaliśmy ją pod zarzutem napadu i mamy nadzieję wyciągnąć wszystko od Duncka.

- Jest chętny do współpracy?

- Chyba się zdecyduje. Przez kilka godzin musieliśmy go uspokajać, ale teraz zaczyna mówić. Muszę wracać.

- W porządku - powiedziałam na próbę; nie byłam nastrojona przyjaźnie. - Chciałam tylko pomóc.

- Wiem.

- Zadzwonisz do mnie, jeśli coś się wydarzy?

- Postaram się - odparł. - Jeśli nie, to ktoś przyjedzie po ciebie koło dziewiątej trzydzieści. Potrzebujemy twoich zeznań; potem ci wszystko opowiem. Wyśpij się, Judith.

Chwiejnym krokiem wróciłam na górę, wzięłam dwie aspiryny i położyłam się na plecach. Kto pilnuje dzieci Normy? - zastanawiałam się. Może w tej chwili policja

przeszukuje ich półki z zabawkami, polując na zdjęcia? Czy ktoś zadzwonił do Brendy, żeby powiedzieć: „Przykro mi, ale pani mąż nie wróci dzisiaj do domu na noc”?

- Bob? - szepnęłam.

- ...stko dobrze - mruknął i, nie budząc się, objął mnie ramieniem. Odsunęłam się od niego i położyłam na boku; na brzuchu czułam jego gorącą dłoń. Kilka minut później odsunęłam ją i zasnęłam, myśląc o Normie i jej nożu, o Dickym i jego ogolonej na łyso głowie, o krótkiej szczecince pojawiającej się na jego czaszce po całonocnym przesłuchaniu.

Rozdział 20

Policjant w cywilnym ubraniu i nieoznakowanym samochodzie przyjechał po mnie dokładnie o dziewiątej trzydzieści. Młody glina z włosami w kolorze piasku i skórze tego samego koloru zwracał się do mnie: „psze pani” i kilka razy pytał, jak się czuję po tej „wielkiej nocy”. Powiedziałam, że dobrze, ale nie zmuszałam sztywnych, obolałych mięśni do uśmiechu.

Na komendzie dwóch detektywów przesłuchiwało mnie w pomieszczeniu, które z pewnością było policyjnym odpowiednikiem apartamentu prezydenckiego: duży, beżowy pokój pełen obitych skórą krzeseł, oszklonych biblioteczek, z automatem do parzenia kawy. Pomarszczony, brązowy dywan zastępował obowiązujące wszędzie linoleum. Jeden z policjantów robił notatki, a drugi zajmował się zadawaniem pytań:

- Czy w którymś miejscu poczuła pani, że broń pani Fleckstein przebiła skórę?

- W którymś momencie?

- Nie, pani Singer. W którymś miejscu, hm, pani osoby.

- Nie.

Zadarłam brodę, pokazując nieskalaną, nienaruszoną szyję. Wspominaliśmy ten wieczór tak długo, aż wreszcie poczuli się usatysfakcjonowani.

- Gdzie jest porucznik Sharpe? - spytałam tego drugiego, wysokiego, ciężkiego mężczyznę, z włosami blond obciętymi a la Pompadour i przypominającego starzejącego się członka Hitlerjugend.

- Zrobił sobie kilka minut przerwy. Prosił, żeby do niego zadzwonić, kiedy tylko skończymy.

- Czy któreś z nich zaczęło mówić?

- Przykro mi, pani Singer, ale nie wolno mi rozmawiać o tej sprawie z nikim spoza naszego wydziału.

- Dobrze.

Spytałam, czy jest z wydziału zabójstw, ale odparł, że wolałby nie mówić. W głowie czułam pulsujący ból, a w gardle wielką kulę czegoś obcego. W końcu policjant zasugerował, że w tym roku wiosna przyjdzie pewnie wcześniej; zgodziłam się z nim wyłącznie po to, żeby położyć kres jego udreće. Kilka chwil później wrócił ten drugi detektyw z moim zeznaniem. Nigdy nie powiedziałabym: „w dniu” albo „około siódmego marca”, ale notatki były dość dokładne. Podpisałam. Obejrzelili mój podpis; wydawali się zadowoleni. Kazali mi czekać. Kilka minut później Sharpe wsunął głowę w drzwi.

- Masz ochotę na miłe towarzystwo? - spytał. Jego siwe włosy były w nieładzie, po jednej stronie trochę spłaszczone, jakby spał na czymś twardym. Podeszłam do niego i uczesałam go palcami.

- Co się działo? - spytałam.

Wtoczył się do pokoju i pokazał, że bym zajęła miejsce na długiej, skórzanej kanapie. Usiadł obok mnie.

- Dunck zaczął mówić - doniósł, biorąc w ręce moją lewą dłoń i obracając obrączkę na moim palcu.

- No i?

- Judith, jestem strasznie zmęczony. Nie masz pojęcia.

- Jeśli myślisz, że będę czekała, aż odpoczniesz...

- Nie. To byłoby okrutne i nienormalne. Pozwól, że zbiorę myśli. Przez kilka sekund siedzieliśmy bez ruchu; potem pocałował wewnątrz mojej dłoni.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak. A ty? Jeśli rzeczywiście jesteś taki zmęczony...

- Nic mi nie jest. Mam ci opowiedzieć, co się wydarzyło?

Kiwnęłam głową.

- Dzień przed zabójstwem Dunck odebrał telefon od Flecksteina. Było to koło trzeciej po południu. Fleckstein

pytał, czy może wpaść do drukarni na krótką rozmowę. Dunek zgodził się w nadziei, że zdobędzie więcej informacji, które przekaże później prokuraturze, żeby jeszcze bardziej pogrążyć Flecksteina.

- Nie miał pojęcia, że Bruce o nim wie?

- Najmniejszego. W każdym razie Fleckstein przyjechał trochę po czwartej i zaczął zwykłą rozmowę. Jak leci? Jak idą interesy? Dunek powiedział, że wszystko w porządku. Fleckstein uśmiechnął się do niego oblesnie i oznajmił: „To szczęście mieć taką piękną żonę jak Brenda”. Dunek powiedział, że się uśmiechnął i podziękował za komplement, a Fleckstein powtórzył: „Piękna kobieta”.

- Co za bydlę. Tak podpuścić Dicky'ego.

- Poczekaj, zobaczysz, co było później. Fleckstein powiedział: „Wiesz, znalazłem dzisiaj zdjęcia Brendy. Może chciałbyś je mieć”. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął garść zdjęć i rozsypał je na biurku Dicky'ego.

Oczy Sharpe'a były wielkie i ożywione, jakby z bliskiej odległości przyglądał się tej scenie.

- Dunek spojrzał na nie, ale nie zrozumiał. Myślał, że to zdjęcia, które Fleckstein przyjechał powielić. Wtedy Fleckstein wziął dwa z nich, podetknął Dicky'emu pod nos i stwierdził: „Twoja Brenda jest piękną kobietą”. Dunek popatrzył na zdjęcia i załamał się; płakał, usiłował uderzyć Flecksteina, krzyczał, że to nie może być Brenda.

- Ale wiedział, że to ona - wtrąciłam.

- Oczywiście. Poznał jej ciało, tak samo jak ty. Te dwie bliźny. W każdym razie Fleckstein był większy i chwycił Duncka z całej siły.

Dunck nie mógł się wyrwać. Fleckstein powiedział: „Albo przestaniesz opowiadać bzdury o mnie i o moich współnikach, albo wszyscy w mieście zobaczą te zdjęcia”. Twój Dicky w końcu uspokoił się i znów popatrzył na zdjęcia. Powiedział

Flecksteinowi, że nie widać twarzy kobiety i że nikt nie uwierzy, iż to Brenda. Wiesz, co powiedział Fleckstein?

- Co? - szepnęłam. Nie mogłam mówić normalnie.

- Powiedział, że przykro mu, bo zapomniał przynieść reszty zdjęć, na których widać twarz Brendy. Uśmiechnął się do Dicky'ego i oznajmił: „Człowieku, jeśli myślisz, że te są zboczone, to co powiesz o pozostałych?” Dunck stał, kompletnie załamany, kiedy Fleckstein wziął zdjęcia z biurka i zbierał się do wyjścia. Potem, już przy drzwiach, odwrócił się i podał Dicky'emu jedno ze zdjęć. Wiesz, co powiedział?

Pokręciłam głową.

- Zapytał: „Może chciałbyś to mieć na pamiątkę? Brenda to słodka dziewczynka i bardzo kocha zwierzęta”. Potem wyszedł, a Dunek został sam ze zdjęciem w ręku.

- I co było dalej? - spytałam. Odwróciłam głowę, żeby na chwilę oprzeć ją na ramieniu Sharpe'a. Miał na sobie ten sam zielony sweter, co wczoraj; wełna drapała mnie w policzek. Jego ciało pachniało mocno, ostro. Zaczęłam gładzić jego pierś.

- Tutaj? - spytał.

- Nie odważyłbyś się.

- Spróbuj.

- Nie. To znaczy, nie tutaj. Nie teraz. Co było później?

- Dunek nie pamięta, jak długo trwała ta wizyta, ale pewnie około pół godziny. Chciał wrócić do domu i porozmawiać z Brendą, ale nie wiedział, co jej powiedzieć. Siedział więc, wpatrując się w zdjęcie, i nagle uświadomił sobie, że zostało ono zrobione w domu Flecksteina.

- Chcesz powiedzieć, że wcześniej się nie połapał?

- Nie. Myślał, że zrobił je ktoś inny, ktoś obcy. Kiedy zrozumiał, że Brenda robiła to z Flecksteinem...

- Chciałeś powiedzieć, z Prince'em.

- Robili to na zmianę. Bardzo wszechstronna dama. W każdym razie, kiedy to zrozumiał, pobiegł do samochodu i... - przerwał, spoglądając na mnie - pojechał do siostry.

- Do Normy?

- Właśnie. W domu nie było nikogo, musiał więc zaczekać. Chodził ścieżką tam i z powrotem, przyglądając się zdjęciu. Nie dawało mu spokoju. W końcu przyjechała Norma, koło piątej, z dwójką dzieci. Wjeżdżając, zobaczyła Dicky'ego i przywitała się z nim, ale stwierdziła, że musi przygotować obiad, więc nie może go zaprosić. Dunck oznajmił, że ma pilną sprawę dotyczącą jej męża, więc odesłała dzieci na górę, a jego zaprosiła do dużego pokoju. Zgadnij, kto wyszedł przywitać Dicky'ego?

- Bruce?

- Prince. Dunck załamał się i pokazał Normie zdjęcie. Wiesz, co powiedziała?

- Co?

- „To mój pokój. A to Prince”. Dunek płakał, a potem powiedział: „A to moja żona”. Norma usiadła i kazała mu wziąć się w garść. Potem spytała, skąd ma zdjęcie. Powiedział jej.

Wyobraziłam sobie Normę w dżungli zielonych roślin, w jej własnym pokoju, elegancką i zawsze kulturalną, nie bardzo rozumiejącą, o co chodzi.

- Co zrobiła?

- Zabrała zdjęcie do biblioteki, nie odzywając się ani słowem. Dunek siedział, a Prince co chwila trącał go nosem, prosząc o pieśczętę. Chryste, to musiało być koszmarnie.

Pocałowałam go lekko w usta.

- Jesteś taki przyzwoity - powiedziałam mu. - To twoja największa zaleta.

- Właśnie to ma być moją największą zaletą? Judith, spośród wszystkich ludzi na ziemi...

- Co było potem?

- Po jakimś czasie wróciła do pokoju i wydawała się całkowicie opanowana. Dunek wygadał wszystko: o tym, że złożył zeznania obciążające Flecksteina, że panicznie się boi, iż wszyscy zobaczą te zdjęcia. Boi się również tego, jak postąpią władze, jeśli nie zechce być świadkiem na procesie. Nagle Norma przerwała mu i powiedziała: „Będziesz musiał się ich pozbyć”.

- Pozbyć się czego?

- O to właśnie ją spytał. Sądził, że ma na myśli zdjęcia; powiedział, że resztę zdjęć ma jej mąż. Ale ona oświadczyła: „Nie o tym mówię, Dicky. Upokorzono nas”.

- Chcesz mi powiedzieć, że kazała mu zabić Bruce'a i Brendę?

- Tak.

- Nie do wiary. Bogata Żydówka i sycylijskie pojęcie o honorze.

- Powiedziała, że zostali upokorzeni, narażeni na pogardę i że najwyższy czas, by Dicky zachował się jak mężczyzna i położył temu kres.

- Zachował się jak mężczyzna - powtórzyłam. - Biedny Dicky. Jak zareagował?

- Trzeba przyznać, że próbował ją odwieść od tego pomysłu. Proponował, żeby oboje się rozwiedli. Ale ona miała na wszystko mocne argumenty. Powiedziała: „Nawet gdybyś się rozwiódł, to czy będziesz mógł pokazać się w swoim klubie z wysoko podniesioną głową?”

Zaczęłam się śmiać, nie tyle z rozbawienia, ile z przerażenia, słuchając o jej koszmarnych intrygach, mających na celu zachowanie pozorów.

- Co odpowiedział?

- Na początku odmówił. Potem zaproponował, żeby ona zajęła się Flecksteinem. Ale Norma stwierdziła, że nie może. Kiedy zostaje zabity mąż, żona zawsze jest podejrzana.

- To prawda?

- Jasne. Taki jest odruch. Wtedy Dunck spytał ją: „Czy nie będą podejrzewali mnie, kiedy coś się stanie Brendzie?” Norma uległa i powiedziała, że Brendą mogą zająć się później, ale Fleckstein musi odejść. Powtarzała bez ustanku, że upokorzył ją zrobił z niej idiotkę i że Dunck nie może pozwolić, żeby ktoś tak traktował jego siostrę.

- Naprawdę go to przekonało?

- Naciskała na niego; przypomniawszy, ile razy Fleckstein upokarzał Duncka i pytała, ile jeszcze jest w stanie znieść. Pamiętaj, że ona nie jest geniuszem, ale znacznie przewyższa brata inteligencją. W każdym razie obiecała, że zadzwoni do niego do drukarni nazajutrz, kiedy Fleckstein zostanie sam w gabinecie.

- Ona miała go pilnować?

- Nie, Fleckstein zawsze dzwonił do domu kilka minut przed wyjściem, żeby spytać, czy Norma czegoś nie potrzebuje. Obiecała Dunckowi, że poprosi Flecksteina, żeby zaczekał na nią w gabinecie, bo przyjedzie do niego ze specjalnym prezentem z okazji dnia świętego Walentego.

Przechyliłam głowę i spojrzałam na Sharpe'a.

- I potem Norma zadzwoniła do Dicky'ego i powiedziała, żeby szybko jechał do gabinetu Flecksteina, to zastanie go samego?

Sharpe przytaknął.

- W takim razie jak to się stało - spytałam - że Dunck natknął się na Marilyn Tuccio w gabinecie Flecksteina?

- Zadzwoniłem do niej dzisiaj rano i sprawdziłem - powiedział. - Nie była pewna, ale sądzi, że Fleckstein mógł wyjść z gabinetu, kiedy skończył zabieg, a ona powoli budziła

się z narkozy. Prawdopodobnie wtedy właśnie zadzwonił do żony. Pewnie wiedział, że niedługo wyjdzie, i nie chciał tracić czasu. Norma uznała, że w gabinecie nie ma już pacjentów, i zawiadomiła o tym brata.

Wstałam, rozruszałam nogi i zaczęłam chodzić po pokoju. Zrobiłam sześć kroków, stanęłam i znów zwałam się na kanapę. Nogi mnie bolały, a buty piły.

- Rozumiem - westchnęłam. - Wychodzi Marilyn, wchodzi Dicky. Co było potem?

- Dunck wszedł do gabinetu. Twierdzi, że chciał porozmawiać z Flecksteinem, przekonać go, by zniszczył fotografie.

- Wierzysz mu?

- Częściowo. Nie sądzę, żeby Dunek zdobył się na odwagę i wszedł tam, gdyby miał pewność, że będzie musiał zabić. Z punktu widzenia prawa jednak wszedł tam, niosąc ze sobą narzędzie, którym dokonał zabójstwa.

- Skąd je miał?

Sharpe podniósł wzrok na sufit.

- Posłuchaj. Wiesz, miałem do czynienia z wieloma mordercami, wariatami i umysłowo chorymi, ale nigdy nie spotkałem normalnego, dość zamożnego zabójcy, tak głupiego jak Dunek. Wziął szydło z pudła na narzędzia brygadzysty w swojej drukarni. Zadzwoniłem rano do tego brygadzysty; powiedział, że jedno szydło zginęło, więc musiał kupić nowe. Dunek zapłacił rachunek. Chryste, co za przygłup! W każdym razie Dunek wszedł do gabinetu z szydłem w kieszeni. Mówi, że Fleckstein zdziwił się na jego widok, ale zachował zimną krew; spytał, jak mu leci i czy wreszcie zmądrzał. Dunek stracił panowanie nad sobą i zaczął płakać. Zgadnij, co powiedział nasz miły Bruce?

- Co?

- Powiedział: „Nie bądź babą, Dicky”. Potem złapał Duncka za kłapy, podciągnął do góry i parsknął: „Brenda mówiła mi, że w łóżku też zachowujesz się jak baba”. Potem odepchnął Duncka i nazwał go „podrywaczem” i „gwiazdorem”.

- To pewnie podburzyło Dicky'ego?

- Jasne. Mówi, że oszalał, słysząc te słowa, pewnie w tym celu, żeby dać obronie podstawę do prośby o złagodzenie wyroku. Dunck myśli, że jeśli powie, iż oszalał, sąd go zrozumie i puści wolno.

- Może mu się to udać?

- Nie. W jego zeznaniach znalazło się tyle dowodów na premedytację, że można go pięciokrotnie skazać na dożywocie. W każdym razie Dunck odsunął się od Flecksteina, wyciągnął szydło i wbił.

- Umarł natychmiast? - spytałam.

- Trwało to kilka minut. Mówi, że Fleckstein padł na twarz, więc odwrócił go, żeby sprawdzić, czy nie żyje, ale jeszcze żył. Dunek wyznał, że Fleckstein nie spuszczał z niego wzroku przez jakieś pięć minut.

Zimny dreszcz przebiegł mi po ramionach i wzdłuż całego ciała. Potarłam dłonie, jakby miało mnie to rozgrzać.

- Nie przeszkadza ci to? - spytałam Sharpe'a.

- Nie.

- Och.

Przez kilka sekund siedzieliśmy w milczeniu. Zrobiło mi się trochę cieplej. Sharpe ziewnął.

- Co było potem?

- Włamał się do szuflad i odkrył jedną pełną zdjęć. Złapał je i wepchnął do kieszeni, ale kilku nie zauważył, tych, które my znaleźliśmy. Nawiasem mówiąc, przez cały czas działał w rękawiczkach, co daje tym większą podstawę do oskarżenia go

o zabójstwo z premedytacją. W każdym razie wyszedł stamtąd i wrócił do Normy.

- Boże - powiedziałam, kręcąc głową. Nagle spojrzałam na niego: - Nelson, czy jest gdzieś w pobliżu kawiarnia? Rano nie mogłam nic przełknąć i teraz umieram z głodu. Wiem, że mamy wiele do obgadania, ale jeśli masz trochę czasu...

- Jasne.

Podał mi płaszcz i poszliśmy kilka domów dalej, do kawiarni Maclyn's Luncheonette - na miejscu i na wynos. Sharpe zamówił jaja, bekon, grzanki i kawę. Ja poprosiłam o sok pomarańczowy i angielską babeczkę.

Uśmiechnął się do mnie, wziął za rękę i powiedział:

- Judith, nie wiesz, jaka jesteś wspaniała. Odwzajemniłam uśmiech.

- Przepraszam, że nie wytrzymałam, ale mój żołądek jest w kiepskim stanie.

Ugryzłam kawałek babeczki z marmoladą.

- Co się działo, kiedy Dicky znalazł się u Normy?

- Dał jej zdjęcia.

- Racja. Boże, jak mogłam o nich zapomnieć? Znaleźliście je?

- W końcu tak, ale zajęło nam to prawie cztery godziny. Była bardzo sprytna. Wiesz, gdzie je ukryła?

Pokręciłam głową.

- Wpakowała je do piwnicy razem z letnimi rzeczami. Zrobiła nacięcie w gumowym, nadmuchiwany koniku, takim, jakimi dzieci bawią się na plaży, i tam włożyła zdjęcia. Potem dobrała odpowiednią winylową łąkę i nadmuchała zabawkę. Jeden z detektywów jest bystrym facetem i zauważył, że pozostałe zabawki po kilku miesiącach zimy są nieco sflaczałe. Zaciekało go, dlaczego akurat ta jedna jest porządnie nadmuchana.

- Nieźle - zgodziłam się. - Ale po co zatrzymali te zdjęcia?

- Nie oni, tylko ona - odparł, milknąc na widok kelnerki. Nalała mu drugą filiżankę kawy i spytała, czy ja też chcę więcej.

- Sądząc po twoim wyglądzie, dobrze ci zrobi, kochanie - zauważyła. Przyjęłam ofertę.

- Czy rzeczywiście źle wyglądam? - spytałam Sharpe'a.

- Tak - stwierdził. Poruszyłam się niespokojnie i sięgnęłam do torebki po lusterko. - Masz żółtą cerę - dodał z uśmiechem - ale i tak jesteś piękna. Lubię żółty kolor. Słuchaj, chcesz, żebym opowiadał dalej, czy też wolisz pójść gdzieś i przypudrować nos?

- Mów.

Podeszła kelnerka i podała mi kawę.

- Norma namówiła Duncka do przeszukania gabinetu. Powiedziała, że chce zniszczyć zdjęcia. Kiedy przyszedł do niej, zadała mu tylko dwa pytania: „Czy on nie żyje?” i „Czy masz zdjęcia?” Oświadczył, że zdjęcia ma w palcie, i ona je zabrała. Powiedziała mu, żeby poszedł do domu, i obiecała, że spali fotografie.

- To fascynujące - stwierdziłam. - Co mogło ją skłonić do zatrzymania ich? Czyżby chciała je oglądać? A może myślała, że posłużą jej do czegoś, na przykład do szantażu?

- Jej motywacja z pewnością była skomplikowana. Wiesz, gdyby jakaś zwyczajna kobieta dowiedziała się, że jej mąż prowadzi takie życie, to albo odeszłaby od niego, albo nauczyła się z tym żyć. Norma dzięki zdjęciom miała w rękę Duncka. Wykorzystała je.

- Opowiedz mi.

Przełknęłam łyk kawy. Była ciepła, a nie gorąca i śmietanka tworzyła maleńkie wysepki unoszące się na czarnym oceanie.

- Dunck mówi, że po pogrzebie wzięła go na stronę i zapewniła, że spaliła zdjęcia, ale to było, zanim ty się pojawiłaś.

- Ja?

- Tak. Po tym, jak rozmawiałaś z Dunckami, Dicky zadzwonił do Normy i zdał relację ze spotkania. Wpadła w szal i kazała, żeby cię „ostrzegł”. Dunck oznajmił, że nie chce mieć z tym nic wspólnego, a wtedy ona powiedziała, że lepiej będzie, jeśli zmieni zdanie, bo inaczej wszyscy obejrzą zdjęcia Brendy.

- A więc to Norma kazała mu napisać „o - de - pe”?

- I tak, i nie. Kiedy powiedział jej, co zrobił, wściekła się, bo miała na myśli coś poważniejszego.

- Dobrze, że nie podsunęła mu bardziej konkretnego pomysłu - oświadczyłam. - Inaczej mógłbyś mnie poznać na stole w policyjnym prosektorium. Wiesz, kiedy tylko zobaczyłam to „o - de - pe”, natychmiast skojarzyłam tę historię z Dickym. To ona kazała mu podrzucić szydło u Marilyn?

- Nie. Nigdy nie spytała, czym to zrobił. Szydło w kanalizacji to było już jego własne upiększenie.

- Jestem pewna, że Norma była zadowolona, kiedy się o tym dowiedziała.

- Zachwycona. Wiesz, co powiedział? „Kiedy zdradziłem Normie, gdzie wrzuciłem szydło, skrzyczała mnie”.

Ze smutkiem pokręciłam głową.

- Jak myślisz, czy on jest lekko stuknięty, czy upośledzony?

- Chyba ani jedno, ani drugie. Jest całkiem zwyczajnym facetem, który nie potrafił poradzić sobie w świecie, w którym żył, i pozostał dzieckiem. Istnieje mnóstwo takich jak on osobników, którzy nie mieszają się w sprawy dorosłych. Ale

Dunek żył wśród ludzi wpływowych i czuł, że powinien dotrzymać im kroku.

- A Norma? Nie chce mówić?

- Ani słowa. Ale wydaje mi się, że mamy wystarczający materiał dowodowy, żeby została skazana; mamy też zeznania Duncka.

- Kiedy będzie proces? - spytałam.

- Nie wiem. Wziął mnie za rękę.

- Judith, teraz, kiedy jest już po wszystkim, nie chcę, żeby z nami był koniec. Proszę. Musimy porozmawiać. Musimy podjąć decyzje.

- Jakie decyzje? - spytałam cicho. - Nelson, teraz nie jestem w stanie nic zdecydować.

- Ale zależy ci na mnie, prawda?

- Oczywiście. Ale nie mogę ci przysiąc wiecznego uczucia i wierności, ani niczego innego.

Nelson zaczął dziubać kawałek bekonu na swoim talerzu; potem podniósł na mnie swoje wielkie, brązowe oczy.

- Kochasz mnie?

- Rozmawiasz z kobietą na kacu.

- Rozmawiam z kobietą, którą kocham. Z bogatą kobietą.

- Jak to? - spytałam.

- Rozmawiałem z kapitanem. Zamierzamy wytypować cię do nagrody. Zrzeszenie Dentystów i Norma wyznaczyli po pięć tysięcy dolarów, pamiętasz? Nie sądzę, żebyś dostała pieniądze od Normy, ale dentyści zapłacą. - Wziął mnie za rękę. - Teraz mogę się z tobą ożenić dla pieniędzy.

- Nie, nie możesz, ale pięć tysięcy wystarczy na opłacenie wielu godzin opieki nad dziećmi. Będziemy mogli spędzić razem mnóstwo długich, uroczych wieczorów.

- A może nawet coś więcej? - szepnął, uśmiechając się.

- Może.